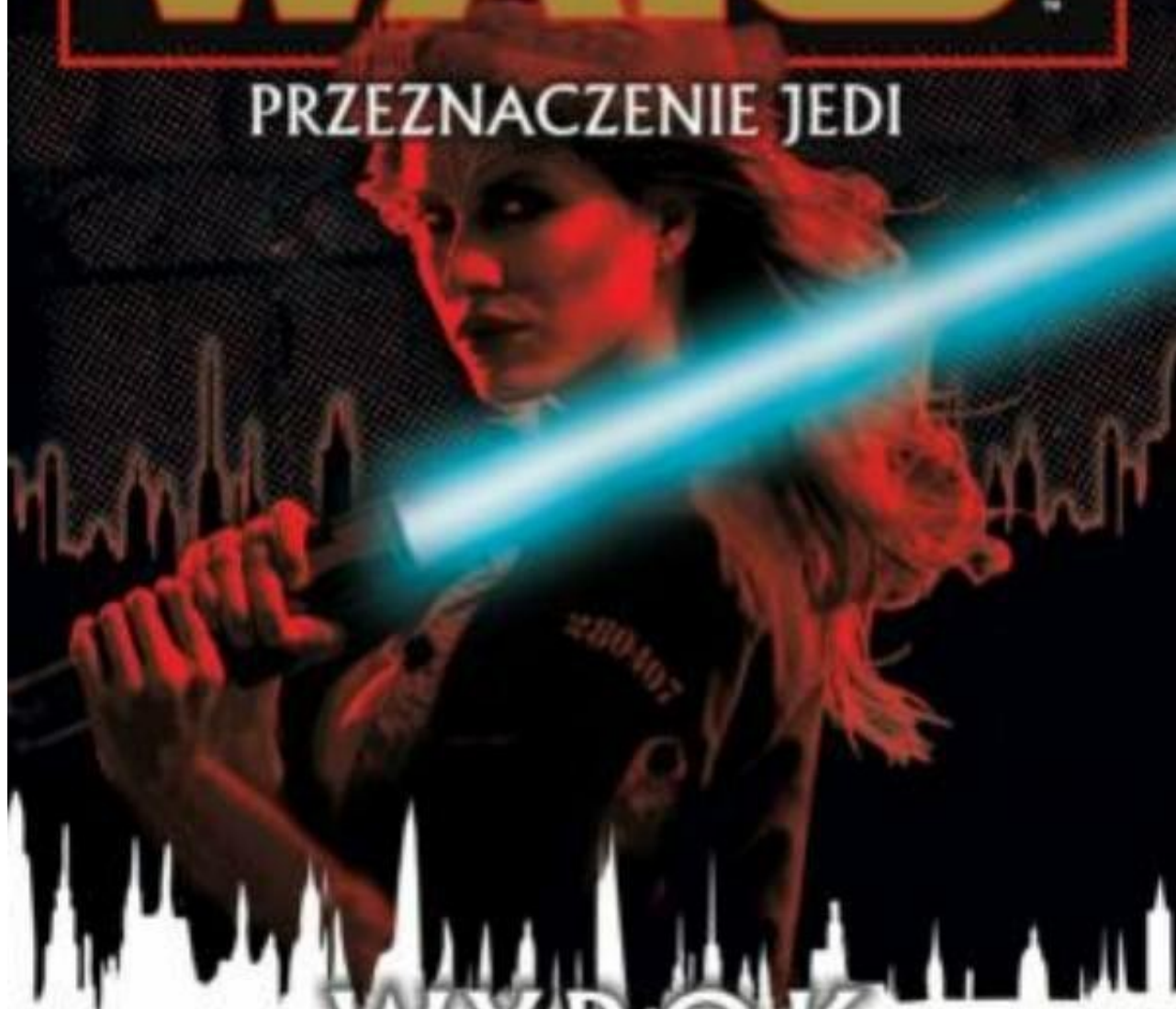


STAR WARS

PRZEZNACZENIE JEDI



WYROK

AARON ALLSTON



PRZEZNACZENIE JEDI VII

WYROK

AARON ALLSTON

Przekład

Grzegorz Ciecieląg

Aleksandra Jagielowicz

Redakcja stylistyczna

Magdalena Stachowicz

Korekta

Halina Lisińska

Barbara Cywińska

Projekt graficzny okładki

Ian Keltie i David Stevenson

Ilustracja na okładce

Ian Keltie

Druk

Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp. z o.o.

Tytuł oryginału

Fate of the Jedi#7. Conviction

Copyright © Lucasfilm Ltd. & ™ 2011.

All Rights Reserved.

Used Under Authorization.

For the Polish translation

Copyright © 2012 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4196-8

Warszawa 2012. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 22620 40 13, 22620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

BOHATEROWIE POWIEŚCI

Luke Skywalker - Wielki Mistrz Jedi (mężczyzna)

Ben Skywalker - Rycerz Jedi (mężczyzna)

Vestara Khai - uczennica Sith (kobieta)

Leia Organa Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Han Solo - pilot (mężczyzna)

Allana Solo - dziewczynka

Tahiri Veila - podsądna (kobieta)

Natasi Daala - prezydent Sojuszu Galaktycznego (kobieta)

Jaina Solo - Rycerz Jedi (kobieta)

Wynn Dorvan - prezydencki asystent (mężczyzna)

Valin Horn - Rycerz Jedi (mężczyzna)

Jysella Horn - Rycerz Jedi (kobieta)

Corran Horn - Mistrz Jedi (mężczyzna)

Drikl Lecersen - moff (mężczyzna)

Haydnat Treen - senator (kobieta)

Seha Dorvald - Rycerz Jedi (kobieta)

ROZDZIAŁ 1

Poziom Szpitalny, Świątynia Jedi, Coruscant

Tablica z odczytami medycznymi na pojemniku z karbonitem rozbłysła i zgasła, informując, że młody mężczyzna, któremu przywracano funkcje życiowe - Valin Horn, Rycerz Jedi - właśnie zmarł.

Mistrzynie Cilghal, wybitna lekarka Zakonu Jedi, poczuła rozchodzące się w Mocy uczucie niepokoju. Nie pochodziło od niej. Było naturalną reakcją obserwatorów, którzy mieli stać się świadkami uwolnienia Valina i jego siostry Jyselli. W ten sposób przerwano by niesprawiedliwy i nieuzasadniony wyrok, którego nawet nie wydał sąd, a prezydent Sojuszu Galaktycznego, Daala. Czy zamiast wyzwolenia dwójki Rycerzy Jedi, przyjdzie im patrzeć na ich śmierć?

Tyle że Cilghal nie wyczuła zanikania życia. Valin nadal był obecny w Mocy - osłabiony, ale nietknięty.

Dała znak zebranych, że nie powinni się martwić.

- Spokojnie - powiedziała.

Nie musiała właściwie korzystać z Mocy. Większość obecnych tu istot stanowili Mistrzowie i Rycerze Jedi, którzy szanowali jej autorytet. Żadne nie poddawało się łatwo panice, nawet dziewczynka stojąca obok Hana i Lei.

Gdy Cilghal i jej asystentka Tekli zajęły pozycje pomiędzy noszami repulsorowymi, na których leżeli Valin i Jysella, Mistrzynie skoncentrowała się na młodzieńcu po swojej prawej stronie. Jego ciało lśniło od resztek rozpuszczonego karbonitu, w którym był więziony. Leżał całkowicie nieruchomo, jak martwy. Cilghal przycisnęła wielką dłoń z błoną pławną do gardła pacjenta, by zbadać puls. Wyczuła go - był słaby, ale równomierny.

Tablica ponownie się rozświetliła, tym razem całą paletą barw - ekran zamigotał odczytem bicia serca Valina, a encefalogram zaczął pokazywać aktywność jego mózgu.

Tekli, niedużego wzrostu Chandra-Fanka o lśniącej futrze, dzięki któremu bardziej przypominała pluszową zabawkę niż doświadczonego Rycerza Jedi i lekarza, odwróciła się do drugich noszy. Leżała na nich Jysella Horn, której drobne ciało również błyszczało pozostałościami nieodparowanego karbonitu. Tekli przyłożyła dłoń do czoła Jyselli, palce drugiej ręki przyciskając do nadgarstka dziewczyny.

Cilghal wpatrywała się w nią. Sprzęt komputerowy może zawieść, ale zmysły wytrenowanego Jedi nigdy, a przynajmniej nie w takich okolicznościach.

Tekli spojrzała na Cilghal i energicznym skinieniem głowy dała do zrozumienia, że wszystko jest w porządku.

Puls, który Cilghal wyczuwała pod dłonią, wzmocnił się i przyspieszył. Był dobry, naturalny.

Cilghal przesunęła się za wezłowiec noszy i stanęła po ich drugiej stronie, o krok od Valina. Gdy się obudzi, wzrok będzie miał niepewny - a być może także złą ocenę sytuacji. Lepiej, żeby nie stała wtedy nad nim wielka, trzymająca go za gardło postać. Mogłoby to spowodować wybuch agresji.

Spojrzała w stronę Corrana i Mirax, rodziców obojga pacjentów.

- To tylko błąd sprzętu - pocieszyła ich.

Bardzo chciała ich uspokoić, choć wiedziała, że raczej nie ma na to szans - głos Kalamarianina, odpowiedni dla ciała większych rozmiarów niż ludzkie, w wyniku ewolucji stał się wyraźny i chropawy, dzięki czemu w ich rodzimym, podwodnym środowisku niósł się na wielkie odległości. Niestety, dla ludzkich uszu brzmiał surowo, a nawet groźnie. Musiała jednak spróbować.

- Nic im nie jest - dodała.

Corran, którego szaty Jedi były równie zielone, jak jego oczy, odetchnął z ulgą. Ubrana w

stylowy, niebiesko-czarny kombinezon Mirax, jego żona, uśmiechnęła się niepewnie i zapytała:

- Skąd ten błąd?

Cilghal na ludzką modłę wzruszyła ramionami.

- Gdy stan waszych dzieci się ustabilizuje, przekażę sprzęt do sprawdzenia. Podejrzewam, że nie był testowany ani serwisowany, od chwili gdy Valina i Jysellę zamrożono.

No proszę, jakie zgrabne kłamstewko, pozwalające zlekceważyć dziwną reakcję monitora.

Valin poruszył się i Cilghal spojrzała na niego. Rycerz Jedi otworzył oczy i bezskutecznie próbował skoncentrować wzrok na lekarce.

- Valin? Słyszysz mnie?

- Ja... Ja... - Głos chłopca był słaby i bez wyrazu.

- Nic nie mów. Tylko daj znak głową.

Skinął.

- Byłeś...

Tekli przerwała jej scenicznym szeptem:

- Jysella się wybudziła.

Cilghal przesunęła się, by stanąć twarzą do obojga.

- Przez jakiś czas byliście zamrożeni w karbonicie. Jest wam zimno, jesteście roztrzęsieni i zdezorientowani. To naturalna reakcja. Ale otaczają was przyjaciele. Rozumiecie?

Valin ponownie skinął głową. „Tak”, które padło z ust Jyselli, było ciche, ale i tak silniejsze i lepiej kontrolowane, niż Cilghal się spodziewała.

- Są tutaj wasi rodzice. Za chwilę pozwolę im z wami porozmawiać. Są też Solo.

A także mała Amelia i jej zwierzak Anji, oboje cuchnący, jakby wytarzali się w gnijących od tygodnia owocach morza, pomyślała.

Cilghal musiała przymknąć na to oko. To dziecko powinno było przed wejściem tutaj przejść gruntowną dezynfekcję. A jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to Barv też śmierdział. Co w czystej, ascetycznej Świątyni mogło być źródłem zapachu, który niósł się teraz za tym dzieckiem i Rycerzem Jedi?

Odłożyła to pytanie na później.

- Są też tutaj wasi przyjaciele, Bazel Warv i Yaqeel Saav'etu. Znają odpowiedzi na wiele pytań dotyczących choroby, która zaatakowała was przed zamrożeniem.

Jysella lekko uniosła głowę i rozejrzała się wokół. Jej spojrzenie prześlizgiwało się po twarzach przyjaciół i bliskich, by wreszcie spocząć na Valinie. Musiał poczuć na sobie wzrok siostry, bo odwzajemnił spojrzenie. Przemknął między nimi błysk mentalnego porozumienia, które rozumie tylko rodzeństwo. Rozluźnili się.

Jysella spojrzała na rodziców.

- Mamo? - wychrypiała.

Na dany przez Cilghal znak Mirax i Corran podeszli bliżej, wciskając się między nosze.

Tekli usunęła się z drogi, minęła wezglowie łóżka Valina i dołączyła do Cilghal. Wyciągnęła szyję i zerknęła na Kalamariankę.

- Wszystkie odczyty prawidłowe.

Cilghal pokiwała głową i spojrzała na pozostałych obserwatorów.

- Niech wszyscy oprócz najbliższej rodziny przejdą do poczekalni.

Wyszli, rzucając słowa powitania i otuchy.

Chwilę później na sali z Valinem i Jysellą pozostali już tylko Hornowie i lekarze. Cilghal cofnęła się do stanowiska pielęgniarek i stanęła obok umieszczonych tam ekranów monitorujących, przyglądając się ich skomplikowanym odczytom... albo też udając, że to robi. Tekli znalazła dozownik mgły i rozpyliła jego pachnącą czystością zawartość po pomieszczeniu, pozbywając się resztek zapachu Amelii, Anji i Barva, po czym dołączyła do swojej przełożonej.

Jeśli Cilghal nie myliła się w swoich przewidywaniach, w tym właśnie momencie Valin i Jysella powinni odzyskać pełnię świadomości - o ile nie stało się to już wcześniej. A jeśli nie ustąpiło szaleństwo, z którego powodu zamrożono ich w karbonicie, to za chwilę zaczną wykrzykiwać oskarżenia: „Co zrobiliście z moją prawdziwą matką, z moim prawdziwym ojcem?”

Taki właśnie obłęd ich dotknął - był to przejaw działania Ciemnej Strony i efekt psychicznego połączenia z potworem znanym jako Abeloth.

Ale władza, jaką Abeloth miała nad „szalonymi Jedi”, została niedawno przełamana. Wszyscy odzyskali zmysły - poza tą dwójką Hornów, którym nie pozwoliła na to ich szczególna sytuacja.

W głosie Valina była nuta skargi, ale nie oskarżał nikogo o zdradę lub oszustwo.

- Nie mogę przestać się trząść.

- To normalne - zapewnił jego ojciec. - Han też przez to kiedyś przechodził. Opowiadał, że zrobiło mu się ciepło dopiero po dłuższym czasie. To łóżko mocno grzeje. Nawet się nie obejrzyj, jak będzie ci ciepło. - Zmarszczył brwi. - Mówił też, że po przebudzeniu nic nie widział. Dlaczego wy nie macie tego problemu?

- Mamy. - Jysella wyciągnęła ręce przed siebie i skrzywiła się z bólu. - Widzę głównie dzięki Mocy.

Valin skinieniem głowy potwierdził jej słowa.

- Ja też.

Cilghal i Tekli wymieniły spojrzenie. Co za ulga! Na razie gawędzili o niczym, ale lada moment przyjdzie pora na szczegółowe opowieści o tym, co kto robił, gdy Valin i Jysella spali. Wszystko było w porządku.

Chyba że... Cilghal musiała przeprowadzić jeszcze jeden test.

Podniosła głos, by przyciągnąć uwagę wszystkich Hornów.

- Niestety, teraz wam przeszkodzę. Komputery muszą przez kilka minut pobierać niezakłócone niczym dane. Proszę was, żebyście na chwilę opuścili to pomieszczenie.

Mirax spojrzała na nią z rozdrażnieniem.

- Tyle musieliśmy czekać, a...

Tekli uniosła dłoń, uprzedzając jej argumenty.

- Skoro musieliście tyle czekać, to możecie sobie pozwolić na krótką chwilę wytchnienia. -

Przegoniła ich gestem. - Wynocha.

Starsi Hornowie niechętnie opuścili salę, dołączając do pozostałych w poczekalni.

Cilghal wyjęła z szafki dwa koce grzewcze, podeszła do łóżek i okryła pacjentów.

- Musimy z Tekli sporządzić raport. Za chwilę przyjdzie Josat... a oto i on.

Jak gdyby na dany znak - i rzeczywiście tak było - do pomieszczenia wszedł radosny i absurdalnie energiczny młody uczeń Jedi. Rudowłosy chudzielec o przyspieszonym metabolizmie przywitał Cilghal i Tekli, posyłając im niedbały ukłon, po czym natychmiast ruszył do monitora przy stanowisku pielęgniarek, by zapoznać się ze swoimi nowymi przypadkami.

Cilghal skończyła układać koc Jyselli.

- Gdybyście czegokolwiek potrzebowali, Josat wam to zapewni, a gdyby akurat go nie było, powiedzcie tylko „siostró”, a połączycie się z pielęgniarką.

Jysella spojrzała na swojego brata.

- Czuję się, jakby otuliła mnie wielka ryba.

Uśmiechnął się.

- Może masz zwidy - odpowiedział, a w jego głosie wyczuwało się rozbawienie.

Rolę poczekalni pełniła podłużna komnata, ozdobiona pochodzącymi z najróżniejszych światów roślinami i naścienną fontanną, przywodzącą na myśl wodospad na zniszczonym tak wiele lat temu Alderaan. Powietrze tu było świeższe niż w izbie chorych. Pachniało produkowanym przez rośliny tlenem, mgiełką z wodospadu...

Ale czuć było nie tylko świeżość. Leia spojrzała na Allanę i skrzyżowała ręce na piersi.

- Skarbie...

- Wiem, wiem. - Głos dziewczynki brzmiał dziecinnie; przytuliła swojego nexu, jak gdyby chciała dodać sobie otuchy. - Śmierdzimy.

- W co wyście wlażyły?

Wzruszeniem ramion Allana dała do zrozumienia, że nie chce o tym rozmawiać.

- Nie wiem.

Leia przeniosła spojrzenie na Barva, ale wielki, zielonoskóry, wyposażony w ostre kły Rycerz Jedi unikał jej wzroku.

To oczywiste, że nie będzie się kwapił z wyjaśnianiem czegokolwiek. Powierzono mu opiekę nad Allaną, a przecież nie mógł przeszkodzić jej w psoceniu. Młodym Jedi przydadzą się od czasu do czasu takie lekcje pokory.

Han włączył się do rozmowy, ale zwrócił się do żony, nie do wnuczki.

- Zgniatarka Odpadów numer 3263827.

Leia obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Cicho bądź.

Han uśmiechnął się drwiąco i zerknął na Allaną.

- Skarbie, pamiętam sytuację, gdy twoja babcia też tak śmierdziała. Ale w przeciwieństwie do ciebie była na dodatek niegrzeczna i niewdzięczna.

- Han...

- Umyj się i, jeśli dasz radę, wrzuć Anji pod saniparę, a my z babcią przedyskutujemy kwestię trudności z utrzymaniem dzieci - zwłaszcza nastoletnich księżniczek - w czystości.

- Dobrze, dziadku.

Allana czmychnęła, wykorzystując nadarżającą się okazję. Nawet nie musiała się odwracać, by wiedzieć, jak Leia patrzy teraz na Hana.

Cilghal i Tekli zmierzały do biura umieszczonego tuż obok poczekalni, na drugim końcu prowadzącego do komnaty Hornów korytarza.

Cilghal odtwarzała w myślach scenariusz zachowania Josata. W tym momencie pewnie akurat krąży po sali, nucąc coś pod nosem i pouczając Valina i Jysellę, żeby się nie poruszali ani nie mówili - muszą pozostać w całkowitym bezruchu, jeśli sprzęt ma wykonać swoje zadanie. Tłumaczył też, że na szczęście ten zakaz jego nie obowiązuje, ponieważ po prostu nie potrafi zachować ciszy, a przynajmniej tak utrzymuje jego rodzina...

Rozgrywający się w głowie Cilghal holodramat zakłócił głos Tekli.

- Więc co było przyczyną kłopotów ze sprzętem?

- Może to, o czym mówiłam. Albo to, co wyprawiał Valin, kiedy oszalał.

- Gdy wygasił encefalokan?

- Tak. Musiał wykorzystać tę samą technikę, gdy go zamrażano. Usterka monitora może być tego skutkiem.

Tekli nic nie powiedziała. Nie musiała. Cilghal i tak była świadoma, jakie myśli zaprzatają jej umysł. Posiadanie tej zdolności nie świadczyło jeszcze, że Valin nadal jest szalony, ale żadna z nich nie lubiła tajemnic.

Gdy weszły do biura, główny naścienny monitor dostroił się już do holokamery ukrytej w komnacie Hornów. Widziały krzątającego się między szafkami Josata, jak układa na tacy napoje, pojemniczki na lekarstwa, próbki krwi i waciki.

Tekli odetchnęła z ulgą.

- Na razie wszystko w porządku.

Josat podszedł do Valina i Jyselli i zaproponował im coś do picia. Przez głośniki monitora słyszały jego rzeczowe uwagi.

- Dostaliście salę położoną z dala od turbowind, biur i poczekalni. To dlatego tak tutaj cicho. Gdyby coś się jednak wydarzyło, bezpieczniej kierować się w stronę schodów niż turbowind. Są tuż obok, wystarczy po wyjściu stąd skręcić w lewo i iść przed siebie, nie sposób nie trafić. Może wam się jeszcze przydać ta informacja. Jakoś nigdy nie zwracałem na takie rzeczy specjalnej uwagi, ale od kiedy uczę się na pielęgniarską, muszę to wszystko wiedzieć. Jeśli nie będę znał dróg ewakuacyjnych z moich stanowisk, Jedi Tekli przegoni mnie po korytarzach. Wam też Mistrzowie dawali za karę ćwiczenia, jeśli zrobiliście coś nie tak? Nie odpowiadajcie, monitory potrzebują

ciszy.

Cilghal zamrugęła z zadowoleniem.

- Zgrabnie to wplótn.
- Ten kawałek o karze?
- Nie, o schodach.
- Przecież wiem.

Cilghal westchnęła.

- Typowe poczucie humoru ssaków. Rozmyślnie błędna interpretacja.
- A to doprowadza Mistrzynie do szału, prawda?

Josat stał teraz obok łóżka Valina; jego miecz świetlny kołysał się u pasa, w zasięgu ręki młodego Jedi. Uczeń rzucił szybkie spojrzenie na jeden z naściennych monitorów.

- Ocena zdrowotna idzie powoli, ale nie szkodzi. Nikt wam nie będzie przeszkadzał, dopóki zadanie nie zostanie wykonane. A to potrwa jeszcze z pół godziny.

Cilghal skinęła głową.

- To ostatnia przynęta. Niezły z niego aktor.

W idealnych warunkach Valin i Jysella mogliby wyczuć ślad oszustwa w Mocy, ale w obecnej sytuacji, gdy wciąż odczuwali skutki zamrożenia w karbonicie, szanse na to były małe.

Mogliby jednak połączyć ze sobą cztery istotne szczegóły. Po pierwsze, znajdowali się w pomieszczeniu na końcu korytarza, gdzie nie zapuszczał się prawie nikt z odwiedzających i personelu. Po drugie, sala przylegała do schodów, którymi mogliby się dostać na dowolny poziom Świątyni, unikając jednocześnie powszechnie używanych turbowind. Po trzecie, minie pół godziny, nim ktokolwiek zorientuje się, że zniknęli. Po czwarte wreszcie, mieli pod ręką miecz świetlny.

Czy gdyby wciąż byli szaleni i tylko ukrywali ten fakt, potrafiliby oprzeć się pokusie?

Ale żadne nie sięgnęło po miecz.

A nawet gdyby tak się stało - cóż, nie przyniosłoby to większej szkody. Miecz by się nie zapalił. Wystarczyłoby, że go włączą, a Cilghal lub Tekli wcisną odpowiedni przycisk na swoich komunikatorach. Wtedy z fałszywego miecza świetlnego wydobędzie się silny gaz, pozbawiając ich przytomności. Powaliliby w ten sposób Hornów, nie uciekając się do przemocy, zanim ci wydostaliby się na korytarz. Josat również by padł, ale lepsze to, niż dostać wycisk od dwójki doświadczonych Jedi.

Najwyraźniej jednak ucieczka nie przyszła im po prostu do głowy. A to oznaczało, że byli przy zdrowych zmysłach. Uleczeni.

Valin wyczuwał w swoich rodzicach tylko ciepło i wielką ulgę...

W mężczyźnie i kobiecie, którzy podawali się za jego rodziców.

Wysłuchując nieznośnego, niemającego końca głędzenia Josata, Valin zmuszał się do zachowania spokoju. Jakakolwiek oznaka zdenerwowania może wysłać przez Moc wiadomość, którą odbiorą jego porywacze - informację, że przejrzał ich oszustwo.

Może nawet mężczyzna i kobieta o twarzach Corrana i Mirax Hornów nie zdawali sobie sprawy z faktu, że są oszustami.

Co za okropna myśl. Może to klony, którym wszczepiono wspomnienia, szczerze wierzące w swoją tożsamość? Co by się z nimi stało, gdyby prawda wyszła na jaw? Czy zostaliby pozbawieni życia przez swoich tajemniczych władców? Czy nosili w sobie ładunki wybuchowe, które zakończyłyby ich żywot, gdyby okazało się, że nie są już użyteczni?

Valin stłumił w sobie tę myśl.

Josat znowu podszedł bliżej, paplając o studiach, polityce, o najlepszych technikach zmywania podłogi opracowanych przez uczniów, którym przypadło zadanie sprzątnięcia świątynnych korytarzy. Jego miecz świetlny znowu znalazł się zachęcająco blisko Valina.

Nie teraz. Jeśli mają stąd uciec, powinni wiedzieć znacznie więcej. Potrzebują odpoczynku i informacji, a zanim ruszą własną drogą, muszą też opuścić zajętą przez wroga Świątynię Jedi.

Spojrzał na siostrę, uśmiechem dodając jej otuchy. Przynajmniej to uczucie było prawdziwe.

Tylko co do Jyselli nie miał żadnych wątpliwości. Upewnił się, gdy sięgnęli ku sobie w Mocy. Oszołomieni, na wpół przytomni, niepewni tego, na co się natkną, z ulgą się ze sobą połączyli, i wiedzieli już, że nie są sami.

Bardziej poczuł, niż zauważył, jak odwzajemnia jego uśmiech.
Mieli siebie i na razie w zupełności im to wystarczyło.

ROZDZIAŁ 2

Stacja Meliflar, system Mendenbatt, okolice Almanii

Nawet na maksymalnym wzmocnieniu czujniki „Cienia Jade” wychwytywały odległą stację jako mały, nieregularny zbiór kapsuł i modułów, doraźną konstrukcją typową dla wszystkich tych miejsc w galaktyce, gdzie ciężko pracujący weterani kosmicznych podbojów radzili sobie bez najnowszych, błyszczących pojazdów i doskonałego wyposażenia.

Siedzący w fotelu pilota Ben Skywalker wyprostował się, odrywając wzrok od głównego wyświetlacza. Na karku i policzku wciąż można było zauważyć kratkę, którą niedawno wycięła w jego skórze sieć Mocy lorda Taalona. Spojrzał na ojca, siedzącego przy konsoli nawigacyjnej.

- Wiele tu nie znalazłem. Zresztą w bazie danych „Cienia Jade” także. - Wzruszył ramionami. - Obstawiałbym piratów albo przemytników.

Lidce przytaknął, ale jego myśli zaprzętało coś innego. Odbierał znajdującą się przed nimi stację kosmiczną nie tylko w postaci niewyraźnego impulsu zwykłej energii Mocy, wskazującego, że na pokładzie są istoty żywe, ale także jako coś innego: lekki, ale charakterystyczny posmak energii Ciemnej Strony, niepokojący i ulotny.

To zaś mogło oznaczać, że jest tam też ich zwierzyna. Doprowadził go tutaj dathomirański trop krwi, który wykorzystał, by związać siebie z Abeloth - ale trop okazał się słaby, niejasny. Był spokojniejszy, czując puls energii Ciemnej Strony.

- Jest tam - odezwała się z fotela drugiego pilota Vestara Khai. Jak zawsze, również i teraz Ben nie potrafił określić, czy dziewczyna się uśmiecha, czy to tylko złudzenie, wywołane łukowatą blizną w kąciu ust. Doszedł do wniosku, że tym razem musiało chodzić o bliznę. Vestara była całkowicie skoncentrowana na obiekcie przed nimi.

Luke popatrzył na nią.

- Masz konkretny powód, żeby tak twierdzić?

Dziewczyna pokręciła głową.

- To ledwie kształty i cienie w Mocy. Prawie widzę, jak Abeloth i Statek tam przybywają.

- Prawie... - Tym jednym słowem Luke udzielił jej delikatnej nagany, ostrzegając młodszą od siebie użytkowniczkę Mocy, by nie liczyła na zbyt wiele. Co prawda była lepiej dostrojona do Ciemnej Strony niż Luke czy Ben, może więc potrafi wykryć w niej wzory, których nie dostrzegali stojący po Jasnej Stronie.

Osunął się na fotel i poczuł ulgę. Wciąż dokuczala mu kontuzja kolana, której nabawił się na Almanii. Zdecydowany, by ścigać Abeloth, nie czekał na wyleczenie w zbiorniku z bactą i teraz musiał sobie radzić ze zranioną nogą, zabandażowaną i odrętwiałą od leków.

Zwrócił się do syna:

- Ustaw jeden z alternatywnych sygnałów transpondera, wykorzystywanych przez twoją matkę... któryś z końca listy. Niech identyfikuje nas jako przemytników. Podleć bliżej i poproś o instrukcje dokowania.

- Tak jest.

Kolejny raz przekonał się, że dobrze zrobił, wprowadzając po śmierci Mary tak niewiele zmian w „Cieniu Jade”. Przebywając na statku, czuł, że jest blisko niej, nawet jeśli ślady jej obecności wywoływały niekiedy smutek; w dodatku należące do niej narzędzia i zapasy mogły się od czasu do czasu przydać. Zdecydowanie potrafiła sobie radzić.

Ben włączył silniki podświetlne i płynnym, wolnym podejściem zbliżył się do stacji. Gdy wcisnął guzik, a transponder zaczął nadawać, wprowadził Luke'a i Vestarę w szczegóły.

- Nasz statek to „Czarny Diadem”, jacht kurierski należący do hapańskiego szlachcica podejrzanego o piractwo i przemyt. - Nie było w tym nic niezwykłego; wiadomo, że wielu Hapan korzystało z odmawianej im przez rodzimą kulturę wolności, oddając się zakazanemu handlowi kosmicznemu.

Ze stanowiska komunikacyjnego dobiegł dźwięk dzwonka i przez ekran zaczął przewijać się tekst. Ben wczytał się w niego.

- Możemy dokować przy wieży trzeciej, w module jedenastym. Proszą o manifest ładunkowy.

Luke uśmiechnął się nieznacznie.

- Przekaż: trójka pasażerów o umiejętnościach wojskowych i rewolucyjnych.

Ben wyglądał na zawiedzionego.

- To nawet nie jest kłamstwo.

- Jedi musi sobie niekiedy radzić z rozczarowaniem wynikającym z mówienia prawdy.

Ben łagodnie podprowadził jacht do rękawa wystającego ze starego modułu składowego produkcji KDY, jakie powszechnie wykorzystywano w głębokim kosmosie. Luke stanął przy służbie, sprawdził szczelność rękawa, rzucił przelotnie okiem na tablicę informującą o składzie atmosfery, upewniając się, że mieszanka gazów będzie odpowiednia dla ludzi i nie okaże się toksyczna, po czym otworzył zewnętrzne drzwi. Gdy odsunęły się z sykiem, jego oczom ukazał się cylindryczny korytarz, niegdyś biały, dziś już poszarzały, z trzaskającymi prętami jarzeniowymi na suficie i podartym, czarnym chodnikiem na podłodze. Właz służby powietrznej na drugim końcu rękawa był zamknięty, ale zielone światło wskazywało na stan gotowości.

Nikt przy niej nie czekał.

Luke sprawdził, czy miecz świetlny nie wystaje mu spod fałd szaty, i zerknął przelotnie na swoich towarzyszy. Ich również spowijały luźne stroje podróżników, a miecze mieli schowane.

Gdy zeszli z „Cienia Jade”, opuścili jednocześnie generowane przez statek pole grawitacyjne i teraz, przemierzając korytarz, wyraźnie czuli, jak zmniejsza się ciężar ich ciała. Wreszcie minęli punkt graniczny i znaleźli się w obrębie miejscowej grawitacji. Otworzyła się służa powietrzna i zasunęła się z powrotem, gdy tylko przekroczyli jej próg. lampka na drzwiach przed nimi zmieniła kolor z czerwonego na zielony. Pomijając syk pomp tłoczących powietrze, wokół panowała zupełna cisza.

Ben posłał ojcu spojrzenie znaczące „nic a nic mi się to nie podoba”. Luke pokręcił lekko głową, nakazując mu zachować milczenie. Nie wiedzieli, ile w pobliżu mogło kryć się czujników.

Gdy otworzyły się drzwi służby, ujrzeli przed sobą duże pomieszczenie, słabo oświetlone przez trzaskające i migoczące pręty jarzeniowe, podczipione do znajdującego się na wysokości sześciu metrów sufitu. Salę od krańca do krańca wypełniały dwukrotnie wyższe od człowieka regały, ale tylko nieliczne półki były wypełnione zapasami i towarami. Luke dostrzegł tu pojemniki z dziesiątków różnych światów, na wielu widniał opis zawartości - przeważnie zakonserwowanego pożywienia.

I wciąż nikt nie witał trójki podróżników.

Nikt, kogo mogli zobaczyć. Luke wyczuwał rosnące zniecierpliwienie - nie swoje, lecz kogoś znajdującego się tuż obok. Z wyrazu twarzy Bena i Vestary wyczytał, że oni także wyczuli wznoszącą się falę emocji.

Westchnął. Sprawy nie toczyły się tak, jak powinny. Liczył na to, że jeśli odwoła się do zdrowego rozsądku - podpierając się przy tym swoją reputacją - zdoła zaoszczędzić kłopotów i ocalić kilka istot.

Zrzucił kaptur płaszcza i przemówił podniesionym głosem:

- Nazywam się Luke Skywalker. Jestem byłym Wielkim Mistrzem Zakonu Jedi. Nie przybyliśmy tutaj, żeby skończyć z uprawianym przez was procederem... ale będzie lepiej dla

wszystkich, jeśli zachowacie spokój.

Ben zniżył głos do szeptu:

- Eleganckie wejście, tato. Agresywne.

- Ciii.

Vestara tylko się uśmiechnęła.

Dwa regały dalej rozpadł się biało-niebieski pojemnik oznakowany: „Klopsy z nerfa”. Nie roztrzaskał się; wieko wystrzeliło w powietrze, przednia ścianka odpadła, przekręcając się na zawiasach, a dwie boczne otworzyły się na zewnątrz. W środku znajdowało się działko blasterowe i obsługująca je załoga złożona z dwóch mężczyzn w ciemnych, niby-wojskowych kurtkach i z przewieszonymi przez pierś bandolierami, w których schowali wibronoże i dodatkowe blastery.

Miecze świetlne zapaliły się w tej samej chwili, gdy otworzyli ogień.

Ben skoczył na lewo, Vestara na prawo. Luke został na swojej pozycji, by skupić na sobie uwagę przeciwnika i oszczędzić zranione kolano.

W jego kierunku posypał się grad pocisków. Luke zapał się na zdrowej nodze, pomagając sobie Mocą, i ustawił ostrze pomiędzy sobą a blasterem. Odbił pierwszy pocisk w kierunku sufitu, zmieniając ułożenie miecza tak, by pozostałe rykoszetowały pod tym samym kątem. Każdy z pocisków - a był to ogień zaporowy z broni automatycznej - zmniejszał jego kontrolę nad mieczem świetlnym, co groziło z biciem go w bok i trafieniem w ciało, ale Luke mocno się trzymał.

Vestara bez wysiłku kryła się i przetaczała wzdłuż niemal pustego regału, stojącego między nią a działkiem. Ben przejechał ślizgiem po podłodze i zniknął - Luke dostrzegł jeszcze, jak wyskakuje w powietrze, prosto na najwyższą półkę najbliższej stojącego regału.

Załoga blastera przekręcała wspartą na trójnogu broń w lewo i prawo, próbując jednocześnie ustrzelić Luke'a i Vestarę; dzięki obranej przez nich taktyce Luke co chwila zyskiwał ułamek sekundy, by odzyskać siły, a Vestara po prostu była dla nich zbyt szybka i zwinna.

Luke zdał sobie sprawę, że odbija pociski ogluszające, nie te z blastera. Nie zdziwiło go to specjalnie. W tak zmurszałym pomieszczeniu spudłowanie ruchomego celu z blastera skończyłoby się wywaleniem dziury w powłoce zewnętrznej i dekompresją. Pociski ogluszające nie wyrządzały takiej szkody. Cóż, przeciwnicy, nawet jeśli nie potrafili ich trafić, przynajmniej byli zdyscyplinowani.

Vestara podniosła się w przejściu między regałami. Załoga blastera skoncentrowała się teraz na niej, ponieważ stała bliżej i stanowiła większe zagrożenie. To pozwoliło Luke'owi przejść do działania. Wykonał dłonią ruch, jakby coś podnosił, wskazując kierunek, w którym miała przelać się Moc, i mała skrzynka z półki nad nim pomknęła w stronę przeciwnika. Gdy działko uderzyło w dwóch obsadzających je mężczyzn, ostrzał momentalnie ustał.

Mistrz Jedi usłyszał wreszcie Bena, a przynajmniej mógł go zlokalizować, na podstawie rozbrzmiewających po lewej stronie salw z broni ręcznej. Widział rozbłyski pocisków ogluszających, ale żaden nie uderzył blisko niego.

Vestara wylądowała przed ustawionym na trójnogu blasterem i uderzyła niemal niezauważalnym ruchem miecza. Blaster rozpadł się na dwie części, rozcięty tuż przed obudową spustu. Przystawiła czubek miecza do podbródka mężczyzny, a czarna kępka jego brody po zetknięciu się z nim zaskwierczała i wyparowała.

- Sugerowałabym, żeby zakończyć atak - powiedziała uprzejmie.

- To nie ja tutaj dowodzę. - Szeroko otwarte oczy mężczyzny zadawały kłam srogiemu wyglądowi, który nadawała mu czupryna potarganych, czarnych włosów i zwisający, piracki wąsik. Jego głos przypominał raczej pisk.

- Mimo to spróbuj.

- Ferajna, mają nas! Przerwać ogień!

Czarnobrody napastnik nie kłamał. To nie on tutaj dowodził, więc nikt z pozostałych nie zwrócił na niego uwagi. Luke wciąż słyszał odgłosy ostrzału z broni ręcznej i buczenie miecza świetlnego Bena. Zauważył również, że w szybkim tempie maleje liczba pistoletów, z których strzelają. Po chwili rozległ się krzyk i pomieszczenie wypełnił zapach palonego ciała.

Aż wreszcie zapadła cisza - jedynymi dźwiękami było syczenie pomp powietrza i buczenie

mieczy świetlnych. Chwilę później Ben przyprowadził pozostałych napastników - dwie kobiety i pięciu mężczyzn, z których jeden, blady z szoku, miał dłoń uciętą tuż nad nadgarstkiem; przypalony kikut owinał ubrudzoną smarem szmatą. Żadnemu z więźniów wyraźnie nie odpowiadała ich nowa sytuacja.

Luke przyjrzał się napastnikom.

- Kto z was tutaj dowodzi?

Spojrzeni po sobie. Wreszcie odezwał się Devaronianin z rogami ozdobionymi świecącym brokatem.

- Hallaf.

- Zabierz mnie do niego.

- Siedzi w pace.

Luke aż zamrugał.

- Dowodzi wami, siedząc w pudle?

Tym razem odezwała się pulchna brunetka; nosiła skrzyżowane na piersi dwie puste bandoliery.

- Hallaf dowodził. Chciał załatwiać sprawy tak, jak ona sobie tego życzyła, a że ma zerową smykałkę do interesów, robił to z zerowym zyskiem. No i wylądował w pace. Teraz ja tu jestem szefem. Nazywam się Cardya.

- A kim jest ona? - Luke był pewien, że zna odpowiedź na to pytanie.

Cardya zadrżała.

Trochę potrwało, zanim ustalono szczegóły. Ona - ubrana w togę smukła kobieta o brązowych włosach i srebrnych oczach, która przyleciała pojazdem w kształcie kuli, jakiego przemytnicy jeszcze nie widzieli - po przybyciu na stację rozmawiała z przywódcą szajki, Hallafem. Gdy niebawem odleciała, wszyscy odetchnęli z ulgą. Budziła wśród nich grozę swoim złowrogim zachowaniem. Wstrząśnięty Hallaf oznajmił im, że wkrótce przybędzie trójka Jedi...

- Trójka Jedi? - Vestara wyglądała na urażoną.

Ben szeroko się do niej uśmiechnął.

- Dla przemytników Jedi reprezentują prawo i porządek, dlatego mieli nie dwa, a trzy cele do wyeliminowania. Witaj w Zakonie.

Chyba nie była uszczęśliwiona tym nieoficjalnym członkostwem.

A więc gdy tylko pojawi się trójka Jedi, załoga stacji miała ich szybko zlikwidować, umieszczając w rękawie zdalnie detonowane ładunki wybuchowe. Miały eksplodować, kiedy trójka gości znajdzie się w środku; w rezultacie Skywalkerowie i Vestara Khai po prostu by wyparowali. Oczywiście wybuch odepchnąłby w przestrzeń uszkodzony lub zniszczony „Cień Jade”, a odzyskanie go mogłoby okazać się niemożliwe.

Luke utkwiał w Cardyi pytające spojrzenie.

- Ale tak się nie stało?

Wzruszyła ramionami.

- Czujniki zidentyfikowały wasz jacht jako ładny i drogi. Spodobał się nam. Nie chcieliśmy go uszkodzić.

Luke pokiwał głową.

- Chociaż ten jeden raz ocaliła nas chciwość.

Cardya znowu wzruszyła ramionami, nie okazując cienia skruchy.

- No więc wpakowaliśmy Hallafa i jego córkę do ciupy i przygotowaliśmy zasadzkę.

- Rozumiem. - Słuchając jej opowieści, Luke jeszcze raz wyostrzył swoje zmysły - i znowu poczuł pulsowanie energii Ciemnej Strony, która doprowadziła go na tę stację. Skoro Abeloth odleciała, to co było jej źródłem? Wskazał ręką kierunek, z którego wyczuwał energię. - Zaprowadź nas tam. A jeśli ktoś jeszcze otworzy do nas ogień, to wy przyjmiecie na siebie pociski, zanim je zablokujemy.

- Jasne. - Cardya westchnęła ciężko i wyprowadziła ich z magazynu, poświęcając przedtem

chwile, by przez komunikator zakazać swoim kompanom podejmowania ataków.

Podążając za mroczną energią, Luke poprowadził ich przez kilka kolejnych korytarzy i rozgałęzień, aż wreszcie dotarli do Większego pomieszczenia, w którym Mistrz Jedi rozpoznał stuletni, koreliański moduł wykorzystywany w stacjach medycznych, niewątpliwie kradziony. Nie był jeszcze na tyle stary albo zniszczony, by wycofać go z użytku.

- To nasze centrum dowodzenia. - Cardya z kamiennym wyrazem twarzy pokazała im więzienie zlokalizowane w środkowej części modułu.

Tylko jedna z ośmiu cel była zajęta. Na stojącym w niej krześle siedział niski, chudy, siwobrody mężczyzna w średnim wieku. Pryczkę obok zajmowała wyciągnięta na wznak młoda, na oko dwudziestoletnia kobieta o ciemnych włosach, tak szczupła, że aż koścista. Miała otwarte oczy; niepokojące wydawało się to, że widać było tylko ich białka.

To ona promieniowała wyczuwaną przez Luke'a energią Ciemnej Strony.

Użytkownicy Mocy i Cardya weszli do celi. Luke obrzucił spojrzeniem leżącą na pryczy dziewczynę. Sprawiała wrażenie zupełnie obojętnej.

- Kto to? - zapytał.

- Moja córka, Fala. - Hallaf nawet nie wstał; wyglądał na ogromnie przygnębionego. -

Umrze.

Zmrużył oczy i spojrzał wściekle na Cardyę.

- Przez ciebie. To twoja wina.

Cardya wzruszyła ramionami.

- Tak przy okazji, to chcę odejść.

Hallaf wstał z krzesła, ale Ben lekko go popchnął, więc mężczyzna znowu usiadł.

Luke podszedł do Fali i położył jej rękę na czole. Z tak bliska mógł już wyczuć, że bijąca od dziewczyny energia Ciemnej Strony miała charakterystyczną woń Abeloth.

- Od dawna zgłębia tajniki Mocy? - zapytał.

- Nigdy tego nie robiła. - Hallaf miał zachrypnięty, pełen bólu głos. - Jest bystra, czuje to, czego my nie potrafimy... ale nie jest Jedi.

- Jak to się zaczęło?

- Była ze mną w biurze, gdy weszła ta kobieta. Chciała napić się wina, więc poszedłem po butelkę. Gdy wróciłem, Fala już była w takim stanie. Ta kobieta powiedziała, że moja córka umrze... jeśli wy przeżyjecie.

Luke zmarszczył brwi, zamyślony. Spojrzał na Bena i Vestarę.

- Są takie miejsca, które pod wpływem nieustannego korzystania z Ciemnej Strony Mocy albo na skutek obecności istot nią przesiąkniętych same zaczynają emanować mroczną energią. Dom mojego dawnego Mistrza na Dagobah był położony nieopodal takiego punktu. Tym razem jest to coś podobnego... Dziwne tylko, że taki efekt osiągnięto nie przez stulecia, a w ciągu kilku minut.

- Chyba cię nie rozumiem. - Ben pokręcił głową.

- Uważam, że Abeloth pozbierała cząstki własnej energii, pozostawiając je za sobą jak okruszki *ryshcate*, które prowadzą dzieci w niebezpieczne miejsca. Zatruiły tę dziewczynę.

Vestara nie dała się przekonać.

- Ciemna Strona nie zatruwa.

- To kwestia dyskusyjna, zresztą nie rozmawiamy tutaj o Ciemnej Stronie, z której korzystają Sithowie, a o cząstkach samej Abeloth, o energii pochodzącej z jej natury. To z jej powodu Fala stała się przekaźnikiem Ciemnej Strony i jest nieprzytomna.

- Możesz coś na to poradzić? - zapytał Hallaf ze ściśniętym gardłem.

- Spróbuję. Daj mi krzesło.

Hallaf wstał, a Luke zajął jego miejsce. Przyłożył dłonie do czoła dziewczyny.

- Energia uczepliła się jej jak wygłodniały mynock. Jeśli spróbuję rozluźnić więź, może się to źle skończyć.

W spojrzeniu, które posłał mu Ben, odczytał pytanie: „Dla ciebie też?”

Skinał twierdząco głową.

Vestara zmarszczyła brwi.

- Tracimy czas, a ty także możesz przy okazji ucierpieć. Ruszajmy dalej.
- Skoro Abeloth tak potraktowała Falę, musiała mieć w tym jakiś cel, pewnie realizowała swój plan. Może coś z niego pozostało, ucepione tej energii. Pozwoliłoby nam to oszczędzić czasu.
Vestara umilkła. Los Fali był jej prawdopodobnie obojętny, potrafiła jednak dostrzec zalety taktyki Luke'a.

Luke spojrział na syna.

- Ben, przejdź do punktu dowodzenia. Pozamykaj wszystko, pilnuj „Cienia” i zamieszkanymi terenów stacji. Nie chcę, żeby cokolwiek nas zaskoczyło.

Ben skinął głową. Popatrzył na Hallafa, jakby chciał powiedzieć: „Ojciec jest dla mnie równie ważny, jak twoja córka dla ciebie. Spróbuj jakichś sztuczek, a gorzko tego pożałujesz”.

- Potrzebuję twoich kodów dostępu. Już - zażądał.

- Dostaniesz je.

ROZDZIAŁ 3

Ben i Hallaf wyszli. Vestara została, by mieć na oku milczącą, ponurą Cardę.

Luke czuł, jak energia w Fali powoli narasta, sięgając coraz dalej w jej umyśle, zmieniając wszystko, czego dotknie. Dziewczyna musiała być wyczulona na Moc, ale bez odpowiedniego treningu, który pozwoliłby jej zrozumieć, co się z nią działo, stała się znacznie bardziej podatna na niszczyielski wpływ Ciemnej Strony niż nowicjusz Jedi. To, co zrobiła Abeloth, nie musi Fali zabić, ale może przemienić ją w niebezpieczną i nieprzewidywalną istotę, niosącą przerażenie i śmierć.

A pod warstwą jej uczuć i nieświadomych myśli znajdował coś jeszcze: okruchy wspomnień o Rycerzach z bazy Schronisko, młodych Jedi, których Abeloth przyprawiła o obłąd, teraz już wyleczony. Abeloth jednak zamierzała ich odzyskać i kumulowała energię, by wysłać ponowne wezwanie.

Gdzieś głęboko ukryta była też smutna, zdolna do poświęceń osobowość Callisty, z którą niegdyś tak wiele przeszedł. Ale nie miał teraz czasu na rozpamiętywanie przeszłości. Jeszcze głębiej zanurzył się w umyśle Fali.

Zobaczył i poczuł mroczne miejsca, ciemne klejnoty, owady kradnące myśli...

Tego się nie spodziewał.

Luke niewyraźnie wyczuł, że Hallaf wrócił do celi. Nie zwrócił na to większej uwagi, pewien, że Vestara będzie mieć na niego oko. Porzucił na razie cienie wspomnień Abeloth, by powrócić do Fali i ukrytej w niej obcej energii.

Sięgnął dalej, przesyłając do jej ciała subtelną falę czystej energii Jasnej Strony.

Energia jego i Abeloth, Jasna i Ciemna, obie należące do Mocy, niczym dwie strony tej samej monety, związały się ze sobą. Ostrożnie, jak ktoś, kto w złączonych dłoniach niesie ostatnie krople wody na planecie, Luke wydobył z ciała Fali obie obce jej energie. Potrzyzymał je chwilę przed sobą i zauważył, że Vestara momentalnie zorientowała się w sytuacji.

Powoli i z niezwykłą ostrożnością oddzielił od siebie oba rodzaje energii. A że nie miały już oparcia w żadnym żywym organizmie, najwyżej w sobie nawzajem, zaczęły się rozpraszać. Jeszcze chwila i całkowicie zniknęły.

Poczuł ogromne zmęczenie. Ostatnia walka na Almanii pozbawiła go sił, wymęczył go też pościg, podjęty mimo odniesionej rany. A teraz jeszcze to... W końcu odzyska siły, gdy tylko należycie odpocznie, zje coś i pomedytuje, ale teraz był wykończony. Zastanawiał się, czy Abeloth była w podobnym stanie.

Fala zamrugła i otworzyła oczy.

- Tato?

Jej spojrzenie padło na Luke'a. Przez chwilę leżała oszołomiona, ale gdy tylko go rozpoznała, wzdrygnęła się, dysząc ciężko.

Hallaf był już u jej boku i przytulał córkę.

- Wszystko dobrze, kochanie. Nic ci nie jest.

- To... Nie mogłam myśleć, nie mogłam się nawet ruszyć...

Luke wstał, zostawiając ojca z córką. Podszedł do Vestary i włączył komunikator.

- Ustaw blokadę na kolejnych dziesięć minut - poinstruował Bena. - Nie chcę im służyć za tarcze strzelnicze i wolę, żeby nikt nie przeszkodził nam w odlocie. I wracaj do nas.

- Zrozumiano.

Ben dołączył do nich kilka chwil później, pełen wigoru pomimo zranionego ramienia.

Spojrzał na ojca z niepokojem.

- Zbladłeś - ocenił.

- Wszystko w porządku. - Luke spojrzał na Falę. - Uważaj na siebie jeszcze przez kilka miesięcy - poprosił ją. - Zwracaj uwagę na uczucia i emocje, które wydadzą ci się nietypowe, na dziwne sny. Jeśli doświadczysz czegoś takiego, zapomnij o skrupułach i skonsultuj się z Jedi. Od tego może zależeć twoje życie i twoja przyszłość.

Hallaf wstał i odezwał się z niepewną miną:

- Nie ściągniecie tu władz?

- Chwilowo ich nie reprezentujemy, mamy zresztą na głowie ważniejsze sprawy. Na przykład problem istoty, która skrzywdziła twoją córkę tylko po to, by odwrócić uwagę swoich prześladowców. - Głos Luke'a stał się twardy jak durasteal. - Przemyt na małą skalę w ogóle mi nie przeszkadza. Ale ktoś, kto używa i niszczy inne istoty, sam ściąga na siebie zemstę. Zrozumiałeś?

Hallaf sztywno pokiwał głową.

- Dziękuję - wymamrotał.

Luke obrócił się na pięcie, powiewając szatą, i pomimo bólu w kolanie ruszył przodem w stronę „Cienia Jade”.

- To dokąd lecimy, tato? - chciał wiedzieć Ben.

- Na Nam Chorios. Musimy się pospieszyć. Abeloth wzywa Rycerzy ze Schroniska, chce odbudować więź z nimi. Na razie jest zbyt słaba, by to przeprowadzić, ale jeśli urośnie w siłę...

„Błądny Rycerz”, system Almanii

StealthX Raynara Thula, ze skrzydłami złączonymi w standardowej konfiguracji, wleciał do wewnętrznej komory dokującej czerwonego gwiazdnego niszczyciela, orbitującego wokół planety Almanii. Jego myśliwiec miał lekkie wgniecenie na prawej stronie kadłuba - efekt zbyt bliskiego przelotu obok eksplodującej rakiety. Jeśli miał pozostać niewykrywalny, to do momentu podjęcia kolejnej misji - dokądkolwiek by go ona nie zaprowadziła - będzie musiał to naprawić.

Gdy znalazł się w środku, zauważył, że większość pozostałych Jedi zdążyła już wylądować swoimi stealthX-ami. Skierował statek na wolne miejsce, oznaczone rozciągniętą tymczasowo, żółtą taśmą odblaskową, i posadził go obok myśliwca Mistrza Kypa Durrona. Gdy otworzyła się osłona kabiny pilota, zignorował podsunętą przez członka ekipy naziemnej drabinę; wyskoczył z pojazdu i wylądował między myśliwcem swoim a Kypa.

Kyp stał ze swoim droidem astromechanicznym, uważnie przyglądając się skrzydłom. Był przystojnym mężczyzną średniego wzrostu; długie, brązowe, przyprószone siwizną włosy miał mokre od potu i potargane od wielu godzin noszenia kasku. W niczym nie przypominał Mistrza Jedi; ciemny kombinezon pilota stealthX-a był wygnieciony, a lekkie zaczerwienienie twarzy, przywodzące na myśl oparzenie słoneczne, sugerowało, że salwa z laserów rozbiła się w przeważającej części na przednich tarczach.

Mimo to wyglądał dobrze i Raynar poczuł ukłucie zazdrości. Jego twarz odzyskała już prawie naturalny wygląd dzięki licznym operacjom, a o rozległych oparzeniach sprzed kilku lat przypominało tylko kilka miejsc na skórze, wyglądających jak plastikowe. Dzięki temu dzieci nie krzyczały już na jego widok. Miał wiele powodów do wdzięczności - zwłaszcza że Jedi raz jeszcze przyjęli go jak jednego ze swoich.

Niekiedy jednak nachodziło go pragnienie, by jeszcze raz zasmakować prawdziwej

normalności.

Ściągnął kask i wrzucił do niego rękawice.

- Mistrzu - zagadnął.

Kyp spojrział w jego stronę.

- Jedi Thul? Dobrze sobie dzisiaj radziłeś.

Takie słowa zachęty Mistrz zwykł kierować pod adresem ucznia lub świeżo upieczonego Rycerza Jedi, a nie kogoś równie doświadczonego jak Raynar, ale ich adresat wiedział, co oznaczały: „Przebyłeś długą drogę od swojej mrocznej przeszłości. Dobrze sobie radzisz. Oby tak dalej”.

- Dziękuję. Czy są jakieś nowe wieści, Mistrzu?

Kyp wzruszył ramionami.

- Ściągamy pilotów, którzy się katapultowali. Siły Sithów przegrupowały się w zwartą formację obronną. Są bardzo zdyscyplinowani. Najwyraźniej zdołali uruchomić jedną z uszkodzonych fregat, zanim wyeliminowaliśmy siódmą, więc łącznie ubyło im sześć. Lada moment powinni wejść w nadprzestrzeń.

- A co z Wielkim Mistrzem?

Kyp sposepniał. Jeszcze niedawno było dwóch Wielkich Mistrzów - przebywający na wygnaniu Luke Skywalker i jego zastępca, Kenth Hamner. A Hamner nie żył. Szczegóły jego śmierci były owiane tajemnicą. Jedynie Jedi cokolwiek na ten temat wiedzieli; niektórzy nawet wyczuli jego śmierć.

Kyp wiedział, co Raynar miał na myśli.

- „Cień Jade” wszedł w nadprzestrzeń wiele godzin temu. Przez ten czas, gdy byliśmy zajęci sprzątaniami tutaj, nie nadeszły żadne wieści od Mistrza Skywalkera ani instrukcje ze Świątyni. - Uderzył rękawicami o udo w geście irytacji, a może zniecierpliwienia, co rzadko zdarzało się Mistrzom.

Pojawił się kolejny stealthX, wyrzucając z prawego silnika fontannę iskier. Pilot umiejętnie przeprowadził go przez hangar, lądując z dala od pozostałych myśliwców, by nie uszkodzić ich ognistymi wyziewami.

Kyp obserwował przez chwilę jego poczynania, po czym westchnął.

- Nie wiemy, co robić. Dopóki nie dowiemy się, dokąd poleciała Abeloth, gdzie wybierają się Sithowie, jak rozwinie się sytuacja na Coruscant...

- Rozumiem.

- Niech Calrissian przygotuje dla nas pokój konferencyjny. Poproś Mistrzów Ramisa i Katarna, by spotkali się tam ze mną za pół godziny. Musimy opracować jakiś plan.

- Tak zrobię, Mistrzu.

- A ja sprawdzę, czy uda mi się zmyć z siebie smród bitwy. - Kyp zdobył się na lekki uśmiech. - Daj znać, gdy wszystko będzie gotowe.

Żwawym, a może tylko pozornie żwawym krokiem odszedł ku kwaterom tymczasowych pilotów.

ROZDZIAŁ 4

Więzienie o najwyższym rygorze im. Armanda Isarda, Coruscant

Pokaźnych rozmiarów droid strażnik zatrzymał się przy końcu zielonego, przemysłowego korytarza. Jego wygląd budził lęk; na gładkiej, czarnej powierzchni nie było żadnego miejsca, którego mógłby się chwycić atakujący. Gdy wzmocnione drzwi odsunęły się na bok, gestem nakazał Tahiri Veili wejść do środka.

Tahiri, ubrana w jaskrawożółty kombinezon informujący wszystkich, że jest niebezpiecznym więźniem, minęła próg i po rampie zeszła na spaceriak.

Oczywiście nie był to spaceriak z prawdziwego zdarzenia, nie taki, na którym, podnosząc wzrok, można zobaczyć niebo. Duża sala głęboko w czeluściach więzienia nie pozwalała wspiąć się na mur i skorzystać z pomocy kompana na grawicyklu. Ściany i sufit miały nieprzekonujący odcień błękitu nieba, a wielkie, umieszczone na murach monitory wyświetlały kojące pejzaże. Dzięki dmuchawom w suficie można było od czasu do czasu poczuć podmuch wiatru i niesiony nim zapach lasu. Skomplikowana aparatura nagłaśniająca zapewniała stosowne odgłosy: śpiew ptaków czy inne dźwięki wydawane przez zwierzęta spotykane w warunkach naturalnych. Wszystko razem tworzyło atmosferę niewiele mniej klaustrofobiczną niż którakolwiek ze zwykłych, dużych, podziemnych sal. Bez wątplenia przyświecał temu jeden cel - utrzymywanie więźniów w bierności.

Gdy drzwi zamknęły się za Tahiri, stanęła u podstawy rampy i rozejrzała się po wybiegu. Była tu na oko setka więźniów, wszyscy w żółtych kombinezonach. Część z nich biegała po torze wyznaczonym wzdłuż ścian. Na otoczonym siatką dziedzińcu rozgrywano właśnie mecz. Większość sprzętu treningowego, szczególnie atlasy, była już zajęta.

W dodatku poza Tahiri nie było tu ani jednej kobiety.

Tahiri zmarszczyła brwi. W całym kompleksie byli osadzeni więźniowie obu płci - a w zasadzie wszystkich płci, jeśli wziąć pod uwagę specyfikę pewnych gatunków - ale ze względów praktycznych trzymano ich osobno. Wyjątek stanowiły sytuacje, gdy towarzyszyła im duża grupa strażników, na przykład podczas sesji terapeutycznych i niektórych prac. Ale w tym pomieszczeniu nie było strażnika - ani żywego, ani droida. Oczywiście wybieg był nieustannie monitorowany, ale coś tu wyraźnie nie pasowało.

- Spójrzcie no tylko - rzucił ochryplym głosem jakiś Kalamarianin. Jego różową jak łosóś skórę głowy i dłoni gęsto pokrywały prymitywne, czarne tatuaże, oznaczające przynależność do gangu, a przedstawiające sylwetki zabitych. Kalamarianin stał z grupką około tuzina innych więźniów; właśnie ćwiczyli, gdy zjawiała się Tahiri.

Opuściła ją nadzieja. Znała tego więźnia. Ale nie okazała niepokoju.

- Cześć, Furan. Dawno się nie widzieliśmy - powiedziała.

- Ostatnio jakoś przed wojną, kiedy wrobiłaś mój nieliczny klub towarzyski, fabrykując dowody kradzieży pojazdów.

- Fabrykując? - Z głosu Tahiri przebijała pogarda. - Razem z kumplem kradliście i rozbieraliście na kawałki promy szpitalne armii. To nie ja posłałam cię do więzienia, tylko zeznanie twojej koleżki.

- Szkoda wielka, że kopnął w kalendarz i nie może się bronić. - Kalamarianin odwrócił się do pozostałych i krzyknął: - Gaharrag, Leurm... zobaczcie tylko, kto do nas wpadł.

Po drugiej stronie sali dwóch więźniów - jeden grający w piłkę, drugi leniwie obserwujący mecz - podniosło głowy.

W tym momencie Tahiri opuściły resztki nadziei. Pierwszy z mężczyzn był Wookiem o futrze tu i ówdzie wygolonym w symbole gangów. Drugim był Hutt, pokaźnych rozmiarów nawet jak na swój gatunek. Obaj porzucili swoje dotychczasowe zajęcia i ruszyli w stronę nowej więźniarki.

Tahiri wzięła głęboki oddech. To, że się tutaj znalazła, z pewnością nie było przypadkowe. Spotkała oto trzech najbardziej morderczych kryminalistów, jakich wsadziła za kratki podczas swojej kariery Jedi, a w pobliżu nie kręcił się nawet jeden strażnik.

Także pozostali kolesie Furana zaczęli się dyskretnie przesuwać bliżej. Kilku ustawiło się po jej bokach i za nią, reszta zaś tak, by mieć większą swobodę ruchu.

W wyobraźni widziała już, jak się to rozegra. Wookie i Hutt wcisną się między więźniów, nie przestając z niej szydzić. Ktoś ją popchnie - a przynajmniej spróbuje, bo Tahiri nie da się dotknąć. Żeby zyskać nieco przestrzeni, będzie musiała wyskoczyć z kręgu, a wzięwszy pod uwagę zasięg ramion Wookiego i ogon Hutta, jej szanse mogą spaść nawet do pięćdziesięciu procent. Jeśli się nawet uda, rzucają się na nią wszyscy więźniowie. Ale jeśli nie zdoła uciec, zginie od razu, załatwiona przez atletycznego Wookiego.

Nie była nawet pewna, czy cały ten scenariusz zobaczyła w swojej wyobraźni dzięki Mocy czy własnemu zmysłowi taktycznemu. Nie miało to zresztą znaczenia. Nie zamierzała czekać, aż

sprawy przybiorą taki obrót.

Furan znowu odwrócił się do niej. W jego oczach Tahiri wyczytała oczekiwanie.

- Nie trzeba było...

Obróciła się w prawo i uniosła lewą nogę, trafiając go dokładnie między oczy. Poczwała, jak czaszka ugina się pod ciosem. Zatoczył się do tyłu, prosto na swoich dwóch koleżków ze spacerniaka. Kopniak był tak nagły i skuteczny, że nie zdążył nawet jęknąć.

Gdy pozostali więźniowie cofnęli się zaskoczeni, Tahiri skoczyła w stronę Leurma.

Jej taktyka nie była skomplikowana. Gdyby mieli walczyć jeden na jednego, to Gaharrag był najgroźniejszym z jej przeciwników, ale w duecie z Leurmem stałby się jeszcze bardziej niebezpieczny. W pierwszej kolejności - i to jak najszybciej - musiała wyeliminować właśnie Leurma.

Zatrzymała się tuż przed nim. Rozpędzony Hutt wyraźnie nie był na to przygotowany. Zwolnił nieco, rozciągając swoje tłuste ciało na flekstylowej podłodze, żeby wywołać większe tarcie. Przeskoczyła nad nim, wykonując salto. Spróbował ją chwycić, ale jego ręce okazały się za krótkie.

Uczepiła się jego pleców, łapiąc równowagę na nierównej, pomarszczonej powierzchni skóry.

Najważniejsze były ramiona. Choć w porównaniu do reszty ciała wydawały się wątłe, to wedle ludzkich standardów były bardzo silne... tyle że nie chroniła ich gruba warstwa tłuszczu i mięśni. Gdy Leurm się odwrócił, złapała go za nadgarstek i z całych sił kopnęła w łokieć.

Trafiła dokładnie w staw, łamiąc przeciwnikowi rękę. Leurm wrzasnął, wydając bulgoczący dźwięk; źródłem takiego odgłosu mógłby być albo Hutt, albo gorące bagno.

Gaharrag był tuż-tuż. Zeskoczyła więc z pleców Leurma i wylądowała przed Huttem. Teraz stanęła twarzą w twarz z Wookiem.

Gaharrag zbliżał się ostrożnie, a gdy Tahiri znalazła się w jego zasięgu, zamachnął się na nią wielką, futrzastą łapą.

Uchyliła się przed atakiem, wykonując przewrót; w ten sposób cios Wookiego spadł na Hutta. Ogromna, kudłata pięść zderzyła się z głową Leurma, przewracając go na złamane ramię, które ze zgrzytem zniknęło pod ciałem. Wrzask Hutta stał się jeszcze bardziej przenikliwy. Gdy Tahiri wstała, znalazła się tuż obok jednego z więźniów, który dopiero co stał z tyłu grupki Furana - Bothanina o białej sierści, ufarbowanej miejscami w krwistoczerwone plamy. Nie dała mu nawet chwili na podjęcie walki lub ucieczkę. Uderzyła go otwartą dłonią w szczękę, czując, jak kość pęka od ciosu. Nieprzytomny Bothanin cofnął się lekko i upadł na podłogę.

Atakowanie kogoś, kto nie okazuje otwarcie wrogich zamiarów, było wbrew naturze Tahiri. Jeśli jednak miała przetrwać, musiała wygrać tę walkę, demonstrując swoją siłę i zastraszając przeciwników. Jeśli uda się jej nawet powalić Wookiego, wciąż będzie miała przeciwko sobie pozostałych więźniów. Przetrwa, jeśli będą zbyt zastraszeni, by zaatakować. A wtedy mniej osób ucierpi.

Gaharrag odwrócił się i ruszył w jej kierunku. Ryk, który z siebie wydał, zawarł w sobie całą wściekłość dżungli, jakby miał na tę jedną, najważniejszą chwilę sparaliżować strachem przeciwnika. Tahiri się uśmiechnęła. Tyle razy trenowała z Lowbacą, Wookiem Jedi, że wręcz czekała na ten tyk.

Ćwiczenia z Lowbacą miały też i inne plusy. Dały jej poznać słabe punkty Wookiego, których nie miał wiele. Wiedziała jednak, że u starszych osobników - a Gaharrag młodzikiem nie był - pierwszym celem powinny być kolana.

Już prawie w zasięgu ramion Wookiego, Tahiri uchyliła się przed jego atakiem i wykonała przewrót w lewo. Uderzyła dłońmi o podłogę, stabilizując swoją pozycję, i gdy tylko Gaharrag przeniósł ciężar ciała na prawą nogę, wyprowadziła cios. Kopnięcie trafiło go w bok kolana.

Noga złożyła się z odrażającym trzaskiem. Ryczący z bólu Gaharrag runął na Tahiri, która przetoczyła się i wstała dokładnie w momencie, gdy zderzał się z podłogą. Nie przestając wyć, zwinął się, kurczowo ściskając okaleczoną nogę.

Tahiri cofnęła się jeszcze kilka kroków, na wypadek gdyby zamierzał ją jednak zaatakować,

i obrzuciła sałą spojrzeniem. Jeszcze przed chwilą część zgromadzonych osaczała Tahiri, teraz wszyscy zamarli, wpatrując się w nią.

Wskazała palcem stojącego najbliżej więźnia, Sullustanina.

- Chcesz się pobawić? To chodź tutaj.

Pokręcił głową.

Wskazała mu najdalszy róg pomieszczenia.

- Zjeżdżaj - warknęła.

Spojrzała na innego więźnia, pokrytego szramami, silnie umięśnionego człowieka, na oko ważącego trzy razy tyle co ona.

- A może ty masz ochotę?

Z kamiennym wyrazem twarzy zaprzeczył ruchem głowy.

Pokazała mu jego miejsce. Cofnął się.

Pozostali wymykali się stopniowo, nie czekając, aż ich wywoła.

Obrzuciła spojrzeniem powalonych przeciwników. Bothanin leżał twarzą do ziemi, z rozszerzającą się kałużą krwi wokół głowy. Kalamarianin Furan był chyba nieprzytomny - miał zamknięte oczy i nie poruszał się; dwóch więźniów, którzy złagodzili jego upadek, powoli się wycofywało. Leurm i Gaharrag leżeli dokładnie tam, gdzie upadli, obaj przytomni i cierpiący. Pierwszy wydawał z siebie bulgoczący skowyt, drugi zaś jęklive pomruki i przekleństwa w języku Wookiech.

Ale prócz tego usłyszała coś jeszcze: cichy, mechaniczny odgłos. W poszukiwaniu jego źródła Tahiri spojrzała na sufit.

Wysuwał się z niego metalowy cylinder, wysoki jak pół człowieka. W dolnej części umocowano bęben blastera - wycelowany prosto w nią.

Spięła się, by uciec, ale zanim udało jej się zrobić choćby krok, usłyszała strzał. Potem wszystko ogarnęła ciemność.

Strażnik robot prowadził Tahiri do biura. Jej nadgarstki i kostki skuwały masywne kajdany z durastali, ręce i nogi połączono dodatkowo metalowymi kablami. Posuwała się małymi kroczkami; kabel łączący kostki był zbyt krótki, żeby mogła normalnie iść. Nie żeby czuła się specjalnie rześko. Pocisk ogłuszający, który ją trafił, mógłby powalić Wookiego i Hutta, i nawet teraz, po upływie kilku godzin, była obolała i apatyczna.

Biuro było okazałych rozmiarów, ale skąpo umeblowane. Stało w nim biurko, czarny fotel z obiciem ze skóry nerfa i dwa dodatkowe fotele dla gości. Lewą ścianę zajmowało kwadratowe okno z widokiem na prawdziwy spacerniak - otoczony murem plac pod coruskańskim niebem; w równych odległościach od siebie wznosiły się wieże strażników. Trzy piętra niżej przechadzali się mniej niebezpieczni więźniowie.

Na ścianach biura wisały oprawione w ramki hologramy, przeważnie nieruchome, przedstawiające szczęśliwe chwile z życia naczelnika więzienia: jak przyjmuje nagrody z rąk ważnych polityków. Ścisła dłonie gwiazd. Pozuje do zdjęcia, obejmując ramieniem tych więźniów, których udana resocjalizacja najbardziej podnosiła na duchu. Naczelnik, pulchny i blady mężczyzna o rozwichrzonych, siwych włosach, sprawiał na tych zdjęciach wrażenie dobrego dziadunia, dla którego pomoc skazańcom była sprawą najwyższej wagi.

Siedział teraz w swoim fotelu, uważnie studiując leżący na biurku datapad. Nie uśmiechał się, więc nie wyglądał już tak sympatycznie.

Nie podniósł wzroku.

- Siadaj.

Tahiri zajęła miejsce w jednym z foteli dla gości. Droid pozostał przy drzwiach.

Na jednym z ruchomych hologramów na ścianie naczelnik ścisnął dłoń admirała Pellaeona. Ramka wyróżniała się na tle innych, zajmując centralną pozycję na ścianie. Tahiri poczuła dreszcz niepokoju. To nie będzie sprawiedliwe przesłuchanie.

Wreszcie naczelnik spojrzał na nią.

- Jedi Veilo...

- Nie jestem już Jedi.

- Nigdy więcej mi nie przerywaj. Jedi Veilo, nie odsiadujesz tutaj wyroku. Nie uznano cię za winną i nie skazano. Zostałaś nam przekazana z powodu zagrożenia, jakie stanowisz, dysponując wyszkoleniem Jedi. Stosujemy zasadę domniemania niewinności... choć wszystko wskazuje na to, że zamordowałaś wspaniałego i ważnego człowieka. Ale dzisiaj rano... - Pokręcił głową. - Z powodu godnego pożałowania błędu urzędnika znalazłaś się na wybiegu dla zaostrego rygoru w tym samym czasie, co więźniowie płci męskiej. Sytuacja jednak nie wymagała, żebyś ich atakowała, brutalnie raniąc.

- „Błąd urzędnika”? Naprawdę pan myśli, że to dlatego tam się znalazłam? To było ustawione, ktoś chciał mojej śmierci.

- Nonsens. Zanimuję, że być może cierpisz na paranoidalne urojenia, na wypadek gdyby przydało się to oskarżeniu. - Przerwał, by zanotować coś w datapadzie.

- To mnie zaatakowano.

Podniósł na nią wzrok.

- Właśnie przejrzałem nagrania. Wszystko się zaczęło, kiedy uderzyłaś Furana, który, pozwolę sobie dodać, doznał silnego wstrząśnienia mózgu. Podejrzewam, że z ciebie szydził... ale w moim więzieniu nie odpowiada się na szyderstwa brutalną siłą.

Tahiri nic nie odpowiedziała. Nawet jeśli ten człowiek był - jak twierdzi - bezstronny, nie potrafiła udowodnić, że jej przeciwnicy szykowali się, by szybko ją zabić.

- Mając na uwadze dobro pozostałych więźniów, od tej chwili będziesz skuta w kajdanki wstrząsowe. Zostaną zdjęte, gdy wrócisz do celi albo po przekazaniu cię siłom porządkowym odpowiedzialnym za doprowadzenie cię na proces.

- Zakładam, że z wyjątkiem rozpraw w sądzie, pozostały czas spędzę w celi?

Pokręcił przecząco głową.

- Odsobnienie jest karą, Jedi Veilo. A ponieważ nie zostałaś skazana, nie mogę karać cię za naruszenie regulaminu. Będziesz więc jadła posiłki z pozostałymi, w stołówce. Oczywiście możesz też codziennie ćwiczyć, uczyć się, pracować i brać udział w terapii.

Już rozumiała, o co tutaj chodzi. Pułapka, którą na nią zastawiono, miała kilka odcinków. Skoro nie zginęła z rąk Gaharraga i jego koleżków, to teraz, bezbronna, będzie narażona na wszystkie niebezpieczeństwa związane z pobytem w więzieniu o najostrzejszym rygorze. Została naznaczona śmiercią, która przyjdzie po nią dzisiaj lub w najbliższej przyszłości.

- Jakies pytania, Jedi Veilo?

- Nie, odpowiedział pan na wszystkie.

Naczelnik spojrział na stojącego przy drzwiach droida.

- Zabrać ją.

ROZDZIAŁ 5

Borleias w systemie Pyria

Borleias to mały, nudny światek z interesującą przeszłością. Gęsto porośnięty tropikalnymi lasami i zaroślami, miał niewielu mieszkańców i stanowił wygodny przystanek między Światami Jądra a bardziej oddalonymi miejscami. Sporadycznie wykorzystywano go jako użyteczny posterunek dla przywódców wojskowych, służących pod taką czy inną władzą Coruscant.

Niegdyś w postawionych tutaj zabudowaniach wojskowych mieścił się imperialny ośrodek rozwoju biologicznego, jeden z tych, których istnieniem rządy niechętnie chwalały się przed opinią publiczną. W późniejszym czasie stworzono tu bazę wypadową dla wojsk Nowej Republiki, dążących - i to z powodzeniem - do zdobycia Coruscant i przepędzenia rządu, który przejął władzę nad Imperium po śmierci Palpatine'a. Jeszcze później, gdy inwazja Yuuzhan Vongów sięgnęła

granic Coruscant i rząd Nowej Republiki sam musiał salwować się ucieczką, na Borleias stacjonowały siły ruchu oporu, stały cel dla Yuuzhan Vongów. Dzięki walczącym tam żołnierzom przywódcy Nowej Republiki mieli szansę uciec i przegrupować siły. Ostatnimi czasy Jacen Solo przekazał Borleias i system Bilbringi Szczałkom Imperium w zamian za pomoc wojskową. Po śmierci Solo rząd admirał Daali, nie chcąc oddać tak cennego punktu w ręce obcego mocarstwa, rozpoczął z Imperium energiczne negocjacje, w efekcie których Bilbringi pozostało przy Imperium, Borleias zaś - przy Sojuszu Galaktycznym.

Obecnie planeta była po prostu miejscem, gdzie dogorywały wojskowe kariery. Stacjonowali tutaj oficerowie i personel, którzy potrzebowali jeszcze tej jednej, ostatniej szansy, by zademonstrować swoje umiejętności - choć nikt specjalnie nie wierzył, że im się to uda - lub też wojskowi mający okazję dosłużyć te kilka lat swojej niewyróżniającej się niczym kariery. Posterunek, na który składała się jedna baza wojskowa połączonych sił zbrojnych, był znany z dobrego sprzętu komunikacyjnego, nowoczesnych czujników i zdolności do samozniszczenia, ale z pewnością nie z potencjału bojowego.

Jednak dla tych, którzy wykazywali się sprytem, otwierały się tutaj pewne możliwości. Sierżant Dolo Karenzi, pełniący funkcję kwatermistrza na nocnej zmianie, nie miał wątpliwości co do tego, że jest cwany. A w tym momencie starał się nie pokazać po sobie podniecenia, które czuł, przeglądając datapad. Syn kosmicznego weterana, dla którego wojsko stało się domem, ponieważ nikt inny nie chciał go przygarnąć, czujnie wypatrywał okazji - tyle że nie zawsze udawało mu się zatrzeć po sobie ślady.

Młoda, rudowłosa, pełna wdzięku kobieta, stojąca przed nim, posłała mu kolejne irytujące spojrzenie mówiące „do pięt mi nie dorastasz” i raz jeszcze podetknęła Dolo datapad.

- Nic mnie to nie obchodzi - warknęła. - Wszystko jest opłacone, manifest pokładowy w porządku, podpisujesz, a my wyladowujemy, albo odmawiasz przyjęcia, zabieramy ładunek i szukamy tego, kto zawałił.

Dolo wziął od niej datapad i jeszcze raz ułożył sobie wszystko w myślach. Na orbicie znajdował się transportowiec „Piaskowy Tancerz”, przewożący na pokładzie okazały ładunek luksusowych dóbr, których punktem docelowym był posterunek Borleias. W manifeście wymieniano drogie wina, egzotyczne artykuły spożywcze, nowe talie do sabaka, datapady, cukierki, ciastka... wszystko, na co był akurat popyt.

Doszło niewątpliwie do jakiejś pomyłki. Kwatermistrza bazy nie poinformowano o tej dostawie, a zrobiono by to, biorąc pod uwagę jej specyficzny charakter. Przy składaniu zamówienia coś poszło nie tak, zamieniono punkty docelowe i ładunek trafił tutaj, zamiast do jakiegoś hotelu w głębokim kosmosie albo do posiadłości bogacza.

Dolo musiał więc tylko pokwitować odbiór - tak nieczytelnie, jak się uda - i przejąć dobra. Mógłby je złożyć w jakimś rzadko uczęszczanym magazynie, sprawdzić, czy ktoś ich szuka, a jeśli nie, sprzedać, dorabiając się w ten sposób małej fortuny.

Nabazgrał swoje nazwisko na ekranie dotykowym datapada, po czym oddał urządzenie młodej kobiecie.

Posłała mu jeszcze jeden uśmiech, przekazując w jego ręce dataczip, a w jej policzkach pojawiły się dołeczki.

- Tu jest twoja kopia manifestu pokładowego. Daj nam zezwolenie na lądowanie, a wyladowujemy wszystko z „Tancerza”.

Odwzajemnił uśmiech, nie zważając, że nie ma u niej szans.

- Zrobi się.

Jego radość trwała pół godziny.

Przy jednym końcu „Piaskowego Tancerza”, długiego na osiemdziesiąt metrów dowodu sprawności zakładów Kuat Drive Yards, znajdowało się centrum dowodzenia, na drugim - silniki, między nimi zaś łączące je przęsła, gęsto obsadzone kapsułami z ładunkiem i zaczepami dla wahadłowców. Widział już wiele takich statków. Po płynnym podejściu „Tancerz” wylądował na

zakurzonym polu z dala od centrum operacji, a jego nieliczna załoga zaczęła wyładowywać nowe, cenne nabytki Dolo.

Wtedy właśnie zawyły syreny, których głos przywodził na myśl wielkiego jak całe miasto smoka, oplakującego śmierć swoich młodych. Włączyły się światła. Dywizjon myśliwców odpalił silniki, przygotowując się do startu.

Dolo, monitorujący przy swoim biurku wyładunek dóbr z pokładu „Piaskowego Tancerza”, skulił się w sobie. Szanse, że uda mu się schować zdobycz, zanim przyciągnie czyjąś uwagę, szybko spadały.

Wyszedł przed kopułę z prefabrykatów, w której mieściły się biura i inne pomieszczenia kwatermistrzowskie. Lądowisko było skapane w jasnym świetle i zatłoczone personelem, gnającym do tuzina broniących tego świata myśliwców.

Zdołał przytrzymać przebiegającego żołnierza, rodiańskiego kaprała i mechanika, z którym regularnie grywał w sabaka.

- Vez, co się dzieje?

Kaprał przechylił głowę i powiedział z charakterystycznym rodiańskim zaśpiewem, tak często naśladowanym i wyśmiewanym przez komików:

- Z nadprzestrzeni właśnie wyszedł gwiazdny niszczyciel. Wchodzi na orbitę.

- To Sojusz czy Imperium?

- Ani jedno, ani drugie. To prywatny statek. Poszukiwany za działania przeciwko Sojuszowi. „Błądny Rycerz”.

- Aha... *stang!*

Oczywiście pogłoski o nim krążyły już od wielu dni. Na „Błądnym Rycerzu” odbywał się turniej sabaka, a do zgarnięcia były stawki, które każdego gracza biegłego w używaniu kart przyprowadzały o ślinotok. Luksusowy rejs, przy stole najbogatsi przeciwnicy, media, bezpłatne wino i inne trunki, towarzystwo... Wszystko to nosło obietnicę przeżyć jedynych w swoim rodzaju.

I rzeczywiście ją spełniło, choć nie tak, jak by tego chcieli organizatorzy. Gdy gwiazdny niszczyciel wystartował z Coruscant, wspomógł skrzydło myśliwców Jedi, którzy wbrew rządowym rozkazom opuścili planetę w swoich wspaniałych stealthX-ach. Nikt nie wiedział, czy gracze stali się zakładnikami, czy tylko niewinnymi obserwatorami, którzy chcąc nie chcąc, zostali wpłątani w plany szalonych Jedi.

A teraz wszyscy oni znaleźli się tutaj. Dolo stracił wszelką nadzieję. Trudno coś uczciwie ukraść, gdy wszystkiemu uważnie przyglądają się wojsko i media. Trudno... ale nie jest to chyba niemożliwe.

Stacjonujące w bazie myśliwce nie wystartowały. Dowodzący nimi generał zdawał sobie sprawę - podobnie jak każdy żołnierz i pracownik obsługi naziemnej Borleias - że atak na gwiazdny niszczyciel, nawet taki, w którym zmniejszono liczbę stanowisk bojowych, był czystym samobójstwem, które należało zastosować jedynie w ostateczności. Na razie generał wisiał na łączu nadprzestrzennym z Coruscant.

„Błądny Rycerz” nie czekał. Gdy tylko dotarł na orbitę, zaczął wysyłać na planetę wahadłowce. Nie poprosił o instrukcje dotyczące lądowania, za to przesłał poważne ostrzeżenie, że bardzo złym pomysłem byłoby otworzenie ognia do promów. Gdy tylko wylądowały na polu Dolo, załoga zajęła się wyładunkiem.

Graczy w sabaka.

Niektórzy wyglądali na szczęśliwych, inni na zdezorientowanych lub ponurych, jeszcze inni mieli mściwy wyraz twarzy. Byli tacy, którzy nie spali od kilku dni, i tacy, do których nie docierało, że nie wrócili na Coruscant, chociaż chyba widzieli, że lądowisk nie otaczają drapacze chmur, tylko gęsto rosnące drzewa. Byli tu gracze, reporterzy i wiecznie podążający za takimi imprezami sympatycy hazardu; były sterty bagaży, butelek, chorągiewek, konfetti i głośna muzyka z datapadów... „Błądny Rycerz” przywiódł na ten odległy świat hałaśliwe pozostałości imprezy na galaktyczną skalę.

Dolo wyciągnął z biura fotel i ustawił go na świeżym powietrzu, obserwując rozwój sytuacji. Udało mu się zachować w sekrecie przybycie „Piaskowego Tancerza”. Teraz bez reszty

pochłaniało go fałszowanie manifestu, na którym znalazłyby się obecne już w bazie źle dopasowane mundury i pozbawiona smaku konserwowana żywność. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, zamierzał przedstawić manifest jako pochodzący z „Piaskowego Tancerza”. W chwilach przerw w kopiowaniu zawartości z jednej listy na drugą obserwował rozgrywające się na polu wydarzenia.

Rozpoznał kilka sław - gwiazdy holofilmów, słynne tancerki, milionerów, ryzykantów, polityków, wysoko postawionych oficerów. Dolo poświęcił chwilę, żeby ich sobie nagrać. Na pamiątkę, jako dowód, że był tutaj w tę historyczną noc. Jeśli mu się poszczęści, będzie mógł je wykorzystać do szantażu.

Mimo wszystko to mogła być jednak dobra noc.

Jednym z przybyłych okazał się Wynn Dorvan, szef sztabu admirał Daali, pełniący urząd prezydenta Sojuszu Galaktycznego. Nie był pijany ani zdezorientowany, ale szok nie całkiem go jeszcze opuścił.

Dowodzący bazą na Borleias generał, gdy tylko przybył na miejsce, wykorzystał swoich sztabowców jako tarczę chroniącą go przed rozwścieczonymi i gadającymi bez ładu i składu znakomitościami, a sam ruszył prosto do Dorvana. Gdy się do niego przebił, miał już u swojego boku tylko dwóch współpracowników. Wyciągnął rękę na powitanie.

- Wynn Dorvan? Generał Eldo Davip.

Wynn uściśnął podaną dłoń i uważnie przyjrzał się generałowi. Davip miał niemal dwa metry wzrostu, a wnioskując z tego, jak ciasno opinał go mundur, trudno było nie pomyśleć, że przydałaby mu się ścisła dieta i ćwiczenia. Wynn znał jego reputację: pozbawiona blasków kariera Davipa nabrała tempa, gdy wyróżnił się podczas oblężenia Borleias przez Yuuzhan Vongów. W kolejnych latach wojny i po jej zakończeniu dobrze sprawował swoje obowiązki, wykazując się nawet inteligencją. W trakcie drugiej galaktycznej wojny domowej jego zwierzchnikiem został Jacen Solo. I choć nie postawiono mu zarzutów dotyczących udziału w zgubnych planach Solo, to jednak go z nimi powiązano. Potem w efekcie zręcznej manipulacji przeniósł się na ten spokojny, oddalony posterunek. Dzięki temu miał szansę doczekać emerytury, nie przyciągając niczyjej uwagi, pobierając pensję i robiąc swoje.

Dorvan skinął mu głową.

- Miło mi pana poznać.

- Chyba ma pan w kieszeni małe zwierzątko.

Wynn spojrzał na górną kieszeń marynarki. Przycupnięty tam zwierzak, w pomarańczowe paski i o zaspanych oczkach, obrzucił generała przelotnym spojrzeniem, po czym ułożył się do kolejnej drzemki. Wynn uśmiechnął się szeroko.

- Kieszonka to moja pociecha. Czasami staram się wmówić innym, że też mają coś w kieszeni.

- Tak? - Davip nie chwycił przynęty. - Pozwoli pan ze mną?

- Dziękuję.

Zostawiwszy za sobą hałas i atmosferę zabawy, przenieśli się do osobistego śmigacza generała. Weszli na pokład, ale generał nie dał pilotowi sygnału do odlotu.

- Tutaj będzie spokojniej.

- Nie mam nic przeciwko.

- Mam bezpośredni kontakt z panią prezydent, więc dałem jej wstępnie znać, że jest pan cały i zdrow. Chce jak najszybciej otrzymać od pana raport. Ale to ja odpowiadam za bezpieczeństwo i przetrwanie tego posterunku, więc musi mi pan powiedzieć, czego mogę się po tym spodziewać. - Wskazał palcem na niebo i mały trójkącik „Błędnego Rycerza”, orbitujący tak wysoko nad nimi, że na tle słońca był widoczny jako czerwona strzałka.

Wynn wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żeby podjęli jakiegokolwiek działania. Jeśli dobrze się orientuję, Boosterowi Terrikowi i pozostałym Jedi przyświeca jeden cel: trzymać się najdalej jak to możliwe od wojsk Sojuszu. Nie mają złych zamiarów względem Borleias ani żadnego innego

świata. Gdy ustawiano nas w kolejce do promów, podsłuchałem, że gdy wyląduje ostatni wahadłowiec, zamierzają opuścić system Pyrii. Wydaje mi się, że będą unikać okrętów wojennych z Coruscant i innych baz Sojuszu.

Generał chrząknął, zirytowany.

- Nie sędzę, by jakiegokolwiek jednostki miały tu przybyć.

- Nie rozumiem.

- Nie wspominano, że ma przylecieć pomoc.

Wynn zamrugął. To nie miało sensu...

Chyba że... Jedno po drugim, na granicy galaktyki jak świąteczne fajerwerki wybuchały powstania niewolników, a gdy Jedi opuścili Coruscant, admirał Daala musiała dojść do wniosku, że ma teraz wrogów zdolnych wyrządzić jej wojskom wielką krzywdę. Z pewnością nie chciała osłabiać siebie, obrony planetarnej i floty strzegącej Coruscant.

Westchnął.

- Wie pan może, jak wrócimy do domu?

- W tej akurat kwestii otrzymałem szerokie uprawnienia. Mamy tu transportowiec... już wylądował towary, tyle że przybycie „Błędnego Rycerza” uniemożliwiło mu odlot. Zmuszę ich, aby zabrali was z powrotem na Coruscant. Pewnie będzie trochę ciasno, ale to krótka podróż.

- Dobrze będzie znaleźć się znów w domu.

- A tak przy okazji, kto wygrał turniej?

Wynn poczuł przyływ emocji, choć nie potrafił określić, czy to duma, czy raczej wstyd.

- Ja.

Generał spojrział na niego, jakby magicznym sposobem przeobraził się w twi'lekańską tancerkę.

- Żartuje pan?

- Nie.

- No cóż... Kiedy już odejdę na emeryturę, u pana będę szukał zajęcia.

- Nich mi pan załatwi prywatną kabinę podczas lotu na Coruscant, a z pewnością wezmę pańską kandydaturę pod uwagę.

- Pilot, wracamy do centrum dowodzenia - zarządził generał.

Śmigacz wystartował.

Na mostku „Piaskowego Tancerza” młoda, rudowłosa kobieta, która odebrała podpis Dolo, obserwowała z fotela drugiego pilota przybycie ostatniego wahadłowca. Na jego pokładzie miał się znajdować Lando Calrissian ze swoją świtą. Polecą teraz na Coruscant, gdzie będą przekonująco odżegnywać się od współpracy z Boosterem Terrikiem i Jedi.

Ta młoda kobieta wszystko to wiedziała. Miała na imię Seha i całkiem niedawno pasowano ją na Rycerza Jedi. Jakiś czas później przyszło jej ratować pilotów nad Almanią.

Po walkach, do których tam doszło, wydarzenia nabrały tempa. Mistrzowie i grupa pilotów stealthX-ów opuścili prywatne spotkanie, w którym towarzyszyli im za pośrednictwem transmisji holograficznej, Mistrzowie ze Świątyni Jedi. Ustalono nowe cele. Postanowiono, że dopóki nie odnajdą Sithów, zajmą się kwestią Coruscant.

Booster Terrik, rzekomo emerytowany przemytnik nadal dysponujący kontaktami w branży, która najwyraźniej nigdy nie podupada, pomógł im w wypożyczeniu „Piaskowego Tancerza”. Legalny ładunek należący do legalnie funkcjonującej firmy miał nieskazitelne dokumenty. Ale to się zapewne lada moment zmieni.

Booster dopilnował także, by wiele dóbr, które miały się znaleźć na jego statku na potrzeby turnieju sabaka, trafiło ostatecznie do ładowni „Piaskowego Tancerza”. Dwa promy podczepione do statku, przemalowane i opatrzone fałszywymi dokumentami, stanowiły przykrywkę dla komór przemytniczych.

Wybierając planetę w pobliżu Coruscant, ale o ograniczonych możliwościach transportu, posyłając tam „Piaskowego Tancerza” i rekwirując wahadłowce graczy przed wysłaniem ich na

powierzchnię planety, Jedi zyskali pewność, że to „Tancerz” zostanie wykorzystany do przetransportowania gości statku z powrotem na Coruscant.

To z kolei oznaczało, że za kilka godzin będzie można w tych wahadłowcach posłać uzbrojonych Jedi prosto do budynku Senatu.

Panel komunikacyjny pisnął. Seha spojrzała na ekran i przeczytała wiadomość, która się na nim wyświetliła. Przeniosła wzrok na kobietę zajmującą fotel pilota - swoją Mistrzynię, Octę Ramis. Z przyczernioną skórą i rozjaśnionymi włosami była wręcz nie do poznania.

- Otrzymaliśmy wiadomość ze sztabu Borleias - zameldowała. - Chcą, żeby na czas podróży na Coruscant Wynn Dorvan otrzymał prywatną kabinę.

Mistrzynie Ramis prychnęła rozbawiona.

- Pierwsza prośba specjalna. Ciekawe, ile jeszcze sław będzie domagać się prywatnych kabin. A mamy ich raptem jedną, i to moją.

- Oddasz mi ją?

- Pewnie. Zanim wejdzie na pokład, umieścimy w niej podsłuch. - Wstała z fotela, by dopilnować realizacji planu. - Nie ma pośpiechu. Przez kolejne kilka godzin będziemy ładować nieszczęśliwych, niechętnych do współpracy pijaczków.

Seha posłała jej nad wiek dojrzały uśmiech.

- Ach, to luksusowe życie Jedi...

ROZDZIAŁ 6

Nam Chorios, sektor Meridian

Z tej odległości planeta przypominała unoszący się w przestrzeni białawy kamyk, otoczony kilkoma lśnącymi ziarnkami piasku, skąpany w łagodnym, fioletowym świetle słońca.

Luke wykonał dłonią ruch, jakby rysował okrąg, na koniec prowadząc linię do góry; dał w ten sposób Benowi do zrozumienia, żeby powiększył obraz. Kamyk urósł w oczach, a krążące wokół niego drobiny okazały się stacjami kosmicznymi - w większości o charakterze obronnym, typu Golan III NovaGun. Były usiane kopułami skrywającymi baterie turbolaserów. Takie same stacje broniły znacznie gęściej zaludnionych, bardziej uprzemysłowionych i bogatszych światów Sojuszu Galaktycznego.

Jedna ze stacji nie była platformą obronną i swoimi rozmiarami przyćmiewała pozostałe. Kształtem przypominała szeroki pierścień, a jej szarą powierzchnię przecinały punkty dokowania i magnetyczne bariery atmosferyczne.

Siedząca w fotelu nawigatora Vestara przyjrzała się uważnie obrazowi z czujników.

- Wiele zachodu kosztowało ich zapewnienie bezpieczeństwa temu zacofanemu światkowi.

Luke pokręcił przecząco głową.

- Te stacje mają uniemożliwić ucieczkę z planety, a nie przybycie na nią.

Vestara spojrzała na niego pytająco.

- Ucieczkę?

- Nie mylisz się, planeta jest zacofana. Ale jedną z niewielu form życia, które się na niej zaaklimatyzowały, jest gatunek owadów zwanych drochami. Przenoszą chorobę określaną jako Posiew Śmierci. Słyszałaś o niej kiedyś?

Zaprzeczyła.

- Ale myślę - dodała - że nikt nie nadałby chorobie takiej nazwy, gdyby wywoływała bóle brzucha.

- Jesteś przygnębiająco logiczna... Drochy są malutkie, przynajmniej na początku. W ciemnych, wilgotnych zakątkach mnożą się jak szalone. Wnikają pod żywą tkankę większości gatunków. Naśladują skład chemiczny, cechy elektromagnetyczne, a nawet gęstość tkanki nosiciela, stając się praktycznie niewykrywalne. Rosną w ciebie, żerując na energii życiowej, a gdy jest ich

wystarczająco wiele i wspólnymi siłami wyssa dość energii, objawia się to Posiewem Śmierci.

Ben objął twarz dłońmi, a z malującego się na niej wyrazu obrzydzenia można było wyczytać, że już to wszystko słyszał i powtórka nie sprawia mu przyjemności. Luke uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Skóra zaczyna obumierać. Drochy rozmnażają się i kolejne owady znajdują nosicieli. Zakażeni czują ból w całym ciele, są apatyczni, mają kłopoty z myśleniem i oddychaniem... a potem umierają. Rzadko kiedy udaje się wykryć drochy, które pozostały w ciele; brak jest śladów infekcji bateryjnej, wirusowej lub grzybiczy... Niezaprzeczalnym faktem jest tylko zgon. W pewnych sytuacjach przebieg choroby może zostać przyspieszony - na przykład, gdy kontroluje ją bardzo stary, potężny i rozrośnięty droch. Wtedy wystarczy, że do ciała ofiary wnuknie raptem kilka drochów, a śmierć nadejdzie, zanim jeszcze ciało dotknie martwica tkanki.

Vestara spojrzała z obrzydzeniem - a może z szacunkiem - na wyświetlany na monitorach obraz. Luke nie był w stanie stwierdzić, które uczucie wzięło górę.

- Dziwię się, że nie zniszczyliście tej planety.

Ben odchylił się w fotelu, jakby chciał cofnąć się chociaż o te dodatkowe kilkanaście centymetrów od obrazu Nam Chorios.

- Na planecie są też inne formy życia: osadnicy i tsile, autochtoniczne, żywe kryształy.

- Jak udało im się przetrwać obok tych... drochów?

- Po przepuszczeniu przez tsile i inne kryształy fioletowe światło słoneczne zabija drochy, a wtedy ciało wchłania owady bez żadnych efektów ubocznych. Trzeba tylko trzymać się blisko tsilów i w świetle. W przeciwnym wypadku... no cóż, lepiej spisać ostatnią wolę. Tato, będziemy się przedstawiać jako Skywalkerowie?

Luke pokręcił przecząco głową.

- Lepiej nie - powiedział. - Nie chcemy przyciągać uwagi. Zgłoś nas jako „Czarny Diadem”. Kapitanem statku jest Vestara Khai. Załogę stanowią Owen Lars i Ben Lars. Nie deklarujemy żadnego ładunku. Cel wizyty: poszukiwanie informacji genealogicznych i krewnych pośród Przybyszów.

Ben skinął głową i skupił się na swoim zadaniu. Kilka minut później odebrał przekaz.

- Dostaliśmy zgodę na dokowanie na stacji Koval. Mamy też wybrać odpowiadający nam sposób odkażania. Możemy wylądować na powierzchni, ale w drodze powrotnej będziemy musieli wrócić na stację, gdzie nasz statek zostanie poddany kwarantannie i dekontaminacji. Zajmie to minimum jeden dzień i pożre górę kredytów. Jeśli polecimy we trójkę wahadłowcem, koszty związane z opuszczeniem planety znacznie spadną, a odkażenie zajmie mniej czasu.

- Wybieramy tanią i szybką opcję. Ta pierwsza dotyczy głównie statków z ładunkiem.

Ben skinął głową i obrał kurs na stację Koval.

Spowici w luźne szaty podrózne Luke i Ben nie mieli większych problemów z zachowaniem anonimowości, podczas gdy młoda i atrakcyjna Vestara zajęła się pertraktacjami z władzami portu i opłaceniem wszystkich należności. Użyła do tego karty, której nie dałoby się powiązać ze Skywalkerami.

Przedstawiciel władz portu, młody, rudowłosy człowiek w złocistym kombinezonie z purpurowymi lamówkami, udzielił im też rady, niewątpliwie wyuczony na pamięć całe lata wcześniej:

- Nam Chorios jest w tym momencie w punkcie najbardziej oddalonym od Słońca, co, biorąc pod uwagę odchylenie osi, oznacza, że panuje tam zima. I to sroga. Zamarzniecie, jeśli nie uda się wam znaleźć schronienia na noc. A gdybyście potrzebowali ciepłych ubrań, to można je dostać w Hweg Shul, porcie docelowym wahadłowca.

Na biurku między sobą a Vestarą postawił trzy małe pojemniki.

- Ten lek odstrasza drochy. To prezent od nas, czyli że cenę wliczono w dekontaminację. Więcej możecie kupić po wylądowaniu na planecie.

Obok pojemników położył też trzy niewielkie pręty jarzeniowe z dużymi bateriami.

- Bardzo jasno świecą, więc nie patrzcie wprost na nie, bo uszkodzicie sobie siatkówkę. Drochy przed nimi uciekają. Światło może też sparaliżować owady, a wtedy je rozdepczecie. Do

zwrotu w drodze powrotnej, albo doliczymy wam do rachunku. Życzę powodzenia z krewnymi.

Wyglądało na to, że wynik poszukiwań fikcyjnych członków rodziny nic a nic go nie interesuje, ale starał się przy tym być uprzejmy.

Kilka minut później, uzbrojeni przeciwko drochom i wyposażeni w zimowe ubrania, upakowane do worków podróżnych z „Cienia Jade”, weszli na pokład starego, ale świetnie zachowanego wahadłowca klasy Lambda. W przedziale dla pasażerów znalazła się wraz z nimi ubrana w nieskazitelną biel Duroska i mężczyzna w średnim wieku w błyszczącym, formalnym stroju, charakterystycznym dla menedżerów średniego szczebla w sektorze Meridian. Prom wystartował ze stacji Koval i wszedł w atmosferę planety.

Luke, wyglądający przez umieszczone po lewej stronie kadłuba okno, cały czas myślał o zmianach, jakie zaszły na planecie przez trzydzieści lat od jego pierwszej wizyty.

Gdy wchodzili w atmosferę, kolory i powierzchnia świata poniżej wyglądały identycznie, jak je zapamiętał. Pod nim rozciągały się wielkie przestrzenie niebieskoszarego kamienia i pyłu. Gdzieś tam ziemia lśniła, odbijając i załamując światło słoneczne tak, że rozszepiało się na wszystkie kolory tęczy i jeszcze kilka dodatkowych - to pola skryształizowanego żwiru, wąwozy wypełnione wznoszącymi się wysoko w górę kryształowymi kolumnami, z których część stanowiły miejscowe, inteligentne tsile, czyli duszki. W oczy rzucały się też ciemne pasma bazaltowych wzgórz, wiele z nich także usianych kryształami. Tu i ówdzie dostrzegał zielone enklawy - znacznie więcej niż podczas swojej ostatniej wizyty. Tam właśnie mieszkały niepewne swego jutra społeczności, kurczowo trzymające się niewielkich wycinków nadającej się pod uprawę ziemi, położonej nad podziemnymi jeziorami.

Ale to nie uprawa roli wspomagala planetarną ekonomię. Większość pozostałych na planecie rolników stanowili Tubylcy - potomkowie pierwszej fali kolonistów, ludzie twardzi i wytrzymali, którym odpowiadało skromne życie i uprawa ziemi na tym bezlitosnym świecie.

Jednak to życie Przybyszów, drugiej fali osadników, uległo nieodwracalnej zmianie po wydarzeniach, które trzy dekady temu sprowadziły w to miejsce Luke'a Skywalkera. Uwolnienie Posiewu Śmierci i odkrycie inteligentnych tsilów zmusiło Nową Republikę - która wcześniej nie wyrażała najmniejszego zainteresowania tym rządzącym się własnymi prawami światem - do zaangażowania się w jego sprawy. I nagle kosmiczne platformy wzięły na siebie odpowiedzialność, spoczywającą do tej pory na Tubylcach i ich naziemnych stanowiskach bojowych, pilnowania, że żaden droch nie opuści planety... i nawet jeden tsil nie zostanie z niej zabrany wbrew swojej woli. Ni z tego, ni z owego ośrodki medyczne, tak rządowe, jak i prywatne, uzupełniły lokalną gospodarkę o nowy element. Oparto ją na badaniach i produkcji lekarstw, które ze względu na fioletowe światło mogły powstać tylko tutaj, na wykorzystaniu tego światła przez tsile i na leczniczych technikach TheraNasłuchiowaczy, czyli Tubylców połączonych z tsilami poprzez Moc.

Wszyscy dostali to, czego chcieli. Choć skrywana przez Tubylców tajemnica wyszła na jaw, nadal pomagali oni w walce z zagrożeniem ze strony drochów. Gospodarka Przybyszów rozkwitła. Tsile nie musiały się już obawiać, że korporacje pracujące nad nowymi technologiami, nierozumiejące prawdziwej natury kryształów, a często mające ją w nosie, wyrwą je z ziemi i wywożą z planety.

Wszyscy dostali to, czego chcieli... poza Callistą Ming, która przybyła tutaj, by odnowić więź z Mocą - i poniosła porażkę. Callistą, stanowiącą teraz część istoty zwanej Abeloth. Callistą, której wspomnienia o tej planecie bez wątpienia nakłoniły Abeloth do przybycia właśnie tutaj.

Luke spojrzał na Vestarę.

- A tak przy okazji... od teraz nie używamy Mocy.

Uniosła brwi, zdumiona.

- Co takiego?

- Nie możesz czerpać z Mocy, koniec i kropka. Jedyne wyjątkiem to sytuacja, gdy wystarczy bierne korzystanie. Ale nie aktywne, w rodzaju nagłego przyspieszenia albo wyższego skoku. Jeśli się nie zastosujesz, narazisz się na przykre konsekwencje. Ludzie z tego powodu tracą życie.

- Nie rozumiem.

- Taką właściwość ma środowisko Nam Chorios. Wiążące grunt kryształy wzmacniają efekt korzystania z Mocy... i przekierowują go w przypadkowy, niszczycielski sposób. Wystarczy, że pomożesz sobie w skoku, a gdzieś rozpęta się burza, która skończy się katastrofą dla czyjś domu albo jakiegoś miasta.

- Szkoda, że wcześniej o tym nie wspomniałeś.

Zdobył się na uśmiech.

- Możesz to uznać za test z dyscypliny.

Luke nie potrafił na razie stwierdzić, jak bardzo przez te wszystkie lata zmieniła się stolica planety, Hweg Shul. Gdy prom zszedł w niższe warstwy atmosfery, uderzyły w niego poddmuchy wiatru, obracając wahadłowiec dokoła własnej osi, a zimowa burza, w którą wpadli, rozciągająca się na kilkadziesiąt, a może i kilkaset kilometrów wokół nich, uniosła z powierzchni planety pył, wywołując burzę piaskową i przesłaniając miasto.

Silniki i repulsory Lambdy wyły głośno, gdy pilot promu zmagał się z wiatrem i walczył o utrzymanie kontroli nad pojazdem. Ben i Vestara skrzywili się, co nie umknęło uwagi Luke'a. Wiedział, co czują. Wnioskując po natężeniu wiatru i sposobie pilotażu, znaleźli się w dobrych rękach... ale żaden pilot, nigdy, przenigdy, nie chce siedzieć w fotelu pasażera, zwłaszcza gdy sytuacja jest trudna. Wolałby trzymać stery.

Biznesmenowi w błyszczącym garniturze, siedzącemu po przeciwnej stronie przed Lukiem, zmienił się kolor twarzy. Z podłokietnika wyjął nieprzejrzywą torebkę z flimsiplastu, do której mógłby zwymiotować. Nie skorzystał z niej od razu, tylko trzymał przed sobą, wpatrując się w nią ze zboląłą miną. Od czasu do czasu zerkał na pozostałych pasażerów i popadał w jeszcze większe przygnębienie, ponieważ nikt inny nie był w równie oplakany stanie.

Aż nagle silniki przestały pracować. Poprzez Moc Luke wyczuł niepokój biznesmena, ale Duroska i pilot zachowali spokój.

Prom obrócił się powoli. Przygotowywali się do lądowania i podniesione skrzydła Lambdy przesłoniły prawie nieprzezroczystą ścianę unoszonego porywistym wiatrem, szorstkiego, kryształowego pyłu. Chwilę później prom uderzył o ziemię, nawet stosunkowo łagodnie. Kołysały nim jeszcze co silniejsze porywy wiatru.

Przez interkom dobiegł ich radosny głos pilota kobiety:

- Koval Transport pragnie powitać państwa na Nam Chorios, urlopowej stolicy sektora Meridian, oraz w porcie kosmicznym Hweg Shul. Proszę się przygotować do opuszczenia pokładu główną rampą. Temperatura na zewnątrz wynosi minus dziesięć stopni, ale wiatr obniża ją do znacznie mniej przyjemnego pułapu minus czterdziestu dwóch, proszę zatem uważać na odsłonięte części ciała.

Chwilę później cała trójka, z zarzuconymi na głowy kapturami i oczami osłoniętymi przez gogle, zeszła z rampy załadowniczej. Przejmując zimny wiatr próbował powalić ich na ziemię, przyklejając do ciał niedostatecznie szczelne ubrania i płaszcze. Instynktownie ustawili się plecami do wiatru. Niedaleko widzieli światła głównego terminalu, ale z powodu przesłaniającego Widok, zacinającego ostro pyłu nie byli w stanie dostrzec kopuły budynku.

Ben zdobył się na chłodny uśmiech. Odezwał się, przekrzykując wiatr:

- To istne piekło.

Wiatr momentalnie porwał mglistą smużkę jego oddechu. Luke zarzucił na ramię torbę podrózną i ruszył w stronę terminalu.

- Aleś ty rozpieszczony. Ja na takiej planecie dorastałem.

- Nie groził ci Posiew Śmierci, tato.

- Co racja, to racja. - Posiew Śmierci, starożytni, obłąkani Mroczni Jedi, syndroidy... Zalała go fala wspomnień o Nam Chorios i nie mógł się zdobyć na to, by ją od siebie odepchnąć.

Coruscant

- Czasami dochodzę do wniosku, że ta planeta to prawdziwe piekło. - Prezydent Natasi Daala powiedziała to zaskakująco łagodnym, przygaszonym głosem.

Ale ton wypowiedzi pasował do tego miejsca. Był środek nocy, a ona znajdowała się w ośrodku medycznym. Poziomym smugom światła niemającego końca strumienia aerośmigaczy, który obserwowała z okna wznoszącej się wysoko komnaty, nie towarzyszył ryk silników; izolacja akustyczna nie pozwalała, by hałas dostał się do środka. Te równe, piękne strumienie światła jakoś uspokajały. Pomieszczenie rozjaśniał słaby blask przygaszonych prętów jarzeniowych, zamieniając surową biel w uspokajającą szarość, a zastawione różną aparaturą ściany i kąty - w cieniste zakamarki rozświetlone jasnymi jak gwiazdy punkcikami.

I sprawiając, że ciężko ranna osoba na łóżku wyglądała, jakby po prostu spała.

Leżący nieruchomo, twarzą do góry admirał Nek Bwua'tu, dowódca floty Sojuszu Galaktycznego, spoczywał w tej pozycji już od dłuższego czasu. Prześcieradło przykrywało jego gojące się rany. Jedno z ramion leżało odsłonięte na klatce piersiowej. Jeszcze niedawno kończyło się nieco poniżej łokcia. Teraz odzyskało dawny kształt, a sztuczna dłoń i przedramię były nie do odróżnienia od włochatej, organicznej kończyny, pomijając pasek krótszego futra, gdzie protezę połączono z ciałem - sierść musiała jeszcze odrosnąć, by dopełnić iluzji, że ramię nie zostało uszkodzone.

Ten starzejący się Bothanin był istotą silną i stanowczą, i należał do nielicznego grona powierników Daali.

Nadal mogła mu się zwierzyć. Tyle że - pogrążony w śpiączce - nie słyszał jej ani nie mógł odpowiedzieć.

Teraz jednak ciągnęła dalej, jakby brał czynny udział w tej rozmowie:

- Zdumiewa mnie, co się dzieje w walce o władzę. Nie chodzi mi o chęć skompromitowania rywala, gdy stawką jest miejsce w Senacie lub ranga generała, bo z tymi stanowiskami wiąże się prawdziwa władza, warta wysiłku i ryzyka. Chodzi mi o całkiem bezinteresowną, niesłużącą niczemu zajadłość. Jak w przypadku gryzypiórka służbisty, gotowego narobić sobie wrogów na całe życie tylko po to, żeby uzyskać comiesięczny przydział dataczipów. Albo asystentki, decydującej o tym, kto spotka się z jej nikomu nieznanym, pozbawionym znaczenia i wpływów szefem - byleby tylko wyświadczyć przysługę kolejnej nic nieznaczącej osobie.

Pokręciła głową powoli, w niezwykły jak na nią sposób.

- Można by pomyśleć, że dostosują swoje metody do rangi oczekiwanej nagrody, ale nie. Zdrada może przyjąć takie same rozmiary, gdy prowadzi się wózek z kafem, jak gdy się tkwi za sterami Imperium.

Nek nie odpowiedział. Leżał z zamkniętymi oczami, dla których w tych godzinach był czas na odpoczynek, nie na stymulację. Jego myśli nie wydostawały się poza uszkodzone części mózgu.

Mając pewność, że nie jest obserwowana - była sama w szpitalnej sali, którą ochrona przeczesywała przed każdą jej wizytą - Daala położyła dłoń na klatce piersiowej pacjenta, dotykając filtra nad kocem. Czuła jego powolny, płytki oddech.

- Nie zmienię kursu, Nek - tłumaczyła. - Zmiażdżę tych, którzy pożądamy władzy. Przywódców rebelii niewolników, pragnących jedynie rządzić w zastępstwie obalonych. Polityków, dla których obywatele są ledwie zawalidrogami... albo zbędnymi zasobami. Także Jedi, aroganckich i ignorujących prawo. Zmiażdżę ich, a ty do mnie wrócisz i razem obmyślimy, jak zniszczyć ich na dobre. Jak sprawić, by zapłacili za dążenie do realizacji własnych celów. Za brak umiaru.

Od strony drzwi dało się słyszeć pojedyncze stuknięcie, znak od jednego z wartowników, że zbliża się ktoś, kogo nie mieli rozkazu zatrzymywać. Daala cofnęła dłoń.

Gdy do sali weszła Desha Lor, Daala czekała na nią, idealnie wyprostowana, z lodowatym wyrazem twarzy.

Twii'lekanka miała zieloną skórę z ciemniejszymi cętkami na głowoogonach. Jej niebieska szata ładnie podkreślała barwę skóry. Jeden z głowoogonów, owinęła wokół szyi; drugi zwisał swobodnie z tyłu.

Ukloniła się Daali.

- Proszę wybaczyć, pani admirał.

- O co chodzi? - Daala starała się, żeby nie zabrzmiało to szorstko.

- „Piaskowy Tancerz” wszedł do naszego systemu. Wynn zjawi się za pół godziny, przyleci wahadłowcem.

Daala wyminęła Twii'lekanę szybkim, stanowczym krokiem, dając w ten sposób do zrozumienia, że Nek Bwua'tu nie zaprzęta już jej myśli. Drzwi ponownie się otworzyły, a ona wypadła z pomieszczenia. Nie musiała się oglądać - słyszała szybkie kroki Deshy, która próbowała ją dogonić i zrównać się z nią w marszu.

Gdy jej się to udało, Daala posłała jej przelotne spojrzenie.

- Sprowadź wahadłowiec do budynku Senatu. Osobiście przyjmę raport Wynna.

- Tak jest, pani admirał.

Świątynia Jedi

Leia odnotowała, że ten kryzys - nie pierwszy przecież - przełamał bariery utworzone przez rangę i status społeczny.

Położoną głęboko we wnętrzu Świątyni salę obrad po brzegi wypełniali Jedi, którzy raczej rzadko tak licznie współdziałali ze sobą jak równy z równym. Teraz jednak każdy mógł rzucić pomysł, który ocali tysiące, może nawet miliony istnień.

Siedziała w lewitującym fotelu z wysokim oparciem, obok swojej córki. Jaina zaczesła za ucho kosmyk kasztanowych włosów i uśmiechnęła się do matki. Leia pogładziła jej dłoń i na nowo wsłuchiwała się w potok rozmów i informacji.

Przemawiał właśnie Mistrz Corran Horn. Jego zielone szaty Jedi były wygniecione, co sugerowało, że od dawna ich nie zdejmował.

- ...dane telemetryczne wskazują, że pięć minut temu wszedł w atmosferę planety i zbliża się do dzielnicy rządowej, być może do budynku Senatu.

Zerknął na młodszego Rycerza Jedi, ciemnoskórego mężczyznę obserwującego rozwój sytuacji na datapadzie. Rycerz odwzajemnił spojrzenie i skinieniem głowy potwierdził, że Corran się nie myli.

Na prawo od niego siedziała Saba Sebatyne, Mistrzyni Jedi - Barabelka i tymczasowa przywódczyni Zakonu. Zerknęła przelotnie na Rycerza, po czym wróciła wzrokiem do Corrana.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że wykryją Mistrzynię Ramis i Jedi Dorvald?

Corran pokręcił głową.

- Minimalne. Statek pilotuje Seha, a o niej nic nie wiemy. Wkładki w policzkach zmieniają zarys jej twarzy i razem z goglami pomogą oszukać skanery. Octę Ramis i Kypa Durrona umieszczono w zamkniętych przedziałach.

Siedząca na lewo od Corrana Mistrzyni Cilghal obrzuciła sąsiada spojrzeniem wylupiastych oczu.

- Dwójka Mistrzów... Jeśli jednak, wchodząc do Senatu, zostaną wykryci, to biorąc pod uwagę okoliczności, prezydent Daala będzie zmuszona podjąć jakieś działania. Całkiem słusznie założy, że została zaatakowana. A to będzie oznaczać otwartą wojnę.

Głos zabrała Jaina.

- Nie można wygrać, skupiając się tylko na obronie.

- Jedi Solo ma rację. - Saba zmieniła pozycję, nieświadomie ulegając doskwierającemu jej bólowi. Chociaż od tragicznego pojedynku na śmierć i życie z Mistrzem Kenthem Hamnerem minęło już kilka dni, rana na boku nie zdążyła się jeszcze w pełni zagoić. Cilghal i Tekli wymienili pozornie obojętne spojrzenia, ale dla Leii było jasne, że wołałyby widzieć Sabę odpoczywającą i

odzyskującą siły.

Ale Saba nie mogła sobie pozwolić na marnowanie czasu i wysiadanie w zbiorniku z bactą. Usadowiwszy się nieco wygodniej, kontynuowała:

- Musimy się zastanowić, jak wykorzystać nadarzącą się sposobność. Jak rozplanować to w czasie. I jak zminimalizować rozlew krwi.

Zakończywszy składanie raportu, Corran usiadł w swoim fotelu.

- Zabezpieczyliśmy lądowanie promu w budynku Senatu, ale jeśli Kyp i Octa mają przemieszczać się po budynku, musimy im w tym pomóc. Trzeba zapewnić odpowiednie dokumenty, bo skinienie dłoni Jedi nie otworzy im już drogi przez punkty kontrolne. No i pomyśleć o charakteryzacji. Słucham, Leio?

Leia opuściła lekko podniesioną dłoń. Przez ułamek sekundy zamierzała powiedzieć: „Zapomnijcie, to zły pomysł”. Ale to wcale nie był zły pomysł, tyle że w grę wchodziło nadużycie zaufania, którego Daala niekoniecznie była warta... Instynkt podpowiadał Leii coś zupełnie przeciwnego od sugestii, która przyszła jej na myśl.

- Mając w pamięci raczej mało przyjazną wymianę zdań między Mistrzynią Sebatyne a panią prezydent - zaczęła - moglibyśmy zaproponować serię spotkań. Wzięliby w nich udział Han, ja i Daala. Wymagałoby to regularnych, nawet codziennych wizyt w budynku Senatu. Mielibyśmy wtedy sposobność przemycić do środka potrzebne rzeczy, a w tym mój mąż ma pewne doświadczenie.

Corran pokiwał głową, rozważając pomysł.

- Będzie pewnie chciała rozmawiać z Kenthem Hamnerem. Mówią - czy też mówili - tym samym językiem. A dopóki nie wypłyną informacje o jego śmierci, Daala będzie zakładać, że to on tu rządzi.

Leia westchnęła.

- Oto, co zrobimy. Rozgłosimy, że Kenth Hamner postanowił się ukryć, ponieważ jego wojskowy umysł podpowiadał mu, że najlepszą taktyką, jaką mogłaby obrać Daala, byłby precyzyjny atak wymierzony w Wielkiego Mistrza Zakonu Jedi, czyli w niego. Podjął tak radykalne kroki, by wyprzedzić ten atak, a na czas nieobecności swoją rzeczniczką mianował Mistrzynię Sebatyne. Opuści kryjówkę, gdy unormują się relacje pomiędzy rządem Sojuszu a Zakonem.

Było to wielkie i bolesne kłamstwo. Kenth Hamner na pewno nie unikałby niebezpieczeństw wynikających z pełnionej przez niego funkcji.

Tyle że Daala popadała w coraz większą paranoję, a paranoik zrozumie taką taktykę i doceni ją.

Jaina rozważyła propozycję Leii.

- To... mogłoby zdać egzamin.

- Tak zrobimy - stwierdziła stanowczym głosem Saba. - Teraz musimy się przygotować na ewentualność usunięcia admirała Daali. Nie dysponujemy jej planem dnia, wielkością zasobów i nie znamy stanu jej umysłu.

Corran zdobył się na niewyraźny uśmiech.

- Gdyby to było takie łatwe, Jedi w ogóle nie byłiby potrzebni.

Kilka pięter wyżej w głowie Valina Horna uformowała się wreszcie nazwa planety: Nam Chorios.

Od kilku dni narastało w nim przekonanie, że musi się dokądś udać - do miejsca, w którym będzie mógł być sobą, gdzie spełni się jego przeznaczenie. Z każdą godziną świadomość, o jakie miejsce chodzi, stawała się silniejsza, wyraźniejsza, bardziej konkretna.

Teraz, gdy w świątynnej jadalni zbliżał do ust kawałek steku z nerfa, nazwa planety wyświetliła się w jego umyśle.

Oczywiście znał historię Nam Chorios. Wszyscy słyszeli o Posiewie Śmierci, który trzydzieści lat wcześniej zdziesiątkował populację sektora Meridian. A także o wysiłkach Ministerstwa Zdrowia Nowej Republiki, a później Sojuszu Galaktycznego, by źródło zarazy nie

wydostało się poza ten słabo oświetlony świat.

A teraz wiedział również, że tam właśnie musi się udać.

Spojrzał na siedzącą naprzeciwko siostrę.

Posłała mu uśmiech i lekko skinęła głową. Wszędzie roilo się od szpiegów. Choć ci fałszywi Jedi udawali, że przyjęli ich do swojego grona jak zaufanych członków obalonego Zakonu, to wciąż byli podejrzliwi. Valin i Jysella próbowali w żaden sposób nie zdradzić przed swoimi porywaczami i obserwatorami, że wiedzą, co się naprawdę dzieje.

Ale co powinni teraz zrobić? Do ucieczki z Coruscant najlepiej nadawał się stealthX, ale niemal wszystkie statki Jedi znajdowały się teraz w przestrzeni kosmicznej i polowały na Sithów.

U szczytu stołu pojawił się Mistrz Kam Solusar. Ten szczupły, ogorzały mężczyzna został pasowany na Jedi jeszcze w początkowych latach funkcjonowania szkoły Luke'a Skywalkera na Yavinie Cztery.

- Mogę się przysiąc?

Jysella uśmiechnęła się do staruszka, ale Valin wiedział, że nie jest to szczery uśmiech.

Gestem zaprosił go do stołu.

- Ależ oczywiście.

Język ciała Kama wyrażał spokój i pewność.

- Tekli wspominała, że są już wasze wyniki. Nie wykryła długotrwałych efektów uwięzienia w karbonicie.

Jysella posłała Valinowi zachęcające spojrzenie, więc młody Jedi odpowiedział Kamowi:

- Dobrze wiedzieć. Ale to pewnie oznacza, że wakacje się skończyły. Czas wrócić do pracy?

Kam przytaknął.

- Niestety. Weźmiecie udział w locie kurierskim na Korelię. Polecicie wahadłowcem dalekiego zasięgu z niewielkim ładunkiem dla znajdującej się tam enklawy Jedi. Zawieziecie im kryształ do mieczy świetlnych i lekarstwa.

Valin poczuł, że coś go ścisza w żołądku. Pułapka, to musi być pułapka.

Bo co innego? Taka misja nie wymagała pary doświadczonych Rycerzy Jedi.

W jego umyśle wyświetlił się najbardziej prawdopodobny rozwój wypadków. Na pokładzie wahadłowca zostanie umieszczone urządzenie śledzące. Zgodnie z założeniami, Valin i Jysella opuszczą orbitę Coruscant, obiorą kurs na jakieś odległe miejsce i podejmą próbę ucieczki. Sygnał przesłany do urządzenia podczepionego do komputera wahadłowca wyłączy wszystkie systemy poza funkcją podtrzymywania życia.

A wtedy przybędą fałszywi Jedi i wiedząc, że Valin i Jysella nie dali się oszukać, uwiężą ich. Lub zabiją.

Wszystko to było tak oczywiste, że tylko szalenięć mógłby beztrąsko wejść w taką pułapkę. A może właśnie za szaleńców ci oszuści mieli Valina i Jysellę? Lub też doszli do wniosku, że rodzeństwo nie jest szczególnie inteligentne? To po prostu zniewaga.

A może spodziewali się, że odrzucą tak oczywistą przynętę - i co wtedy? Myśli Valina zaczęły krążyć coraz szybciej, gdy starał się odgadnąć, czego oczekują od niego wrogowie.

Kam przyjrzał mu się z uwagą.

- Wszystko w porządku? Poczulem jakiś przebłysk...

- To z obrzydzenia. - Valin podstawił swój widelec pod nos Kama. - Tylko powąchaj.

- Z mięsem chyba wszystko w porządku.

- Mówię poważnie. Pewnie jest z puszki i ma z milion lat. - Podsunął mięso Jyselli. -

Powąchaj.

Skrzywiła się.

- Daj spokój. Zawsze mi to robisz.

Valin odłożył widelec na talerz.

- Do takiej misji nie potrzeba dwojga Jedi. Najwyżej jednego w towarzystwie kowakiańskiej małpojaszczurki.

- Dokładnie. - Jysella zachowała pełną powagę. - Ja jestem Jedi, a ty małpojaszczurką.

Valin zbył ją gestem.

- Niech ona leci. Ja mogę na przykład ochraniać jakąś uroczystość dobroczynną, gdzie by obowiązywały stroje kąpielowe.

- Jysella wyszczerzyła się w uśmiechu.

— Nie ma sprawy. Choćby taką gamorrańską.

Valin się wzdrygnął.

- Słuszna uwaga. - Kam wstał. - Jysello, masz dwie godziny. A tobie, Valinie, znajdę coś innego.

Odmaszerował do następnego stołu, niewątpliwie po to, żeby przydzielić kolejne zadania siedzącym tam Rycerzom Jedi i uczniom.

Valin nieco się rozluźnił.

Zdali kolejny test. Jysella wyruszy na tę niewymagającą specjalnego wysiłku wyprawę na Korelię i z powrotem. Zyskają zaufanie i zbliżą się do opuszczenia tej planety... w drodze na Nam Chorios.

ROZDZIAŁ 8

Ben doszedł do wniosku, że nigdy wcześniej nie był w mieście podobnym do Hweg Shul.

Tyle tylko, że widział raptem na kilka metrów wokół siebie. Zacinający wiatr i spowijająca miasto burza piaskowa uniemożliwiły dokładniejsze przyjrzenie się okolicy. Przejmujący ziąb, grożący wyssaniem ciepła nawet przez zimowy płaszcz i warstwę ciepłych ubrań, sprawiał, że ochoczo przemykał z Lukiem i Vestarą od jednego do drugiego osłoniętego miejsca, nie mając przy tym zbyt wiele czasu na zwiedzanie.

Tym jednak, co zdążyło rzucić się mu w oczy, była różnorodność architektury.

Większość domów i sklepów zbudowano na platformach z pali - niekiedy drewnianych, częściej z permabetonu, a bardzo rzadko z durastali powleczonej odporną na korozję warstwą ceramiczną. Pale miały od półtora do dwóch metrów wysokości, a same domy - kształt kopuł pomalowanych na najróżniejsze kolory, zbudowanych z permabetonu lub duraplustu. Również z permabetonu wykonano ułożone na platformach, erodujące od wiejącego piasku fundamenty. Na słupach, na wysokości metra, większość budynków miała jasno świecące nawet w pełnym słońcu pręty jarzeniowe - zapewne zabezpieczenie przed drochami.

Kopuły świetnie chroniły przed wiatrem, ale ich dolna część - permabetonowe fundamenty - już niekoniecznie. Jeśli wiatr zawiął pod odpowiednim kątem i z odpowiednią prędkością, mógł przedostać się pod tak wyniesione budynki i zamienić fundamenty w płaszczyzny nośne. Domy jednak jakoś nie odrywały się od słupów; były z nimi zbyt mocno połączone. Tyle tylko, że uderzenia wiatru wywoływały powtarzające się dudnienie, połączone z drganiami. Brzmiało to, jakby miasto znajdowało się pod ostrzałem.

Ze słów ojca wynikało, że te budynki należały do Przybyszów.

Domów i sklepów należących do Tubylców spotykali znacznie mniej i były dużo starsze. Ich ściany wznosiły się często pod kątem lub budowano je na planie trapezu, by wiatr nie zderzał się nieustannie z pionowymi powierzchniami. Wznoszono je z kamienia i pokrywano tynkiem albo - zwłaszcza w tych najniebezpieczniejszych - wykorzystywano zbędny duraplust, również go tynkując. Tynk jednak ulegał już erozji, podobnie jak materiał użyty do budowy domów Przybyszów.

W obu typach budynków rolę okien pełniły małe kawałki transpastali, przeważnie tak już porysowane przez piasek, że bardziej nadawały się na dyfuzory niż do wpuszczania światła. Ben szybko się zorientował, że u bogatszych mieszkańców panele z transpastali były regularnie wymieniane lub polerowane i w efekcie bardziej przezroczyste niż w biedniejszych domostwach.

Poza tym wszędzie wokół - przynajmniej na zewnątrz - dawało się wyczuć delikatny zapach jakiejś substancji chemicznej. Słodki, wręcz przesłodzony. Ben nie potrafił go zidentyfikować, dopóki nie rozpakował swojego bagażu podróznego i, idąc za radą ojca, nie spryskał ubrań i wnętrza worka środkiem na drochy otrzymanym na stacji Koval. To był właśnie ten zapach; każda plastoidowa powierzchnia - ściany pomieszczeń, dywany, meble - były pokryte lub nasyczone

specyfikiem mającym odstraszać drochy.

Gdy opuścili Admirację Admirala, hostel, w którym wynajęli dwa przylegające do siebie pokoje, Luke poprowadził ich ulicami tego wietrznego tunelu udającego miasto.

Ben znowu musiał krzyknąć, by ktokolwiek go usłyszał.

- Czegoś szukamy, tato? Może by tak sprawdzić w komputerze?

- To nic nie da. Już próbowałem.

Wzbudził tym zainteresowanie Vestary.

- A czego dokładnie szukamy?

- Theran Nasłuchiwczy.

Ben pokręcił głową.

- Wydawało mi się, że pełnią tutaj funkcję uzdrowicieli. Dlaczego się nie reklamują?

Przecież nie należą do Czarnego Słońca.

- Komputery i siatki danych to nowomodne wymysły. Nie przepadają za nimi.

Luke'owi coś chyba rzuciło się w oczy, bo ruszył szybciej przed siebie, a Ben i Vestara podążyli za nim.

Wnioskując po wyglądzie, rudera, przed którą stanęli, musiała należeć do Tubylców.

Wyróżniała się wielkością, a przez wszystkie zamglone okienka przebijało na zewnątrz światło. W przeciwieństwie do wielu podobnych budynków, stała nieco dalej od drogi. Obok niej kołysało się na wietrze kilka zaparkowanych śmigaczy i grawicykli. Drzwi zewnętrzne z durastali, przypominające wejście do skarbcza, miały staroświecki wygląd i metalowe zawiasy. Poniewczasie Ben zorientował się, że ma przed sobą dawne drzwi do śluzy powietrznej, najpewniej pochodzące z rozbitego statku albo starej instalacji. Gdy zbliżali się do budynku, niski mężczyzna w skórzanym ubraniu i płaszczu z futrzanym podbiciem otworzył drzwi i wszedł do środka. Obejrzał się za siebie i na widok Bena i jego towarzyszy zdążył zatrzaskać drzwi akurat, gdy do nich dotarli.

Wmontowany w drzwi mechanizm, porysowany kawałek transpastali umieszczony na wysokości oczu, zmienił barwę z zielonej na czerwoną.

Ben utkwiał wzrok w potężnych drzwiach.

- Bardzo towarzyski facet.

Luke popatrzył na ubranie Bena, które - choć w kosmosie uchodziłoby za skromne - wyraźnie różniło się od stroju mężczyzny.

- Całkiem jasno widać, że nie jesteśmy stąd.

Na ustach Vestary pojawił się uśmiezek.

- Zbiorą się w kupę i pobiją nas, bo jesteśmy tu obcy? A może dlatego, że nasze słownictwo obejmuje więcej niż dwanaście słów?

- No już, spokój. - Światło zmieniło barwę z czerwonej na zieloną i Luke otworzył drzwi.

Pomieszczenie, do którego weszli, było małe, z szarą, permabetonową podłogą i sufitem, a tynk wciąż całkiem niezłe trzymał się na ścianach. Drzwi naprzeciwko były bliźniaczo podobne do tych, którymi dostali się do środka. Wyświetlacz świecił na czerwono; zmienił kolor na zielony, gdy tylko Luke zatrzaskał za sobą drzwi przed zawodzącym wiatrem.

Weszli do głównego pomieszczenia pubu. Podłoga i ściany były pokryte pnączami przypominającymi ciemnozieloną winorośl przyciśniętą do nieregularnej ściany, jednak z bliska okazało się, że wzór jest całkowicie płaski, a wszelkie nierówności i wrażenie głębi to tylko złudzenie. W sali rozstawiono kilka długich stołów i sporo okrągłych stoliczków, ale siedział przy nich najwyżej z tuzin mężczyzn i kobiet. Wszyscy klienci wyglądali na twardych ludzi, a wzrostem sytuowali się nieco poniżej ludzkiej średniej Sojuszu Galaktycznego. Mieli brązowe włosy i oczy, a na sobie ubrania z cienkiej skóry albo mocnego, brązowego lub zielonego sukna.

Gdy Ben, Luke i Vestara weszli do środka, rozmowy ucichły. Zgromadzeni beznamiętnie obserwowali trójkę intruzów.

Nie odwracali wzroku, wpatrując się w nich bez słowa i złowrogo.

Automatycznie, wręcz odruchowo Ben otworzył się na Moc. Wszelkie jej zawirowania odebrałby jako ostrzeżenie, że któryś z miejscowych o ograniczonych horyzontach zamierza ich zaatakować.

Nie wyczuwał jednak emocji, których się spodziewał: mieszanki podejrzliwości i może także narastającego niezadowolenia lub złości.

Czuł się... otoczony, jak gdyby ni z tego, ni z owego znalazł się na samym środku sceny amfiteatru, skupiając na sobie wzrok tysięcy widzów. Emocje emanujące z obserwujących go ludzi nie miały nic wspólnego z gwałtownością, były chłodne i analityczne.

To wrażenie wnikliwej obserwacji, choć widać było, że w pubie przebywa niecałe dwadzieścia osób, tak bardzo go zaskoczyło, że ze zdumienia otworzył szeroko oczy. Starał się nie dać niczego po sobie poznać.

Barman, łysy mężczyzna w średnim wieku, potężniej zbudowany i tęższy od większości swoich klientów, przecierał powierzchnię baru żółtą szmatą, połyskującą jakimś olejem albo środkiem do czyszczenia. Jego mina świadczyła, że podjął właśnie decyzję, z której nie jest zadowolony. Odezwał się do przybyszy:

- Pomóc w czymś?

Luke nie zrzucił kaptura ani nie zdjął gogli.

- Szukamy uzdrowienia.

- Nie jesteście stąd.

- Szukamy uzdrowienia.

Ben przetarł swoje gogle. Choć pokrywała je warstwa przeciwdziałająca osadzaniu się pary, różnica temperatur i wilgotności na zewnątrz i w barze powodowała, że i tak całe były zamglone. Chciał także przez ten gest odwrócić uwagę obserwatorów od swojej zdradzającej zaskoczenie reakcji. Gdy spojrzął na Vestarę, zauważył, że i ona rozgląda się wokół, jakby w poszukiwaniu dodatkowych, niewidocznych par oczu.

Luke i barman prowadzili dziwną rozmowę. Ojciec Bena zachowywał się szorstko i prostacko, nawet głos miał zmieniony - dostosowany do beznamiętnego, nieco monotonnego tonu barmana.

Ten zaś nie przestawał polerować blatu.

Luke nie ruszał się z miejsca.

Wreszcie odezwał się ktoś spośród Tubylców: młoda kobieta o pociągłej, ogorzałej twarzy i żywych oczach.

- Sel! - powiedziała.

Kolejny Tubylec, siwobrody mężczyzna, skinął głową, jak gdyby dopiero teraz o tym pomyślał.

- Tak, Sel.

- No... - Barman zastanowił się chwilę i wreszcie przytaknął. Spojrzął na Luke'a i wskazał kciukiem ścianę na lewo od Bena. - Idźcie w dół ulicy, skróćcie w drugą w lewo, potem trzecią w prawo. Wypatrujcie błękitnej kopuły Przybyszów. Pytajcie o Sel. Ona wam pomoże... albo odeśle do domu.

Mężczyzna, który odezwał się wcześniej, teraz zaśmiał się głośno.

- Stawiam na to drugie.

- Dzięki. - Luke odwrócił się w stronę drzwi.

Gdy Ben i Vestara poszli za jego przykładem, Ben poczuł lekkie uderzenie w plecy. Odwrócił się szybko i zdążył dostrzec, jak owad wielkości kciuka zeskakuje mu z płaszcza na podłogę i pędzi na swoich sześciu odnóżach ku listwie przypodłogowej.

Na pozór żaden z Tubylców nie zmienił pozycji. Ten, który rzucił w Bena drochem, miał najwyraźniej doświadczenie w unikaniu odpowiedzialności za swoje szczeniackie psikusy.

Barman się uśmiechnął.

- Chyba przybłąkał się do ciebie zwierzak, Przybyszu.

Luke pociągnął stare drzwi słuzy powietrznej i wyprowadził ich na zewnątrz.

Gdy znowu znaleźli się na wietrznej ulicy, Ben spojrzął pytająco na ojca.

- Mówiłeś, że przez trzydzieści lat wiele się tutaj zmieniło. Z tego, co czytałem o tej planecie, wtedy mogło nam się przydarzyć to samo.

Luke pokręcił przecząco głową.

- Pozmieniało się, naprawdę. Nie ruszyli na nas z blasterami i pałkami w dłoniach.
- Jeszcze nie - prychnęła Vestara. - Ale mam się na baczności.
- I jeszcze to, co się dzieje z Mocą. - Ben nie chciał, by to, co powie, zabrzmiało naiwnie, i wolał nie zdradzać swojego zaskoczenia. - Tutaj zawsze się ją tak odbiera?
- Luke zrobił kwaśną minę.
- Tylko gdy jest spokojnie.

Kierując się wskazówkami barmana, dotarli do małej, błękitnej kopuły. Wystawione na działanie wiatru okna wyglądały, jakby pokrywał je szron. Rozkładane schodki były schowane.

Przy fundamentach, obok miejsca, gdzie zwinięto w harmonijkę stopnie, zobaczyli świecący na zielono przycisk z maskownicą interkomu. Umieszczono go w zagłębieniu ściany, częściowo osłaniając przed bocznym wiatrem. Luke wcisnął guzik.

Po chwili ze staroświeckiego urządzenia odezwał się ożywiony, melodyjny kobiecy głos:

- O co chodzi?

- Szukamy Sel.

Głos nie odpowiedział, ale rozwinęły się durastalowe schody; by były lepiej widoczne, stopnie pomalowano naprzemiennie na i czarno i żółto. Ostatni schodek znalazł się ćwierć metra nad poziomem gruntu. Luke poprowadził ich ku wnęce drzwi, które odsunęły się teraz na jedną stronę.

Weszli do przedpokoju, a gdy tylko zewnętrzne drzwi się zamknęły, otworzyły się wewnętrzne.

Za nimi zobaczyli średnich rozmiarów pokój. Ben zauważył w nim zielony dywan o gęstym splocie, kanapę i fotel pokryte wygarbowaną skórą, długi, biały stół z blatem z duraplastu, przydatny podczas rodzinnych obiadów lub badań. Przy ścianach stały półki wypełnione stertami wydruków na flimsi. Drugie drzwi znajdowały się pośrodku tylnej ściany. Wedle jego wyliczeń to pomieszczenie zajmowało połowę parteru, nad nimi zaś było znacznie niniejsze pierwsze piętro.

Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich kobieta, wycierająca dłonie w szmatkę koloru złamanej bieli. Była szczupła i mimo swojego wieku, objawiającego się siwymi kosmykami w upiętych na czubku głowy włosach, nadal wyglądała atrakcyjnie. Miała jasnoniebieskie oczy i jasną skórę, a na sobie praktyczny, ciemnoczerwony kombinezon. Ben doszedł do wniosku, że w latach młodości musiała być piękna; nadal zresztą była.

Obdarzyła swoich gości uśmiechem, odsłaniając białe, równe zęby.

- Nazywam się Sel - powiedziała.

Luke ściągnął kaptur i zdjął gogle.

- A ja...

- Luke Skywalker. - Sel rzuciła szmatkę na koniec stołu i podeszła do nich, wyciągając rękę na powitanie. - To dla mnie zaszczyt.

Luke uściśnął jej dłoń, po czym wskazał Bena i Vestarę.

- A to... - Nie dokończył zdania, patrząc na Sel zmrużonymi oczami... nie w złości, pomyślał Ben, ale jakby zastanawiając się głęboko nad czymś.

- Sel? - powtórzył z niedowierzaniem. - Teselda?

Starsza kobieta pokiwała głową, a jej uśmiech lekko zbladł.

- Zgadza się, tak mam na imię.

- Nie pamiętasz mnie?

- Wiem, kim jesteś.

- Chodzi mi o przeszłość. Przed trzydziestu laty. Wtedy znałaś mnie jako Owena Larsa.

- Tak? - Sel spojrzała na niego obojętnie. - Wierzę ci na słowo. Pewne rzeczy już uleciały mi z pamięci.

Luke przedstawił swoich towarzyszy.

- To mój syn, Ben Skywalker, a to towarzysząca nam Vestara Khai. Benie, Vestaro, to Teselda... prawdopodobnie najdłużej żyjąca Jedi w całej galaktyce.

ROZDZIAŁ 9

Luke przyjął zaproszenie Sel i usiadł na sofie, ale odmówił kawy i wina. Dyskretnym gestem dał do zrozumienia Benowi, siedzącemu na sofie obok niego, i Vestarze, która przysiadła w fotelu, że oni również powinni podziękować za poczęstunek.

Sel rozsiadła się w fotelu przy stole, zwrócona twarzą do dwójki nastolatków.

- Mistrz Skywalker nieco przesadza. Nie jestem już Jedi. Nawet nie pamiętam tych czasów. Teraz jestem Theranką Nasłuchiowniczką i uzdrowicielką. A niekiedy również osobą, do której Tubylcy wysyłają Przybyszy, by sprawdzić, czy będę umiała się nimi zająć.

- Opowiadając o wydarzeniach na Nam Chorios sprzed tych wszystkich lat, ojciec nie wspominał o tobie - zauważył Ben.

W spojrzeniu, jakim Sel obdarzyła Luke'a, była wdzięczność.

- Chyba nie zaprezentowałam się wtedy od najlepszej strony. - Umilkła na chwilę. - Ale to prawda, swego czasu byłam Jedi. Mam niewyraźne wspomnienia szczęśliwych chwil spędzonych na Coruscant... Byłam jeszcze młodym Rycerzem, gdy wysłano mnie na tę planetę wraz ze starszym stażem Jedi, Beldorianem.

- O nim słyszałem. To Hutt, prawda? - wtrącił się Ben.

- Przebywający tu dłuższy czas użytkownicy Mocy muszą mieć solidne podstawy emocjonalne, w przeciwnym razie odczuwają na sobie szkodliwy wpływ tego świata. Takie podstawy mają Nasłuchiownice dzięki utrzymywaniu kontaktu z tsilami. W Beldorianie jednak za dużo było Hutta - jako Jedi nieustannie walczył, z zachłanną częścią własnej natury, dążącą do zaspokojenia różnych potrzeb, i tutaj wreszcie jej uległ. Ja byłam wtedy bardzo młoda, niedouczone i niedoświadczona; nie potrafiłam nawet zbudować miecza świetlnego. Uległam Ciemnej Stronie... i szaleństwu. - Głos Sel brzmiał dziwnie beztrzesko, jak gdyby opowiadała o wyprawie na zakupy, na której była dzień wcześniej.

Vestara zamrugnęła nerwowo; Luke pomyślał, że pewnie coś sobie wylicza.

- I to wszystko wydarzyło się... kiedy? Przed pięćdziesięciu, sześćdziesięciu laty?

Sel uśmiechnęła się i pokręciła lekko głową.

- Dużo wcześniej. Całe stulecia temu.

Vestara zmarszczyła brwi.

- Ale wyglądasz nieźle. Nie jesteś martwa.

- Jestem w pełni człowiekiem alderańskiego i hapańskiego pochodzenia. Nie mam żadnych protez ani sztucznych narządów... pomijając zęby, które straciłam dawno temu przez własne zaniedbanie. - Wzruszyła ramionami. - I choć mój umysł niszczał i rozpadał się, ciało przetrwało. A to dlatego, że żywiłam się drochami.

Ben uniósł brwi w zdumieniu i spojrzał podejrzliwie na ojca.

- To też pominąłeś w oficjalnym raporcie.

- Nie chciałem, by komuś przyszło do głowy, że jeśli przyleci tutaj i zacznie jeść drochy, to osiągnie coś na kształt nieśmiertelności. - Luke nie był zadowolony. Fakt, że dowiedziała się o tym Vestara, niósł ze sobą poważne niebezpieczeństwo. Jeśli nadal będzie lojalna wobec Sithów i podczas pobytu na tej planecie nie nabierze szacunku dla drochów, nie zacznie się ich bać... - Poza tym tu nie chodzi o zwykły przepis, według którego przygotowuje się zdrowy posiłek.

- Pewnie, że nie. - Głos Sel nagle wydawał się bardzo odległy. - Trzeba je zjadać żywe, wrzucać sobie do ust, gdy wciąż ruszają odnóżami. Niekiedy próbują przegryźć się przez policzek albo język. Wtedy trzeba je rozgryzać, aż zaczną chrzęścić.

Ben starał się ukryć obrzydzenie. Nie do końca mu się to udało.

Sel wrócił dawny nastrój. Spojrzała na Bena.

- Uwalniają wtedy drobne cząstki Mocy, energii życiowej, którą wchłonęły. W połączeniu z wydzielinami ich szkieletu zewnętrznego pozwalają ciału stopniowo się regenerować i naprawiać w sposób, do którego nie byłoby normalnie zdolne. Tkanka nerwowa się odnawia, komórki

rozmnażają... Ale pojawiają się też problemy. Co większe drochy, te zawierające najwięcej energii, wysały ze swoich ofiar także ich wspomnienia i myśli. Jedząc potem te owady, wchłaniało się wszystko, co z czasem skutkowało rozpadem umysłu. Drochy rosną, pozbawiając energii życiowej inne żywe istoty. Żeby na tym skorzystać, musisz zająć miejsce na samym szczycie piramidy, pamiętając, że zachowujesz życie kosztem innych - zwierząt i ludzi, dziesiątek, może setek, a może jeszcze liczniejszych żywych istot.

Zadrżała lekko, tak samo jak Ben wcześniej.

Luke wciąż był czujny, pamiętając, jak wiele lat temu został przez nią oszukany. Miał szczerą nadzieję, że teraz Sel mówi prawdę i że to może usprawiedliwić jego rosnącą sympatię do tej kobiety.

- Ale skończyłaś z tym? - zapytał.

- Już dawno. - Sel wskazała na siebie. - Tylko spójrz. Starzeję się w normalnym tempie. Moje życie nie będzie już nieskończone... ale wreszcie mogę je nazwać życiem, a nie okropną, niemającą końca opowieścią, jaką straszy się dzieci.

Ben ściągnął brwi, próbując połączyć te wszystkie fakty w jedną całość.

- Dane z HoloNetu dotyczące Nam Chorios identyfikują drochy jako źródło Posiewu Śmierci i wspominają o gospodarce opartej na medycynie, ale nie wiążą jednego z drugim. Wszystko się zaczęło, gdy przyjrano się wynikom badań nad drochami, prawda?

Sel rozpozodziła się, ale pokręciła przecząco głową.

- Nie. Theranie Nasłuchiwalce również promują leczenie, nakłaniając ciało pacjenta, by samo się uzdrowiło. To właśnie podstawa nowej medycyny. Przeprowadzamy komplet testów badających właściwości fizjochemiczne chorego i poddajemy go reżimowi Nasłuchiwalcy. Potem znowu przeprowadzamy testy. W ciele pacjenta pojawiają się substancje, których tam wcześniej nie było, a które na przykład, osłabiają lub niszczą komórki nowotworowe. Lekarze Przybyszów analizują te substancje i próbują je skopiować. Czasami im się udaje i wtedy tworzą nowe leki. Nie tylko dla ludzi - również dla Durosów, Chadra-Fanów, Gamorrean, Wookiech, Twi'leków... Wiele gatunków otrzymało już pomoc.

Vestara nie wyglądała na przekonaną.

- I dlatego pozostałaś na tej smutnej namiastce świata? Żeby leczyć niewdzięcznych farmerów o ograniczonych horyzontach, a od czasu do czasu jakiegoś zdesperowanego podróżnika?

Sel uśmiechnęła się błado.

- Chodzi raczej o to, że nigdzie indziej nie ma dla mnie miejsca. Wychowałam się w Świątyni Jedi. Nie znałam swojej rodziny. Wszyscy, których znałam, pomarli. Nawet moi wrogowie, moi rywale... odeszli. Obawiałam się śmierci i walczyłam z nią dłużej, niż trwała cywilizacja na niektórych planetach. Dzisiaj wiem, że śmierć jest częścią życia, i zaakceptowałam ją. Nie spieszo mi do niej... ale równie dobrze może mnie spotkać tutaj. - Szerokim gestem wskazała swoje skromne domostwo. - Na pewnym etapie życia człowiek zdaje sobie sprawę z tego, jak niewiele mu potrzeba. Przeżywam kolejne dni wolna od nienawiści i szaleństwa, a noce bez koszmarów i ukąszeń robactwa.

Luke spojrział na nią.

- Jak zostałaś wyleczona? Ostatnim razem, kiedy cię widziałem...

- To raczej nie był przyjemny widok.

- Rzeczywiście.

- Istnieje pewna technika Nasłuchiwalcy, której wielokrotnie i przez wiele lat się poddawałam. Wyjaśnili mi jej działanie, bo musiałam mieć świadomość, że odzyskam zdrowe zmysły, ale utracę wspomnienia... a ponieważ miałam już za sobą długą drogę, to straciłabym większość z nich. Nasłuchiwalce nazywają tę technikę „wyrzucaniem nerwów”, co oznacza, że całkowicie eliminuje się wspomnienia odpowiedzialne za reakcję traumatyczną lub za obłąd. Ja określam ją jako mnemoterapię. Brzmi łagodniej, nie tak przerażająco.

- Dlatego nie pamiętasz naszego spotkania - doszedł do wniosku Luke.

- Właśnie.

- Teseldo... - Lukiem targały sprzeczne emocje. Jak przez mgłę pamiętał uczucie

obrzydzenia wobec tego, czym stała się Teselda, i swoją złość, gdy próbowała wykorzystać jego i Callistę. Teraz te uczucia walczyły w nim z naturalną sympatią do niej... i z koniecznością uzyskania pomocy. - Przecież bardziej niż ktokolwiek inny jesteś tu narażona na niebezpieczeństwo.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- To miła odmiana.

- Nie żartuję. Coś kieruje się ku tej planecie, może nawet już na nią przybyło. Niesie ze sobą ogromne zagrożenie i poluje na swoje ofiary poprzez Moc. Swego czasu nie dysponowałaś odpowiednim przygotowaniem i nie znając nawet podstawowych technik Jedi, uległaś Ciemnej Stronie i popadłaś w obłąd. Nie umiałaś mnie kontrolować, nawet gdy byłem młodszy i poddawałem się emocjom. Jediną szansą dla ciebie jest opuszczenie Nam Chorios, szczególnie jeśli, jak sama mówisz, należysz teraz do Nasłuchiowaczy. Skoro oni otwierają się na głosy w Mocy, to prawdopodobnie staną się celem Abeloth.

Zastanowiła się nad jego słowami.

- Pamiętaj - powiedziała w końcu - że znając mnie i obserwując zmiany mojego zachowania lub mojej osobowości, miałbyś większą szansę poznać wpływ tej całej Abeloth.

- To... bardzo szlachetne z twojej strony, jednak zapewniam cię, że nie chciałabyś przed śmiercią stać się narzędziem w jej rękach.

- I tak umrę na tej planecie. Zdecydowałam o tym już dawno temu. Jak mogę wam pomóc?

Luke westchnął.

- Z informacji, jakie zdobyliśmy na stacji Koval, wynika, że Abeloth jeszcze tutaj nie przybyła. Ona podróżuje małym, wyróżniającym się statkiem. Ale nie możemy mieć całkowitej pewności. Czy Tubylecy nadal obsługują stanowiska ogniowe?

- Tak, ale korzystają już tylko z czujników.

- Możesz gdzieś poszukać raportów o małym statku, który wszedł w atmosferę w ciągu kilku ostatnich dni, zwłaszcza jeśli ominął po drodze stację Koval?

- Chyba tak.

- Chciałbym też dowiedzieć się czegoś o therańskiej technice nasłuchiwania...

- To będzie dla mnie zaszczyt.

- Na razie jednak chętnie bym zobaczył, na czym polega ta mnemoterapia.

- Tego nie mogę cię nauczyć... ale znam kogoś odpowiedniego.

- Dziękuję.

To dziwne uczucie, być wdzięcznym komuś, kto przez ostatnie trzydzieści lat wywoływał u Luke'a w najgorszym przypadku odrazę, a w najlepszym - litość.

Położyła dłoń na jego rękę. .

- Witaj ponownie na Nam Chorios.

Budynek Senatu, Coruscant

„Przenikliwy Promień”, wahadłowiec klasy Lambda, znacznie nowocześniejszy od jednostki, na której pokład wsiadł Luke na stacji Koval, wleciał przez otwarte, opancerzone wrota hangaru, kierując się na południowy zachód od głównego wejścia do budynku Senatu. Samotnie nim kierująca Seha Dorvald postarała się, by ostatnie chwile lotu były spokojne i pozbawione atrakcji.

Na dole przed nią ubrany w kombinezon Gamorreanin o zielonej, świńskiej twarzy, wyrażającej całkowitą obojętność, gestami trzymany w dłoniach prętów jarzeniowych nakazał jej wylądować „Przenikliwym Promieniem” w głębi hangaru. Seha zastosowała się do instrukcji i poszybowała na repulsorach w wyznaczonym kierunku, aż znalazła się dokładnie nad punktem lądowania, oświetlonym przez pręty umieszczone w szarej, permabetonowej podłodze. Cały hangar tak właśnie wyglądał, a lądowiska, których rozmieszczenie kontrolowały komputery, można było dowolnie modyfikować.

Wyładowała tak łagodnie, że nie dało się właściwie określić, w którym momencie wahadłowiec znieruchomiał. Natychmiast przeszła do wygaszania silników i włączyła głośniki.

- Mówi Dorn, wasza pilotka. Witamy na Coruscant i w budynku Senatu. Mam nadzieję, że mieli państwo przyjemny lot.

Nie dodając już nic więcej, pstryknęła przycisk odpowiedzialny za opuszczenie rampy.

Kątem oka zauważyła, że na prawo od niej otwierają się wewnętrzne drzwi hangaru i wchodzi nimi grupka istot, w większości ludzi. Rozpoznała prezydent Daalę w jej błyszczącym, czyściutkim admirałskim mundurze. Towarzyszył jej wianuszek agentów ochrony i współpracowników, w tym zielonoskóra Twi'lekanka.

Seha udawała, że nie zwraca na nich uwagi. Wyświetliła ekran diagnostyczny - sztuczny ekran diagnostyczny - i zaczęła stukać w ikony, pozornie odhaczając kolejne punkty listy kontrolnej.

Słyszała, jak pasażerowie chwytają swoje bagaże i schodzą po rampie.

Nagle rozległ się głos stojącej pod wahadłowcem Daali:

- Wynn... Generale Jaxton, senatorze Bramsin. Jak dobrze widzieć was w jednym kawałku.

Szorstki z początku głos generała Jaxtona brzmiał z każdym kolejnym słowem coraz ciszej:

- Cieszę się, że wróciłem. Będę mógł wreszcie wszcząć operację przeciwko „Błędnemu Rycerzowi” i Jedi. Proszę sobie tylko wyobrazić, jak beczelnie... - Seha obserwowała, jak otaczająca panią prezydent grupa, powiększona dodatkowo o dołączających do niej pasażerów, kieruje się w stronę drzwi.

Chwilę później usłyszała skrzypnięcie. Ktoś wdrapywał się na statek dostatecznie cicho, żeby tłumić swoje kroki, ale nie aż tak ostrożnie, by rampa nie zdradziła jego obecności. Za plecami Sehy rozległ się męski głos:

- A ty co tu jeszcze robisz?

Seha zerknęła na mówiącego. Był młody i przystojny, brązowe włosy miał przycięte na żołnierską modłę. Nosił mundur porucznika ochrony Sojuszu Galaktycznego, a grymas niezadowolenia na jego twarzy wyraźnie sugerował, że powinna być pod wrażeniem jego surowości i zdecydowania.

Uśmiechnęła się.

- Wyłączam wszystko. Mam nieprawidłowy odczyt z silników.

Pokręcił głową.

- Otrzymałaś zezwolenie na lądowanie, wyładunek pasażerów i start. Teraz musisz stąd odlecieć.

Wskazała ekran monitora, na którym wyświetlała się lista kontrolna i trzy migoczące na czerwono ikony.

- Wolałabym jednak...

- Przykro mi, ale będę nalegał.

Głos Sehy zabrzmiał lodowato:

- W takim razie masz dwie sekundy, żeby zabrać tyłek z mojego wahadłowca.

Odwróciła się do niego plecami i zaczęła pospiesznie włączać wszystkie systemy.

Porucznik był w połowie rampy, gdy wybuchł prawy silnik rufowy.

Tak naprawdę to nie eksplodował. Osłonięty plastoidem kondensator i połączony z nim ładunek chemiczny, podłączone do znajdującego się tam obwodu i aktywowane przez włącznik, spowodowały wyładowanie energii i spaliły moduł, przy okazji wydzielając ogromne ilości czerwono-szarego dymu.

Seha wydała przecwiczony wcześniej, wściekły krzyk i zaczęła pospiesznie pstrykać wszystkimi awaryjnymi przełącznikami w zasięgu rąk.

Stojący na permabetonowej podłodze, tuż przed wahadłowcem porucznik obserwował ją przez okno z nieszczęśliwą miną.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, wstała z fotela i zbiegła po rampie.

Stereotypowym gestem wrogości rodem z holofilmów podstawiła mu pod nos swój datapad, pokazując nowy, zaktualizowany ekran diagnostyczny.

- Widzisz to? Nie mogłeś poczekać tych pięciu minut, aż skończę diagnostykę i krok po kroku wszystko odpalę, prawda? Co ja teraz powiem kapitanowi? A senatorowi? Silniki poszły z dymem, bo ktoś nie raczył troszkę poczekać. Jak się nazywasz, poruczniku Pożegnaj Się z Karierą? Senator chętnie pozna twoje nazwisko.

Nie powiedziała, który senator. Niech myśli, że ten, który właśnie przyleciał.

Odpowiedź porucznika stanowiła ciąg desperacko brzmiących, oderwanych od siebie słów:

- Nie... Przewidziałem... Przepisy... Ogień...

Zbierający się pod permabetonowym sufitem dym włączył instalację przeciwpożarową hangaru. Z sufitu wysunęły się rozkładane rurki, nakierowały na cel, zakaszlały i wypuściły z siebie ogromne ilości szarobiałej piany gaśniczej.

Seha przemokła do cna, ale porucznik tak samo. Widząc jego mundur pokryty substancją o konsystencji zbliżonej do kremu, a na szykownej czapce duży, trójkątny kopiec piany, Seha wybuchnęła niekontrolowanym śmiechem.

Porucznik wykrztusił jeszcze kilka oderwanych słów i westchnął ciężko. Z rurek przestała tryskać piana. Pozory wojskowego profesjonalizmu nieodwracalnie runęły i porucznik obdarzył Sechę przepaszającym półśmiechem.

- No dobrze. Od początku. Czego potrzebujesz?

Seha zdołała opanować śmiech.

- Możesz mi rozszerzyć dostęp, póki nie znajdę mechanika, który rzuciłby na to okiem?

- Załatwione. Masz dwadzieścia cztery godziny, może więcej, aż mechanik sporządzi raport.

- Zaprosisz damę na kolację? Oczywiście, kiedy już doprowadzi się do porządku.

- Załatwione.

- Jak ty się w ogóle nazywasz?

- Javon Thewles. Porucznik ochrony Sojuszu Galaktycznego.

Wyciągnęła do niego dłoń pokrytą cienką warstwą piany.

- Sela Dorn.

ROZDZIAŁ 10

Pałac Symulatorów Obridagara, Coruscant

Niewiele jest miejsc, pomyślał moff Drikl Lecersen, gdzie starzejący się człowiek, znacznie bardziej leciwy od każdego pilota myśliwca w czynnej służbie, mógłby przebrać się w mundur pilota TIE z nazwą jednostki sprzed czterdziestu lat i nie przyciągnąć tym niczyjej uwagi.

Jednym z takich miejsc był Pałac Symulatorów Obridagara. Przechadzający się po tym interesującym ośrodku Lecersen miał na sobie kompletny, czarny mundur z naszywką identyfikującą go jako członka dywizjonu uczestniczącego w słynnej, choć nieudanej, obronie pierwszej Gwiazdy Śmierci w systemie Yavin, w czasach, gdy większości klientów Pałacu nie było jeszcze na świecie. Nikt mu się nie przyglądał. Pod złowrogo wyglądającym, ale zapewniającym anonimowość hełmem ukrywał siwe włosy, szpeceniaste wąsy i wojskowe nawyki, rozślawione za sprawą wielu występów w HoloWiadomościach i przemówień wygłaszanych przed podwładnymi w Szczątkach Imperium.

W głównej sali Pałacu, tak samo jak w jego wielu bocznych pokojach, dominowały błyszczące rzędy najwyższej jakości symulatorów lotu dla cywilów. Skorupy zamkniętych kabin zawierały najnowocześniejsze technologicznie ekrany i systemy dźwiękowe; w ich podstawach i sufitach umieszczono symulatory przyspieszania/zwalniania, zbliżone do kompensatorów bezwładności wykorzystywanych w myśliwcach. Wystarczy wślizgnąć się do kabiny i wydać komendę głosową, wskazując preferowany pojazd i misję, a symulator zajmował się resztą, odpowiednio modelując kabinę i wrzucając obraz stosowny do wskazań użytkownika. W innym punkcie kompleksu można było znaleźć - wynajmowane głównie przez zespoły - symulatory

rozmiarów całych pomieszczeń, odtwarzające wnętrze mostku kapitańskiego okrętu wojennego i słynne manewry floty.

Pałac Obridagara poszedł krok dalej niż wiele innych podobnych przybytków, zachęcając do noszenia kostiumów. Wystarczyło, że mundur pochodził od zdemobilizowanego żołnierza albo wyszedł z użycia przynajmniej dwadzieścia lat temu. Tak więc poza turystami, noszącymi źle dobrane kolorystycznie ubrania lub anonimowe szaty podróżników, i studentami, reprezentującymi najmodniejszy w danym semestrze styl, zdarzali się tu również klienci w mundurach pilotów, oficerów pokładowych i piechoty Imperium, Sojuszu Rebeliantów, Alderaańskiej Straży Królewskiej... Lecersena nieustannie zaskakiwała różnorodność stylów i przywiązanie do detali z epoki.

Skręcił w lewo, w boczny korytarz. Pięć kroków za nim podążało dwóch równie jak on anonimowych i na pozór niemających z nim nic wspólnego pilotów TIE. Jeszcze kilka kroków i Lecersen stanął przed drzwiami, obstawionymi przez rośliny doniczkowe i grupkę pseudopilotów, rozmawiających ścisłymi głosami. Nie tyle blokowali przejście, co uniemożliwiali przedostanie się do drzwi. Jedna z kobiet zerknęła na trzymany w dłoni datapad - zaprojektowany tak, by odbierał sygnał z urządzenia noszonego przez Lecersena. Najwyraźniej wszystko było w porządku, ponieważ pilotka, ubrana w mundur z Naboo używany sześćdziesiąt lat temu, skinęła głową i odsunęła się na bok.

Lecersen minął ją i wszedł do małego, prywatnego baru, gęsto zastawionego roślinami podobnymi do bukszpanu, o podłużnych liściach i cienkich gałązkach. Lamy zalewały pomieszczenie jasnym światłem, a ściany były wyłożone ciemnym drewnem. Eskorta Lecersena została za drzwiami, które teraz zamknęły się na głucho. Lecersen zdjął hełm, szczęśliwy, że znowu czuje na twarzy ruch powietrza.

Pozostali już na niego czekali.

Senator Haydnat Treen z Kuatu, która mimo swojego wieku nadal mogła pochwalić się czujnym spojrzeniem i wyprostowaną sylwetką, nosiła taki sam mundur, jak stojąca za drzwiami strażniczka z datapadem. Obok niej, na stoliku do kart, spoczywał staroświecki hełm pilota z Naboo. Jej szare włosy, choć teraz idealnie ułożone, zdradzały, że musiała je poprawić, by odzyskały swój poprzedni kształt.

Na stołku przy barze siedział przysadzisty, gburowaty generał Merratt Jaxton, zwierzchnik Dowództwa Myśliwskiego Sojuszu Galaktycznego. Jego kostium składał się z kilku niepasujących do siebie elementów. Niegdyś zapewne pomarańczowy kombinezon niechlujnie ufarbowano na ciemną zieleń w odcieniu skóry jaszczura, a następnie połatano. Wysokie do kolan buty miały po bokach rzucające się w oczy kabury na blasty i wibrostrza. Na plecach jego kamizelki kuloodpornej ze skóry nerfa wymalowano przy użyciu szablonu zabawne sylwetki celów, które zlikwidował: droida budowlanego, sarlaka, dwóch satelitów komunikacyjnych, stacji paliwowej i Ewoka. Hełm i maskę, leżące na barze po prawej, również wykonano ze skóry.

Wysoki, podstarzały i wymizerowany senator Fost Bramsin zajmował obity czarną skórą fotel, stojący pod zwisającymi liśćmi tropikalnej paproci. Był ubrany jak do Senatu - w ciemny, kosztowny, nieskazitelnie czysty garnitur, ale na oparciu fotela wisiała czerwona szata strażnika imperialnej sali tronowej, a pasujący do zestawu hełm spoczywał na podłodze u jego stóp. Senator powitał Lecersena serdecznym skinieniem głowy znad parującej filiżanki kawy.

I wreszcie najnowszy członek ich spisku. Gdy Lecersen zorientował się, co ma na sobie, stanął jak wryty.

- Moja droga, to naprawdę chory dowcip.

Admirał Sallinor Parova uśmiechnęła się, biorąc jego uwagę za komplement - choć wcale nie miał nim być. Ta ciemnoskóra kobieta o kręconych włosach, wzrostu nieco powyżej średniej siedziała naprzeciw senatorowi Treen w kostiumie, jednocześnie dziecinnie prymitywnym i wyrafinowanym.

Miała na sobie biały mundur admirański, który całe dziesięciolecie temu wyszedł z użycia. Wyglądał zupełnie jak kostium kupiony w sklepie z zabawkami: uszyty był z pojedynczego kawałka materiału i przypominał luźny skafander z umiejętnie tkanego flimsiplastu, a poszczególne

elementy - jak spodnie, marynarka i guziki - nadrukowano po prostu na jego powierzchni.

Przed nią, na blacie z płyty pilśniowej, leżały pozostałe elementy jej kreacji - prosta i niedroga maska wyobrażająca twarz Bothanina i odpowiednie rękawice.

Podniosła dłoń.

- Poczekaj, aż zobaczysz wszystko razem.

Głos miała zaskakująco niski i głęboki; mógłby należeć do znacznie potężniej zbudowanej śpiewaczki operowej.

Senator Treen pokiwała z udawanym smutkiem głową i teatralnym gestem schowała twarz w dłoniach. Musiała to już widzieć. Parova włożyła wszystkie elementy stroju. Lecersen zauważył, że prawa rękawica jest większa od lewej.

Teraz odwróciła się w jego stronę i wyrzuciła ręce do góry, jakby chciała przejąć kontrolę nad spotkaniem. Prawa rękawica ześlizgnęła się przy tym; Jaxton złapał ją w locie. Parova szybko schowała dłoń w rękawie, udając, że odpadła.

Wzruszyła ramionami.

- Ups!

Powiedziała to radosnym tonem, po czym wybuchnęła śmiechem brzmiącym jak dźwięk kieliszków rozbijających się na permabetonowej podłodze. Ściągnęła maskę i drugą rękawicę, nie przestając się śmiać.

Lecersen pokręcił głową i dołączył do Jaxtona przy barze. Położył swój hełm na blacie, nieco z boku.

- To było jeszcze bardziej niesmaczne, niż się spodziewałem - mruknął.

Jaxton spojrział na niego i pokiwał ponuro głową.

Lecersen nie znał zbyt dobrze Parovy. Po zawiązaniu spisku, dzięki manipulacjom Jaxtona, Treen i Bramsina znalazło się dla niej miejsce w łańcuchu dowodzenia admirała Bwua'tu. I choć zamach na Bwua'tu nie powiódł się - admirał odniósł obrażenia wewnętrzne, stracił prawe ramię i zapadł w śpiączkę, ale nie zginął - to jego efekty były satysfakcjonujące. Prezydent Daala wyznaczyła Parovę na stanowisko Szefa Operacji Floty, obdarzając ją władzą, wpływami i środkami, które trafiłyby w jej ręce w razie śmierci Bwua'tu.

Lecersen przeprowadził staranny wywiad na jej temat. Dowiedział się, że jest osobą kompetentną, zaradną i oddaną przyświecającym spiskowcom zasadom porządku, jedności i bezstronności prawa... Ale dzisiejszy występ dał mu do myślenia. Bwua'tu stanowił przeszkodę na drodze do realizacji ich celu, to prawda, ale był również honorowym wojownikiem, któremu należy się szacunek, a nie kpiny.

Do Lecersena podeszła barmanka, srebrzysty droid protokolarny o kształtach kobiety.

- Życzy pan sobie coś do picia?

Droid miał wbudowaną dużą śrubę ograniczającą zwaną inhibitorem, którą można było wyciągnąć, usuwając tym samym nagrania, które przedtem wykonał. Bardzo pożyteczny zabieg, pozwalający wyeliminować zagrożenie ze strony pracującej tu maszyny.

- Dźwiękowy Śrubokręt poproszę. - Lecersen odwrócił się do pozostałych. - Co słyhać? Jakież postępy, gdy my z Jaxtonem byliśmy zakładnikami Jedi?

Treen się uśmiechnęła.

- Tak sądzę, ale Jaxton chciałby to potwierdzić.

Lecersen spojrział na generała.

- Słucham?

- Przez ostatnią godzinę składałem raport Daali. - Jaxton wypił łyk swojego drinka, pachnącego jak połączenie kafu, śmietanki i koreliańskiej brandy. - Była całkowicie opanowana, ale wyczułem w niej napięcie. Jak w strunie, naciągniętej do tego stopnia, że wystarczy zagrać na niej jeden ton i pęknie.

- Wybornie. Teraz potrzebujemy tylko tego ostatniego, lekkiego szarpnięcia, by wprawić wszystko w ruch.

Bramsina pokręcił głową.

- Jeśli mógłbym użyć bolesnej dla was obu metafory, najpierw musimy zaprogramować

skiftera.

Mówił o karcie używanej do oszukiwania w sabaku. Lecersen nie zareagował na to porównanie, ale Jaxton krzywo spojrzął na leciwego senatora. Lecersen i Jaxton stracili po milionie kredytów wpisowego na turniej sabaka na „Błędnym Rycerzu”. Dla Lecersena było to nieuchronne ryzyko związane z hazardem, ale Jaxton najwyraźniej wiązał większe nadzieje z perspektywą wygranej.

Bramsin podjął wątek.

- Szanse na przeprowadzenie szybkiego i bezkrwawego przewrotu wzrosną, jeśli uda nam się wzbudzić w Daali wątpliwości co do jej ochrony. Jeżeli straci zaufanie do funkcjonariuszy Sojuszu Galaktycznego...

Lecersen przemyślał tę propozycję.

- Wtedy wróci do swojej pierwszej miłości: floty. Nawet jeśli nie jest już taka sama, jak za jej czasów.

Na twarzy Parovy pojawił się uśmiech.

- Z ogromną przyjemnością przedstawię pani prezydent swoją propozycję.

Przyniesiono drinka i Lecersen pociągnął łyk. Droid protokolarny przygotował całkowicie przeciętną, książkową wręcz wersję Dźwiękowego Śrubokręta - o klasycznych proporcjach soku z owoców i alkoholu. Efekt był identyczny z tym, co serwowano w milionach barów i portów kosmicznych. Odstawił szklanekę.

- A co, jeśli zwróci się do Mandalorian?

- Nie sądzę, by to zrobiła. - Z tonu głosu Treen przebijała pewność; jedyna wątpliwość dotyczyła tego, czy mówiąc „my”, ma na myśli wszystkich spiskowców, czy swoje monarsze ego. - Jesteśmy zdania, że jeśli Daala zostanie poddana jeszcze silniejszemu stresowi, może ich użyć do zniszczenia wrogów, ale nie do strzeżenia jej podczas snu.

- Ona naprawdę staje się dawną Daalą.

Jaxton powiedział to z żalem w głosie. Nic w tym dziwnego; trzy czy cztery dziesięciolecia temu, jako pilot myśliwca, sam mógł brać udział w walkach z jej wojskami. Wtedy zachowywała się, jakby jej przemowy słuchali moffowie ery Imperium. Nie pozwalała na żadne dyskusje. Była opryskliwa. Oschła. Niedoświadczona, bo Wielki Moff Tarkin dopiero co zginął. O Mandalorianach nie wiedziała zbyt wiele, ale o flocie - owszem.

Parova pokiwała głową.

- Znała też mojego ojca. Służyli kiedyś razem.

- Ach, tak? - Lecersen skinął z szacunkiem głową. - Masz więc nienaganne referencje.

- Z czasem stają się coraz lepsze.

- Do rzeczy. - Lecersen rozważył możliwe rozwiązania. - Jeśli, a raczej kiedy uda nam się sprawić, by ochrona popadła w niełaskę, a twoje rozwiązanie zyska jej aprobatę i nadejdzie czas działania, to co zrobić, by przekroczyła granicę?

Parova spoważniała.

- Znalazłam rozwiązanie. Niezbyt zabawne... ale powiedzmy, że posłuży dwóm lub więcej celom. Cóż, w mojej flocie nie ma miejsca dla okrętu, którego dowódca nie jest w stanie spełnić minimalnych oczekiwań.

ROZDZIAŁ 11

Hweg Shul, Nam Chorios

Gdy nad częścią Nam Chorios zapadła noc, zelżał otepiający upał, którego źródłem było fioletowe słońce, i uspokoiły się pobudzone żywioły na powierzchni planety. Wiatr przycichł; skończyła się burza piaskowa, która szalała nad stolicą w ciągu dnia, pozostawiając na Hweg Shul nową warstwę kurzu w kolorze zbliżonym do brudnego śniegu. Świeące na nieboskłonie gwiazdy

wyglądały, jakby ktoś nierozważnie rozsypał imperialną kolekcję klejnotów na łoża przykryte czarnym aksamitem. Słały swój blask mieszkańcom tego kamienistego, niewdzięcznego świata.

Było pięknie. Stojąc z synem i Vestarą przed Admiracją Admirala, Luke spojrzął na miriady lśniących, migoczących światła. Za miastem, gdzie nie będzie przeszkadzać światło z domów, ten widok będzie jeszcze piękniejszy.

To dziwne, że ten biedny świat, od setek lat oferujący swoim mieszkańcom jedynie twarde i skromne życie, w wielu sferach potrafi być tak urokliwy. Te wąwozy, wzniesienia gęsto pokryte wspaniałymi, kolorowymi kryształami, i czyste, wolne od zanieczyszczeń niebo... Trudno się dziwić, że gdy trzydzieści lat wcześniej ten świat otworzył się na handel i emigrację, tak wielu zahartowanych mieszkańców planety postanowiło na niej zostać. Od tamtej pory ich populacja znacznie się rozrosła.

W martwocie nieprzyjemnie zimnej nocy Luke dostrzegł w górze ulicy błysk światła. Z tej odległości trudno było zgadnąć, skąd pochodzi, chociaż powietrze było czyste i nieruchome, ale to lśnienie miało w sobie coś znajomego, niemal organicznego, jak gdyby w ich kierunku pędził z szybkością śmigacza grzechotnik utkany ze złotego blasku.

- Trzymajcie się mocno. Nie stawiajcie oporu. Niech przez was przepłynie - ostrzegł młodych.

Zjawisko było teraz wyraźnie widoczne, bo znajdowało się w odległości najwyżej kilku przecznic od nich. Gdy Vestara je dostrzegła, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

Ale Ben wpatrywał się w ojca.

- Niech co...

I nagle znaleźli się wewnątrz tego oślepiającego błysku światła i poczuli w całym ciele mrowienie, jakby przypadkiem otarli się o linię wysokiego napięcia. Luke poczuł, jak napinają mu się mięśnie i na krótką chwilę wyłącza się umysł. Zauważył, że jego syn i Vestara padają na ziemię. On utrzymał się na nogach, ale nie dzięki sile woli, a raczej kontroli nad Mocą - pozwolił, by energia Mocy przepłynęła przez niego i chociaż mała jej cząstka wpłynęła na jego ciało.

Wreszcie światło poszło dalej, trzeszcząc gdzieś za nimi i wijąc się niczym wąż pod palami fundamentów hostelu i innych budynków Przybyszów. W końcu stracili je z oczu, gdy wpadło pomiędzy domy a ulicę przecznicę dalej.

Ben wstał, wyraźnie roztrzęsiony.

- Hej, co to było? Ziemna błyskawica?

Vestara podniosła się wolniej i z większą gracją.

- Nieznośna, podstarzała niańka, która chciała cię połaskotać... tyle że za pomocą elektrobicza.

- Ziemna błyskawica, zgadza się. - Luke rozprostował nogi na próbę. Błyskawica podrażniła jego zranione kolano, które zaczęło pulsować bólem. - Potrafi zaskoczyć i może być bolesna... ale zabija drochy.

- Naprawdę? - W głosie Bena pojawiła się radosna nuta. - W takim razie jest moją nową najlepszą przyjaciółką. Chciałbym dać w nią nura.

Po chwili przecznicę dalej, zza rogu pogrążonej w mroku, niemal pustej ulicy wyłoniła się Sel. Na kombinezon zarzuciła kurtkę ze skórzaną podszewką, na nogach miała ufarbowane na jaskrawożółty kolor, ciężkie buty ze skóry cu-pasa, a do tego wszystkiego włożyła gruby, jasnobrązowy płaszcz z kapturem. Wełniany szal i gogle zasłaniały większą część jej twarzy. Pomachała im, podchodząc bliżej.

- Byliście na zewnątrz?

Luke pokiwał głową.

- Jak widzę, pewne rzeczy nie uległy zmianie.

Sel dotarła do nich i nie zatrzymując się, poszła dalej.

- Tak. Niektóre z nich są wieczne - powiedziała.

Gdy Luke, Ben i Vestara ją dogonili, Luke zajął miejsce po jej lewej stronie.

- A więc będziemy mogli obserwować mnemoterapię w działaniu?

- Tak. Przeprowadzi ją Nasłuchiwacz, Mistrz Taru.

- Czy stanowiska ogniowe Tubylców zebrały dane, które mogłyby się nam przydać?

Sel kiwnęła głową potakująco.

- Dwie noce temu ktoś dyskretnie wszedł w atmosferę statkiem wielkości niewielkiego promu. Pilot musiał wiedzieć, gdzie znajdują się platformy Golan, bo ograniczył szanse, że zostanie przez nie ostrzelany - zresztą i tak by do tego nie doszło, ponieważ statek kierował się ku planecie, a nie odwrotnie - albo że ktoś zarejestruje jego dane. Instalacje naziemne na Ponuraku nagrały niewyraźny obraz statku. Operator twierdzi, że był mniej więcej okrągły, ale większy od myśliwca TIE.

- Na Ponuraku? - Wbrew sobie Luke wrócił pamięcią do wydarzeń sprzed lat. Na tym właśnie szczycie zakończyła się jego pierwsza wyprawa na Nam Chorios - został tam zabrany po katastrofie swojego statku, gdy przekonał tsile do zniszczenia pojazdu niosącego Posiew Śmierci. Tam też ponownie spotkał się z Leią.

No i właśnie tam ostatni raz widział Callistę i machał jej na pożegnanie, nieświadomy, że już jej więcej nie zobaczy. Na Ponuraku wykonał ogromny krok ku zerwaniu niezdrowej więzi.

Przez kolejne lata smutek związany z tym pożegnaniem osłabł, ale Luke cały czas był przekonany, że podjął właściwą decyzję. Ostatnio dopiero zaczęły go gnębić wątpliwości. Czy gdyby wtedy przekonał w jakiś sposób Callistę do opuszczenia Nam Chorios i obrania innej drogi odzyskania więzi z Mocą, to uniknęłaby Otchłani? Przeznaczenia, które czekało ją po spotkaniu Abeloth?

- Jesteśmy na miejscu.

Sel zatrzymała się i gestem poleciła im wejść do podłużnego, niskiego i ciemnego budynku Tubylca.

Luke otrząsnął się z zadumy i spojrzał na Bena i Vestarę, chcąc się upewnić, czy zauważyli, jak bardzo był zamyślony. Chyba nie zwrócili na to uwagi. Idąc za Sel, wszedł do środka.

Trafili do przedpokoju, ale nie zobaczyli wewnętrznych drzwi. Zamiast nich wyjście przesłaniały ciężkie fałdy wełnianej tkaniny, izolującej wnętrze domu przed mroźnym powietrzem.

Sel rozsunęła zasłonę i wprowadziła ich do pomieszczenia, w którym równie dobrze mógłby mieścić się bar; stoły wyglądały bardzo staroświecko. Na niektórych leżały cienkie, nierówne maty i złożone koce. Było też kilka krzeseł i wózków na kółkach, na których spoczywały staromodne przyrządy do badań - kierunkowe pręty jarzeniowe, szczypce, galwaniczne rejestratory reakcji, encefalokanery, sondy dźwiękowe. Znajdowała się tu tylko jedna osoba, siedzący na krześle podstarzały mężczyzna. Pomachał Sel i powrócił do lektury wydruku na flimsi.

Sel przeprowadziła ich przez zasłonięte kotarą, zwieńczone łukiem przejście na tyłach pomieszczenia do schodów, wyglądających tak, jakby wycięto je ze skały pod Hweg Shul. Zaczęła schodzić w dół.

Luke zawahał się przez chwilę. Kamienne schody prowadzące w ciemność Nam Chorios źle mu się kojarzyły. A Leii pewnie jeszcze gorzej. Ale tutaj nie wyczuwał szczątków energii Mocy, wywołujących wrażenie, że to sama Moc gnije w bagnie. Takie właśnie miał uczucie w gniazdach drochów, które trzydzieści lat wcześniej tak mocno dały mu się we znaki. Ruszył za Sel, a Ben i Vestara podążyli za nim.

Komnata na dole rozmiarami i kształtem odpowiadała tej znajdującej się piętro wyżej, ale miała wyższy sufit, jej środkową część zaś zajmowała nierówno ociosana półkula ogromnej geody o średnicy dwóch i pół metra, ustawiona tak, jakby balansowała na krawędzi. Geoda zawierała różnokolorowe kryształy, przeważnie niebieskie, zielone, białe i fioletowe.

Przed geodą stało metalowe łóżko przypominające nosze, tyle że pozbawione kótek czy boi repulsorowych. Leżała na nim młoda, na oko dwudziestoletnia kobieta o drobnej budowie ciała, typowych dla Tubylców rysach twarzy i równie typowym prostym ubraniu z szorstkiej tkaniny. Brązowe włosy miała splecione w długi warkocz, a oczy zamknięte.

Przy łóżku stał kolejny Tubylec, potężny mężczyzna między trzydziestką a czterdziestką, o ciemnych, siwiejących włosach. Obejrzał się, gdy Sel wprowadziła ich do komnaty. Miał zgrabnie przyciętą brodę, która bardziej pasowałaby do szykownego przemysłowca niż do rolnika, a oczy ciemne i pełne wyrazu.

Sel wskazała swoich towarzyszy.

- Taru, oto Mistrz Luke Skywalker, Ben Skywalker i Niestara Khai. To jest Mistrz Taru Dum, przewodzący uzdrowicielom Hweg Shul.

Taru uściskał dłonie całej trójki ze swobodą sugerującą, że nieobce są mu zwyczaje panujące na innych planetach, i zwrócił się do Luke'a.

- Znam was obu z holocaustów i ze wspomnień tsilów.

- Jestem zdumiony, że mnie zapamiętano.

Taru wzruszył ramionami.

- One pamiętają wszystko, a ty jesteś dla nich szczególnie ważny. Obiecałeś sprowadzić z powrotem tsile, które wywieziono poza planetę i zniewolono... i w gruncie rzeczy udało ci się.

Luke pokiwał głową. Nie da się ukryć, że próbował, niestety nie był w stanie odnaleźć niektórych żywych kryształów, które wywieziono z planety i zaprogramowano, by służyły za centralne procesory droidów, myśliczów i innych urządzeń. Jeszcze inne zostały zniszczone. A jednak - dzięki nieocenionej pomocy Leii, pełniącej w tym czasie funkcję prezydenta Nowej Republiki - sprowadził większość z kryształów, poszukiwania zaś brakujących nadal trwały.

Taru odwrócił się do kobiety leżącej na łóżku.

- To jest Thei. Gdy miała pięć lat, wyjechały z matką na cu-pasie ze swojego obejścia, kierując się do Rubinowego Parowu. Dwa dni później wróciła sama. Nie pamięta, co się tam stało. Zaadoptowała ją rodzina górników wydobywających skalną kość słoniową i do niedawna prowadziła normalne życie. Pół roku temu poślubiła miejscowego Przybysza, mechanika zajmującego się naprawą śmigaczy... i niebawem zaczęła doświadczać załamań nerwowych, wywoływanych przeważnie zapachem zupy raktoflowej.

Ben zamrugnął zdziwiony.

- Gdyby nie fakt, że sprawa jest poważna, uznałbym to nawet za zabawne.

- Właśnie takie przyziemne szczegóły mogą mieć ścisły związek ze wspomnieniami - wyjaśnił Taru. - A zapachy wyjątkowo mocno działają na wyobraźnię.

- Skoro niedawno wyszła za mąż, to gdzie jest jej wybranek?

- Ma odmienne zdanie co do skuteczności terapii uzdrawiającej Tubylców. Wierzy we współczesne techniki medyczne, a to, co robią Tubylcy, to dla niego zabobony.

Ben zmarszczył brwi, zamyślony.

- Nie jest dobrze, kiedy mężowie i żony ukrywają przed sobą ważne sprawy. To może doprowadzić do tragedii.

Taru miał już odpowiedzieć, ale Luke przerwał mu, zmieniając temat:

- Co robi tutaj ta geoda?

- Zazwyczaj technikę wrywania nerwów... Sel nalega, by nazywać ją mnemoterapią... przeprowadza jeden uzdrowiciel na jednym tylko pacjencie, wykorzystując do tego specyfik wywołujący trans, ale nie można wtedy dopuszczać adeptów tej techniki. Używamy takich zwierciadlanych mis, by obserwatorzy mogli zrozumieć, co naprawdę się tutaj dzieje. A ponieważ Theia zgodziła się na waszą obecność podczas terapii, przeprowadzimy ją dzisiaj z wykorzystaniem takiej właśnie misy. Przynieście sobie stołki.

Pierwsza usiadła Vestara.

- Skoro to technika Mocy, a jej użycie wywołuje groźne burze...

Taru musiał już kiedyś słyszeć to pytanie, ponieważ pokiwał tylko głową.

- Techniki, które przekazują nam tsile, nie wywołują burz Mocy. W tym miejscu każde jej użycie zostanie wzmocnione, ale różne inne techniki, na dodatek pochodzące od tsilów, są przez nie kontrolowane i objawiają się w postaci całkowicie nieszkodliwej, ziemnej błyskawicy.

Gdy wszyscy zajęli już swoje miejsca, Taru kontynuował wyjaśnienia.

- Thei jest obecnie w stanie mesmerycznym, w którym wzmocniana jest umysłowa więź z Mocą. Nadal mnie słyszy... a przynajmniej taką mam nadzieję. Słyszysz mnie, Thei?

- Tak - odpowiedziała cicho młoda kobieta.

- Wiesz, gdzie się znajdujesz. Jesteś bezpieczna, otaczają cię przyjaciele i obrońcy.

- Tak.

- Wrócimy do wydarzeń z przeszłości, ale musisz cały czas pamiętać, że jesteś tutaj i nic ci nie grozi.

- Będę pamiętać.

- Skończyły się wiosenne siewy. Masz pięć lat. Wraz z matką wybieracie się do Rubinowego Parowu. Po co?

- Materiał... mamy do odebrania beły materiału. Mama uszyje z nich sukienkę dla mnie...

- Podrózujecie na cu-pasie.

- Wabi się Iskra.

- Tak, Iskra. Możesz na nią spojrzeć?

Młoda kobieta nie odpowiedziała, ale na wewnętrznej części geody pojawiły się przeskakujące z jednego kryształu na drugi punkciki światła. Wystarczyła chwila, a światełka uformowały obraz młodego, kudłatego zwierzęcia, poruszającego się na dwóch wyjątkowo długich łapach. Odwróciło głowę i spojrzało na obserwujących je ludzi.

- A więc teraz jedziesz na Iskrze do Rubinowego Parowu.

Obraz zadrżał i nagle na siodle cu-pasa pojawiła się dorosła kobieta z małą dziewczynką. Obie miały brązowe włosy, a na sobie grube ubrania chroniące je przed zimnem. Cu-pas zniknął, a zamiast niego pojawił się obraz jego karku, tak jak widziałoby go siedzące z tyłu dziecko. Usłyszeli hałas, kojarzący się ze staroświeckimi głośnikami, ale wydobywający się z geody - wibrujący odgłos tupania cu-pasa.

Obraz nieustannie się zmieniał. Najpierw pokazywał smętne, pokryte warstwą żwiru pustkowie, chwilę później widzianą od dołu twarz kobiety, potem Iskrę bez jeźdźców, z siodłem lub bez niego, z boku - a wszystko to w wirującym kalejdoskopie krótkich ujęć.

Obrazy zaczęły się powtarzać w ustalonej kolejności i sporadycznie tylko pojawiały się jakieś odstępstwa.

Taru spojrzał na Luke'a.

- Nie chce ruszyć dalej.

- Widzę.

- W takich przypadkach izolujemy pierwszy nerw pamięci.

Taru wyciągnął otwartą dłoń nad czołem Thei i zamknął oczy.

Luke poczuł coś - niewyraźną wibrację w Mocy. Obraz wyświetlany na geodzie rozmył się trochę i otoczyła go złotawa poświata.

Taru otworzył oczy.

- Zidentyfikowaliśmy określony zestaw wspomnień... w przypadku niektórych pacjentów są to halucynacje... towarzyszących tym wspomnieniom, które stanowią prawdziwy problem. Otaczamy je teraz własną tożsamością, naszą projekcją w Mocy, jakbyśmy chowali je do pojemnika z flimsiplastu.

Luke spojrzał na towarzyszących mu nastolatków. Wpatrywali się jak urzeczeni na przemian w twarz Thei i w obrazy wyświetlane na geodzie.

- Musisz ruszyć dalej, Thei - polecił Taru.

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Jesteś bezpieczna. Jestem tutaj i są także Jedi, którzy cię ochronią. Nic ci nie grozi.

Thei jęknęła, ale posłuchała. Nagle obraz zmienił się, pokazując wzgórze, skaliste granie i kryształy oświetlone zachodzącym słońcem.

Znaleźli się głęboko w jaskini; w dalekim wyjściu majaczył usiany gwiazdami fragment nieba. Matka Thei rozstawiła mały ruszt - kratkę ze stali nierdzewnej o powierzchni pół metra kwadratowego, ułożoną na prostokątnej, nieco mniejszej misce. Wlała do miski olej opałowy, podpaliła go i postawiła na kratce sporych rozmiarów rondel napełniony płynem, który po kilku chwilach zaczął się gotować.

Taru wykonał kilka skomplikowanych gestów, kojarzących się Luke'owi z migową wersją basica, wykorzystywaną przez elitarne oddziały wojskowe i niesłyszące rasy.

Po komnacie rozszedł się mocny zapach. Luke dostrzegł, że pozostali również na niego zareagowali. Tak pachnie gęsta i zawieszista zupa raktoflowa z dodatkiem przypraw. Luke był zdumiony, poznając zapach sprzed piętnastu lat. Zdarzało mu się przeżywać coś takiego we własnej pamięci, ale po raz pierwszy doświadczał tego za pośrednictwem osoby trzeciej.

Obraz ponownie uległ zmianie. Nadal byli w tej samej jaskini, tyle że kilka godzin później. Matka Thei spała na posłaniu zawinięta w płaszcz, z blasterem i prętem jarzeniowym pod ręką. Za nią leżała na boku Iskra. Obraz przedstawiono z perspektywy małej Thei, przytulonej do swojej mamy. Zapach zupy nie był już tak intensywny, ale nadal wyraźny.

Usłyszeli trzask pękającej skały.

Matka Thei otworzyła oczy. Iskra zerwała się na równe nogi, skomląc z przerażenia, po czym znowu upadła, choć na rozmytym, bezładnym obrazie nie było widać, że cu-pas złożył nogi.

Zwierzę jeszcze raz jęknęło i znikło.

Chaotycznymi mchami matka Thei odturlała się w stronę Iskry. Zdażyła jeszcze pchnąć Thei, przez co obraz z oczu dziewczynki odwrócił się i stracił czytelność.

Ustabilizował się chwilę później, gdy mała Thei podniosła się z posłania. Zapach zupy zniknął, zastąpiony przez...

Luke poczuł, że coś go ściska w żołądku. Czuli teraz wilgotny, enzymatyczny, zgniły smród gniazda drochów, i to dużego. Wiedział, co się zaraz wydarzy.

Dziewczynka popatrzyła przed siebie. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą leżał cu-pas i jej matka, teraz ziała wielka dziura w dnie jaskini. Wydobywało się z niej dziwne ćwierkanie i głośny szmer, przerywany przenikliwymi piskami zwierzęcia i pełnym grozy zawodzeniem kobiety.

ROZDZIAŁ 12

Obraz stawał się coraz bardziej wyrazisty i realny, a krzyki kobiety i cu-pasa coraz głośniejsze.

Rączka małej Thei sięgnęła po pręt jarzeniowy, zapaliła go i oświetliła wnętrze dziury.

Fragment podłoża, na którym leżała matka Thei i Iskra, musiał przez stulecia ulec osłabieniu, by wreszcie - pod ciężarem cu-pasa - zapaść się do jaskini pod spodem. Jej dno znajdowało się jakieś dziesięć metrów niżej.

Roilo się w niej od drochów; wyglądało to jak dywan ruchomych bryłek wielkości paznokcia.

Iskra, z połamanymi nogami, zaczęła się dziko rzucać, gdy na jej boku pojawił się ogromny droch wielkości dłoni Wookiego. Odwrócił głowę w stronę Thei, obserwując ją i oceniając wielofasetowymi, inteligentnymi oczami.

Matka Thei stała przy ścianie dolnej jaskini, szukając po omacku punktu oparcia, by wspiąć się na górę, ale skała była zbyt gładka. Drochy oblepiły jej nogi i plecy. Wysały z niej już tyle energii, że nieszczęsna kobieta zaczęła się poddawać.

Wpatrzona w córkę, zdołała jeszcze wykrztusić:

- Skarbie, uciekaj.

Potem upadła na plecy, a jej ciało momentalnie pokryły drochy.

Usłyszeli teraz wysoki, przenikliwy krzyk dziecka, a drochy - setki, tysiące drochów - zaczęły się wspinać do Thei.

Obraz zadrgał i rozmazał się. Nagle znaleźli się na zewnątrz, pod gwiazdami; na wschodzie zobaczyli pierwsze przebłytki fioletowego świtu. Thei biegła przed siebie, cały czas krzycząc...

- Wróć do nas - poprosił Taru. - Do terazniejszości, gdzie nic ci nie grozi. Nie myśl już o jaskini. Pomyśl o mężu. O nienarodzonej dziecku.

Mistrz przysiadł na stołku, odsuwając się od Thei i geody.

Obraz wyświetlany w geodzie stopniowo zniknął, pozostawiając po sobie tylko złocisty pasek na obwodzie.

Ben popatrzył na ojca. Był blady jak ściana.

Luke wiedział, o czym myśli jego syn, co czuje. Ledwie kilka lat temu stracił matkę, co było dla niego ciosem. Pomyślał o dziewczynie. Jakie to uczucie, znowu mieć pięć lat i jeszcze raz przeżyć to wszystko... Mistrz Jedi ścisnął ramię Bena, dodając mu otuchy.

Odwrócił się do Taru.

- Co dalej?

- Najpierw muszę upewnić się co do pewnej sprawy.

Taru sięgnął po leżący na stoliku datapad z porysowaną, zniszczoną obudową, jeden ze starszych modeli, i zaczął przeskakiwać po kolejnych obrazach. Ustawił urządzenie tak, żeby i Luke mógł zobaczyć ekran, ale wyświetlane zdjęcia przedstawiały całkiem zwyczajne, domowe sytuacje: Theia u boku radosnego, ciemnoskórego mężczyzny - swojego męża; mąż leżący pod śmigaczem; salon, kuchnia...

- Tutaj. - Taru zatrzymał przewijanie. Na zdjęciu mąż Thei stał obok pieca kuchennego, mówiąc coś do osoby filmującej, zapewne swojej żony. - Widzisz?

Luke przyjrzał się uważniej, zmarszczył brwi i zmrużył oczy. Potem stuknął palcem w płytę kuchenną.

- Ten rondel jest identyczny z tym w jej wspomnieniach.

Taru zamknął datapad.

- Nie wykonano go tutaj. Ma charakterystyczny kształt i oryginalny wzór na ręczce.

Dziewczyna opuściła dom, przeprowadziła się do męża, a tam okazało się, że on ma taki sam rondel, jaki ostatni raz widziała podczas śmierci swojej matki...

- I zaczęły wracać wspomnienia. - Luke zastanowił się głęboko. - Co zamierzasz teraz zrobić?

- Gdyby chciała stawić czoło genezie swoich lęków, samo ujawnienie tego mogłoby wystarczyć. Wiedząc, o co chodzi, wybrałaby się do lekarza Przybyszów, a potem poświęciła całe lata, mnóstwo kredytów i wysiłku, by opanować dręczący ją lęk. Już o tym rozmawialiśmy. Zdaje sobie sprawę, że jej matce musiało przytrafić się coś strasznego, i nie chce z tym żyć. Przejdziemy teraz do wrywania nerwów. - Taru pochylił się nad Thei. - Zazwyczaj potrzeba miesięcy lub całych lat, by opanować podstawy tej techniki. Ty prawdopodobnie osiągnąłeś już wyższy poziom. Będziesz musiał połączyć się ze mną w Mocy tak mocno, jak tylko potrafisz.

- To jedna z moich specjalności.

Luke zamknął oczy i sięgnął poprzez otaczającą go, żywą energię.

Raz jeszcze ogarnęło go wstrząsające wrażenie, że znalazł się w tłumie obojętnych obserwatorów. Zignorował ich, odsuwając od siebie świadomość wykreowaną na tym świecie przez Moc, i zobaczył Taru.

Bardzo szybko odnalazł go w Mocy - jego, Bena, Vestarę i Thei. Obecność Thei lśniła, jak gdyby podświetlał ją rząd ustawionych obok siebie prętów jarzeniowych o wielkiej mocy.

Luke sięgnął do Taru i Thei, łącząc się z ich energiami i oddziałując na nie. Otworzył oczy.

Taru pokręcił głową, zdumiony szybkością i wprawą, z jaką Luke to zrobił. Powiedział cicho:

- Widzisz teraz fragmenty jej pamięci, które zaznaczyłem. Dołącz do mnie i znajdź ich granice.

Luke spróbował i stwierdził, że to okropnie trudne zadanie. Widział energię Taru, jej granice, ale samych wspomnień już nie - jakby kazano mu patrzeć na rzekę i obserwując brzegi, określić, którądy płynie. Praca ze wspomnieniami nie miała wiele wspólnego z wykorzystywaniem energii Mocy...

A jednak wszystkie wspomnienia Thei były podobne i dotyczyły strachu, który czuła jako mała dziewczynka. Emocje mogą nadać Mocy określony smak, a on go odszukał i wyczuł, gdzie leży granica jej doświadczeń.

Było to wspomnienie chwili, gdy dwunastoletnia Thei zobaczyła siebie w lustrze i oceniła zmiany, których dokonał czas. Doszła wtedy do wniosku, że coraz bardziej przypomina swoją matkę - i nagle dopadł ją dziki strach, niezrozumiały dla nastoletniej Thei. Teraz Luke i Taru wiedzieli, skąd się on wziął; w odbitych w lustrze oczach Thei wyczytali tę samą błagalną prośbę,

co u jej matki w chwili śmierci. To wtedy na zawsze połączył je strach. Otoczyli to wspomnienie.

W następnym młodziutka Thei zobaczyła w zagrodzie leżącego ze złamaną nogą, zawodzącego cu-pasa - i znów poczuła przerażenie, którego źródła nie potrafiła określić. Także w tym przypadku Luke i Taru znali odpowiedź na dręczące ją pytanie, widząc w tej scenie odbicie ostatnich chwil życia Iskry. I to wspomnienie również zamknęli.

Luke i Taru płynęli razem wzdłuż konturów przerażenia Thei, póki nie znaleźli wszystkich wspomnień podszytych strachem, których szukali. Dziewczyna doświadczyła w swoim życiu różnych okropności i wielu tragedii, ale żadna nie łączyła się ze śmiercią jej matki.

- Bardzo dobrze, Mistrzu Skywalkerze - pochwalił Taru. - A teraz będziemy delikatnie ciągnąć.

I pociągnęli.

Luke poznał niezliczone style walki i pojedynkował się z wieloma Mistrzami. Jedną z pierwszych rzeczy, które go zaskoczyły, było spostrzeżenie, jak łatwo na holofilmach wyciąga się z ciała wbite tam ostrze. A przecież tkanka zaciska się wokół gładkich metalowych powierzchni, utrudniając jego wyciągnięcie. To dlatego niektóre ostrza wyposażano w zboczą - błędnie określane jako krwawe żłobienia - które ułatwiały wyciąganie ich z ciała. I dlatego miecze świetlne i wibroostrza miały nad nimi przewagę, bo łatwo było je momentalnie wyszarpnąć.

Toksyczne wspomnienia wyciągało się z umysłu Thei jak stalowe ostrze. Wbrew temu, co mówiła, jej podświadomość nie wyrażała na to zgody. Sama pamięć stawiała opór. Ten wysiłek wymagał od Luke'a i Taru - przy wykorzystaniu Mocy - powolnego, miarowego i nieustępliwego ciągnięcia. Nie ustępowali, wyciągając myśl za myślą, wspomnienie za wspomnieniem, aż wreszcie wszystkie straszliwe obrazy opuściły młodą kobietę.

Luke czuł, że mogliby zastosować większą siłę, mniej kontrolowaną, i po prostu wyrwać wspomnienia. Nie potrafił sobie jednak wyobrazić, jak wielką szkodę wyrządziłoby to psychice Thei.

Po kilku minutach Luke wyczuł obecność wspomnień - choć już nie w formie obrazów - jako unoszącego się przed nimi odbicia myśli, związanych nie z ciałem, a z Mocą. Prawie mogli ich dotknąć.

Taru spojrział na niego.

- Chcesz je zabrać? - spytał.

Wstrząśnięty Luke wbił w niego wzrok.

- Co takiego?

- Thei ich nie chce, ale to ważne, ludzkie doświadczenia. Nie wolno nam zhańbić pamięci, pozwalając, by rozplynęły się w nicość. Mistrzowie tej techniki przyjmują cudze wspomnienia, by nie zniknęły.

Luke niewiele rzeczom w życiu się dziwił, ale pomysł przyswojenia potwornej wizji pięcioletniej dziewczynki, obserwującej śmierć swojej matki, zdecydowanie zbił go z tropu. Jednocześnie rozumiał, co Taru ma na myśli.

- Taru, jak wiele cudzych zmartwień nosisz w sobie?

Zapytany uśmiechnął się gorzko.

- A ty, Mistrzu Skywalkerze?

- Nie... stanowczo nie chcę tych wspomnień.

- W takim razie uwolnij je.

Gdy Luke to zrobił, poczuł, że zmniejsza się napięcie, którego nie był do tej pory świadom.

Taru zaniknął oczy i podniósł dłonie.

Zmiany nie dało się zobaczyć, ale Luke poczuł, jak obcy element Mocy wpływa w Taru i staje się jego częścią. Taru zadrżał, a gdy otworzył oczy, wyglądał na zmęczonego.

- Zrobione - powiedział cicho.

- To było... - Luke coś sobie nagle uświadomił. - Już to kiedyś robiłem, wiesz?

- Tak mi się też wydawało. Szybko załapałeś, o co chodzi.

- Ale nie robiłem tego ze wspomnieniami. Wrywałem tylko energię Mocy z miejsca, do którego nie przynależała... - Luke też czuł zmęczenie.

- Jesteś ranny. - Taru spojrział na kolano Luke'a.
- Mówisz o mojej nodze? - Luke zgiął na próbę kolano. - Szybko zdrowieje.
- Jeśli chcesz, mogę rzucić na nie okiem. Wiesz, że używanie bacty jest na Nam Chorios zabronione, ponieważ nasila efekt Posiewu Śmierci...

Porysowany datapad uniósł się ze stołu, gdzie odłożył go Taru. Zawieszony w powietrzu, niepodtrzymywany niczyją dłonią ani chociaż sznurkiem, unosił się przez chwilę, po czym sam się otworzył.

Luke spojrział na obecnych podejrzliwie.

- Czyja to sprawka?

Nie wyczuwał, by którekolwiek z nich zrobiło użytek z Mocy; zakłócenia ze strony wszechobecnych, obojętnych oczu niemych świadków uniemożliwiały mu określenie źródła tego, co się stało.

- Przestańcie, ale już.

Ben wzruszył ramionami.

- To nie ja.

Również pozostali pokręcili przecząco głowami.

Datapad przeleciał metr i uderzył Taru w bok głowy, strącając Nasłuchiwicza ze stołka. Wylądował na siedzeniu, a twarz wykrzywiła mu się w grymasie bólu.

Luke poderwał się, ale nie pomógł Taru wstać. Wiedział, co nadchodzi; wiedział też, że musi obserwować otoczenie.

- Burza Mocy! Przygotujcie się! - polecił.

Ben, Vestara i Sel wstali i odruchowo ustawili się plecami do siebie. Taru podniósł się z ziemi i zajął miejsce obok Thei, osłaniając ją swoim ciałem. Ze skaleczenia po uderzeniu datapada spływała cienka strużka krwi.

Miecz świetlny Vestary uniósł się w powietrze i zaczął szarpać kłamrę, którą był przyczepiony do paska. Gdy wzięła go do ręki, włączył się sam. Odsunęła ostrze dalej od siebie. Trzymała miecz w mocnym uścisku, wpatrując się w niego ze zdumieniem.

Gdzieś nad nimi rozległ się odgłos upadku, stłumiona eksplozja i jęk bólu. Sel pobiegła do schodów. Luke ruszył za nią, wyprzedził ją i pierwszy wbiegł do głównego pokoju na piętrze.

W powietrzu unosiło się kilka urządzeń medycznych - tych najbardziej zaawansowanych - wirując pośrodku pomieszczenia niczym miniaturowa trąba powietrzna, której zarysy tworzyła zawartość gabinetu lekarskiego. Pogrążony wcześniej w lekturze starszy mężczyzna przykucnął za grubym, drewnianym stołem. Na innym stole leżały resztki blastera. Jego bateria musiała eksplodować, rozsadzając broń na kilka części; rękojeść i lufa pozostały na blacie. Policzek staruszka krwawił, widocznie trafił go odłamek.

Z zewnątrz dobiegały jęki i okrzyki niepokoju. Luke popędził w kierunku wyjścia, odrzucił na bok zasłonę i otworzył drzwi.

Za nimi panował istny chaos.

Jak tylko Luke wyrzwał na zewnątrz, obok niego przetoczył się śmigacz, jeden z nowszych modeli; wyglądało to, jakby kopnął go największy rankor w galaktyce. Nad głową przeleciały mu trzy monitory komputerowe, ustawione niczym formacja myśliwców, po czym zmieniły tor i uderzyły w ścianę domu Tubylca. Z wnętrza Luke usłyszał pełne niepokoju krzyki.

Na lewo od niego, w odległości jednej przecznicy, trąba powietrzna składająca się z błyszczącego pyłu, fragmentów śmigacza, prętów jarzeniowych oderwanych od pali podtrzymujących budynki, zwojów kabla, dźwigarów i części droidów, utworzyła falującą, wysoką na dziesięć metrów kolumnę, po czym zaczęła się oddalać. Przecznice przed nimi kopulasty dom Przybysza zachwiał się i zatrzęszczał, jakby próbował oderwać się od podłoża. Ben i Vestara stanęli u boku Luke'a. Ben wytrzeszczył zdumione oczy.

- *Stang!* - zaklął.

- Szybko do kopuły - rzucił szorstko Luke.

Skreślił biegiem w boczną uliczkę, która miała go doprowadzić do rozedrganego, chwiejącego się domostwa Przybysza.

Gdy ślizgając się, wypadł za róg i kopuła ukazała się jego oczom w całej okazałości, stało się jasne, że budynek i jego mieszkańcy znaleźli się w poważnym niebezpieczeństwie. Dwie z podpór były złamane, a z popękanych permabetonowych słupków wystawały pręty zbrojeniowe z durastali. Bliższa część kopuły uniosła się dwa metry do góry, po czym runęła na połamane podpory. Nie rozpadła się na szczęście, choć na froncie budynku pojawiło się pęknięcie nad oknami i głównym wejściem. Ze środka słychać było krzyki pełne niepokoju i bólu.

Luke rzucił się przed siebie, prosto do wejścia. Nie było to łatwe zadanie - nie mógł sięgnąć do Mocy i musiał polegać na swojej zdrowej nodze - ale wylądował tam, gdzie zamierzał. Usłyszał trzask lampy nad drzwiami.

Drzwi się nie otworzyły. Luke zapał się o ścianę i kopnął, jednak w tej samej chwili kopuła kolejny raz uniosła się i upadła. Uderzył głową w jej brzeg. Pomimo przeszywającego bólu udało mu się wylądować na nogach i nie stracić równowagi.

Na prawo od niego Vestara wyskoczyła w powietrze i pięknym łukiem opadła na kopułę. Stojąc we wnęce przed drzwiami, Luke nie widział, gdzie dokładnie, ale głuchy brzęk, sygnalizujący zderzenie ciała z cienkim metalem, a nie z permabetonem, oznaczał, że musiała celować w jedno z okien. Ustąpiło pod naporem uderzenia.

Na lewo od Luke'a Ben próbował powtórzyć manewr Vestary. Cięższy od niej, uderzył w szybę z większą siłą. Odgłos wyrwanego z ramy okna był głośny i satysfakcjonujący.

Luke jeszcze raz wymierzył kopniaka drzwiom; tym razem skutecznie. Drzwi wyleciały z futryny i Luke zobaczył przed sobą pokój mniej więcej tej samej wielkości, co w domu Sel.

Kopuła znowu uniosła się z jednej strony. Luke zapał się o wejście.

Zamiast się zawalić, budynek zaczął przekreślać się na bok. Luke usłyszał, jak pęka kolejny permabetonowy słup. Obejrzał się przez ramię. Świat na zewnątrz wirował - to kopuła obracała się na ostatniej podporze. Siła odśrodkowa o mało nie wyrzuciła Luke'a z budynku, a od szaleńczych obrotów poczuł mdłości. Nie chcąc wykorzystywać Mocy, zapał się o ściany, po czym z wysiłkiem ruszył do pokoju.

Było w nim znacznie więcej mebli niż u Sel, a wszystkie porzucane wokoło, jakby jakiś olbrzym zdmuchnął je swoim oddechem. Sprzęt elektroniczny - datapady, monitory, holoprojektory - roztrzaskał się o sufit, spadł na podłogę i ponownie uniósł w powietrze, sypiąc iskrami w powietrznym tańcu samozniszczenia. Luke dostrzegł, że jeden z foteli się pali.

Pod wywróconą do góry nogami sofą zobaczył człowieka, gorączkowo wymachującego rękami, Podbiegł do niego, chociaż podłoga domu przechylała się w górę i w dół, i nachylił się, by usunąć przygniatający ofiarę mebel.

Pod sofą leżał siwowłosy mężczyzna, tak chudy, że sprawiał wrażenie zagłodzonego. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Gdy tylko Luke usunął ciężar, starzec przetoczył się na plecy i złapał się za lewe ramię. Musiało być złamane w łokciu lub ponad nim.

Luke przykucnął, dla utrzymania równowagi zapierając się o wejście.

- Ile osób zostało w domu? - Żeby mężczyzna w ogóle go usłyszał, Luke musiał przekrzyczeć łoskot pękających mebli, skwierczenie elektroniki i dochodzące z zewnątrz krzyki.

- Dwoje... - Mężczyzna usiadł z wysiłkiem. - Moja córka i jej syn...

Luke wziął starca na ręce i odwrócił się, by ocenić drogę do zewnętrznych drzwi. Między nim a punktem docelowym pojawiła się biblioteczka ze sztucznego drewna - przemknęła po podłodze, zatrzymała się na zewnętrznej ścianie i tam dopiero znieruchomiła.

Mistrz Jedi ruszył biegiem przed siebie. Podłoga unosiła się i opadała, ale nie korzystał z Mocy, by wyrównać bieg. Odwrócił się, uderzając ramieniem w wejście i jednocześnie chroniąc głowę mężczyzny przed zderzeniem ze ścianą. Chwiejnie dotarł do wnęki i wyskoczył na dwór.

Trafił dalej, niż zamierzał, bo w momencie jego skoku kopuła zaczęła wykonywać kolejny obrót. Przeleciał dziesięć metrów, przyjmując impet lądowania na zdrową nogę. Zanim wytracił rozpęd, wykonał jeszcze przewrót, nie puszczając staruszka, i dopiero zwolnił.

Gdy wreszcie się zatrzymał, spojrzał za siebie.

Vestara zdążyła wyskoczyć spod kopuły. Niosła na rękach małego, może trzyletniego chłopca. Ona również odwróciła się, by spojrzeć w kierunku domu, po czym popatrzyła na dziecko.

Zmarszczyła nos, jakby poczuła paskudny zapach, i bezceremonialnie postawiła malca na zakurzonej ulicy.

Luke zdał sobie sprawę, że kopuła przekreśliła się o sto osiemdziesiąt stopni; znaleźli się teraz z Vestarą na ulicy, która przedtem ciągnęła się na tyłach budynku. Dom nadal się obracał, niczym zwierzę chcące zerwać kłępującą jego ruchy obrozę.

Usłyszeli łoskot dochodzący od strony okien na pierwszym piętrze. Kawałek porysowanej transpastali wypadł z ramy i potoczył się po zakrzywionej powierzchni kopuły, by wreszcie z trzaskiem upaść na ziemię. W oknie pojawił się Ben, trzymający w ramionach młodą kobietę. Szybko i zwinnie jak małpojaszczur wyskoczył na kopułę, przebiegł po niej i jakieś trzy metry nad ziemią wybił się w powietrze. Wylądował zwinnie na zakurzonej ulicy Hweg Shul. Przetoczył się przez ramię i wstał.

Kopuła obróciła się znów wokół własnej osi i uniosła nad głową Bena, by zaraz opaść.

Luke otworzył już usta, by ostrzec syna, ale Ben zmienił kierunek i przeturlał się pod ostatni ocalały permabetonowy filar. Kopuła runęła z łoskotem, przesłaniając widok, a potem, pęknięta, znowu uniosła się w powietrze. Luke dostrzegł Bena i uratowaną przez niego kobietę; cali i zdrowi leżeli u podstawy ostatniego filaru.

Resztki kopuły zadygotały i zerwały się z uwięzi. Budynek wzniósł się w powietrze, obrócił wokół własnej osi dziwnie majestatycznie, niczym mała stacja kosmiczna, która zawisła tuż nad powierzchnią ziemi, po czym poszybował nad miastem.

Luke położył starca na ulicy i podbiegł do syna.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Ben wstał. Miał rozcięty policzek i stracił płaszcz. Przy każdym oddechu z jego ust ulatywała zmrożona para.

- W porządku. Tato, to jest Zara. Zaro, poznaj Luke'a Skywalkera.

Ciemnowłosa kobieta o dużych oczach przelotnie zerknęła na Luke'a i pognała w stronę Vestary i swojego synka. Chłopiec płakał, ale nie z bólu; nie mógł patrzeć, jak jego rodzinny dom leci unoszony w powietrzu przez niewidzialne prądy.

Kopuła zniknęła za niską w tej okolicy linią dachów. Z oddali dobiegł głośny huk, gdy dom runął na ziemię.

Wydawało się, że siły gnębiące miasto odebrały to jako sygnał. Podskakujące, wirujące i przecinające powietrze sprzęty i fragmenty budynków, wywołujące koszmarny chaos i grożące przebywającym wśród nich ludziom, runęły jednocześnie na ulice i dachy.

Zapadła cisza przerywana tylko jękami rannych, okrzykami bólu i odgłosami alarmów gdzieś niedaleko.

Vestara dołączyła do nich.

Luke przyjrzał się obojgu młodym. Vestara również odniosła lekkie obrażenia; szatę miała rozerwaną na ramieniu, a jej dół ochlapany czymś, co pachniało jak zawartość akwarium.

Ruchem głowy wskazał na zniszczenia.

- Do roboty - zarządził.

Przez godzinę robili wszystko, co w ich mocy - pomagali Tubylcom i Przybyszom wyciągać ofiary spod zawałonych domów, odstawiali zgubione dzieci do matek i zaganiali cu-pasy, które wyrwały się na wolność, bo rozpadła się ich zagroda.

Na szczęście latająca kopuła nie runęła na dach innego domostwa, tylko na pole, więc nikt przy tym nie ucierpiał.

Z raportów wynikało, że dwie osoby straciły życie - mężczyzna porażony prądem w saniparze i nastolatek przygnieciony przez toczący się śmigacz. Mogło się okazać, że jest więcej ofiar; część domów się zapaliła i nie przekopano się jeszcze przez zgliszcza. Wiele wskazywało, że z powodu burzy Mocy ucierpiały również inne miasta i osiedla na Nam Chorios.

Na razie jednak chaos powoli ustępował i Sel odprowadziła całą trójkę do ich hostelu.

Ben zmarszczył w zadumie brwi. Luke widział, że chłopiec cały się trzęsie - nie udało mu

się odnaleźć płaszcz. Gdy się odezwał, jego głos zdradzał, że jest pod dużym wrażeniem.

- Więc tak wygląda burza Mocy.

- I to najpotężniejsza, jaką widziałem. - Luke próbował przypomnieć sobie opis burzy, której doświadczyła Leia. - Większa nawet od tych, o których tylko słyszałem.

Vestara też zmarszczyła brwi, choć pod goglami ledwo to było widać.

- Dlaczego akurat sprzęt elektroniczny był najbardziej podatny na jej działanie?

- Nikt tego dokładnie nie wie - odpowiedziała z żalem Sel. - Od trzydziestu lat nie mieliśmy żadnej burzy, więc trudno było to zbadać. Jedna z teorii głosi, że na aktywność Mocy wpływa obecność tsilów, a tsile to kryształowa forma życia, przypominająca czipy komputerowe. I dlatego energia Mocy zmienia kształt i rezonuje w obwodach komputerowych. Teraz przecież każdy produkt ma wbudowane obwody, nawet dźwigary z durastali, Ze względów diagnostycznych. W takiej kopule muszą ich być setki...

To wywarło wrażenie na Vestarze.

- A więc burza rozpętała się przez nas?

- Nie, nie. - Tego akurat Sel była pewna. - Techniki Nasłuchiwczy nie wywołują takiego efektu. Gdyby było inaczej, już bym się z tym spotkała. To... coś innego.

- Wiem. To Abeloth. - Luke stłumił westchnienie. - Jest gdzieś tutaj i eksperymentuje.

Korzysta z Mocy znacznie intensywniej, niż mnie się to kiedykolwiek zdarzyło. I nic jej nie obchodzi skutki.

Sel posłała Luke'owi wymowne spojrzenie i zwolniła nieco, zostając z tyłu. Luke zrównał z nią krok. Młodzi poszli przodem.

Luke usłyszał, że Vestara podniesionym głosem klóci się z jego synem.

- Udajesz, Ben - mówiła.

- Właśnie że nie. Naprawdę zamierzam. Popatrz tylko.

Z westchnieniem otuliła Bena połą swojego płaszcz. Przytulił się do niej, by mogli się nawzajem ogrzać.

Sel odezwała się przyciszonym głosem, by Ben i Vestara nie mogli jej usłyszeć:

- Dam ci swój klucz.

- Do twojej kopuły?

- Nie, do mojej mnemoterapii.

- Nie rozumiem.

- Wyobraź sobie umysł jako system komputerowy. Pacjent musi zaufać Nasłuchiwaczowi i wspólnie z nim stworzyć klucz, dzięki któremu Nasłuchiwacz dostanie się do umysłu tylnymi drzwiami i wywoła stosowany w tej technice mesmeryczny trans. W przypadku Thei odbyło się to przed naszym przybyciem. Rozumiesz?

- Chyba tak.

Sel podała mu złożony arkusz flimsiplastu. Był tak cienki, że Luke widział przez niego tekst po drugiej stronie. Wyglądało to na zapis nutowy. Słowa były pradawną kołysanką z Alderaanu; Luke słyszał kiedyś, jak Leia śpiewają malutkim jeszcze Jacenowi i Jainie.

Sel włożyła rękę z powrotem do kieszeni ciepłej kurtki.

- To mój klucz. Taru i inni Nasłuchiwacze korzystali z niego podczas mojej terapii. Może ci się przydać, jeśli dojdiesz do wniosku, że Abeloth mnie... wykorzystuje. Dzięki niemu zyskasz pewność.

- To niebezpieczna gra, Sel. Najlepiej by było, gdybyś na jakiś czas opuściła planetę.

- Ty także.

- Słuszna uwaga.

ROZDZIAŁ 13

Budynek Senatu, Coruscant

- Widzę, że zamierzacie mnie obrażać na każdym etapie naszej rozmowy.

Ton głosu Daali był chłodny jak Hoth w środku zimy. Wrażenie chłodu dodatkowo wzmacniała śnieżna biel jej munduru i kolor większości mebli w gabinecie pani prezydent.

- Nie zgadzacie się, żebym porozmawiała z Kenthem Hamnerem i przedstawicie ostentacyjnie idiotyczne powody jego nieobecności. Odmawiacie mi informacji dotyczących szalonych Jedi, którzy zaatakowali admirała Bwua'tu. Twierdzicie, że waszym celem jest normalizacja relacji pomiędzy Zakonem Jedi a rządem, ale nic nie potwierdza waszych słów.

Leia i Han wymienili spojrzenia. Daalę irytowało, że nie potrafi odczytać, co się za nimi kryje. Wieloletnie małżeństwa operowały językiem złożonym ze spojrzeń, tajemnych znaków i półsłówek, których nikt inny nie był w stanie odczytać.

Han odezwał się pierwszy.

- Nie ma dowodów, że zamachowcami byli Jedi.

Wynn Dorvan, czwarta osoba uczestnicząca w tych prywatnych negocjacjach, spojrział na Hana szyderczo.

- Nie ma dowodów? A miecze świetlne? Śledztwo wykazało, że wiedzieli, jak się nimi posługiwać... nie tylko, żeby kogoś zabić, umieli też odbijać pociski. Czegoś takiego nie można się i nauczyć z holofilmów.

- Nie każdy, kto potrafi posługiwać się mieczem świetlnym, musi być Jedi. - Ton głosu Leii był wyważony i uprzejmy, ale nieustępliwy. - To mogli być byli Jedi.

Daala pokiwała głową.

- Jak ta morderczyni Tahiri Veila, tak?

- Wiesz przecież, że w galaktyce są także Sithowie.

- Jak to dobrze, że poinformowaliście mnie o ich istnieniu, zanim mój wywiad wpadł na ich trop. Nadal czekam na wyjaśnienie różnic pomiędzy Jedi a Sithami. Jedi Veila i wasz syn Darth Caedus zdawali się ich nie dostrzegać.

Leia milczała i Daala zaczęła się zastanawiać, czy księżniczka nie rzuci się na nią przez biurko. Jednak po krótkiej przerwie Leia podjęła wątek tak samo spokojnym głosem:

- Sama zatrudniłaś władającą mieczem świetlnym łowczynię nagród, Zilaashę Kuh, która nie była Jedi. Gdzie ją znalazłaś? Może ona wyjaśni, skąd się wzięli zamachowcy odpowiadający za atak na admirała Bwua'tu.

Trafiła w czuły punkt. Kuh zniknęła niedługo po wykonaniu swojej ostatniej misji u boku zatrudnionych przez Daalę łowców nagród. Okazało się, że jej dokumenty zostały mistrzowsko podrobione. Prawdziwa tożsamość łowczyni nagród, tak samo jak jej obecne miejsce pobytu, pozostawały nieznane.

Daala nie pozwoliła im jednak przejąć inicjatywy.

- Jeśli chcecie ją zwerbować, to bardzo mi przykro, ale wam nie pomogę. Wracając do problemu, który nurtuje mnie od wielu miesięcy: nie dojdzie do normalizacji stosunków pomiędzy Jedi a rządem, dopóki Zakon nie przyjmie do wiadomości, że jest podporządkowany rządowi, i nie zacznie zachowywać się w należyty sposób.

Han uśmiechnął się krzywo, całkiem jak przemysłowiec szydzący z władzy.

- Nawet jeśli opinia publiczna jest temu przeciwna?

Daala utkwiała w nim groźne spojrzenie.

- Wydaje ci się, że obywatele darzą teraz Jedi sympatią?

Leia machnięciem ręki zbyła zarzut Daali.

- Aktualna sytuacja może nie mieć znaczenia. Zakon raz zyskuje, a raz traci w oczach opinii publicznej... ale przeważnie jest postrzegany w pozytywnym świetle, nawet podczas ostatnich wydarzeń.

- To nieistotne. - Daala zlekceważyła tę uwagę i nieznacznie wzruszyła ramionami. - Obywatele woleliby też nie płacić podatków, ale bez podatków rozpadnie się infrastruktura Sojuszu, siły zbrojne zostaną rozwiązane, a część światów stanie się niezdatna do zamieszkania - jak choćby Kessel. Opinia publiczna nie jest na tyle rozsądna, żeby podejmować ważne decyzje.

Tym razem to głos Leii zabrzmiał lodowato:

- A więc obywatele nie mają prawa domagać się uwzględnienia swoich racji przez tych, którzy ich reprezentują, tak? Powinni podporządkować się władzy i kwita. Tak właśnie rozumował Palpatine.

- Istnieje różnica pomiędzy kierunkiem a odległością, księżniczko. Palpatine posunął się za daleko i znacznie przekroczył dystans, który powinien był pokonać. Ale liczył się obrany przez niego kierunek.

Twarz Leii wyglądała jak wykuta z kamienia i Daala już wiedziała, że tego dnia nie uda im się znaleźć płaszczyzny porozumienia.

Setki metrów dalej, w chronionym hangarze wewnątrz budynku, po rampie „Sokoła Millenium” zeszły dwie wyposażone w skanery funkcjonariuszki Ochrony Sojuszu Galaktycznego. Nie oglądając się za siebie, odeszły od przypominającego spodek lekkiego frachtowca, ignorując jego zabytkowy wygląd i sławę.

Siedzący w sterowni, w fotelu drugiego pilota C-3PO obserwował je przez okno na lewej burcie.

- Ojej! Szkoda, że tak szybko poszły.

R2-D2, który stał za nim, w drzwiach do sterowni, zapiszczał melodyjnie.

See-Threepio odwrócił się i obrzucił gniewnym spojrzeniem zwieńczonego kopułą droida astromechanicznego. Wiedział, że nie może zmienić wyrazu twarzy, by zaakcentować swoją irytację; musiała mu wystarczyć postawa i ton głosu.

- Pamiętaj, ty zlepku wadliwych procesorów, że musimy teraz zrobić to, o co prosili pan Han i pani Leia. Mnie osobiście wcale się do tego nie śpieszy. - Wystawił ręce przed siebie, by fotoreceptory mogły je zeskanować. - Tylko spójrz, jak my wyglądamy.

Miał rację. W miejscach, gdzie niedawno powierzchnia droida protokolarnego, choć porysowana, błyszczała jednak złotem, a tu i ówdzie srebrem, widać było tylko matowy, jasny brąz, efekt sesji z puszką sprayu. Łatwo dawało się go zdrapać, a C-3PO chciałby, żeby ktoś już się do tego zabrał. Kamuflaż był dla niego nowością i zdecydowanie nie przypadł mu do gustu.

Artoo również prezentował się inaczej. Wszystkie jego niebieskie elementy zostały tymczasowo przemalowane na czarno. Jego nowy wygląd budził niepokój.

Oba droidy miały też ograniczniki; C-3PO nosił swój na klatce piersiowej. Nie były prawdziwe i nie działały, ale wyglądały identycznie jak te montowane u droidów odwiedzających budynek Senatu.

R2-D2 zapiszczał w ten sam denerwujący See-Threepio sposób, jakby mówił: „Czas wziąć się do roboty”.

- No dobrze, dobrze.

Droid protokolarny wstał niezgrabnie. Z siedzenia pilota wziął skrzynkę z narzędziami - niewinnie wyglądającą, podniszczoną po wielu latach użytkowania, z matową, durastalową obudową i czarną rączką.

Oba roboty pokonały rampę załadunkową i ruszyły w stronę wewnętrznego wyjścia, prowadzącego na korytarz, z którego można było dostać się do wszystkich hangarów na Poziomie Drugim. Przy wyjściu stała para umundurowanych żołnierzy Służb Bezpieczeństwa Sojuszu Galaktycznego: okazałych rozmiarów Twi'lek o niebieskiej skórze i głowooonach w żółte i czerwone pasy i Bothanka, która pasowała kolorem do See-Threepia, gdyby jej futro miało metaliczny połysk; byli zajęci rozmową, ale uważnie obserwowali hangar.

- Ojejku, tego najbardziej nie lubię.

Trzymając skrzynkę z narzędziami w mocnym uścisku obu pomarańczowych dłoni, C-3PO starał się iść tak nonszalancko, jak tylko to było możliwe w przypadku droida protokolarnego. Spróbował obejść funkcjonariuszy, nie zwracając na siebie ich uwagi.

- Stać - warknął Twi'lek.

See-Threepio, którego oprogramowanie nakazywało podporządkować się rozkazom istot

żywych, o ile nie kłóciło się to z ważniejszymi poleceniami, zatrzymał się wystraszony.

- Nie powinno was tutaj być.

- Ależ, drogi panie, wręcz przeciwnie. Mechanik, który dokonał wstępnej oceny bezpieczeństwa koreliańskiego frachtowca... o, tego tam... znajduje się obecnie w hangarze 2315. Zostawił swoje narzędzia. Muszę mu je odnieść.

Żołnierze wymienili spojrzenia, po czym Twi'lek sięgnął po skrzynkę i otworzył ją.

Bothanka przytrzymała nad nią swój ręczny skaner, a jej partner wyjmował po kolei znajdujące się w środku przedmioty i podstawił je do przeskanowania.

Hydroklucz. Datakarty. Puszki smaru w sprayu, środek konserwujący i pędzle. Liczniki. Datapady.

Przy żadnym z przedmiotów skaner nie zareagował ostrzegawczym dźwiękiem, co wydawało się wyraźnie irytować Twi'leka. W końcu zatrzasnął skrzynkę, wcisnął ją w ręce C-3PO i obrzucił droida gniewnym spojrzeniem.

- W porządku.

- Dziękuję panu...

- Droid protokolarny powinien dojść na miejsce w ciągu czterech standardowych minut.

Wyliczyłem to. Jeśli nie wrócisz za dziesięć albo z głównego korytarza skęcisz nie do hangaru, a w jakąś inną odnogę, pošlę za tobą droidy ładunkowe i każę im przerobić cię na wióry.

- Zrozumiałem, proszę pana. Wspaniale, proszę pana. Dziękuję panu. - Gnany strachem C-3PO pędem minął wyjście.

Po drugiej stronie znajdował się szeroki korytarz z brzydkiego permabetonu. Było tu tłoczno - grupki istot z różnych światów, często dziwnie wyglądających, opuszczały właśnie swoje wahadłowce albo na nie wracały, podczas gdy miniaturowe śmigacze przewoziły ładunki części zamiennych do pojazdów i baterii. Pomimo dręczących go obaw C-3PO z radością wsłuchiwał się w tak różne języki. Miał oto jedną z rzadkich okazji, by przetestować swoje wybitne zdolności językowe.

Ale jadący za nim na trzech kółkach R2-D2 musiał wszystko zepsuć, produkując całe serie radośnie brzmiących gwizdów i pisków.

- Tak, Artoo, był duży, i raczej nie żartował - odpowiedział See-Threepio.

Przeciągły gwizd.

- Cóż, jeśli nawet spóźnienie nie będzie wynikało z naszej winy, możemy skończyć w zginiętarce. Przyspieszmy nieco, dobrze?

Niegłośny świergot.

- Tak, może jakiś Wookiee będzie chciał zabawić się z nami, przetrzymując nas w jednym miejscu, póki nie przyjdzie Twi'lek. To mało prawdopodobny scenariusz, no i dość okropny, jednak nie można go wykluczyć.

Cała seria pisków.

- Artoo, wydaje się, że mnie nabierasz, i wcale mi się to nie podoba.

Gdyby C-3PO dysponował gardłem, w tej chwili przełknąłby z trudem ślinę. Z tak wielu powodów mogli się opóźnić i stracić te dwie dodatkowe minuty... W reakcji na sugestie Artoo umysł C-3PO zaczął pracować na najwyższych obrotach i jeszcze intensywniej rozważać te powody. A co, jeśli zawiedzie sworzeń i odpadnie mu prawa noga... albo drogę przetnie im nieplanowana parada... zepsują się drzwi... Nie było końca tym możliwościom, a każda była gorsza od poprzedniej.

Droidy dotarły do hangaru numer 2315, także strzeżonego przez dwie istoty - rogatego, czerwonoskórego Devaronianina i szarego Durosa. Oni również przeskanowali zawartość skrzynki z narzędziami, tyle że w tempie wywołującym niemal fizyczny ból u See-Threepia, i wpuścili droidy do środka.

C-3PO poczuł ogromną ulgę, gdy zobaczył wahadłowiec „Piaskowy Tancerz” stojący nieopodal, jedno stanowisko od drzwi. Mechanik męczyzna pracował właśnie przy silnikach rufowych, spawając coś i rozsiewając błyszczące iskry w promieniu czterech metrów. A Seha - niech jej będą dzięki - czekała już na nich u podnóża rampy. C-3PO prawie do niej podbiegł.

- Pani...

- Pamiętaj, że mam na imię Sela. - Seha spojrzała nad ramieniem droida protokolarnego na stojących przy drzwiach strażników.

- Tak, pani Selo.

- Nie ruszaj się. - Seha ustawiła się tak, żeby C-3PO zasłaniał ją przed wzrokiem strażników. Udała, że otwiera skrzynkę z narzędziami i sprawdza jej zawartość. - Artoo?

- Proszę pani, czas nas goni...

- Cii.

R2-D2 podjechał blisko niej. W jego kopule otworzyła się mała szczelina, z której wysunął się patykowaty chwytak. W szczypcach trzymał srebrzystą rurkę mniej więcej długości rękojeści miecza świetlnego, ale grubszą. Widniały na niej wymalowane czarną farbą słowa. C-3PO umieścił rurkę w skrzynce na narzędzia i cofnął ramię.

- Chyba mamy wszystko - powiedziała poważnie Seha. - Tylko żeby mi się to nie powtórzyło.

- Co takiego ma się nie powtórzyć? Ach... no tak, zapomniałem. Chociaż, formalnie rzecz biorąc, to nie my o tym zapomnieliśmy, tylko pani mechanik. - Było to oczywiście kłamstwo, ponieważ mechanik nie pojawił się w ogóle przy „Sokole Millenium”, ale dość wiarygodne.

Artoo zaszczebiotał.

- O mój Boże, kończy nam się czas. - C-3PO obrócił się w miejscu. - Chodźmy, Artoo. Jeśli mamy uniknąć losu gorszego od pocięcia na kawałki...

Seha obserwowała, jak droidy pospiesznie opuszczają hangar. Spojrzała na swojego mechanika - ciemnowłosego, poważnego i dobrze radzącego sobie ze sprzętem ucznia Jedi nazwiskiem Bandy Geffer - dała mu znać, że wszystko jest w porządku, po czym weszła na statek.

Chwilę później wcisnęła włącznik odpowiedzialny za podnoszenie rampy i zamknęła drzwi oddzielające sterownię od kabiny pasażerów. Przeszła na tyły kabiny, zasłaniając po drodze okna. Otworzyła małe drzwiczki nad siedzeniami po obu stronach statku, w domyśle prowadzące do bagażowni. Ale te akurat dysponowały zapasowymi systemami kontroli na wypadek awarii - sprawdzającymi gaśnice, atmosferę i łączność.

Na każdym z małych paneli wstukwała krótką, zakodowaną komendę. Panele odsunęły się, odsłaniając dwie poziome wnęki, rozmiarami przypominające trumny i sięgające daleko za przedział pasażerski.

A w każdej wnęce był Jedi.

Mistrz Kyp Durrone zamrugał, osłaniając oczy przed światłem z kabiny.

- Jesteśmy na miejscu?

- Wreszcie.

Mistrzynie Octa Ramis wychyliła się do połowy ze swojego schowka, wysunęła nogi i zwinnie stanęła na podłodze. Była ciemnowłosa i atrakcyjna, a na szary, skromnie wyglądający komplet, powszechnie noszony przez pracownice Senatu, zarzuciła cienki, biały płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem.

Kyp również zdołał już wydostać się na zewnątrz, z pewnym trudem przeciskając szerokie ramiona przez właz. Wyszedł głową do przodu i przeturlał się po podłodze.

- No to zobaczymy, co też nam dali.

Seha podała mu skrzynkę z narzędziami. Gdy Kyp rozkładał jej zawartość, Seha otrzepała mu pył z pleców.

- Dzięki. Co my tu mamy... Dokumenty. Karty płatnicze. - Kyp podniósł cylinder, który Seha otrzymała od R2-D2, i przeczytał znajdujący się na nim napis: - „Dwa kilogramy plastycznego ładunku wybuchowego. Otworzyć tuż przed użyciem”.

Octa usiadła w fotelu naprzeciwko niego.

- Gdy tylko pojemnik zostanie otwarty, zaraz wykryją go czujniki.

- Racja. Ho, ho... zestaw do makijażu, barwnik do skóry w sprayu i farba do włosów.

Octa włożyła jedną z kart do datapada. Na ekranie zaczęły się wyświetlać dane.

- Ta jest twoja, Kyp. Nazywasz się Izzen Fray, jesteś analitykiem finansów należącym do służb wsparcia trzeciego stopnia u senator Treen z Kuatu.

Seha spojrzała z konsternacją.

- Trzeciego stopnia?

Kyp pokiwał twierdząco głową.

- Tak, wiemy, że ona ma tutaj dużo swoich ludzi. To dobry wybór. Wiemy też, że potrafi zniechęcić ciekawskich, co z kolei oznacza, że jej podwładni często nie znają się nawzajem.

Octa lekko się uśmiechnęła.

- Oczywiście, jako samiec Kuati, jesteś obywatelem drugiej kategorii. Poćwicz ukłony i szuranie stopą.

- Tak zrobię, pani. Hej, i tak wolę to od losu niewolnika w kopalni, którym niegdyś byłem. - Włożył drugą kartę do datapada. - Ty nazywasz się Olya Merker. Należymy do tej samej delegacji. Jesteś specjalistką od spraw wygody.

Rozbawiona Octa prychnęła.

- Wybornie, czyli muszę popracować nad strzepywaniem poduszek. - Nagle o czymś sobie przypomniała. - A jak tam twoja randka, Seho?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Przyjemna, dziękuję. Byliśmy na kolacji i na tańcach. Dawał mi do zrozumienia, że jest mną zainteresowany, ale nie na tyle agresywnie, żebym musiała wyrzucić go przez okno.

Octa posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Może być miły, ale pamiętaj, że należy do Służb Bezpieczeństwa. A to oznacza, że jest podejrzliwy i lubi wtykać nos tam, gdzie nie powinien. A jeśli odkryje, że Jedi wykorzystwała go, żeby dostać się do budynku Senatu...

- Tak, tak, wiem. - Seha przewróciła oczami. - Ale chyba mogę raz na jakiś czas poudawać, że moje życie jest normalne? Chociaż przez godzinę?

Octa i Kyp spojrzeli po sobie.

Kyp pokręcił głową.

- Mowy nie ma.

Octa powtórzyła jego gest.

- Po co się łudzić?

Seha westchnęła.

- W każdym razie na jednym z czipów znajduje się informacja, które z biur Senatu nie są obecnie zajęte. Jeśli uda wam się podrobić dokument potwierdzający, że senator Treen przydzielono kolejne pomieszczenie...

- Uzyskamy jako tako wygodną bazę wypadową. - Kyp uśmiechnął się szeroko do Octy. - Biorę kanapę.

- Raczej podłogę. Albo blat biurka.

Seha odwróciła się w stronę sterowni.

- Dostaniecie swoje miecze świetlne pomimo tych nowych środków bezpieczeństwa, a Solo dostarczą wam informacji i wszystkiego, co trzeba. Bułka z masłem, prawda?

- Akurat.

- Nie miej złudzeń.

Pół godziny później Seha dała Bandy'emu ustalony znak, wysyłając pojedynczy sygnał na jego komunikator.

Bandy wytarł dłonie w pobrudzoną olejem szmatę i podszedł sztywno do okna sterowni. Seha włączyła zewnętrzne mikrofony i głośniki.

- Tak?

- Zrobione.

- Jesteś pewien?

Uśmiechnął się.

- Kiedy włączysz silniki, pojawi się dym. Za wylotem jest kałuża chłodziwa, ale gwarantuję, że wszystko gra.

- Podrzucić cię do sklepu?

- Poproszę. Tylko zbiorę narzędzia.

Seha przeszła na rufę statku i spojrzała na Kypa i Octę, którzy, jak przystało na Mistrzów Jedi, siedzieli w swoich fotelach, nie zdradzając najmniejszych oznak niepokoju.

- Jeszcze chwilę.

Otworzyła rampę i zeszła ze statku.

Stojąc na dole, pomachała do strażników.

- Moglibyście na czas naszego startu wyłączyć system przeciwpożarowy? Trochę tu nadymimy i już nas nie ma. Wystarczy już tej piany.

Devaronianin skinął głową.

- W porządku.

- Skleja włosy, a schodzi dopiero po kilku saniparach.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. - Wskazał na swoją błyszczącą, łysą i rogatą czaszkę.

Bandy wbiegł do kabiny pasażerskiej z narzędziami w ręku. Seha weszła za nim na pokład i skierowała się do kabiny.

Włączyła silniki, ale wstrzymała się z podniesieniem rampy.

Gdy lampki zapłonęły na zielono, informując o stanie gotowości, na rufie rozległy się mechaniczne zgrzyty. Z silników buchnął dym.

Seha poczuła lekkie dotknięcie Mocy, gdy Mistrzowie wbiegli w kłęby dymu i wykorzystali swoje umiejętności, by przyspieszyć i zniknąć, zanim zasłona się rozwieje.

Uśmiechnęła się, podniosła rampę, pomachała Devaronianinowi i wystartowała. Cofnęła prom kilką metrów, płynnie obróciła go wokół własnej osi i ruszyła w stronę otwierających się właśnie wrót.

Po chwili była już na zewnątrz. Odetchnęła z ulgą.

Bandy usiadł w fotelu drugiego pilota i wskazał na coś po prawej stronie.

- Zobacz tylko.

W pewnej odległości od nich „Sokół Millenium” opuszczał właśnie inny hangar na Poziomie Drugim. Seha pozdrowiła załogę przestarzałego transportowca.

- Coś mi się wydaje, że nam poszło łatwiej niż im.

- Tak... z wiekiem i sławą przychodzi też stres.

Seha uniosła brwi i wprowadziła kurs mający wynieść ich na orbitę.

Jedi udało się zrealizować dwa zadania: dostarczyli na miejsce Mistrzów i potrzebne im rzeczy - i wszystko poszło jak trzeba.

A przynajmniej taką miała nadzieję.

ROZDZIAŁ 14

Pustkowie Nam Chorios

Podczas gdy Ben, chłopięcy i beztroski, był zajęty pilotowaniem śmigacza, Vestara usiłowała możliwie najskuteczniej zakodować list, który właśnie pisała.

Musiała to zrobić. Takiego listu nie ośmieliłaby się wysłać ani nikomu pokazać. Ukryje go w najgłębszych zakamarkach pamięci datapada i tylko ona będzie miała do niego dostęp. Może nawet zostanie zmuszona do usunięcia go z własnej pamięci, gdyby jej uczucia miały wyjść na jaw.

Ojciec...

Nie, tak właśnie zaczęłaby ten list w prawdziwym świecie.

Kochany Tato!

To też odrzuciła. „Tata” jakoś tu nie pasował. Tak powiedziałaby... Ben.

Otoczenie się zmieniło. W miejsce szarych, ponurych pól usłanych kryształowym żwirem pojawiły się wzgórza, a potem kaniony. Z ich wnętrza wyrastały wysokie jak kominy, błękitne, zielone i białe kryształowe kolumny, razem tworzące największe i najbardziej imponujące skupisko tsilów na całej planecie. Vestara ledwo zwróciła na nie uwagę.

Tatku...

Może być.

Kochany tatku!

Mam nadzieję, że czujesz się lepiej i że odpowiednio zajęto się twoimi ranami...

Co za dziwny początek listu. Oczywiście, że zajęto się jego ranami. Ale wykazując taką uczuciowość, podkreślała ogromną różnicę pomiędzy Zapomnianym Plemieniem a kulturami Sojuszu Galaktycznego. Nawet dla niej te słowa brzmiały dziwnie, ale jakoś jej to nie odrzucało.

Nie miała też nic przeciwko obsadzeniu swojego ojca, Gavara Khaia, w odmiennie niż dotąd roli, przedstawieniu go w innym świetle, złagodzeniu jego bezwzględного dążenia do perfekcji i spełnienia. W sprawieniu, żeby bardziej przypominał Luke'a Skywalkera.

Gdy poprzedniej nocy zauważyłam, jak mocno poruszyły Bena wspomnienia o matce, jak wciąż przeżywa jej stratę i jak jego ojciec instynktownie chciał go pocieszyć, od razu to ty przyszedłeś mi na myśl. Czasami zastanawiam się, jaka bym była, gdyby wychował mnie rodzic...

To słowo tutaj nie pasowało. Usunęła je.

...wychował mnie oziębły i obojętny ojciec albo człowiek, który zamierza mnie wysłać ku trudnemu przeznaczeniu w zimnym i bezwzględnym świecie. Chyba nie polubiłabym takiej siebie, jaką bym się stała. Jestem...

Dodanie następnego słowa stanowiło trudność prawie nie do pokonania - tak obce było ono jej naturze. Zmusiła się jednak, by podążać nieznaną sobie ścieżką.

...szczęśliwa, że ty zawsze byłeś dla mnie dobry i wspierałeś mnie.

W końcu miała dość tych kłamstw. Odłożyła datapad i odwróciła się do niego tyłem. Musiała się pozbierać.

Język, którego użyła, był jej obcy, a wszystkie te zwroty i uczucia znała z holofilmów. To tam ludzie gloryfikowali ckliwe, niepraktyczne emocje. Słabość była dla nich cnotą.

Tyle że to, co czuła, nie do końca było słabością. Ben nie był przecież słaby. Miewał napady sentymentalizmu, co narażało go na ataki, ale na pewno nie wynikało to ze słabości. Ale w takim razie, jakie słowo byłoby odpowiednie?

Może „elastyczny”? Vestara była jak drzewo o twardym pniu, wysokie i dumne bez względu na to, z jakimi siłami musi się zmierzyć.

Ben zaś to giętkie drzewko, takie, które pochyli się i zegnę, żeby nie ucierpieć od wiatru, ale się nie złamie. Taki wichur mógłby wyrwać z korzeniami drzewo Vestary i przewrócić je... Niedługo po tym, jak straciła kontakt z Sithami - i to nie tylko ze względu na odległość, ale i przez jej udział w zabiciu ich przywódcy, Taalona, co było równoznaczne z wyrokiem śmierci - coraz wyraźniej czuła podmuchy wiatru. Sięgnęła po datapad.

Luke opowiedział nam ostatniej nocy o swojej pierwszej podróży na ten świat. Jakaś kobieta przyniosła mu wtedy tsila - nikt jeszcze nie wiedział, że to żywe, inteligentne istoty - i pokazała mu, jak go przeprogramować przy użyciu prądu. Gdy przyłożyła do kryształu kable podłączone do akumulatora, zmieniły się naturalne linie jego wewnętrznych obwodów. Jak się okazało, tsil doświadczył jednocześnie zniszczenia umysłu, co można by przyrównać do natychmiastowej, bolesnej śmierci. Całe to wydarzenie, za pośrednictwem Mocy zraniło Luke'a - choć był to tylko przejściowy ból. Chwilę później kryształ spadł na ziemię i się roztrzaskał. Luke nie zrozumiał sensu tej tragedii, ale ją poczuł. Zdumiewa mnie, że Przybysze nadal nie traktują tsilów jak żywe istoty i nie czują smutku na myśl o takiej niepotrzebnej, przypadkowej śmierci, z czym musieli się zetknąć tysiące razy...

Znowu wzięła górę ta dziwna uczuciowość. Zapisała dokument i wsunęła datapad do torebki przy pasku.

To służy zrozumieniu umysłu wroga, powiedziała sobie. Trzeba zrozumieć ich słabości, by

móc je później wykorzystać.

- Wszystko w porządku?

Pytanie Sel wyrwało Vestarę z zadumy. Posłała siedzącej obok staruszce uśmiech, który, jak miała nadzieję, wyglądał autentycznie. Po chwili przypomniała sobie, że i tak go nie widać pod goglami i chroniącym przed zimnem szalem.

- Zamyśliłam się - wyjaśniła.

Sel skinęła głową i znowu utkwiała wzrok w przestrzeni przed sobą.

Śmigacz Taru był jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi i właśnie skręcał w lewo, w odnogę kanionu. Sel rozejrzała się po okolicy.

- Już prawie jesteśmy.

- To dobrze.

Niebawem oba pojazdy zatrzymały się przed wylotem jaskini - dużą szczeliną w ścianie kanionu, wysoką jak dwóch Wookiech, stojących jeden na drugim. Przed jaskinią stały dwa grawicykle, śmigacz i trzy cu-pasy. Taru i Ben zatrzymali się obok nich.

Cała piątka weszła do jaskini. Wewnątrz straż pełniło dwóch Tubylców uzbrojonych we współczesne, dobrze utrzymane karabiny blasterowe. Zerknęli przelotnie na Taru, a resztę grupy zignorowali.

Pierwsza jaskinia, do której weszli, była pusta i bezbarwna, oświetlona przez pojedynczy pręt jarzeniowy o dużej mocy. W jej głębi nierówne podłoże obniżało się pod ostrym kątem. W pradawnych czasach wycięto tam schody; ale korzystający z nich przez stulecia ludzie całkiem je wydeptali. Taru poprowadził ich na dół.

Głęboko, znacznie poniżej dna kanionu, podłoże jaskini prawie się wyrównywało, prowadząc do wejścia do znacznie większej pieczary. W jej ścianach tkwiły kryształy; oświetlone prętami jarzeniowymi, lśniły tak, jakby ten blask pochodził z ich wnętrza.

Było tu więcej Tubylców - kobiet i mężczyzn; większość z nich otaczała czarny garnek, z którego emanowało ciepło bez odrobiny dymu. Gdy Vestara podeszła bliżej, zauważyła, że w środku były puszki z olejem opalowym.

Taru zaprowadził Luke'a do mężczyzny mniej więcej w wieku Sel. Był wysoki jak na Tubylca i łysy, miał siwą brodę i czujne spojrzenie oczu, które w tym świetle wyglądały jak czarne. Byłby chyba zdolny przejrzeć człowieka lub kamienną ścianę na wylot. Vestara widywała takie oczy u istot władających Mocą, które dążyły do ściśle wytyczonego celu.

Taru przedstawił ich sobie.

- Mistrzu Nenn, to Mistrz Luke Skywalker. Nenn jest starszym Mistrzem Theran Nasłuchiowaczy, kimś w rodzaju naszego lidera. Mistrz Luke jest przywódcą Zakonu Jedi.

- Byłym przywódcą. - Luke wyciągnął dłoń na powitanie.

Nenn wpatrywał się w nią, póki nie przypomniał sobie o zwyczajach Przybyszów; w końcu uściśnął dłoń Luke'a.

- Oczywiście znamy twoje imię. Chyba spotkaliśmy się już kiedyś, gdy zacząłeś koordynować wysiłki mające na celu sprowadzenie tsilów na ich ojczystą planetę.

- I mnie się tak wydaje.

- Taru wspominał, że przynosisz niepokojące wieści dotyczące Nam Chorios. Być może i ja mam jakieś wieści dla ciebie. Proszę... - Wskazał skalną półkę najmniej porośniętą kryształami i przysiadł na niej. - Opowiadaj. Taru przekazał mi, co zrozumiał z twojej opowieści, ale wolę sam wysłuchać wszystkich informacji.

Vestara usiadła na drugim końcu półki i słuchała jednym uchem. Wszystko to już jej było znane.

Odkąd przyjęła nowy sposób myślenia, ten z listu, Ben i Luke stali się innymi ludźmi. I to właśnie było ciekawe. Tak, Ben nadal był irytująco chłopięcy, jak niewielu Sithów z Kesh. Nawet Luke zachowywał się czasami w taki sposób. Ale z emocjonalnego punktu widzenia ta ich bez troska nie była wcale absurdalna. W umiarkowanych dawkach mogła stać się wręcz atrakcyjna.

Luke opowiadał o Abeloth, o tym, jak wchłania inne istoty, przejmując ich wiedzę i tożsamość, o jej dążeniu do opanowania galaktyki, o towarzyszącym jej nastroju grozy. Na koniec

powtórzył ostrzeżenie skierowane do Sel.

- Nasłuchiwanie otwierają się na Moc, słuchają i tłumaczą wolę gatunków, które niełatwo jest zrozumieć. Dlatego boję się, że będą narażeni na atak Abeloth. Jeśli ona zrozumie... a raczej kiedy już zrozumie siłę, może się nauczyć skutecznie udawać ich głos i myśli i nakłonić Nasłuchiwanie, by podążyli za nią. Ty i twoi towarzysze jesteście chyba najbardziej narażoną na jej wpływ grupą istot władających Mocą, jaką spotkałem.

Nenn, który pod koniec przemowy Luke'a spuścił wzrok, westchnął ciężko.

- Możesz mieć rację. Powinniśmy dowiedzieć się więcej o sposobach odcinania się od Mocy. Zwykle nie jest to nam do niczego potrzebne.

- Mogę was tego nauczyć. Mój syn też to potrafi.

- Ja także. - Sel uśmiechnęła się lekko. - To jedna z tych niewielu rzeczy, które jeszcze pamiętam.

- I ja. - Vestara sama była zaskoczona swoją deklaracją. Dążenie do wspólnego celu nie było jej obce - zdarzało się, że osobisty awans wymagał obrania takiej właśnie taktyki. Ale do tej pory nie znalazła wspólnej płaszczyzny z Tubylcami i z ich zaściankowym podejściem do pewnych spraw.

- Teraz ja muszę wam o czymś opowiedzieć. - Nenn podniósł wzrok i spojrzał Luke'owi w oczy. - Dzisiejszego ranka znaleziono ciało Nasłuchiwanicy Cury.

Wśród pozostałych Nasłuchiwanie rozległ się szmer zdziwienia. Najwyraźniej oni także dowiedzieli się o tym dopiero teraz.

- Była straszliwie poraniona - ciągnął Nenn. - I to w sposób, który wskazywał na chęć zadania ogromnego bólu, a nie zabicia. Sądzymy, że ją torturowano.

Ben zmarszczył brwi.

- Po co Abeloth miałaby ją torturować, skoro i bez tego mogła przejąć jej ciało i wiedzę?

Nenn wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem... Cura mogła być zbyt potężna w Mocy, by narzucić jej coś takiego wbrew woli. Ale jej ciało brakowało siły; miała słabe serce. Może poddało się po męczarniach doznanych z rąk Abeloth.

- Być może. - Luke rozważył tę myśl. - Czy jest możliwe, żeby ktoś inny dokonał tego zabójstwa? Że to zwyczajna zbrodnia?

- Niewykluczone. Ale jest coś jeszcze, coś zagadkowego i niepokojącego. W Hweg Shul mamy lekarza, Spóźnionego imieniem Cagaran Wei.

Termin „Spóźniony” obił się już Vestarze o uszy podczas pobytu w Admiracji Admirala. Tubylcami byli potomkowie pierwszych osadników, Przybyszami - ludzie wywodzący się od istot, które trafiły na planetę w ciągu ostatniego stulecia... Za to Spóźnieni pojawili się, gdy kontrolę nad tym światem przejęła Nowa Republika.

Luke zmarszczył brwi.

- Znam go. Jest tu od dłuższego czasu. Wiele lat temu mieliśmy okazję porozmawiać.

- Zgadza się. Produkuje leki dla firm spoza planety. Interesuje go też, jak zachowuje się ciało istot władających Mocą i jak wygląda interakcja chemiczno-energetyczna między gatunkami pochodzących z różnych światów. Jest zafascynowany drochami.

- Co z nim?

- Nie ma go. Zniknął. Stało się to trzy dni temu, gdy na Ponuraku zarejestrowano przybycie statku waszego wroga. Nie było go wtedy w Hweg Shul, możliwe, że ma własną farmę na pustkowiach. Taką, którą się nie chce chwalić.

Luke się skrzywił.

- Mam nadzieję, że się mylisz. Genialny naukowiec z własnym tajnym ośrodkiem zazwyczaj nie wróży niczego dobrego.

- Zgadza się, Mistrzu Skywalkerze. Zwłaszcza na świecie, gdzie przetrwał Posiew Śmierci.

- Racja.

Nenn wskazał zgromadzonych w jaskini Nasłuchiwanie.

- Ostrzegę wszystkich, że powinni mieć się na baczności i wypatrywać tej Abeloth.

Przekażcie też naszym nauczycielom wiedzę o tym, jak odciąć się od Mocy. Moi ludzie ruszą na poszukiwania doktora Wei.

Luke skinął głową.

- Co do tego lekarza... macie jakiś punkt zaczepienia?

- Może znajdziemy jakieś wskazówki w jego domu w Hweg Shul. W mieście naprawiał też swój śmigacz, może w warsztacie skopiowali jego pamięć.

Luke już otwierał usta, ale zrezygnował.

Vestara wiedziała, co chciał powiedzieć: „Dlaczego nie mogliśmy spotkać się w Hweg Shul? Podróż do miasta trwa dwie godziny. Straciliśmy łącznie cztery godziny poszukiwań i śledztwa”. Mistrz Jedi powstrzymał się jednak przed tą krytyką i tylko skinął głową.

- Dziękuję za pomoc.

ROZDZIAŁ 15

Kwatery prezydent Imperium Galaktycznego, Coruscant

Jaina Solo usiadła na czarnej, skórzanej kanapie i przytuliła się do swojego przyszłego męża. Zastanawiała się, co powinna powiedzieć. Otaczały ich ciemne, kosztowne i dyskretnie eleganckie meble. Całe wyposażenie w oczywisty, zabawny wręcz sposób pasowało do Jaggeda Fela.

- Skontaktowałeś się z adwokatem Tahiri? - zapytała w końcu Jaina.

Nie otwierając oczu, Jag skinął leniwie głową.

- Powiedziałem mu, że Daala dowiedziała się o tym, że to ty sądziłaś Sithów. Powinien o tym wiedzieć, bo oskarżenie niewątpliwie przedstawi to jako powiązania Tahiri ze światopoglądem Sithów.

- I co on na to?

- Cóż... nie mogę o tym mówić.

- Rozumiem.

- Co się dzieje z Zakonem Jedi? - chciał wiedzieć Jag.

- Nie mogę o tym mówić. - Była po same uszy zaangażowana w przygotowywany przez Jedi plan obalenia prezydent Daali, ale nie mogła tego wyjawić Jagowi. Może i nie poczułby się o obowiązku, żeby ostrzec Daalę... ale z pewnością zrobiłby coś, by chronić swoich ludzi, a taki ruch nie uszedłby uwagi Służb Bezpieczeństwa Sojuszu i samej Daali.

Potarła policzek o jego ramię.

- A jak idzie śledztwo w sprawie zamachu na ciebie?

- Nie mogę o tym mówić. A poszukiwania Abeloth?

- Nie mogę o tym mówić.

W końcu nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

Zawtórował jej, przecierając oczy wolną ręką.

- Twoi rodzice też mieli takie kłopoty, gdy chcieli po prostu porozmawiać?

- Raczej nie. Nie musieli trzymać tylu spraw w tajemnicy. Na początku zresztą oboje byli ścigani. A kiedy tata tak jakby zrezygnował z przemytu, odpadł jeden powód do zmartwień. A jak było z twoimi?

Pokręcił głową.

- Też przez jakiś czas byli ścigani. Mama rzuciła karierę aktorki...

- Odpadł jeden powód do zmartwień?

- No właśnie.

- No to już wiemy, co trzeba zrobić.

- Uciec?

- Z wielką chęcią. Ty będziesz się ukrywać przed swoimi doradcami i moffami, a ja przed

Mistrzami.

- I jedno z nas zrezygnuje z tego, co robi?
- To też dobry pomysł. - Dźgnęła go palcem w pierś. - Ty zrezygnujesz.

Przytrzymał jej dłoń i spojrzał na pierścionek zaręczynowy.

- Może rzucimy monetą?
- Albo zagramy w sabaka?

- Załatwione. - Pocałował ją, ale zaraz na jego twarzy pojawił się smutek. - Skoro musimy mieć przed sobą tajemnice, pozostaje nam tylko...

- Nie złościć się o to. Nigdy więcej.

Pokiwał głową.

- I wybaczają na zapas. We wszystkim.
- Naprawdę? - Uniosła brew. - A co jeszcze mam ci wybaczyć?
- Nie mogę o tym mówić.

Uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Powinam cię za to pobić.
- Nieprawda, musisz mi wybaczyć. Tak mówi nasza nowa umowa zaręczynowa.
- Punkt dla ciebie, imperialny potworze.

Siedemnaście kilometrów dalej, w małym, schludnym mieszkaniu odpowiednim dla samodzielnego finansowo porucznika Służb Bezpieczeństwa, Javon Thewles wyciągnął się na swojej kanapie - znacznie tańszej niż ta należąca do przywódcy - i rozkoszował się wolnym dniem. Na dodatek HoloWiadomości nadawały transmisje z wieców i ze zgromadzeń; pokazywano ludzi zbierających się na placach, chodnikach i dachach, zawsze z Senatem w tle. Protestowano przeciwko prezydent Daali i jej mściwym reakcjom na działalność ruchów wolnościowych czy wyzwolenicznych - ale Javon nie musiał dzisiaj zmagać się z tymi potencjalnymi koszmarami. Nie musiał nawet oglądać transparentów ani słuchać doniesień o przebiegu demonstracji czy gadania ich rzeczników.

Inne sprawy również rozwijały się po jego myśli. Ta ślicznotka, którą ostatnio poznał, wyraźnie była nim zainteresowana. A co więcej, Javon dostał pozytywne oceny od swoich przełożonych i spodziewał się dobrych wyników podczas testu na stopień kapitana.

Zadowolenie z siebie minęło mu chwilę później, gdy drzwi się nagle otworzyły, a do pomieszczenia wpadło czterech funkcjonariuszy żandarmerii wojskowej z wycelowanymi w niego karabinami blasterowymi.

Podniósł ręce, niechcący rozlewając napój na dywan.

- Co, u diabła? - warknął.

Piętą osobą, która przekroczyła próg jego drzwi - zniszczonych drzwi, jak zdał sobie sprawę, widząc kłęby dymu unoszące się z klawiatury - była wysoka istota o jasnozielonej skórze i włosach upiętych w kok, nosząca mundur kapitana floty. Falleen, pomyślał Javon. Istota stanęła nad nim.

- Porucznik Javon Thewles?
- Dobrze wiecie, że tak. Mogę usiąść?
- Jest pan aresztowany.
- Czy mimo to mógłbym jednak usiąść?

Falleen umilkł, lekko speszony spokojem w głosie Javona.

- Nie chce pan poznać zarzutów?
- Widzę, że jesteś jednym z tych drani czerpiących satysfakcję z widoku twarzy ludzi, którym wyjawiają powód zatrzymania. W Służbach Bezpieczeństwa też takich mamy. To jak, mogę usiąść?

- Postawione panu zarzuty dotyczą spisku w celu morderstwa.
- I za karę nie mogę usiąść?

Falleen wyglądał, jakby nagle spuchł, a kolor jego skóry zmienił się z zielonkawego na ostro

czerwony. Podsunął Javonowi datapad.

- Czy zna pan tę kobietę?

Javon spojrział na ekran. Widniejące na nim zdjęcie wykonano z podwieszanej pod sufitem holokamery. Przedstawiało jego i Selę Dorn w chwili, gdy ją poznał, ale jeszcze zanim pokryła ich piana gaśnicza.

Przeniósł wzrok na Falleena.

- Znasz mojego prawnika?

- Nie.

- Ja też nie. Ale na pewno mi doradzi, żebym nie rozmawiał z tobą, gdy jego nie ma w pobliżu. Jak myślisz?

- Możesz usiąść.

- A mogę się ubrać?

Dwie godziny później Han i Leia stawili się w budynku Senatu na codzienne spotkanie z panią prezydent. Jednak po kontroli - ostatnimi czasy znacznie ściślejszej - odprowadzono ich już nie do sterylnego gabinetu Daali, a do większej od niego sali konferencyjnej. Gdy tam dotarli, sala była już wypełniona po brzegi. Daala zajęła środkowy fotel, obok niej zasiedli Wynn Dorvan i jego asystent - Twi'lek. Na sali byli obecni również oficerowie Służb Bezpieczeństwa Sojuszu Galaktycznego, Dowództwa Myśliwców i floty. Leia rozpoznała generała Jaxtona i admirał Parovę. Jaxton zanadto się pocił jak na panującą w sali temperaturę, a jego lekko poszarzała skóra wyglądała niezdrowo. Funkcjonariusze Służb Bezpieczeństwa również nie sprawiali wrażenia szczęśliwych, a w porównaniu do wściekłego Jaxtona wyglądali na zrozpaczonych.

Gdy za obydwojgiem Solo zamknęły się z sykiem drzwi, Daala wskazała im dwa puste fotele dokładnie naprzeciwko niej.

- Usiądźcie - poleciła.

Zajęli miejsca w fotelach.

Han się uśmiechnął. Leia wiedziała, że uśmiechem maskuje irytację, bo nie lubi, kiedy wydaje mu się komendy jak jakiemuś nekowi. Odchylił się w fotelu i splótł dłonie za głową.

- Dużo ludzi dzisiaj protestuje.

- To bez znaczenia.

Było jasne, że coś się za tym kryje; wyraz twarzy Daali był nieodgadniony niczym u lalki z duraplastu.

- Według mediów są ich miliony. Duży protest - dodał Han.

- Nie zamierzam marnować waszego czasu, chociaż wy marnowaliście mój. - Daala była jeszcze bardziej opryskliwa niż podczas ich poprzedniej wizyty. - Gdzie jest Rycerz Jedi Seha Dorvald?

Leia i Han wymienili pełne konsternacji spojrzenia. Konsternacja była autentyczna. Naprawdę nie mieli pojęcia, gdzie obecnie znajduje się Seha, i to, w połączeniu z nieświadomością, w jaki sposób Daala odkryła jej rolę, pozwoliło ukryć, że wiedzą, o czym mówi pani prezydent.

- Nie mam pojęcia. - Leia pokręciła głową.

Han powtórzył jej gest.

- Jeśli Leia czegoś nie wie, to ja też. W tym tkwi tajemnica szczęśliwego małżeństwa.

Wynn Dorvan uśmiechnął się lekko. Nikt nie zwrócił uwagi na jego rozbawienie.

- Czy kontaktowaliście się w jej sprawie ze Świątynią Jedi? - Leia postukała się palcem po kieszeni. - Ochrona zabrała mi komunikator, ale jeśli chcesz, mogę cię połączyć.

- Nie zgrywaj idiotki. - Ton głosu Daali był tak twardy, że mógłby służyć do rozbijania orzechów. - Wiemy, że udawała pilota promu z transportowca „Piaskowy Tancerz”. Otruła generała Jaxtona i moffa Lecersena.

- Co takiego?

Leii nie udało się ukryć zaskoczenia. Han wyprostował się powoli w fotelu i ścisnął brzeg stołu.

- Udało jej się przebywać cały dzień w budynku Senatu - ciągnęła Daala. - Właśnie sprawdzamy, gdzie mogła się dostać, szukamy trucizny i innych dowodów sabotażu. To kolejna szalona Jedi. Nie powinniście jej ochraniać.

- Nie wierzę. - Leia nie musiała udawać niedowierzania; jej zaskoczenie było autentyczne. - Generale, dobrze się pan czuje?

Jaxton się skrzywił.

- Wykorzystała powoli działający środek, wywołujący blokadę serca. Na szczęście, gdy gorzej się poczułem, od razu mnie zbadano. Droid medyczny przeprowadził testy, o których nigdy już nie powiem, że są zbędne, i wykrył toksynę.

Leia odwróciła się do Daali.

- Chyba nie twierdzisz, że Zakon miał z tym cokolwiek wspólnego.

- Nie sądzę, żebyście wy mieli, i Zakon prawdopodobnie też. - Daala złożyła dłonie i spojrzała ponad nimi na Leię. - Uwierzę wam na słowo. Prawdopodobnie Seha Dorvald oszalała, dopuściła się morderstwa i uciekła... a Zakon Jedi musi znaleźć ją i oddać w moje ręce, zanim zmienię zdanie. Wiecie dobrze, jak to się może skończyć.

Han odezwał się, zanim Leia zdążyła kopnąć go pod stołem:

- Czeka nas kolejny nieudany szturm na Świątynię w wykonaniu Mandalorian?

Leia nie pozwoliła Daali połknąć haczyka.

- A co z moffem Lecersenem i z pozostałymi pasażerami? Czy ty, Wynn, zostałeś otruty? A doradcy?

Wynn lekko się uśmiechnął.

- Miło, że pytasz. Jestem zdrow, jak wszyscy pozostali. Jeśli chodzi o Lecersena, to wykryto u niego truciznę i podano antidotum zaraz po tym, jak powiadomiliśmy go o sytuacji generała Jaxtona.

Rozsunęły się drzwi za plecami Solo i do pomieszczenia weszła szybkim krokiem Bothanka w randze kapitana floty. Stała za admirał Parową, szepnęła jej coś do ucha, a gdy ta skinęła głową, kapitan podeszła do Daali. Prezydent zamieniła z nią cicho kilka słów i Bothanka opuściła salę równie nagle, jak przybyła.

Daala zwróciła się do zebranych.

- Wywiad Floty wykrył przynajmniej jeden akt sabotażu dokonany przez Sehę. Niewielki zbiornik z licznikiem, podłączony do głównego ujścia wody w sali Senatu, zawiera tę samą truciznę. Na szczęście nie został aktywowany.

- Jak... - Han nie udawał; był tak zaskoczony, że nie potrafił należycie sklecić zdania. - Jak Seha zdołała dostać się do tych rur? I jak to wyszło na jaw?

Daala wskazała palcem na funkcjonariuszy ochrony.

- Zawiniła niekompetencja osławionych Służb Bezpieczeństwa. Ich funkcjonariusz umawiał się z waszą szaloną Jedi. Staramy się ustalić, ile z niego wyciągnęła. Na szczęście Wywiad Floty, który z należytą starannością przyglądał się przewożeniu na Coruscant tak wielu ważnych osób na pokładzie „Piaskowego Tancerza”, zauważył pewne nieprawidłowości dotyczące upoważnień pilota, i to był punkt wyjścia.

Leia zachowała niewzruszony spokój, ale jednocześnie błyskawicznie przeglądała w myśli różne ewentualności. Wczoraj Seha skierowała swój prom na orbitę, gdzie dołączyła do „Piaskowego Tancerza” i wraz z nim opuściła system - nie zmiierzając bynajmniej do celu, jaki podała władzom Coruscant. Wczoraj też miała przenieść się na inny statek i wrócić na planetę, ale Leia nie śledziła jej poczynań i nie wiedziała, czy wszystko poszło zgodnie z planem. Tak czy inaczej, służby Sojuszu Galaktycznego szukające „Piaskowego Tancerza” nie znajdą go we wskazanym celu podróży. Jeśli tylko Han i Leia nie zostaną zaraz aresztowani, spróbują się dostać do Świątyni i nawiązać kontakt z transportowcem, uprzedzając załogę, że jest poszukiwana.

Teraz trzeba wy badać sytuację i dowiedzieć się, czy zostaną zatrzymani.

- Zaraz po powrocie do Świątyni przedstawię Mistrzowi Hamnerowi twoje żądania dotyczące Jedi Dorvald.

- Zrób to. - Daala utkwiała w Leii nieruchome, wrogie spojrzenie. - I to natychmiast.

Han i Leia nie rozmawiali podczas pośpiesznego powrotu na pokład „Sokoła Millennium”. Nie zamienili nawet jednego słowa, póki nie wylądowali transportowcem w hangarze Świątyni Jedi i nie przeszli kolejnej skrupulatnej kontroli. Dopiero wtedy, pewni, że nie mają na sobie żadnych zbędnych nadajników, spotkali się z Mistrzami, by złożyć im raport i przekazać wieści.

Han, którego nieraz już oskarżano - niekiedy nawet słusznie - o spiskowanie przeciwko rządowi, nie był wściekły, raczej zaintrygowany.

- Wiemy, że Seha nikogo nie otruła - powiedział. - Więc kto podał truciznę Jaxtonowi i Lecersenowi? I dlaczego właśnie im, a nie Wynnowi Dorvanowi lub innym?

Corran Horn pokręcił głową.

- Jeśli odkryjesz motyw, sposób i możliwości, znajdziesz również przestępcę. Na przykład przywódca Fel mógłby mieć powód zabicia Lecersena, bo chodzą plotki, że to Lecersen stał za próbą zamachu na niego. - Uniósł brew, spoglądając na Hana i Leię. - Was również czyni to podejrzanymi, ponieważ przy okazji ataku narażono i wasze życie. Podobnie jak Fel, macie dojścia do ludzi o szczególnych umiejętnościach, nawet tych posługujących się trucizną. I tu mamy sposób. Poza tym odwiedzaliście ostatnimi czasy budynek Senatu. A to nam daje możliwość.

Leia posłała Corranowi uśmiezek mówiący: „To ci się nie uda”.

- Tyle że nie mieliśmy powodu, by nastawać na życie Jaxtona.

- Zgadza się. Lecersen i Jaxton... Musimy znaleźć związek między nimi, co da nam motyw.

I dlaczego zagrożona była sala Senatu? Generał, moff i tłum senatorów? - Corran wzruszył ramionami.

Mistrzynie Cilghal westchnęła ciężko.

- Szkoda, że nie ujawnili, jaka to trucizna. Wtedy mogłabym powiedzieć coś o jej dostępności, o cechach... Przekażą nam te dane?

- Pewnie nie - odrzekła Leia. - Dała chciała nami wstrząsnąć, ocenić naszą reakcję i ośmieszyć agentów ochrony. Jeśli zaczniemy się dopytywać, szczerze pozamyka wszystkie dojścia.

Corran się zamyślił.

- Musimy to zrobić dyskretnie. Zapytajcie Wynna Dorvana. A przywódca Fel przepytaj moffa Lecersena.

- Jedi Dorvald już wróciła? - zapytała Mistrzynie Saba Sebatyne.

- Tak, cała i zdrowa. Ale ponieważ jest poszukiwana jako jeden z pilotów, którzy odlecieli ze stealthX-ami, dopilnowaliśmy, żeby jej powrotu do Świątyni nikt nie zauważył. Równie dyskretnie powiadomimy „Piaskowego Tancerza” o rozwoju sytuacji.

Han odchylił się powoli w fotelu i wyciągnął pod stołem długie nogi.

- Jest jeden plus tego oskarżenia o próbę morderstwa.

Cilghal posłała mu karcące spojrzenie.

- Coś takiego nie powinno być przedmiotem żartów.

- Ależ ja wcale nie żartuję. Wszyscy oni są przekonani, że Seha zamierzała otruć setki ludzi.

Nie będą więc szukać Kypa i Octy.

Cilghal zastanowiła się nad tym przez chwilę i pokiwała głową.

- Masz rację. To rzeczywiście plus. I wcale nie żart.

- Widzisz, gdybym chciał opowiedzieć kawał, zacząłbym go tak: dwóch Kalamarian i Quarrenianin wpłynęli do baru...

Saba przerwała mu, wydając pełen dezaprobaty syk.

- Nie podoba mi się, że nie znamy sił, które wokół nas działają. Plan, który przyjęliśmy, sam w sobie jest wystarczająco niebezpieczny. Musimy zdwoić ostrożność. Upewnijcie się, że dowiedzą się o tym wszyscy zainteresowani.

Wszyscy przytaknęli.

- Wracajmy do swoich obowiązków. Jedi Solo, mam dla ciebie specjalne zadanie... odpowiednie do twoich wyjątkowych zdolności dyplomatycznych.

- O co chodzi?

- Przekonaj Sebę, żeby oddała się w ręce władz. Niech oczekuje procesu i ewentualnej egzekucji.

Spotkanie odbywające się w budynku Senatu dobiegało końca. Na sali pozostali jedynie Daala, Wynn i admirał Parova.

Admirał wstała i oświadczyła:

- Pierwszy oddział będzie na miejscu za pięć minut, pani prezydent.

Daala skinęła głową.

- Liczcie się z tym, że ochronie nie przypadnie to do gustu.

- Ci, którzy zawiedli, zawsze mają pretensje do tych, którym się udało. Zdążyłam się do tego przyzwyczaić. I pozwolę sobie dodać, że czuję dumę... czujemy dumę, mogąc pani służyć.

- Dziękuję, pani admirał. Dobra robota.

ROZDZIAŁ 16

Hweg Shul, Nam Chorios

Ithorianin był imponujących rozmiarów w porównaniu z ludźmi, jak przeważnie przedstawiciele tego młotogłowego gatunku, i nie sprawiał wrażenia szczęśliwego.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że doktor Wei mógłby być zdolny do takich rzeczy.

Luke oderwał wzrok od pliku wydruków na flimsi, znalezionych w domu doktora Weia, i pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Doceniam to, co pan robi, burmistrzu Snaplaunce. Czy może mi pan opowiedzieć o doktorze?

Stojący w drzwiach gabinetu burmistrz wykonał gest będący odpowiednikiem wzruszenia ramionami.

- Mieszka tu od niemal trzydziestu lat. Przez ten czas nie tylko potrafił ułożyć sobie życie z tutejszą społecznością, ale także stać się jej częścią. Przez dwadzieścia lat jego żoną była Przybyszka, jubilerka. Zginęła w wypadku śmigacza. Ich syn studiuje medycynę na Korelii.

Z innej części przestronnej kopuły doktora dobiegł głos Bena:

- Ubiera się tylko na czarno?

Z innego pomieszczenia odpowiedziała mu Vestara:

- Przyganiał kociół garnkowi.

- Niektórzy mogą, a inni nie powinni, Vestaro.

Snaplaunce słuchał tej wymiany zdań z przechyloną głową.

- Energiczny chłopak - pochwalił. - Wydaje się odpowiedzialny.

- Bo jest. I dojrzały ponad wiek, przynajmniej w większości spraw. Ale nie we wszystkich.

- To jego dziewczyna?

Luke odchrząknął. W niektórych kulturach ktoś nieznajomy nigdy nie zadałby takiego pytania, ale na świecie takim jak ten, w mieście, gdzie wszyscy się znali, nie zwracano większej uwagi na prywatność.

- Nie. - I lepiej niech tak zostanie, dodał w myśli.

- A kłóć się, jakby byli parą.

- A pan związałby się z każdym przeciwnikiem politycznym?

- Zgrabnie ujęte, Mistrzu Skywalkerze.

- A Wei? Był w jakimś związku, miał współpracowników lub kolegów?

Luke wrócił do kartkowania wydruków. Większość z nich zawierała szczegółowe, potwornie nudne opisy efektów, jakie eksperymentalne lekarstwa wywołują na testowanych zwierzętach i podczas komputerowych symulacji, z uwzględnieniem najmniejszych nawet odchyień reakcji.

- Formalnie rzecz biorąc, przeszedł na emeryturę. Utrzymuje się z prowizji za swoje medyczne patenty i odsetek z kapitału bankowego. Dlatego właśnie sam prowadzi badania naukowe. Kiedy potrzebuje asystenta, zatrudnia kogoś ze szpitala albo z ośrodka badań i rozwoju Enzymar, zazwyczaj świeżo upieczzonego absolwenta, któremu przydałoby się parę groszy. Rozpytam się, czy w ciągu ostatniego roku pojawił się ktoś taki.

- Dziękuję.

Ben stanął za burmistrzem. Gdy Snaplaunce odsunął się na bok, chłopiec minął go z poważnym wyrazem twarzy, trzymając w dłoni kartkę flimsi.

- Pokaż, co tam masz - zainteresował się Luke.

- Znalazłem ją pod materacem.

Ben podał ojcu lekko pogniecioną kartkę, pokrytą wykonanymi czarnym tuszem rysunkami. Luke zauważył, że nie namalowano ich zwykłym piórem; tusz spływał gładko i szeroką linią, jak gdyby spod pędzla.

Na części kartki widniał szkic mężczyzny widzianego z boku - sylwetka z pustym wnętrzem. Na szkicu nie widać było ubrania, ale z karku postaci coś wystawało. Prowadzące od rysunku linie skręcały ku ramce, w której znalazło się powiększenie tego fragmentu. Przedstawiało drocha wielkości połowy ludzkiej dłoni.

Całą kartkę pokrywały naniesione drukarką notatki. Luke Odczytał kilka z nich.

- Trzeci punkt umiejscowienia: piersiowy, u ludzi dla uzyskania optymalnego efektu.

Natężenie sygnału i spadek czystości odczynu niemożliwe do zmierzenia na dystansach międzyplanetarnych; jedynym ograniczeniem jest prędkość światła. Przyzwyczajanie od dzieciństwa przynosi pozytywne efekty, ale nie ma decydującego znaczenia. Średnia długość życia po umieszczeniu: siedem i pół standardowego roku. Problemem pozostaje mutacja.

Po przeczytaniu tych pierwszych słów ścisnął mu się żołądek, a dalej było tylko gorzej.

- Mogę spojrzeć? - zapytał burmistrz.

Luke podał mu kartkę; burmistrz uważnie się jej przyjrzał, przesuwając najpierw pod jednym okiem, a następnie pod drugim.

- Tusz wciąż stosunkowo świeży. Wystarczy powąchać. Ale co to oznacza?

- Najpewniej tyle, że z jakiegoś powodu rozważa hodowlę drochów na ludzkim nosicielu.

Luke westchnął, przytłoczony tym wszystkim. Okazuje się, że różne istoty, nie tylko ludzie, dla zysku potrafią wykorzystywać, poniżać i mordować innych.

- Drochy musiałyby zostać przekształcone, żeby nie zabiły zbyt szybko nosiciela. Może to z tego powodu zainteresował się mutacją. Zgaduję, że miały służyć jako transfer energii, monitorowania lub nawet kontroli.

Ben się skrzywił.

- Skoro taki typek wie, ile wytrzyma nosiciel, gdy wszczepi mu się coś takiego...

Luke pokiwał głową.

- Musiał już prowadzić takie eksperymenty.

Burmistrz oddał im flimsi.

- Coś tu jest nie tak.

Ben posłał mu pytające spojrzenie.

- Wnioskuje pan to na podstawie swojej znajomości z Weiem?

- Nie, na podstawie dziesięcioleci pracy w policji.

Ben spojrział na niego z szacunkiem.

- Tym się pan wcześniej zajmował?

- Tak. - Burmistrz popatrzył na Luke'a. - Wtedy właśnie spotkałem twojego ojca... to jest,

Owena Larsa.

Luke się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że wybaczył mi pan mój podstęp.

- Oczywiście. A co się tyczy diagramu... po co miałby ręcznie rysować człowieka i drocha, suszyć kartkę i dopiero potem przepuścić ją przez drukarkę, dodając tekst? Albo odwrotnie? Dlaczego po prostu nie zrobił wszystkiego na komputerze i nie wydrukował całości za jednym

zamachem?

Zabrzącał komunikator Luke'a. Wyjął go z kieszeni i włączył.

- Skywalker.

- Luke, mówi Sel. Rozmawiałam z mechanikiem doktora Weia i pozwolił mi przejrzeć kopię rejestru pamięci śmigacza.

- To dobrze.

- Co prawda nie ma o czym mówić. Jego system jest zaśmiecony i trudno się po nim poruszać, ale w jednym z plików znalazłam informację, że Wei regularnie pokonywał dystans czterystu osiemdziesięciu trzech kilometrów. Brakuje tylko informacji, w jakim kierunku.

Luke spojrzał na burmistrza.

- Czy da się obliczyć odległości z Hweg Shul do znanych farm i ośrodków, byśmy mogli sprawdzić, czy któreś z miejsc odpowiada tym danym?

Snaplaunce skłonił się lekko.

- Zajmie to raptem kilka minut. Skontaktuję się z biurem.

- Dziękuję.

W zestawieniu znalazło się jedno takie miejsce: zamknięty wiele lat wcześniej ośrodek obróbki skalnej kości słoniowej, ulokowany w górach za Ponurakiem. Odległość do niego idealnie odpowiadała zapisom w pamięci śmigacza doktora Weia.

Luke zebrał całą grupę przed domem Weia.

- Nawet dobrym śmigaczem droga tam i z powrotem zajmie nam kilka godzin. Może stacja Koval zgodzi się wynająć nam wahadłowiec. Zyskalibyśmy znacznie na czasie, sprowadzając tutaj „Cień”. Tyle że przy opuszczaniu Nam Chorios dłużej potrwa odkażanie.

Burmistrz Snaplaunce pokręcił głową.

- Nie ma takiej potrzeby. Weźcie mój prom. Będziecie na miejscu za pół godziny.

Luke się uśmiechnął.

- Idealnie.

Kilka minut później uśmiech zniknął z jego ust. Miał przed sobą relikwiarz swojej młodości - broń wroga.

Prom przypominał bombowiec TIE - wyposażono go w zakrzywione panele słoneczne na skrzydłach, podobnie jak w słynniejszym od niego myśliwcu. Miał dwie kabiny i dwie umieszczone jedna obok drugiej kapsuły. Jak gdyby chcąc złagodzić złowieszczy kształt statku, pomalowano go na jasnożółty kolor, a na zewnętrznej powierzchni skrzydeł dopisano czerwoną farbą: „Głosuj na Snaplaunce'a”.

Luke spojrzał na burmistrza.

- Widzę, że ma pan prom TIE.

Nawet dla niego brzmiało to tak, jakby informował Snaplaunce'a o czymś, z czego burmistrz nie zdawał sobie do tej pory sprawy.

Snaplaunce pokiwał głową.

- Zgadza się.

- Chyba nigdy wcześniej nie widziałem go w rękach osoby prywatnej.

- Jakies piętnaście lat temu osiedlił się tutaj mechanik, służący przedtem we flocie Imperium. Sprzedał część pojazdów, które przez lata z taką pieczołowitością odnawiał. Kiedy zobaczyłem ten bombowiec, po prostu nie mogłem się oprzeć.

- Nic dziwnego. - Tak go pan odmalował, że aż ma się ochotę uruchomić sekwencję samozniszczenia, pomyślał Luke, ale nie wypowiedział tego na głos.

Przez umieszczony na górze właz wślizgnął się do kapsuły pilota po prawej stronie statku, Ben i Vestara zaś z trudem wcisnęli się do lewej kapsuły - pasażerskiej. Gdy Snaplaunce zapoznawał Luke'a z co bardziej niezwykłymi cechami bombowca - jak na przykład brakiem broni

laserowej i faktem, że lewy silnik miał o dziesięć procent większą moc niż prawy - usłyszeli, jak Ben i Vestara kłócą się o to, kto powinien usiąść z przodu. Chwilę później byli już gotowi do lotu; zatrzasnęli włazy, Luke włączył napęd repulsorowy i podwójne silniki jonowe i już po chwili znaleźli się w powietrzu.

Obrali wyznaczony wcześniej kurs, znany już władzom portu.

- Dowódcy stanowisk bojowych nieprzychylnym okiem patrzą na statki, które wznoszą się w powietrze i odbijają z obranej trasy - poinformował ich Snaplaunce. - Niech wam nie przyjdzie do głowy ćwiczyć manewrów albo wstąpić na stację Koval.

Nieważne, że musieli lecieć ustalonym kursem, no i statkiem, który nie dość, że był paskudnie pomalowany, to jeszcze nosił budzące grozę imperialne oznaczenia; dobrze było znaleźć się znowu za sterami pojazdu przypominającego myśliwiec. I chociaż wahadłowiec był mniej więcej tak samo zwrotny, jak czterech związanych taśmą Huttów, to jednak w atmosferze planety przemieszczał się dość szybko. Luke wznosił prom na wysokość dziesięciu tysięcy metrów i rozkoszował się lotem.

Na zachód od Hweg Shul poranne słońce obudziło już burze piaskowe. Z tej wysokości przypominały zbite, nieruchome obłoczki białej lub srebrnoszarej włóczki, które lada moment ktoś podniesie i uprzedzie.

Dobry nastrój minął Luke'owi po dwudziestu minutach, gdy przestarzałe czujniki wahadłowca odebrały sygnał małego statku, który wystartował z pasma górskiego i zajął pozycję za nimi. Jego pilot leciał na niższym pułapie niż wahadłowiec - na dwóch tysiącach metrów - zdarzało mu się więc przelatywać przez burze piaskowe i tuż nad nimi. Zresztą z tej odległości i tak nie dało się go zobaczyć; na ekranach czujników był tylko pulsującym punktem.

Luke wcisnął przycisk interkomu.

- Chyba szykują nam się kłopoty. Zapnijcie się porządnie.
- Zrozumiano, tato.

Ścigający ich statek mógł lecieć szybciej od promu TIE i szybko skracał dystans. Prom dysponował przestarzałym sprzętem, ale czujniki dość szybko zaczęły odbierać kształt pojazdu - dziwnie znajomy kształt.

Miał formę kuli, z osiowymi wypustkami u góry i dołu pojazdu, a po bokach coś w rodzaju skrzydeł. Z dużej odległości na ekranach czujników przypominał kolejną jednostkę z rodziny TIE, ale Luke wiedział, że to błędne wrażenie. Ścigała ich sfera medytacyjna Sithów. Stworzony przez nich Statek, żyjący pojazd znajdujący się teraz pod kontrolą Abeloth.

- Nasze kłopoty przybrały właśnie realną postać, dzieciaki. Statek wrócił.
- Super, tato. Mam otworzyć właz i zacząć rzucać w niego kamieniami?
- Włącz ekran czujników i użyj mi drugiej pary oczu.
- Ale ja siedzę z tyłu...

Przerwała mu Vestara.

- Ja się tym zajmę, Mistrzu Skywalkerze.

Statek był już kilka kilometrów za nimi i tyle samo pod nimi. Wiernie odtwarzał ich kurs, dostosowując swoją prędkość.

- Atak... - zaczęła Vestara.

Luke poczuł się, jakby przeszył go prąd, ale słysząc ton głosu dziewczyny, natychmiast zareagował. Skręcił w lewo.

Zamiast błysku pojawiła się biała smuga dymu, zaczynająca się w punkcie, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się Statek, i prowadząca do miejsca, w którym byłby prom, gdyby trzymał się swojego kursu. Chwilę później usłyszeli odległy odgłos wybuchu: grom dźwiękowy.

Wywołał go akcelerator Statku. To pradawne urządzenie wykorzystywało magnetyzm, by durastalowym kulom nadać zawrotną prędkość i nakierować je na cel.

W przestrzeni kosmicznej takie pociski zostałyby wykryte przez czujniki szczątków i asteroid. W atmosferze jednak automatycznie przestawiały się na przeszkody, na jakie zazwyczaj można się natknąć w powietrzu.

Innymi słowy, korzystając z czujników Luke mógł dostrzec statek, ale naddźwiękowych

pocisków już nie.

Przez interkom docierała do niego klótnia Bena i Vestary:

- Wiem, Ben, wiem, kiepsko widać wystrzelwane pociski.

- Przekalibruj czujniki na warunki panujące w próżni!

- Wtedy zaczniemy wyłapywać boczne wiatry, chmury i smugi pyłu. Burza piaskowa będzie wyglądać jak ogromna masa...

- Zrób to!

Luke obserwował uważnie ekran czujników, skupiając się na szczelinie w środkowej, wystającej części sfery medytacyjnej.

Dostrzegł ledwie widoczny ruch.

Natychmiast zmienił kierunek lotu, nurkując i odbijając w prawo. Niełatwo było manewrować niemrawym promem, bazując wyłącznie na swoich umiejętnościach pilota i sile woli.

Po lewej pojawiła się smuga dymu, pozostałość po metalowych pociskach przebijających się przez atmosferę i samym tarcie zapalających tlen. Chwilę później Luke usłyszał kolejny, odległy grzmot.

- Stacja Koval do cywilnego statku XV 119 „Głosuj na Snaplaunce’a”. Przerwij manewry i wróć na pierwotny kurs - rozległ się głos.

Luke się skrzywił. Nie poznał jeszcze wystarczająco dobrze urządzeń tego statku, nie miał na głowie kasku pilota TIE z aktywowanym głosem mikrofonem i nie mógł odwrócić wzroku od czujników na tak długo, by znaleźć ręczny przełącznik komunikatora.

Usłyszał teraz głos syna:

- Stacja Koval, tu „Głosuj na Snaplaunce’a”. Jesteśmy...

Dobiegły go trzaski, jakby po promie szalała błyskawica.

Z tablicy rozdzielczej strzeliły iskry. Ekran czujników skurczył się do rozmiarów małej, białej kropki. Zgasło oświetlenie kabiny, a silniki zamarły, zakasłały i znowu zapaliły. Główne ekrany rozświetliły się żółtymi i czerwonymi światłami, oznaczającymi ostrzeżenia diagnostyczne, po czym i ten ekran zgasł.

Całkowicie zamilkł też system komunikacyjny.

- Ben? Vestaro? - odezwał się.

- Jesteśmy. - Z głosu Bena przebijało niezadowolenie. - Nie odpowiadają.

- Już prawie... już prawie... - to Vestara. - No, już. Czujniki przekalibrowane.

- Nic nie widzę. Vestaro, będziesz moimi oczami.

- Zrozumiałam. Gdy powiem „już”, ty wtedy... Już!

Luke skręcił stery, wykonując beczkę w prawo, by zmniejszyć sylwetkę swojego statku przed czujnikami lecącego poniżej pojazdu.

A także, jak zaraz się przekonał, przed wrogiem powyżej. Usłyszał następne „Już!” i zatrzymał manewr.

Wszechświat nad górnym włazem statku wybuchnął płomieniem, gdy prom minęły pociski z baterii laserowych okrętu wojennego. Ich tor lotu wskazywał, że źródło ataku znajduje się na innej płaszczyźnie niż wahadłowiec, prawdopodobnie na orbicie, z której prowadzi ostrzał pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

- Dwa trafienia w powierzchnię planety - zameldowała Vestara. - Zniszczyli cały występ skalny. Już!

Luke znów wszedł w beczkę w prawo, obracając prom do góry nogami. Dostrzegł smugę dymu, prowadzącą od statku znajdującego się teraz daleko w górze. Zaraz znikła za osłoną kabiny. Dokończył manewr, ponownie ustawiając statek w pozycji wyjściowej.

Niedobrze. Byli atakowani z dołu i z góry: pod sobą mieli statek szybszy i zwrotniejszy niż ich prom, a nad nimi leciał przeciwnik, z którym nie mogli nawiązać kontaktu, w dodatku zbyt odległy, by podjąć z nim walkę...

Nagle coś mu przyszło do głowy. Wprowadził prom w lot nurkowy.

- Tato, co... - zaczął Ben.

- Na razie mamy przeciwko sobie dwóch uzbrojonych przeciwników. Niech walczą ze sobą.

Zastosujemy metodę dantooiniańskiego plutonu egzekucyjnego.

Na temat Dantooinian żartowali wszyscy, nawet teraz, chociaż ta osamotniona planeta dawno nie była zamieszкана. Mieszkańcy wiejskich, rolniczych światów często stawali się obiektem żartów opowiadanych przez bardziej zaawansowanych cywilizacyjnie sąsiadów, którzy natrząsali się z ich inteligencji. „Dantooiniański pluton egzekucyjny” oznaczał strzelców rozstawionych w okręgu, mierzących do stojącego między nimi więźnia.

Przechodząc w lot nurkowy, Luke nabrał prędkości. Statek reagował opornie, więc złagodził kąt opadania, by zyskać przewagę nad przeciwnikiem.

- Mam, Mistrzu Skywalkerze. Jeszcze pięć sekund do optymalnego ustawienia. Cztery... trzy... już!

Luke odbił lekko w lewo - nie mógł sobie pozwolić na bardziej zdecydowany manewr i wytracenie prędkości, której tak bardzo w tym momencie potrzebował.

Z paneli słonecznych po prawej stronie statku strzelił snop iskier. Z tyłu pod nimi rozległ się grzmot.

Mało brakowało, żeby chybił. Pocisk wystrzelony ze Statku ledwo musnął prawe skrzydło, trafiając z siłą niewiele większą od potrzebnej, by przeskoczyły między nimi elektrony.

Ale to wystarczyło. Środkowy panel słoneczny zaczął odpadać i prom zostawiał teraz za sobą szlak szczątków. Pod wpływem zwiększonego tarcia na prawej burcie wahadłowiec zaczął się przechylać. Luke walczył ze sterami, powstrzymując się od przekleństw.

- Jedna... już!

Luke skręcił w prawo, wprowadzając prom w lot po łuku.

Świat znowu eksplodował światłem.

Poczuł się, jakby rankor trafił go w głowę trzydziestokilowym kowadłem. Osunął się na fotelu, a otoczenie straciło kolory. Zdrętwiałe ręce osunęły się ze sterów i prom wyrwał się spod kontroli.

ROZDZIAŁ 17

Luke zmusił umysł do pracy, z trudem przepychając myśli przez niemrawy mózg.

Ktoś właśnie umarł. Agonia tego kogoś uderzyła w niego za pośrednictwem Mocy.

Statek, to musiał być Statek. Do tego właśnie zmierzał: chciał ustawić jego i swój prom w jednej linii, licząc na to, że w pościgu za bezbronnym wahadłowcem przeciwnik nie jest przygotowany na atak baterii laserowych.

Ale Luke też zaraz zginie, jeśli nie uda mu się odzyskać kontroli nad promem. Wyprostował się w fotelu i zmusił dłonie, żeby ujęły ster.

Za szybko świat wirował. Luke na przemian widział szalejącą poniżej burzę piaskową i niebo nad nimi, burzę, niebo...

- Tato. Tato!

- Już dobrze, Ben. - Nawet on słyszał w swoim głosie zmęczenie i ból. Spróbował odzyskać kontrolę nad promem. Obserwował szalejącą wysokościami.

Cztery tysiące metrów. Niebo - burza piaskowa - niebo. Trzy i pół tysiąca. Burza piaskowa - niebo - burza. Z prawego skrzydła odpadły wszystkie trzy panele słoneczne i siłę nośną zapewniała już tylko rozporoka.

Siła nośna. Zaczął mu się klarować jasny obraz sytuacji. Na ile skuteczny był repulsorowy system wspomaganego lądowania Snaplaunce'a? Luke włączył go, aktywując repulsory przy każdym pełnym obrocie proma.

Trzy tysiące metrów. Dwa i pół. Szalejąca przerażająco blisko burza piaskowa mogła ukrywać przed nimi zębate szczyty gór.

- Vestaro, potrzebuję zwykłych czujników atmosferycznych. - Niebo... burza... Obracali się coraz wolniej.

Zanurzyli się teraz w burzy piaskowej. Luke łagodnie przechylił prom w prawo i obniżył lot.

Wiatr uderzał w skrzydła tak mocno, jak powinien. Prom wykonał jeszcze jeden obrót i wrócił do pionu. Wysokościomierz wskazywał półtora tysiąca metrów.

Luke odetchnął głośno.

- Co wskazują czujniki?

- Najbliższe góry sięgają tysiąca dwustu metrów. Na tej wysokości nic nam nie grozi.

Możesz jeszcze trochę się wznieść.

- Jeśli pojawimy się nad burzą piaskową, na pewno wypatrzą nas platformy obronne Golan - wyjaśnił Luke. - Na razie albo nas nie widzą, albo walczą z zakłóceniami. Wydaje się, że zmiotły Statek.

- Nie, Mistrzu Skywalkerze.

- Co takiego?

- Spudłowali. Trafili kogoś w dolinie. To właśnie stąd te... konwulsje. Statek też je poczuł.

Zatrząsał się, zawrócił i uciekł.

- Trafili tsila. - Luke był wyraźnie przybity. - Zabili tsila.

Nagle jego uwagę przykuł dochodzący z silnika hałas, ale główny monitor wciąż nie funkcjonował.

- Posadzę to małeństwo. Wiatr rzuca nami na wszystkie strony, ale musimy sprawdzić, jak mocno oberwaliśmy. Domyślcie się, gdzie możemy być?

- Tato, jesteśmy sześćdziesiąt dwa kilometry na południowy wschód od celu. Kurs jeden-trzy-siedem.

- Jeśli go utrzymamy, będziemy mogli zejść do pięciuset metrów, a w dalszej części trasy będzie jeszcze wygodniej. Ześlizgniemy się w dół zbocza góry.

Luke obrał wskazany przez Bena kurs i zaczął obniżać lot.

Prawe skrzydło niepokojąco dygotało. Silniki wytracały moc, co przekładało się na coraz mniejszą siłę nośną uszkodzonego skrzydła.

Wyglądało jednak na to, że repulsory działają jak trzeba. Kierując się wskazówkami udzielanymi przez syna i Vestarę, Luke sprowadzał prom coraz niżej, aż kilkadziesiąt metrów pod kilem dostrzegał pokryte kryształami górskie grzbiety. Opierając się na tym, co sam widział, i na odczytach czujników, wyhamował prom i zszedł na niecałe pięć metrów. Wahadłowiec zamienił się teraz w śmigacz - repulsory unosiły statek nisko nad ziemią, a coraz gorzej współpracujące silniki jonowe pchały go do przodu.

- Snaplaunce się wścieknie, tato - zauważył Ben.

- Wszystko naprawimy. Chyba że to jego sprawka.

- O czym ty mówisz?

Vestara opryskliwym tonem wtrąciła swoje trzy grosze:

- Pomyśl, Ben. Burmistrz pożyczył nam swój prom i znał cel naszej podróży. Czy system padł dlatego, że go nadwerżyliśmy, czy też może dokonano sabotażu?

- Nie wiem.

- Ja również, ale twój ojciec ma rację. Jeśli Snaplaunce próbował nas zabić, to może zapomnieć o remoncie promu.

Luke prychnął, rozbawiony jej uwagą.

Silniki nieustannie traciły moc. Prawy całkowicie przestał działać, akurat gdy dotarli do celu swojej podróży: starego ośrodka obróbki skalnej kości słoniowej.

Według danych od ludzi Snaplaunce'a miał on znajdować się na pogórzcu łańcucha, który właśnie pokonali. Pomimo nierównego terenu, pomimo wiatru szarpiącego za nienaruszone skrzydło i próbującego porwać wahadłowiec, Luke'owi udało się poprowadzić go szerokimi wąwozami i wspiać się na łagodne, górskie zbocza. Nakłaniał prom do współpracy, jakby był starożytnym śmigaczem ciągniętym przez banthę. Gdy według wskazań czujników znaleźli się trzysta metrów od celu, poddał się też drugi silnik.

W kabinie słychać było tylko buczenie repulsorów i wycie wiatru na zewnątrz, przerywane

zgrzytaniem i stukami, gdy od kadłuba odbijały się kamyki, rysując żółtą farbę. Silny wiatr spychał prom w dół zbocza, na które dopiero co z takim trudem się wspiął. Luke bał się korzystać z Mocy, więc nie mógł zrobić nic, by zmusić wahadłowiec do podążania w wyznaczonym kierunku.

Wyłączył repulsory i osiadł na kamienistej powierzchni zbocza. Wiatr zaczął kołysać promem.

- Fajnie było, tato.

- Cicho bądź.

Chwilę później, opatuleni przed zimnem i niesionym przez wiatr piaskiem, wyruszyli w stronę ośrodka.

Dwadzieścia metrów przed nimi chmury szarego i kryształowego pyłu przeredziły się na tyle, że mogli dostrzec cel swojego marszu - wzniesiony w szczelinie pomiędzy dwiema ścianami wąwozu okrągły budynek z ledwo ociosanych kamieni, połączonych zaprawą murarską z permabetonu. Z wyglądu bardziej przypominał strażnicę na starożytnych murach obronnych niż ośrodek obróbki minerałów.

Miejsce sprawiało wrażenie równie suche i martwe, jak większość tego świata. W poziomych szczelinach pełniących funkcję okien nie dostrzegli światła. Przed budynkiem nie stały też żadne pojazdy, ale główne drzwi - w postaci metalowej płyty, co rzadko się spotykało w równie starych budynkach - były otwarte, częściowo odsunięte na lewą ścianę.

Vestara dotknęła rękojeści swojego miecza świetlnego, jakby chcąc się upewnić, że wciąż tam jest. Gdy się odezwała, głos miała stłumiony przez chroniący przed zimnem szal:

- Nie wróży to dobrze.

Luke wzruszył ramionami.

- Spójrz na to praktycznie. Przynajmniej nie musimy wspinać się na mur, żeby dostać się do środka.

Minąwszy drzwi, znaleźli się w szerokim kanale, ciągnącym się między permabetonowymi ścianami. Luke zawyrokował, że tą drogą transportowano rudę; w fundamentach - czyli w wyrównanej, naturalnej skale - widoczne były koleiny, którymi na przestrzeni wieków przesuwali się tysiące wagoników. Kanału nie ograniczono sklepieniem, ale jego końcowy odcinek ginął w ciemnościach pod zasłaniającym go dachem.

Gdy minęli drzwi z durastali, zobaczyli majaczącą w ciemności parę skórzanych, podszytych futrem butów. Nie były zniszczone ani popękane, i nie sflaczały pod własnym ciężarem.

- To też nie wróży najlepiej. - Ben westchnął.

Podeszli bliżej. Z tej odległości mogli już stwierdzić, że w cieniu twarzą do ziemi leży nieruchomo człowiek.

Luke otworzył się na Moc, poszukując charakterystycznego, nieprzyjemnego posmaku drochów, ale nie wyczuł niczego prócz obecności tsilów, czujnych i budzących grozę.

Sięgnął do ciała, by przekręcić je twarzą do góry. Vestara zapaliła pręt jarzeniowy.

Mężczyzna był martwy, a jego ciało - zamrożone. Cała klatka piersiowa była pokryta jakąś brązową substancją - chyba krwią, którą suche powietrze niemal zliofilizowało. Miał zamknięte oczy, rumianą, niepodobną do Tubylca twarz i czarne, siwiejące, związane w kucyk włosy.

Luke znał tę twarz. Już ją dzisiaj widział, i to nie raz.

Ben najwyraźniej także.

- To doktor Wei - powiedział.

Przez ten krótki czas nie byli w stanie dokładnie przeszukać starego ośrodka, ale udało im się wstępnie stwierdzić, że są sami. Nie znaleźli też żadnego sprzętu elektronicznego ani pożywienia. Kilka napędzanych siłą mięśni maszyn wciąż nadawało się do użytku - jak okrągła korba używana do otwierania i zamykania zewnętrznych drzwi, a także ręczna pompa, którą doprowadzano wodę do kamiennego koryta w zadaszonej części pomieszczenia, połączonej z kanałem załadunkowym.

Nie udało im się nawiązać przez komunikatory kontaktu z Hweg Shul, stacją Koval ani

żadną farmą.

Luke pokręcił głową.

- Może jesteśmy za daleko od odbiorników, może zanadto osłonięci przez górskie szczyty.

A może to przez warunki atmosferyczne. Spróbujemy nocą, gdy wiatr przycichnie.

Siedząc na korycie z wodą, Vestara przyglądała się ciału doktora Wei. Nie udało im się znaleźć żadnego materiału ani fleksioplastu, którym mogliby go owinąć i ukryć przed ciekawskimi spojrzeniami.

- Czyli jednak nie pracował dla Abeloth - doszła do wniosku dziewczyna.

Na twarzy Bena pojawił się wyraz obrzydzenia. Luke rozumiał, że jego źródłem nie była Vestara, a cała ta sytuacja.

- Raczej nie. A nawet jeśli, to nie okazał się dla niej wystarczająco ważny. Ale jakoś nie wydaje mi się, żeby w ogóle odgrywał w tym jakąś rolę.

Luke przyjrzał mu się z ciekawością.

- Skąd wiesz?

Ben przysiadł obok Vestary.

- Według burmistrza Snaplaunce'a doktor Wei nie należał do tych, co to mutują drochy i pozwalają im panoszyć się po galaktyce. Załóżmy, że się nie mylił. Dlaczego więc wszystkie dowody wskazują, że właśnie tym się zajmował? Po pierwsze, dowodów wcale nie ma aż tak wiele. Raptem tyle, by coś zasugerować. Po drugie, ktoś mógł je podrzucić. Może ktoś schwytał Weia, zabił go i śmigaczem przewiózł ciało tutaj, żeby w pamięci pojazdu pojawił się autentycznie wyglądający zapis. Zabójca porzucił więc ciało, wrócił do miasta i wykonał kopię pamięci śmigacza. Mógł pomajstrować przy plikach, dlatego Sel powiedziała, że były zaśmiecone. I wreszcie to zabójca zostawił nam diagram.

Luke rozważył taki scenariusz.

- Może dlatego namalowano go odręcznie. Ten, kto za to odpowiada, nie wiedział, jak się posługiwać komputerem Weia, a może jakimkolwiek komputerem. To zaś wskazuje na Tubylca. Ale wcześniej druga osoba, pozbawiona talentów artystycznych, wydrukowała tekst, na którym potem znalazł się rysunek. - Westchnął, zły na siebie. - Właśnie to musiało się rzucić w oczy Snaplaunce'owi, ale nie miał pewności, o co chodzi. I ja też to zauważyłem, tyle że nie zastanawiałem się nad tym. Pośród tych wydruków nie było żadnych innych napisanych odręcznie. Tylko ten jeden, który rzucał podejrzenie na Wei.

Vestara pokiwała ponuro głową.

- Czyli wiedzieli, że będziemy szukać Weia - podsumowała - a przynajmniej, że ty będziesz go szukał. No i wystawili cię Statkowi. Ale musieli też mieć pewność, że weźmiesz prom Snaplaunce'a. Elektronika wysiadła akurat wtedy, gdy kontaktowaliśmy się ze stacją Koval...

- A to oznacza, że albo Snaplaunce należy do spisku, albo wszyscy wiedzą, że często pożyczają swój prom ważnym gościom.

Luke'owi nie podobał się ten scenariusz, a po minach Bena i Vestary poznał, że czują to samo.

- Tato, ile może nam zająć naprawa promu? I ile mieliśmy prowiantu?

- Dwudniową rację dla przeciętnie łakomego człowieka. A naprawa... nie wiem. Po zachodzie słońca przejdziemy się do promu i ocenimy, jak się sprawy mają. Możemy zaimprovizować jakieś grzejniki i podłączyć je do silnika. Mam tylko nadzieję, że sabotażyści zostawili narzędzia.

Luke nie musiał już dodawać tego, czego para nastolatków z pewnością była świadoma: że ludzie odpowiedzialni za tę dywersję doskonale wiedzieli, co robią. Tak, ich trójce udało się przetrwać atak Statku, ale nie wiadomo, jak długo będą teraz zdani na własne siły. Sabotażyści mogli wykorzystać ten czas, zbierając drochy albo pomagając Abeloth skorumpować Theran Nasłuchiowcy. Lub też robiąc obie te rzeczy naraz.

Uświadomił sobie coś jeszcze.

- Chyba pozostała nam jeszcze jedna droga łączności, z której istnienia tamci nie zdają sobie sprawy.

- Ben się ożywił.
- To znaczy?
- Komunikacja z tsilami.

ROZDZIAŁ 18

„Zrodzony w Ogniu”, przestrzeń Huttów

Grunel Ovin pomyślał, że na oko fregaty CC-7700 robiły ogromne wrażenie. Swoim trójkątnym kształtem przywoływały wspomnienia o gwiazdnych niszczycielach, ale miały ostrzejsze dzioby i wyglądały groźniej od nich. Było to poniekąd złudzenie; ta fregata, ze swoim lekkim uzbrojeniem i opancerzeniem, wyposażona dodatkowo w generator studni grawitacyjnej pełniła głównie funkcję sił wsparcia, na przykład o wyznaczonej porze zajmując pozycję przy konkretnej trasie nadprzestrzennej i przechwytyjąc wybrany statek.

Ale brak siły ogniowej nie miał wpływu na wygląd fregaty. Światła pozycyjne starzejącego się już okrętu floty Sojuszu Galaktycznego lśniły w ciemnościach kosmosu, przyćmiewając swoim blaskiem gwiazdy, a turbolasery rozbłyskiwały, wystrzeliwując salwy ostrzegawcze - jak na przykład wtedy, gdy zmusili transportowiec Grunela do zatrzymania się i złożenia broni.

W środku, zwłaszcza z perspektywy kabin więziennych, statek nie był już tak imponujący. Podłóg i innych powierzchni nie utrzymywano w takiej czystości, jakiej wymagałoby co bardziej bezwzględni oficerowie floty Sojuszu. Załoga nie miała mundurów wyprasowanych na blachę. Gdyby to Grunelowi zaszalutowano w sposób, jaki tu był powszechny, jego podwładni doczekaliby się srogiej kary.

Przewodząc desperackiej ofensywie, zmierzającej do wyzwolenia zniewolonej kultury, trzeba być zdyscyplinowanym, twardym i bezwzględnym. Grunel posiadał wszystkie te cechy. Otuchy dodawał mu fakt, że żołnierze Sojuszu Galaktycznego, z którymi miał tutaj styczność, nie byli równie stanowczy jak jego podwładni. Trafi do więzienia... ale ruch przetrwa, a na jego czele stanie może brat Grunela. Kiedy urośnie w siłę, nawet bez niego osiągnie zwycięstwo.

Grunel wiedział, że podczas procesu będzie wyjątkowo dobrze prezentował się w HoloWiadomościach - był potężnym Klatooinianinem o oliwkowej skórze, rozbudowanej muskulaturze i surowej, nieco zwierzęcej twarzy, charakterystycznej dla tego gatunku. Może nie przysłuży się sprawie tak, jak by mógł... ale coś jednak zrobi.

Otworzyły się drzwi jego małej, szarej izolatki. Siedząc na swojej pryczy, zobaczył smukłego, żywiolowego Falleena w mundurze kapitańskim i stojących za nim trzech strażników, którzy zniknęli mu z oczu, gdy drzwi się zasunęły.

Grunel znowu wbił wzrok w sufit.

- Jesteś moim adwokatem? - zainteresował się.
- Nie. Nazywani się kapitan Hunor. Chcę omówić otwierające się przed tobą możliwości. Falleen usiadł na jedynym w celi krześle, patykowatej konstrukcji z durastalowych rurek.
- Wybieram tę, w której odchodzę wolny i niszczę waszą flotę.
- Ten wariant, niestety, nie jest dostępny.

Grunel posłał mu znużony uśmiech. Wiedział, że ludzie i rasy humanoidalne odbierały go jako coś w rodzaju zwierzęcia; twarze Klatooinian, zbliżone wyglądem do pyska psa bojowego - choć od niego krótsze - potrafiły przerazić rasy o gładkich policzkach.

- Musi być panu przykro z tego powodu.
- Racja. Jestem rozdarty między zobowiązaniami wobec floty a powinnością względem inteligentnych gatunków. I coraz bardziej skłaniam się ku tym drugim.

Zaintrygowany Grunel ponownie przeniósł na niego wzrok.

- A jak zamierza pan postąpić tym razem?
- Zabić pana... przy pańskiej współpracy. I nadać tej śmierci znaczenie.

Opuszczony ośrodek obróbki skalnej kości słoniowej, Nam Chorios

Po zapadnięciu zmroku, gdy przycichł wiatr, Luke, Ben i Vestara przenieśli się na prom TIE i zabrali się do pracy.

Luke pozostawił młodemu próbę przywrócenia promu do stanu funkcjonowania. Dysponowali sporymi talentami technicznymi, a gdyby i one nie wystarczyły, zawsze mogli zawołać Luke'a.

On sam rozpoczął wspinaczkę po skałach w poszukiwaniu kryształów. Nie tych zwyczajnych, a tych rezonujących Mocą. Tsilów.

Udało mu się znaleźć kilka wśród skomplikowanych, przypominających komin kryształowych formacji, które niegdyś zbiorczo nazywano tsilami - zanim jeszcze zmieniło się znaczenie tego słowa. Potem zaczęło się ono odnosić do opartych na krzemie, inteligentnych form życia tej planety. Komin rezonował Mocą, sugerując, że wewnątrz znajdują się dwa lub trzy duszki; kolejny kryształ dostrzegł na zakurzonej ziemi, niecały metr od podstawy komina. Całą tę formację znalazł niedaleko promu. Teraz Luke przysiadł na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i owinął się płaszczem. Nadal słyszał rozmowę Bena i Vestary.

Jak zwykle się kłócili.

- Trzeba mu przyznać, że jest skuteczny.

- Wcale nie jest, Ben... O kim mówisz?

- O sabotażyście. Wygląda na to, że podłączył kondensator o dużej mocy do elektroniki promu. Aktywował go długi sygnał nadany na oficjalnym kanale łączności władz portu. Gdy się podłączył, usmażył wszystkie obwody scalone i połowę instalacji elektrycznej. Przygotowanie tego trwało pewnie jakieś pięć minut... ale naprawa może zająć nawet całe tygodnie.

- I to budzi twój podziw?

- Miałem na myśli efektywność. Muszę to zapamiętać.

- Zapamiętaj też, jak bardzo jest ci zimno, zanim... hej!

- Hej, co?

- Zdemontowano działo laserowe.

- Przecież wiemy. Dlatego tata nie odpowiadał ogniem.

- Ale system wspomagający został. Odłączono go od innych obwodów promu, ale nie zdjęto. Czyli mamy kilka układów scalonych, pod dostatkiem dobrego kabla, liczniki mocy wyjściowej, zapasowe kondensatory...

- *Stang!*

Mimo że odkrycie dokonane przez Vestarę dodało Luke'owi otuchy, nakazał umysłowi oderwać się od ich rozmowy. Sięgnął w głąb siebie, do wyobraźni i niewerbalnej komunikacji.

Tsile nie przypominały ludzi. Podczas swoich wcześniejszych kontaktów z nimi dowiedział się, że nie umieją myśleć w sposób abstrakcyjny. Nawet gdyby miały uszy, słowo „śmigacz” nie wywołałoby u nich obrazu śmigacza, podobnie zresztą napis czy uproszczony rysunek. Ale potrafiły poniekąd myśleć symbolicznie. Jeden realistyczny obraz można było zastąpić kolejnym, przekazując w ten sposób ideę istniejącego między nimi związku lub porównania. Taką właśnie metodą nawiązały kontakt z Lukiem trzy dekady temu, informując go, że należącym do ich gatunku kryształom uszkodzono mózgi, przeprogramowano i skazano na tragiczne życie w niewoli.

A tsile naprawdę przejmowały się żywymi istotami. Może nie martwił ich los pojedynczych, krótko żyjących istot pokroju ludzi, ale zależało im na przetrwaniu inteligentnych gatunków. Przez ponad siedem stuleci zmagaly się z zagrożeniem ze strony Posiewu Śmierci, reprezentowanego przez uwięzione na Nam Chorios drochy, i stąd po części brała się ich troska o los innych gatunków.

Luke zaczął od wizerunku drocha. Pozwolił mu urosnąć, aż przyjął rozmiary człowieka, nieżyjącego już Dzymba, któremu trzy dziesięciolecia temu niemal udało się uciec z Nam Chorios. Potem zmienił obraz w swojej wyobraźni, nadając mu okrągły kształt i dodając liczne odnóża, tak

że przypominał pająki energetyczne z Kessel. Pozostawił jednak „posmak” zepsucia, charakterystyczny dla skupiska drochów, na którego wspomnienie wzdrygał się do dziś.

Podtrzymując uczucie zagrożenia i grozy, powoli i stopniowo przetworzył ten obraz w Abeloth - humanoida o ustach szerszych niż u człowieka, z falującymi mackami zamiast palców i ciałem spowitym w mgłę. Kształt znowu się zmienił, upodabniając się do srebrnookiej, pięknej kobiety.

Ale Luke jeszcze nie skończył. Stworzył kolejne obrazy, zestawiając je z wizerunkiem Abeloth. Najpierw Callistę, swoją miłość sprzed tak wielu lat. Uśmiechając się smutno, stanęła obok Abeloth, w umyśle Luke'a tak rzeczywista, że na jej widok ścisnęło mu się serce.

Abeloth otworzyła usta... a krzyżująca, coraz niniejsza Callista została wciągnięta w ich otchłań.

A Abeloth zamieniła się w Callistę.

Następny był Dyon Stadd, niegdyś kandydat na Jedi, który pomógł Luke'owi i Benowi na Dathomirze. Ciemnowłosa mężczyzna był przystojny i żywiołowy, miał na sobie spodnie i koszulkę, odpowiednie do temperatury panującej w tropikach. Callista otworzyła usta, a Dyon się zmniejszył i taki skurczony zniknął w jej gardle.

Chwilę później Callista stała się Dyonem.

Luke powtarzał ten obraz wciąż na nowo, wymyślając kolejne warianty albo wykorzystując postaci z liczących sobie dziesiątki lat holofilmów; cały czas przedstawiał pochłaniającą życie Abeloth.

Przywołał właśnie obraz pięknej kobiety blondynki, którą odgrywała aktorka Wynssa Starflare, i pozwolił, by pochłonięła ją stworzony wcześniej, wyjątkowo złowieszczy Devaronianin. Potem sprawił, że Abeloth przyjęła wygląd Starflare - gdy kolejna ofiara pojawiła się bez jego udziału. Był to starszy mężczyzna, siwobrody i o wściekłym spojrzeniu; miał na sobie połatany, niebieski kombinezon, odpowiedni do życia na Nam Chorios.

Luke znał tę twarz. To Nenn, przywódca Theran Nasłuchiwaczy.

Poczuł ukłucie żalu, gdy Wynssa Starflare otworzyła usta, a rozpaczliwie machający rękami, krzyżący wniebogłosy Nenn został w nie wciągnięty. Aktorka zamieniła się w Theranina Nasłuchiwacza.

Cykl dobiegł końca. Nenn pozostał w wyobraźni Luke'a, uśmiechając się lekko rozchyłonymi ustami, za którymi czaiła się sugestia ruchu - dziesiątek istot na zawsze uwięzionych wewnątrz Abeloth.

Tsile wiedziały, to pewne. Miały większą wiedzę o poczynaniach Abeloth na tej planecie niż sam Luke. Czy mogłyby wskazać dalszą drogę, podpowiedzieć, jak uniemożliwić jej przejęcie kontroli nad Nasłuchiwaczami?

Wizja zniknęła i Luke odzyskał świadomość.

Naprzeciw niego, również owinięta w płaszcz, siedziała Vestara. Przyglądała mu się z poważnym wyrazem twarzy.

- Czegoś się dowiedziałeś, prawda?

- Nie mam dobrych wieści. Abeloth wchłonęła Mistrza Nenna.

- To rzeczywiście bardzo złe wieści.

- Wykorzysta go zapewne, by przejąć kontrolę nad Nasłuchiwaczami. Oni z kolei rozpowiedzą, że jesteśmy wrogami Tubylców, którzy mają znaczną przewagę liczebną nad Przybyszami i Spóźnionymi. Wcale nie jestem pewien, czy tsile będą w stanie nakłonić Nasłuchiwaczy do odrzucenia słów Nenna. Przemawiają zbyt cichym głosem, a ich słowa są trudne do zinterpretowania; Nenn mówi głośno i wyraźnie. Mam nadzieję, że ty masz dla mnie lepsze wieści.

- Poniekąd. Chodź, pokażę ci coś.

Luke pochylił się nad prymitywnym szkicem, który Ben wyrysował na kawałku wydobytego z promu flimsi. Kartka leżała nieruchomo na rozpórce prawego skrzydła.

Ben wskazywał po kolei.

- Musimy rozmontować panele słoneczne: te z lewego skrzydła podzielimy na trzy odrębne grupy, te z prawego przydadzą się na części. Zbudujemy z nich żagiel, ustawiając słupek między dwiema kabinami, z kablami podczepionymi do krawędzi paneli.

Luke pokiwał głową.

- I w ten sposób uzyskamy ster - powiedział.

- Zgadza się. Kable będziemy ciągnąć z kabin, a olinowanie założymy na blokach, jeśli tylko uda się nam wpaść na pomysł, jak zrobić to efektywnie. Silnik jonowy po lewej do niczego się już nie nada, ale okablowanie po prawej stronie statku jest w lepszym stanie. Może uda nam się uzyskać dwadzieścia procent mocy - tyle, że już jej nie zmodyfikujemy. Wszystko albo nic.

Luke westchnął.

- Gdy miałem dziesięć lat, bardziej skomplikowane statki składaliśmy ze złomu.

- Ale to było dawno. W czasach Imperium, gdy okręty kosmiczne budowano z drewna. I nie było holofilmów, tylko przedstawienia kukielkowe, a rolę komunikacji nadprzestrzennej pełnił długi sznurek rozwieszony między planetami, z durastalowymi kubkami po kafe na końcach...

Luke prychnął.

- Nie pomagasz mi. Trudno. - Spojrzał w kierunku ośrodka przetwarzania skalnej kości słoniowej, skrytego za rozpościerającymi się przed nim wzgórzami. - Ale wszystko po kolei. Wróć tam, żeby zatrzeć po nas ślady, jeśli jakieś pozostawiliśmy, i napelnić pojemniki wodą. Nie będziemy nocować w ośrodku. Gdy tylko Abeloth i Statek wrócą do siebie po wstrząsie związanym ze śmiercią tsila, zaczną nas szukać... poczynając od tego miejsca.

Ben wzruszył ramionami.

- No i znajdą. Jeśli zobaczą ten ośrodek, to dostrzegą i prom. Wszystko przez tę przeklętą żółtą farbę. Nie odlecimy stąd.

- Silniki nie działają, ale to nie oznacza, że nie możemy wprawić wahadłowca w ruch. Włączymy repulsory i przesuniemy to cudo tak daleko, jak nam się tylko uda. - Luke wskazał wąwóz, który pokonali w drodze do fabryki. - Ja będę operował jednym skrzydłem, ty drugim, Vestara będzie kierować i pozwolimy, by większość pracy wykonała za nas grawitacja. Powinniśmy dać radę pokonać kilometr lub dwa, może nawet znaleźć jakieś schronienie przed skanowaniem. I tam dopiero zabierzemy się do naprawy.

- Masz rację. - Ben wymierzył sobie policzek jako naganę. - Co za wstyd! W porządku, nadal czasami musisz myśleć za nas.

Kilka minut później, wracając z manierkami napelnionymi wodą, Luke zatrzymał się na stoku, z którego widział jednocześnie prom i nieduży komin tsilów.

Coś się zmieniło. Odkrył, o co chodzi, gdy przyjrzał się dokładniej otoczeniu tsilów.

Zniknął kryształ - Duszek, leżący wcześniej metr od kryształowego komina.

Luke rozejrzał się po okolicy. Nie widział śladów stóp ani innego tropu, oprócz własnego i dwójki nastolatków. Co prawda zwiadowca Tubylców mógł podkraść się niezauważony do Bena i Vestary, zwłaszcza jeśli nie otwierali się na Moc ze strachu przed wywołaniem burzy. Ale po co intruz zabierałby Duszkę?

Zaniepokojony dołączył do Bena i Vestary.

- Gotowi do drogi?

- Pewnie, tato.

- Vestaro, odpal repulsory.

ROZDZIAŁ 19

Świątynia Jedi, Coruscant

Saba, Corran, Cilghal, Han i Leia, zebrani w komnatach Mistrzów, wpatrywali się w obraz

na holoprojektorze. Wyświetlał się na nim wizerunek Kypa Durrona i Octy Ramis, przebranych za senatorskich doradców i stojących po obu stronach własnego projektora.

Gdy Octa podłączyła projektor do sieci, pojawił się na nim - transmitowany z podwieszanej wysoko holokamera - obraz przypominającej kształtem wnętrze ogromnego jaja sali Senatu. Wzdłuż jej ścian rozstawiono repulsorowe mównice, a pomieszczenie było do połowy wypełnione różnymi istotami i tętniło życiem. Obraz był mocno zamazany, ponieważ hologram, który oglądali, wyświetlał się w innym hologramie.

Octa przejechała nad nim ręką.

- Według HoloWiadomości tak wyglądała sala Senatu dzisiejszego ranka, zanim zaczęły się obrady. Podczas konferencji jest wypełniona po brzegi. Widać zaskakująco dużą aktywność i dużą frekwencję polityków. Toczy się wiele dyskusji, tak oficjalnych, jak i prywatnych, dotyczących kwestii walk o wolność i buntów niewolników, i dociekaniu, jak wpłyną one na działalność komisji. Stosunkowo aktywni są też lobbyści reprezentujący korporacje i ich interesy w obrębie Imperium Galaktycznego i poza nim. Dążą do utrzymania status quo - nie chcą dopuścić, by Sojusz Galaktyczny mieszał się do całej sytuacji, stając po stronie zniewolonych wspólnot spoza Sojuszu. Skutek jest taki, że w ciągu najbliższych kilku tygodni na obradach będzie obecna większość senatorów, przynajmniej w trakcie głównych debat, po to, by deklarować swoje stanowisko.

Kyp kliknął na panel kontrolny. Obraz zamigotał i zniknął, a na jego miejscu pojawiły się kolejne nagrania przedstawiające personel floty Sojuszu Galaktycznego, przemierzający wysoko sklepione korytarze budynku Senatu.

- Otworzyły się też przed nami możliwości wynikające z nowych środków bezpieczeństwa. Ochrona prezydent Daali przypadła teraz Wywiadowi Floty, a Służby Bezpieczeństwa mają współpracować z nimi we Wszystkich kwestiach dotyczących ochrony Senatu. W rezultacie personel floty, nieznany bliżej Służbom Bezpieczeństwa, może się teraz swobodnie poruszać po budynku. Dysponują pełnym dostępem do ośrodków bezpieczeństwa. Funkcjonariusze służb są bardzo niezadowoleni z takiego obrotu spraw. Mieliśmy dużo szczęścia, naprawdę dużo, bo wykorzystaliśmy techniki wpływania na umysły. - Machnął niedbale ręką w sposób, który zgromadzeni rozpoznali jako wstęp do mentalnej sztuczki. - „Przecież pamiętasz, że pracowałem w ochronie i że tak samo jak ty nienawidzę tych bęcwałów”. I to wystarczyło, żeby zaprosili mnie do biura na kilka drinków i godzinną tyradę o tym, jak to Wywiad Floty miesza się we wszystkie sprawy... Przy okazji udało mi się uzyskać sporo cennych informacji o nowych procedurach, przepisach i tak dalej.

Zrobił króciutką przerwę.

- Co więcej... - Kliknął przycisk i wyświetliło się zdjęcie przedstawiające grupkę oficerów floty stojących przy otwartym panelu ściennym, odsłaniającym blok elektroniki. - Najwyraźniej flota uzyskała zgodę na zainstalowanie kamer w wielu stacjach bezpieczeństwa i instalacjach rozrzuconych po całym budynku. Udało nam się do nich dostać, zanim je włączono, i podłączyliśmy tam własny sprzęt. Teraz mamy dodatkowy podgląd i niezwykle dla nas cenne kanały przesyłu informacji. Możemy stworzyć samokasujące rozkazy dla personelu i przemycić do budynku dwoje lub troje Jedi, nawet przy kontrolach na każdej zmianie. Oczywiście nie mogą być ubrani jak Jedi. Powinni nosić mundury personelu floty i mówić, że idą do naszego pomocniczego biura delegacji kuatańskiej.

Wyłączył zdjęcie z oficerami floty.

Octa uśmiechnęła się z satysfakcją do pozostałych.

- Jeśli uda nam się zdobyć nowe dane dotyczące centrum ochrony budynku, to plan Delta opracowany przez Mistrza Horna stanie się realny. Przewiduję jednak, że szanse na wprowadzenie go w życie zmniejszą się w ciągu najbliższych tygodni, zwiększy się za to prawdopodobieństwo wykrycia Kypa lub mnie. Na tym kończymy nasz dzisiejszy raport. Niech Moc będzie z wami - a zwłaszcza z nami.

Hologram się rozplynął.

Han spojrzał po obecnych.

- Plan Delta to który? Z tego, co pamiętam, mówiliśmy po prostu o „planie”. Do której litery

alfabetu już doszliśmy?

Corran posłał mu zdziwione spojrzenie.

- Han, umiesz czytać?

- Ale śmieszne.

Corran się uśmiechnął.

- Plan Delta zakłada wykorzystanie tyłu Jedi, ilu tylko uda nam się wprowadzić do budynku.

W krytycznym momencie, podczas obrad Senatu, gdy na sali zgromadzi się większość polityków, wprowadzimy do komputera ochrony fałszywą informację o serii zdarzeń, które wywołają aktywację programu dokonującego oceny zagrożenia... i przekonają senatorów, że plac przed budynkiem Senatu stał się właśnie miejscem ogromnej inwazji.

Han zamrugął.

- Czyjej inwazji?

- Yuuzhan Vongów.

- Yuuzhan Vongów? - Głos Hana wyrażał niedowierzanie. - Powariowaliście? Nikt nie potraktuje tego poważnie. Już od lat nie stanowią zagrożenia.

- To prawda, ale nie o to tutaj chodzi.

Corran wstał, podszedł do holowyświetlacza i wprowadził na konsoli kilka poleceń.

Projektor włączył się, wyświetlając w powietrzu trójwymiarowy schemat budynku Senatu. Chwilę później ku szczelnie zamkniętym wrotom budynku pędziła przez plac silna grupa piechurów Yuuzhan Vongów, budzących przerażenie w swoich prymitywnych ozdobach i zbrojach z krabów vonduun. Przed górnymi piętrami budynku przeleciały dwa okazałych rozmiarów myśliwce - niemal niezniszczalne skoczki koralowe.

- Tę animację przygotowano w ramach planu obrony przed Yuuzhan Vongami całe miesiące wcześniej, zanim rzeczywiście do niej doszło i Yuuzhanie zdobyli Coruscant. Wciąż jest wgrana w oprogramowanie budynku... Programiści niczego nie wyrzucają, chyba że zaczyna się psuć. Zalejemy system fałszywymi odczytami z czujników i przekonamy go, że Yuuzhan Vongowie przeprowadzają właśnie atak. Wtedy aktywuje się kilka działających na naszą korzyść zabezpieczeń, zanim ktokolwiek się zorientuje, co się dzieje i zdąży je ręcznie zablokować.

Corran kliknął po kolei wszystkie wyjścia z budynku Senatu, drzwi hangaru i zakamuflowane zewnętrzne stanowiska bojowe.

- Budynek zostanie zamknięty na cztery spusty, tak samo jak wiele wewnętrznych korytarzy. Ośrodki ochrony wydadzą obecnemu personelowi rozkaz przejścia w stan gotowości bojowej. My będziemy wtedy w zbrojowniach, wpuszczając do środka swoich, a tamtych trzymając na dystans. Uzyskamy dostęp do pancerzy, ładunków wykorzystywanych podczas tłumienia rozruchów, gazu i całego sprzętu, jakiego będziemy potrzebować. A w pobliżu biura pani prezydent umieścimy oddział Jedi. Jeśli uda nam się pojmać Daalę i zabezpieczyć główny obszar bezpieczeństwa, upewniając się, że nikt nie wejdzie do budynku, wyjaśnimy Senatowi, że zatrzymaliśmy panią prezydent, aby nie stosowała dalszych działań odwetowych przeciwko zniewolonym ludom i ruchom wolnościowym.

Han gwizdnął z podziwem.

- Zdobądź kontrolę nad dowódcą, przepływem informacji i udawaj dobroczyńców...

- Którymi jesteśmy.

- Którymi jesteśmy. Ale co potem?

Corran wrócił na swój fotel.

- Czekamy. - Westchnął. - Zapewnimy mediom wszystkie niezbędne materiały, żeby sprzedały naszą wersję opinii publicznej. Spróbujemy przekonać senatorów, że pozbawienie Daali urzędu pozwoli uratować tysiące, a nawet miliony wyborców, co akurat jest zgodne z prawdą, i że w swoich okręgach wyborczych będą mogli pozować na bohaterów. Jeśli uda nam się uzyskać wystarczające poparcie od senatorów wrogich Daali, a jest ich dużo i ich liczba stale rośnie, to będziemy w stanie usprawiedliwić podjęte działania i zakończyć konflikt między rządem a Zakonem, zanim wszyscy odczujemy jego skutki na własnej skórze.

Saba zwróciła się do Sehy.

- Wiele zależeć będzie od ciebie. Wrogość Daali musi osłabnąć. Prasa musi się na czymś skupić. A my musimy zdobyć informacje o ich centrum bezpieczeństwa. Ale ty ryzykujesz najwięcej.

Seha pokiwała głową z poważną miną.

- Kiedy byłam mała, nawet zdobycie pożywienia było niebezpieczne. Chyba przyszedł czas zapłacić za te wszystkie łatwe, bezpieczne posiłki, które zjadłam w stołówce Jedi.

Seha, ubrana nie w szaty Jedi, a w zielonkawy kombinezon, w towarzystwie kłocowatego, złościstego droida pokonała plac przed Senatem i skierowała się ku wejściu do budynku. Droge blokowali jej reporterzy; dowiedziawszy się z anonimowych źródeł Jedi o całej sytuacji, otaczali ją teraz i zarzucali pytaniami z częstotliwością i hałasem ostrzału z blasterów.

- Seho, dlaczego próbowałaś otruć senatorów?

Seha posłała dziennikarzowi szeroki, niewinny uśmiech.

- Ależ głuptasie, przecież ja tego nie zrobiłam. Nie jestem winna żadnego z zarzucanych mi czynów.

- Seho Dorvald! Jakie to uczucie, być szaloną Jedi?

- Nie bądź śmieszny. Obląkanym Jedi wydaje się, że zewsząd otaczają ich oszuści. A ja wiem, że wszyscy wokół są prawdziwi, no, może z wyjątkiem ciebie. - Od ciągłego uśmiechania się Sehe aż bolała twarz. Wszyscy mówili, że dobrze jej to wychodzi, ale uważała, że to okropnie sztuczne.

- Seho! Dlaczego zdecydowałaś się na adwokata droida? Dlaczego nie wybrałaś istoty organicznej?

Przewróciła oczami.

- Słowo daję, nawet droid - adwokat VoxPop klasy C - to zbyt dużo jak na taką sprawę. Jestem przekonana, że zwolnienie załatwiłby mi już myszobot z dwubitowym czipem logiki. Wzięłam kilka kredytów, żeby mieć za co wrócić do Świątyni, gdy już zostanę uniewinniona.

Wszystko to oczywiście bzdury. W sytuacji, kiedy sprawą interesowała się osobiście Daala, a w dodatku wywierano naciski na Departament Sprawiedliwości Sojuszu Galaktycznego, Seha zdołałaby się uwolnić tylko przy współudziale całego oddziału droidów bojowych ZYV, przebranych za adwokatów, albo rozdając milion kredytów na łapówki.

Ale jej droid miał pewne wyjątkowe cechy. Poza tym, że mówił kulturalnym głosem z nutką tradycyjnego coruskańskiego akcentu, jaki swego czasu dominował wśród oficerów sił zbrojnych Imperium, był też obładowany aparaturą, zwłaszcza holokamerami, które nagrywały wszystko z pomysłowo ukrytych, maleńkich okienek. Ich zadanie polegało na udokumentowaniu każdego ruchu, nawet gdyby droid został wyłączony lub gdyby zamontowano mu ogranicznik. Jeśli zgodnie z przewidywaniami Mistrzów Seha zostanie przewieziona prosto do głównego ośrodka ochrony budynku Senatu, droid będzie miał okazję zdobyć bezcenne informacje dotyczące jego rozplanowania, personelu i sił obrony.

Z każdym kolejnym pytaniem i odpowiedzią Seha i jej droid zbliżali się do wejścia. Na spotkanie wyszło jej tuzin funkcjonariuszy ochrony, więc Seha doszła do wniosku, że to już koniec jej potyczek z tłumem.

- Dlaczego sama się zgłosiłaś?

Mrugnęła w stronę pytającego i jego holokamery niewinnie i radośnie niczym nastolatka.

- I tak bym tutaj trafiła. Jeśli dobrze rozumiem, prezydent Natasi Daala chce uciąć sobie ze mną pogawędkę. Może poplotkujemy o chłopakach albo udzielę jej jakichś rad politycznych.

Odniesienie się do pani prezydent było spontaniczne, ale podejrzewała, że Han Solo przyklasnąłby tak bezczelnemu i irytującemu zagraniu.

Miała tylko nadzieję, że nie będzie przez to torturowana.

Otoczyli ją umundurowani piechurzy. Sehe i jej adwokata droida pospiesznie przeprowadzono przez tłum dziennikarzy, którzy wyjątkowo niechętnie schodzili im z drogi, rzucając inwektywy pod adresem piechurów. Chwilę później dziewczyna minęła główne wejście.

Odetchnęła z ulgą. Może i poddadzą ją torturom, ale przynajmniej pozbyła się reporterów.

Kilkaset metrów dalej, w przestronnym, jasno oświetlonym biurze coruskańskiego senatora, oglądający nadawaną przez HoloWiadomości transmisję Fost Bramsin pokiwał z uznaniem głową. Komentatorzy analizowali właśnie postać Sehy, zadawane pytania i jej odpowiedzi.

- Dobrze gra przed holokamerami.

Po przeciwnej stronie biurka, w fotelu przeznaczonym dla gości, senator Treen zamarała z kubkiem kafu w dłoni. Pociągnęła nosem z dezaprobatą.

- Wcale mi się nie uśmiecha, że oddała się w nasze ręce. Gdyby zniknęła, nikt by nie udowodnił, że nie miała związku z otruciem.

Bramsin posłał jej uspokajający, choć zmęczony uśmiech.

- I nie udowodni. Jaxton i Lecersen raczej się nie przyznają, że sami dali się otruć. A Seha Dorvald znalazła się teraz w rękach Parovy, czyli w naszych rękach. Nie rozgryzą, co tutaj robiła... póki my tego nie odkryjemy.

- Po prostu nie podoba mi się, że jakaś tajemnicza organizacja, taka jak Zakon Jedi, może spokojnie podejmować działania sprzeczne z naszymi celami.

- W ciągu kilku dni wyśpiewa nam całą prawdę. A chwilę później zniknie ze sceny - do czasu, aż przestanie odgrywać jakąkolwiek rolę, lub na zawsze. Nie ma się czego bać.

- Ach tak? To odwaga czy głupota?

- Odwaga. Bo niepokoję się tak samo, jak ty.

Uśmiechnęła się.

- Wreszcie doczekałam się szczerości w polityce.

- To tylko chwilowa utrata kontroli. Więcej się nie powtórzy.

Sala konferencyjna nieopodal dziewiątej sali sądowej, Coruscant

Podstarzały Bothanin uśmiechnął się do Tahiri. Wiedziała, że chciał dodać jej otuchy: dostatecznie dobrze znała bothański język ciała, by rozróżniać takie niuanse. Ale jego słowa nie uspokoiły jej.

- Niestety nie zgodzili się na zmianę twojego... miejsca pobytu.

Tahiri pokręciła głową.

- Nie chcę, by wzięli mnie za nudziarę. Akceptuję niebezpieczeństwo, jeśli czemuś służy. Ale zakuto mnie w kajdany, a ludzie, z którymi przebywam, najchętniej przerobiliby mnie na nawóz. A wszystko po to, żeby naczelnik mógł poczuć się władcą swojego trzeciorzędnego królestwa.

Eramuth Bwua'tu westchnął.

- Zdaję sobie z tego sprawę, moja droga. Problem polega na tym, że jedyny dowód mogący poprzeć twoje twierdzenie o grożącym ci niebezpieczeństwie znajduje się w rękach tegoż naczelnika. To oczywiście, że bagatelizuje zagrożenie. Ale prokurator, który stara się postępować zgodnie z przyjętymi zasadami, musi oprzeć swoje argumenty i zarzuty na dostępnych mu dowodach... a nie wszystkie do niego trafiają.

- Co możemy zrobić?

- Nie mogąc powołać na świadka żadnego z napastników, który by zeznał, że miałaś trafić w niewłaściwe miejsce o niewłaściwej porze...

- Na to nie ma co liczyć.

- ...będziemy próbowali załatwić przeniesienie do innego więzienia, śląc kolejne podania. I wywierać po cichu naciski na zaangażowane strony, a zwłaszcza na naczelnika.

Tahiri zmarszczyła brwi.

- O jakiego rodzaju naciskach mówisz?

- Do uszu zainteresowanych dotrą... różnymi drogami, których nie da się prześledzić aż do

ich źródła... określone sugestie. Dałem na przykład naczelnikowi do zrozumienia, że jego poczynania są teraz pilnie obserwowane, a każda decyzja dotycząca twojej osoby jest poddawana wnikliwej analizie. W tym również każdy kredyt wydany na przedmioty zbytku. Każde obciążenie jego funduszu reprezentacyjnego. Każdy zakup lub usługa, które przeszły przez konta członków jego rodziny. Dowiedział się też, że wzięto pod lupę jego znanych współpracowników.

Napomknięto, że któryś ze skazańców, odsiadujących obecnie wyrok w jego więzieniu, jest w rzeczywistości agentem Służb Bezpieczeństwa Sojuszu Galaktycznego, badającym doniesienia o przypadkach korupcji w Departamencie Więziennictwa. Gdyby okazało się, że to prawda... wszelkie wysiłki, by znaleźć agenta, pójdą na marne, może więc uwierzyć, że ma on niezwykle wprost talenty. Jeśli jest rozsądny, będzie przynajmniej się starał unikać sytuacji, w której trafiasz na niewłaściwy spaceriak. Mam nadzieję, że to zapewni ci bezpieczeństwo. I chyba zda egzamin, przynajmniej przez jakiś czas.

- Dobrze. To już coś.

- I jeśli mam być szczerzy, to... skuteczność, z jaką się obroniłaś przed napastnikami, wielu przekonała, że nie należy cię lekceważyć. Ale uważaj na nagłe awarie droidów strażników. Wyszłoby ci też na zdrowie, gdybyś w kolejce w stołówce od czasu do czasu zamieniała się miejscami z innym więźniem. Takie zwykłe środki bezpieczeństwa. A ja tymczasem będę nadal wykorzystywał inne drogi.

- Dziękuję, Eramuth.

Jego słowa nie niosły wielkiego pocieszenia, ale i tak czuła się lepiej, niż wchodząc do tej sali.

Z zakamarków ubrania Bwua'tu dobiegł brzęk dzwonka. Z jednej ze swoich licznych kieszeni wydobył chronometr i spojrzał na niego.

- Czas już wmaszerować na salę sądową. Gotowa?

Tahiri wstała.

- Gotowa.

On również się podniósł i posłał jej kolejny uśmiech. Tym razem nie dodawał otuchy. Był groźny.

- To co, może zmiażdżymy kilku świadków oskarżenia?

ROZDZIAŁ 20

Pustkowiec na północny zachód od Hweg Shul, Nam Chorios

Późną nocą, niedługo po tym, jak ukryli prom pod skalistym występem, dodatkowo przysypując go z góry szarym piachem i kryształami, dostrzegli Statek.

Lecąca wysoko nad ich głowami medytacyjna sfera Sithów zmierzała w prostej linii do ośrodka obróbki skalnej kości słoniowej. Gdy Statek nad nimi przelatywał, Luke przyjrzał się przez makrolornetkę dziwnym kształtom pradawnego, złowieszczego pulsującego czerwienią pojazdu.

Statek zatoczył kilka kręgów nad odległą fabryką, po czym zaczął stopniowo poszerzać pole poszukiwań śladów Skywalkerów i Vestary.

Na twarzy Luke'a pojawił się uśmiech. Był pewien, że w ośrodku nie pozostał żaden ślad ich obecności. Ciało doktora Wei nie zostało ruszone. Luke ukrył też odciski stóp, które zresztą całkowicie już zatarł wiatr.

Mistrz Jedi skrył się pod występem na długo, zanim sfera znalazła się w pobliżu promu. Po kilku minutach odważył się wyjrzeć na zewnątrz. Po Statku nie było śladu.

- Czysto.

Z wjazdu kabiny pasażerskiej promu wychynęła głowa i ramiona Bena. Spojrzał spod przymrużonych powiek na wschód, gdzie szczyty góry oświetlał już fioletowy blask, sygnalizując nadejście świtu.

- Czas odpocząć - zauważył.

- To prawda.

Luke wskoczył na lewe skrzydło i wdrapał się na jedną z kabin statku. Po chwili wcisnął się w fotel pasażera za swoim synem i zatrzasnął właz. Nie blokował go; w tym osłoniętym wąwozie wiatr go nie otworzy. Podłożył nawet pod pokrywę kilka kamyków, żeby powietrze mogło krążyć.

Nie zakończyli jeszcze prac nad żaglem. Wystarczyłoby kilka dodatkowych godzin, ale nie mogli kontynuować prac za dnia, gdy wokół szalały burze piaskowe, więc pozostało im wykorzystać ten czas na odpoczynek.

Odpoczywali na wrogim sobie świecie, pożywiając się ściśle ograniczonymi racjami, zresztą w połowie już wykorzystanymi. Mogłoby być lepiej, ale Luke był weteranem niezliczonych sytuacji, które dałoby się opisać słowami „mogłoby być lepiej”.

Posłuchał jeszcze, jak Ben ostatni raz sprawdza, czy siedzącej samotnie w kabinie pilota Vestarze jest wygodnie. Potem, uspokojony, zapadł w sen.

Spał niespokojnie. Przesypiał naraz godzinę, czasem pół, aż budził go kołyszący promem wiatr albo wiercący się w fotelu Ben. Od czasu do czasu któreś z nich opuszczało prom, wychodząc za potrzebą, i po chwili wracało, przemarznięte i zakurzone, do względnie ciepłego wnętrza wahadłowca.

Po południu byli już wyspani na tyle, na ile pozwalały na to warunki. Posilili się trzymanymi w chłodni, kilkuletnimi już racjami, co im dało ułamek kalorii, których potrzebowali, i oddali się zabijaniu czasu pracą na datapadach.

Kochany tatku!

Sypiamy tutaj w dziwny sposób. W hostelu w Hweg Shul Mistrz Luke i Ben stłoczyli się w jednym pokoju, podczas gdy ja miałam drugi w całości dla siebie. Tutaj, w terenie, obaj zajęli komorę pasażerską i dwa niewygodne fotele, a ja śpię w kabinie.

Mistrz Luke oczywiście chroni w ten sposób Bena, ponieważ...

Ponieważ, oczywiście, Vestara była Sithem i nie można jej było w pełni zaufać. Ale chodziło o coś więcej. Luke ochraniał syna przed ewentualnymi błędami w ocenie, przed wszystkim, co mogłoby sprawić, że Ben się do niej przywiąże, zanim wyjaśni się, wobec kogo jest lojalna i do czego zmierza.

A to bolało. Nie, nie przeszkadzało jej, że Mistrz Jedi nie do końca jej ufa. Chodziło o to, że bronił Bena, podczas gdy jej ojciec, Gavar Khai, nie zrobiłby tego dla niej - przez wszystkie te lata nie zrobił nic. Po prostu założyłby, że jeśli Ben zrobi coś, co nie spodoba się Vestarze, to ona sama go zabije. Tak załatwiali to Sithowie. Byli jak jaszczury, porzucające gniazdo na długo przedtem, zanim wyklują się młode, niespecjalnie interesując się losem swojego potomstwa.

Skasowała ostatnich kilka słów.

Oczywiście Mistrz Luke chroni w ten sposób Bena, tak samo, jak ty ochroniłbyś mnie.

Utknęła. Przez krótką chwilę nie mogła pogodzić się z kłamstwem. W wyobraźni Vestary prawdziwy Gavar Khai śmiał się z jej gołębiego serca i z urojeń.

Zapra gnęła wrócić do domu.

Chciała mieć dom, do którego mogłaby wrócić.

Ale on nie istniał.

Po zmroku wznowili prace nad promem. Gdy włączyli repulsory, ze statku spadła większość nagromadzonego piachu, a Ben wspiął się na kadłub, by zmieść resztę. Wypchnęli prom spod skalnego występu i wzięli się do montowania steru.

To zaś oznaczało wykorzystanie jednego z narzędzi statku - spawacza łukowego zasilanego energią promy - do wypalenia dwóch dziur w przęśle łączącym obie kabiny, a potem dopasowanie do nich masztu. Później doczepili kable i druty do krawędzi paneli słonecznych, a w końcu otaklowali kółka od włazów, zamieniając je w bloczki.

Teraz z odległości kilku metrów podziwiali swoje dzieło.

Ben zrobił parę zdjęć swoim datapadem.

- Wygląda jak *poodoo* banty - stwierdził.

Luke pokiwał głową.

- Delikatnie mówiąc.

Vestara zrobiła kilka zdjęć dla siebie.

- Więc jaki mamy plan?

Luke lekko wskoczył na lewą rozpórkę promu i usiadł na komorze.

- Musimy założyć, że Abeloth-Nenn przejęła kontrolę nad częścią Teheran Nasłuchiwczy.

To zaś oznacza, że będziemy mieć przeciwko sobie Tubylców. W drodze do Hweg Shul musimy unikać wszelkich spotkań. Na datapadach mamy mapy planetarne, więc trzeba wyznaczyć trasę do miasta, i to prowadząc wyłącznie przez równiny, bo nie będziemy w stanie pokierować tym ustrojstwem po wzgórzach czy górach.

Ben zmarszczył brwi, obliczając coś w pamięci.

- Jestem pewny, że nie uda nam się dotrzeć tam przed świtem - oznajmił w końcu.

- A więc jutrzejszej nocy. Chyba że po drodze natkniemy się na jakiś grawicykl albo śmigacz. Na pewne sprawy nie mamy wpływu, Ben.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Udało się nam zbudować śmigacz z *poodoo* banthy.

Luke wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Do środka - zarządził.

Sterowanie promem okazało się mniej więcej tak trudne, jak się tego spodziewali.

Gdy lewy silnik jonowy wreszcie odpalił, udało im się osiągnąć prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. To zaś oznaczało, że do Hweg Shul dotrą po trudnej, dziesięciogodzinnej podróży, i to lecąc w linii prostej. Cała droga, włączając w to zygzakowanie między łańcuchami górskimi i pasmami wzgórz, wynosiła około ośmiuset kilometrów.

Przez godzinę lub dwie lecieli prosto, po czym musieli skrócić, by przeprowadzić prom między wzgórzami. To z kolei oznaczało, że Luke w lewej kabinie i siedzący za Vestarą Ben w prawej wykrzykiwali do siebie przez interkom: „Na lewo! Na lewo!”, „Już!”, „Jeszcze! Na lewo! Stop, stop, stop!”, jednocześnie szaleńczo kręcąc przygotowanymi na poczekaniu bloczkami. Gdy prom zakończył wykonany z wysiłkiem, niemrawy skręt, musieli z powrotem wyrównać ster: „Na prawo, na prawo! Stop, stop, stop!” Po upływie kilku godzin obaj ochrypli.

Ale jednak pokonywali kolejne kilometry, a obliczenia nawigującego według gwiazd Luke'a, porównującego niebo, które widział nad głową, z danymi na datapadzie, wskazywały, że choć trasa, którą obrali, była absurdalna i niepotrzebnie tak często ją korygowali, to jednak w gruncie rzeczy prowadziła ich do Hweg Shul.

Przed świtem zatrzymali pracę silnika jonowego jakieś sto metrów od stromego pasma gór. Luke i Ben dopchnęli unoszony na repulsorach prom do krawędzi łańcucha, Vestara wyłączyła repulsory i cała trójka wzięła się do zasypywania pojazdu piaskiem.

Co prawda sabotażysta zniszczył system komunikacyjny promu, nadal jednak mieli swoje osobiste komunikatory. Przez kilka godzin przed świtem i później odbierali słabe, odległe sygnały:

. .w wyniku burzy w Hweg Shul zginęły trzy osoby, a szkody szacuje się na setki tysięcy kredytów. Władze nie przedstawiły wyjaśnienia niecodziennych zdarzeń, które wykazują podobieństwo do burz sprzed trzydziestu i więcej lat...

...launce wraca do zdrowia po groźnym pobiciu...

...śledczy przybyli na powierzchnię planety, co nie zmienia faktu, że obostrzenia dotyczące podróży z orbity i na nią pozostają w mocy, dopóki..

Gdy zerwał się pierwszy wiatr, te słabe transmisje całkowicie zanikły, zastąpione przez zakłócenia.

- Niedobrze, tato.

- Niedobrze, Ben.

- Na dodatek zgłodniałem i cuchnę.

Luke już miał odpowiedzieć, gdy Ben wtrącił, naśladując jego głos:

- To nic w porównaniu z Dagobah. Tam wszystko, łącznie z duraplastem, zżerała śmierdząca pleśń. Nawet mój miecz śmierdział. I jedzenie. Yoda też. I destylowana woda, choć nie bardzo rozumiem dlaczego.

Luke zmierzwił włosy syna.

- Jeśli zamierzasz zostać moim biografem, to musisz skończyć z przedstawianiem swojej wersji wydarzeń.

Centrum ochrony, budynek Senatu, Coruscant

Ubrana w szary, więzienny uniform, z rękami i nogami zakutymi w kajdany, z rudymi włosami w całkowitym nieładzie, Seha dreptała tak szybko, jak mogła, starając się dotrzymać kroku dwóm strażnikom Służb Bezpieczeństwa Sojuszu Galaktycznego, którzy z uporem maszerowali szybciej, niż było trzeba. Gdy weszli do pokoju przesłuchań, bynajmniej nie łagodnie pchnęli ją na jedno z dwóch stojących tam krzeseł i opuścili pomieszczenie.

Seha odetchnęła z ulgą i spojrzała za nimi.

- Już mi was brakuje - mruknęła.

Spojrzała na odwróconego do niej plecami mężczyznę, stojącego po przeciwnej stronie stołu. Miał na sobie świeżo wyprasowany mundur oficera ochrony Sojuszu Galaktycznego.

Zorientowała się, kim jest, jeszcze zanim się odwrócił. Nadzieja ją opuściła.

- Oj, *stang*.

Porucznik Javon Thewles, usiadł naprzeciw niej z obojętnym wyrazem twarzy.

- Seha... Dorvald, tak?

- Tak się nazywam, ale to już wiesz. Nie powinno cię tu być.

- Bardziej już swojej karierze nie zaszkodzę. Skończyła się, gdy pozwoliłaś się zaprosić na kolację.

Spojrzała na niego ze współczuciem. Nie udawała.

- Nie chciałam, żeby do tego doszło. Przepraszam.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- No cóż, odgrywałam swoją rolę i jakoś mi pasowało do zachowania osoby, którą miałam być. Poza tym jest wiele prawdy w starym powiedzeniu „za mundurem panny sznurem...”

Zamknął oczy ze zbolałym wyrazem twarzy.

- Nie o to chodzi. Dlaczego otrułaś Moffa i generała? I próbowałaś otruć pozostałych? - Otworzył oczy. Z jego spojrzenia wyczytała, że naprawdę stara się to zrozumieć.

- Nie bądź niemądry. To oczywiste, że tego nie zrobiłam.

- Jako jedyna miałaś dostęp do otrutych i do budynku Senatu.

Na chwilę Seha zdębiała.

- Czyś ty zwariował? Przecież to nieprawda. Na pokładzie promu był też Wynn Dorvan i ich współpracownicy.

- Żadne z nich nie miało motywu.

- Ja też.

- A jednak zostali otruci.

- Kiedy?

Tym razem to on sprawiał wrażenie skołowanego.

- Słucham?

- Kiedy ich otruto? Na pewno nie na moim promie. Może zrobili to ich polityczni przeciwnicy na pokładzie „Błędnego Rycerza”. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego taka sama trucizna pojawiła się w tym budynku. Czyli stało się to po ich przybyciu tutaj. Słuchaj, nie powiem ci nic, czego nie słyszeliście ode mnie wcześniej.

- Nie widziałem tych nagrań.

- Ależ oczywiście, że widziałeś. Twoi przełożeni musieli pokazać ci przynajmniej skróconą wersję, zanim przysłali cię tutaj z misją wyciągnięcia ze mnie przyznania się do winy.

Pokręcił głową.

- Przyszedłem we własnym imieniu. Wygzekwowałem kilka przysług, by móc spędzić z tobą te parę minut. Złożyłem już rezygnację z pracy w Służbach Bezpieczeństwa Sojuszu. Gdy tylko zostanie rozpatrzona, bezpowrotnie mnie stąd wykopią.

- Ojej. - Osunęła się na krzesło. - Przykro mi.

- Więc dlaczego udawałaś pilota promu?

- Nie mogę ci powiedzieć. Ale na pewno dowiesz się podczas mojego procesu.

Ze wzrokiem wbitym w przestrzeń stukął palcami o blat stołu, jakby zapomniał o obecności Sehy.

- Jeśli nie ty ich otrułaś, to kto? I dlaczego? Pierwszym krokiem powinna być ocena konsekwencji przestępstwa i określenie, czy któraś z nich mogła stanowić przekonujący motyw. Seha poczuła niepokój.

- Zaraz, zaraz... to nie tak.

- Jakie były konsekwencje? Po pierwsze, zostałem skompromitowany, ale nie mam wrogów. Jedyne rywali, z którymi konkuruję o awans, a otrucie dwóch bardzo ważnych osób wymaga skorzystania ze środków wykraczających poza możliwości któregokolwiek z tych poruczników. Po drugie, skompromitowano całą ochronę. - Wrócił do niej spojrzeniem. - Czy o to chodziło?

- Nie.

- Dotarłaś do informacji o spisku przeciwko Służbom Bezpieczeństwa Sojuszu Galaktycznego. Sprowadziłaś tutaj Lecersena, Jaxtona i Dorvana, żeby spiskowcy wykorzystali słabości tych służb. By wywabić przeciwnika.

Seha poczuła się bezsilna. Ten młody, gorliwy oficer zamierzał wskoczyć na biały aerośmigacz i popędzić na ratunek galaktyce, ale mylił się w większości swoich przypuszczeń. Ostrzegła go bezgłośnie: „To się źle dla ciebie skończy”.

- Nie musisz szeptać. - Gestem ręki objął cały pokój. - Upewniłem się, że ekrany zapewniające poufność rozmów między adwokatem a jego klientem działają jak trzeba, no i przeszukałem pomieszczenie w poszukiwaniu podsłuchów.

- To się źle dla ciebie skończy, naprawdę. Wracaj do domu, zacznij sobie szukać nowego zajęcia.

- Ale ja już mam zajęcie. Niedokończone.

- Dobra, słuchaj... chciałam zabić Lecersena, Jaxtona i wszystkich tych senatorów, ponieważ prawdziwi zostali porwani, a ich miejsce zajęły te złowrogie sobowtóry, które staram się wyeliminować.

- Za późno, Seho. - Podeszedł do drzwi, wprowadził kod na panelu i przystawił oko do skanera siatkówki. - Już nie jestem na ciebie zły. Po prostu wykonywałaś swoje zadanie.

Drzwi się rozsunęły.

- Idiota.

- Wiem, że tak nie myślisz. Powodzenia.

I zniknął.

Zrozpaczona, oparła czoło o blat stołu.

W takiej pozycji zastali ją kilka minut później funkcjonariusze ochrony. Dźwignęli ją na nogi. Jeden z nich, ciemnoskóry człowiek, przyjrzał się jej uważnie.

- Potrzebujesz lekarza?

- Raczej kursu trzymania buzi na kłódkę. I to permanentnie.

ROZDZIAŁ 21

Wysoka orbita Coruscant

Być może stałoby się lepiej, gdyby rząd zachował wieści o tej tragedii w tajemnicy.

Ale takie rozwiązanie nie było możliwe. Tysiące istot na własne oczy widziało, jak fregata floty Sojuszu Galaktycznego „Zrodzony w Ogniu” przeleciała między platformą obronną Golan a przypominającą z wyglądu dziecięcy bączek stacją kosmiczną, pełniącą funkcję hotelu.

Zapowiadał się istny cyrk medialny. Rząd zdążył ogłosić, że „Zrodzony w Ogniu” zboczył z wytyczonej trasy, by dostarczyć przed oblicze sprawiedliwości swojego najsłynniejszego więźnia, klatooiniańskiego terrorystę/bojownika o wolność, Grunela Ovina. Gdy fregata mijala hotel, wychodzące na przestrzeń kosmiczną pokłady i halle po brzegi wypełniali ciekawscy. Ku uciesze szefów programów informacyjnych część z nich wywijala transparentami z napisami „Uwolnić Grunela” albo „Sojusz, łapy precz od spraw Huttów”.

A „Zrodzony w Ogniu” eksplodował.

Stało się to tak nagle, że przez kilka długich chwil świadkowie nie wiedzieli, co się właściwie wydarzyło. Fregatę o dziobie w kształcie grotu strzały, schodzącą właśnie na niską orbitę Coruscant, zastąpiło coś na kształt małego, białego karła. Gdy kula ognia zaczęła rosnać, tłum cofnął się, a wszyscy zasłonili oczy. Gdy odzyskali wzrok, tam, gdzie przed chwilą jeszcze znajdował się „Zrodzony w Ogniu”, teraz widzieli już tylko pustkę.

Kilka chwil później w transpatalowe okna widokowe hotelu uderzyły pierwsze zniekształcone przez żar szczątki. Ogromne okna zadrżały, a na niektórych pojawiły się wywołane uderzeniami odkształcenia. Atmosfera zaczęła uciekać w przestrzeń kosmiczną, nie na tyle szybko, by życie gości było narażone, jednak alarmy dekompresyjne i tak przeraźliwym wyciem ogłaszały rychłe nieszczęście, dorzucając swoje trzy grosze do panującego w hotelu chaosu i dezorientacji.

Przeżarci goście krzyczeli i pędzili na oślep, byle dalej od barier, które nagle wydały się dziwnie kruche; przepychali się jeden przez drugiego grodziami mającymi zapewnić im bezpieczeństwo.

Okna wytrzymały, a o ich solidności mogli zaświadczyć najodważniejsi i najbardziej szaleni kamerzyści, którzy pochycili również obrazy rannych: gości stratowanych przez swoich towarzyszy w szaleńczym pędzie ku bezpieczeństwu.

W ciągu kilku minut zdjęcia te pojawiły się na każdym możliwym holokanale, z komentarzem prowadzących programy i relacjonujących to wydarzenie na żywo dziennikarzy. Tak było, dopóki, wraz z pojawieniem się ostatniej odezwy Grunela Ovina, wszystko to nie zeszło na dalszy plan. Najwyraźniej nadano ją z nadajnika awaryjnego, wystrzelonego ze „Zrodzonego w Ogniu” tuż przed eksplozją statku. Wiadomość odebrały, nagrały, wysłały ponownie i opatrzyły komentarzem wszystkie agencje informacyjne Coruscant.

Na nagraniu Grunel Ovin siedział w fotelu z dumnym, walecznym wyrazem twarzy. Jego zielona skóra nie pasowała do szarego więziennego kombinezonu floty. Uśmiechał się triumfalnie do swojej publiczności.

- „Gdy odsłuchacie tę wiadomość, »Zrodzony w Ogniu« nie będzie już istnieć, a wszyscy na jego pokładzie, włącznie ze mną, będą martwi. Zrobiłem to, co musiałem, aby mój lud zaznał wolności. Aby inni pojęli, że nie mogą nad nami panować.

Pozwoliłem, aby mnie schwytano i zabrano na pokład »Zrodzonego w Ogniu«, ponieważ zamierzałem zrealizować niemożliwe na pozór zadanie. Nigdy nie dowiecie się, jak tego dokonałem. Wiedźcie jednak, że teraz zagrożony jest każdy okręt waszej floty. Dopóki zachowujecie bierność, pozwalając byśmy cierpieli niewolę, aby nas ciemiono, dopóty setkami i tysiącami ginąć będą wasi obrońcy i bliscy.

Niech wszyscy, którym wydaje się, że mogą zawładnąć inteligentną rasą, potraktują to jako wyzwanie. Wy też zginiecie z rąk kogoś takiego jak ja, a historia napluje na wasze groby.

Moja śmierć jest też karą dla prezydent Daali, określającej siebie jako honorową wojowniczkę... choć w rzeczywistości jest jedynie pacholkiem, najpierw na usługach Imperatora i Wielkiego Moffa Tarkina, a teraz korporacji, zarabiających na niewolnikach poza Sojuszem, a następnie wydających fortunę, by kupić prawa zapewniające im możliwość kontynuowania tych zbrodni. Nie przestawaj się im podlizywać, prezydent Daalo. Będę śmiał się z ciebie z miejsca,

gdzie mnie nie dosięgniesz”.

Bothanin o szarym futrze, pełniący funkcję szefa biura HoloWiadomości, oglądał właśnie pierwszą transmisję nagrania na absurdalnie dużym ściennym monitorze, ustawionym w głównym newsroomie oddziału stacji, tysiące kilometrów poniżej miejsca eksplozji. Pokręcił głową.

- Daali się to nie spodoba.

Jego asystent, Chandra-Fan o połowę mniejszy od swojego przełożonego, ale równie jak on kudłaty, wydawał się zafascynowany Grunelem Ovinem. Wiadomość się zapętiła, gdy nałożono na nią komentarz.

- Raczej nie. Ale to dobry news - rzucił.

- O, bez wątpienia.

Sześć godzin później Wynna Dorvana opuściła wszelką nadzieję, gdy prezydent Daala obróciła się w jego stronę w swoim fotelu konferencyjnym i z kamiennym wyrazem twarzy, jakiego u niej jeszcze nie widział, ogłosiła swoją decyzję:

- Mandalorianie na Klatooine. Już.

Otworzył usta, chcąc przedstawić kolejny rozsądny argument przeciwko przyjętemu przez nią trybowi postępowania, ale zaraz z powrotem je zamknął. Zdrowy rozsądek nie zdaje egzaminu. Dzisiaj rządziła chęć zemsty i zdławienia wszelkiego oporu. Wstał i pobiegł do swojego biura.

Wiedział, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Pełny skład oddziału najemników miał zaatakować, wykorzystując swoje niewątpliwe umiejętności i zaawansowaną technologię, zamieszkującą pustynię grupę Klatooinian, zwanych Piaskowymi Panterami Ovina lub Frontem Obrony Istot Rozumnych. Daala zakładała, że zupełna likwidacja tej grupy i zamienienie obozowisk na pustkowiach, zamieszkałych przez wojowników, cywilów i dzieci, w wypalone kraterki zmusi wszystkie podobne grupy do starannego przemyślenia, czy zniszczenie okrętu wojennego Sojuszu Galaktycznego rzeczywiście było dobrym pomysłem.

Wynn był człowiekiem pragmatycznym i uważał, że bezlitosna eksterminacja lokalnej społeczności niczym się nie różni od zdradzieckiego wysadzenia w powietrze okrętu, trudno jednak było znaleźć empiryczne dowody na poparcie tej tezy, a jeszcze trudniej - przekonać do nich kogoś równie zawziętego, jak Natasi Daala.

To nie on będzie walczył o zwycięstwo w tej bitwie, więc - rozważając przejście nad emeryturę - zabrał się do pracy.

W oddalonym o kilka kilometrów biurze admirał Parova odebrała zakodowaną wiadomość od Wynna Dorvana i wezwała do siebie kapitana Hunora. Falleen wpadł do jej biura jak błyskawica; kiedy wyhamował, jego warkocz potrzebował dodatkowej pół sekundy, aby zwinąć się na swoim miejscu na plecach.

- Pani admirał... - zameldował się.

Uśmiechnęła się do niego. Był posłuszny i dobrze sprawdzał się w roli jej prawej ręki. Pewnie będzie czuł się zdradzony, gdy Sojusz Galaktyczny i Imperium Galaktyczne się zjednoczą, idąc śladem tradycyjnych wytycznych Imperium; wtedy karierom nieludzi pokroju Hunora stanie na przeszkodzie transpastalowy sufit. Na razie jednak szczerze wierzył, że przekupstwa, morderstwa i akty sabotażu, których pokątnie dokonywał, służą usunięciu ze stanowiska coraz bardziej błędzącej pani prezydent.

Podala mu kilka datakart.

- Mandalorianie mają zniszczyć obozowiska Ovina. Prześlij szczegóły tam gdzie zwykle. Potem leć do centrum kontroli zamieszek i obejmij dowództwo na terenie budynku Senatu. Z początku nie przeszkadzajcie protestującym, ale niech Służby Bezpieczeństwa Sojuszu sprawią wrażenie... jakby to ująć...

- Niepożądanych? Nieskutecznych? Tragicznych?

- Wszystko naraz.

Hunor zabrał czipy, zasalutował i zniknął.

Wzruszyła ramionami, zadowolona. Gdy sytuacja się uspokoi, z Hunora może być jeszcze

całkiem niezły ogrodnik.

Wcisnęła na pulpicie przycisk, odpowiedzialny za blokadę drzwi i ochronę przed czujnikami, po czym wyjęła z szuflady biurka duży, wymyślny komunikator, dostrojony do częstotliwości umieszczonego w pokoju odbiornika, który z kolei połączono kablami ze znajdującym się kilka kilometrów dalej wzmacniaczem.

Nagrała krótką wiadomość.

- Mówi Nona. Mógłbyś w drodze do domu kupić niebieskie mleko? Dzięki wielkie.

W ciągu sekundy obwody elektryczne komunikatora zmodyfikowały głos Parovy, nadając mu bardziej zmysłowe brzmienie, po czym nagranie przesłano na osobiste komunikatory pozostałych uczestników spisku.

Słowa brzmiały niewinnie i sprawiały wiarygodne wrażenie błędnej transmisji. Ale ci, do których były skierowane, rozumieją ich przekaz.

A więc Daala wykonała kolejny autodestrukcyjny, zaogniający sytuację krok, który - jak niewątpliwie potwierdzą w swojej zblazowanej mądrości archiwa historyczne - doprowadził do klęski pani prezydent.

Szkoda „Zrodzonego w Ogniu”. Cóż, nikt nigdy się nie dowie, że kapitan Hunor, zanim opuścił fregatę, zaprogramował boję ratunkową, by nadawała ostatnią wiadomość Ovina, po czym aktywował mechanizm samozniszczenia, korzystając z upoważnienia Szefa Operacji Floty. Idealny „zamach bombowy” - i to bez użycia bomby.

Parova wyłączyła zabezpieczenia przed czujnikami, wezwała swoich pomocników i wstała. Następnych kilka godzin spędzi w budynku Senatu. Chciała i musiała tam być, gdy sprawy nabiorą tempa.

W coraz bardziej zatłoczonych biurach budynku Senatu, zawłaszczonych przez Jedi na potrzeby ich operacji, Mistrzynie Octa Ramis, śledząca strumień informacji przepływających przez monitor na blacie biurka, nagle się podniosła.

- Kyp - odezwała się poważnym tonem.

Nie uszło to uwagi istot zgromadzonych w głównym biurze Jedi i ich sojuszników. W mieszanej grupie, takiej jak ta, jeden Mistrz nie zwracał się do drugiego po imieniu - na taką bezpośredniość pozwalano sobie w bardziej nieformalnych sytuacjach.

Przebrany za mechanika Zekk, z włosami przefarbowanymi na blond i sztuczną brodą, wymienił spojrzenie ze swoją narzeczoną, Taryn Zel, ubraną i umalowaną na wzór anonimowych, nieokreślonych biurowych piękności, które wielu polityków lubiło mieć przy sobie, gdy włączano holokamery. Elegancki jak z obrazka, stojący przy drzwiach uczeń Jedi, Bandy Geffer, przebrany za wypucowanego, gorliwego chorążego, sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Siwowłosi Mistrzowie Kam i Tionne Solusarowie, wytworni w swoich kosztownych szatach ambasadorów, wpatrywali się Octę ze swojej kanapy.

Kyp, podobnie jak Octa przebrany za członka politycznej grupy wsparcia, stanął za Mistrzynią. Przyglądając się strumieniowi słów i liczb przepływających przez ekran, zmarszczył brwi.

- Węzeł jeden-jeden-trzy. Który to?

Octa zerknęła do swojego datapada.

- To jednostka monitorująca, którą Wywiad Floty podłączył do kanałów wychodzących z biur organów wykonawczych. Podpięliśmy do niego podsłuch. Z którego to biura?

- X-wing Commenor Aldera dwa-cztery-siedem-osiem.

Zdumiona Octa otworzyła szeroko oczy.

- Strzał w dziesiątkę. To wewnętrzne biuro Wynna Dorvana.

Kyp zmarszczył brwi, przeglądając niesformatowane kolumny tekstu.

- Czy ja dobrze widzę?

- Chyba tak.

- Daala wydała rozkaz eksterminacji klatooiniańskich osad. Mandalorianie mają zamienić je

w dymiące kratery. - Westchnął ciężko. - I to właśnie zrobią, jeżeli jeszcze dzisiaj nie podejmiemy działań. Żeby operacja Mandalorian została odwołana, musimy wprowadzić w życie plan Delta.

Octa pokiwała głową.

- Skontaktuję się ze Świątynią. Kam, Tionne... wyrażacie zgodę?

Starsi państwo przytaknęli. Czyli już czwórka Mistrzów opowiedziała się za rozpoczęciem operacji. Żeby uzyskać zwykłą większość, przeciw musieliby głosować wszyscy Mistrzowie, którzy pozostali w Świątyni... ale Octa nie potrafiła sobie wyobrazić, że w obecnych okolicznościach mogliby zrobić coś takiego. Wynik był przesądzony.

Wstała, kierując się do komnaty na tyłach, żeby skorzystać z umieszczonego tam holorekordera.

- Zanim sprawy nabiorą tempa, może uda nam się wprowadzić jeszcze jeden zespół Jedi. Przygotujcie się do realizacji swoich zadań.

Na wszystkich monitorach rozmieszczonych w prezydenckich biurach wyświetlały się właśnie HoloWiadomości. Jedna po drugiej pojawiały się sceny ukazujące rosnący w siłę, coraz bardziej gwałtowny tłum, zbierający się niedaleko budynku Senatu; nagrania mandaloriańskich transportowców; przypomnienie operacji podejmowanych w przeszłości przez mandaloriańską piechotę i ich niszczycielskiego potencjału.

Wynn oglądał właśnie końcówkę jednej z tych przebitek, gdy drzwi jego biura otworzyły się i do środka weszła prezydent Daala, eskortowana przez dwóch agentów Wywiadu Floty. Wynn wstał. Agenci rozejrzeli się po pomieszczeniu, po czym wyszli i drzwi się zasunęły.

Drżącą ze złości dłonią Daala wskazała Wynnowi monitor.

- Jakim cudem to mogło wyciec? I to tak szybko?

Wynn wzruszył ramionami, mając przy tym nadzieję, że sprawia wrażenie nieszczęśliwego, a nie obojętnego.

- Rozkazy dotyczące podjęcia tego rodzaju operacji muszą przejść przez kilka osób. Może odpowiedź na twoje pytanie zabrzmiałoby inaczej, bo chodzi o zdrajcę, a może jakiś wyjątkowo uzdolniony reporter założył podsłuch.

- Chodzi o to pierwsze. Zdradzono mnie, Wynn. I to w czasie kryzysu na galaktyczną skalę. W takiej sytuacji zdradę karze się śmiercią.

- Wiem o tym, pani admirał.

- Dowiedz się, kto odpowiada za przeciek. Aresztowania mają się zacząć jeszcze dziś.

Wywiad Floty też zajmie się poszukiwaniami winnych.

- Będziemy wchodzić sobie w drogę, przeszkadzać w prowadzonych śledztwach...

Posłała mu zimne spojrzenie.

- Potrzebne mi zabezpieczenie... na wypadek gdybyś to ty był źródłem tego przecieku.

Odwróciła się i wyszła tak szybko, że otwierające się drzwi omal nie przyłożyły jej w twarz.

Wynn przełknął ślinę, usiadł i skoncentrował się na monitorze. Rozesłał zaufanym podwładnym rozkaz wszczęcia najbardziej intensywnego i skrupulatnego śledztwa od czasu... cóż, od czasu poszukiwań urzędnika z trucizną ukrytego przez Sebę Dorvald przed kilkoma dniami.

W przerwach między wysyłaniem kolejnych rozkazów kontynuował pisanie swojej rezygnacji.

Centrala bezpieczeństwa budynku Senatu niechętnie wydała „Sokołowi Millenium” zezwolenie na lądowanie. Han wylądował jak zwykle wprawnie, nie zdradzając śladu napięcia, które u niego oznaczało urojone piraniozuki objające się o ściany żołądka.

Gdy transportowiec znalazł się na ziemi, Han szybko wyłączył aparaturę, po czym spojrział na Leię i pozostałą dwójkę w sterowni.

- Wiecie, co robić, prawda?

- Proszę wybaczyć, proszę pana, ale chyba jednak nie. - C-3PO uniósł ręce w niepewnym,

wyrażającym bezradność gości. - Po prawdzie, to nie do końca rozumiem, jaki jest cel tego zadania. Zakładam, że w obliczu rosnącej liczby protestujących przed budynkiem chcecie pocieszyć prezydent Daalę i udzielić jej dobrych rad...

Han przewrócił oczami.

- Coś w tym guście. Gdy opuścimy budynek, jej samopoczucie wyraźnie się zmieni.

Złotogłowy, ty masz zostać na statku. Powiadomisz mnie lub Leię, gdyby ktokolwiek wszedł na pokład, i będziesz wykonywał instrukcje Artoo.

- Ależ, proszę pana, nieroztropnością, i to wielką, jest powierzać Artoo odpowiedzialność za cokolwiek. Jest zbyt porywczy, zbyt śmiały...

Han i Leia wyszli ze sterowni, mijając po drodze stojącego przy wejściu R2-D2.

U podnóża rampy załadowniczej czekała na nich Desha Lor, twi'lekańska asystentka Wynn. Akurat tego dnia jej czarny uniform zdawał się pasować do panującego wokół nastroju: narastającej wrogości i atmosfery powagi na zewnątrz. Pokręciła powoli głową, wprawiając w ruch lekku.

- Prezydent chyba nie będzie mogła dzisiaj się z wami spotkać.

Głos Leii brzmiał uprzejmie, ale twardo.

- Będziemy w poczekalni. Przekaż Wynnowi, że nalegamy na to spotkanie. Odnalezienie Sehy i namówienie jej, by oddała się w wasze ręce, wymagało z naszej strony sporo wysiłku. Daala jest nam coś dłużna i domagamy się spotkania z nią.

Desha uśmiechnęła się lekko, ze zrozumieniem.

- Uproszczę tę prośbę, przekazując ją Wynnowi.

- Nie, przekaż mu słowo w słowo, co powiedziałam, a Wynn niech powie to samo pani admirał.

Han nie pozwolił, by jego twarz cokolwiek zdradziła. Nie żeby dręczył go niepokój; chodziło raczej o uczucia, które towarzyszyły mu przez te długie godziny, gdy Leia zamartwiała się, jakich słów użyć. Miały spowodować, żeby wściekła Daala, chcąc najpierw ostudzić emocje, przetrzymała ich długo w poczekalni; jednocześnie jednak nie powinny jej obrazić aż tak, że wyrzuci ich z budynku.

Desha wzruszyła ramionami.

- Jak sobie życzycie. Tędy, proszę. Jak zwykle musicie zostać poddani pełnej kontroli...

ROZDZIAŁ 22

Daala sprawiała wrażenie opanowanej, czuła się jednak jak owad, który znalazł się w pobliżu celu działa jonowego.

Ta presja musi wkrótce osłabnąć. Gdyby tylko jej przeciwnicy wstrzymali na kilka dni obłożenie jej administracji od wewnątrz i z zewnątrz, wszystko dałoby się wyprostować. Gdyby jej siły zbrojne i publiczna infrastruktura nie stały się celem ataku, nie byłaby zmuszona do podjęcia działań odwetowych. Gdyby lobbisci działający w imieniu korporacji jasno określili, czego chcą, i przestali udawać, że kierują nimi altruistyczne pobudki, być może zyskaliby w jej oczach nieco szacunku i może nie czułaby takiej pogardy, która pojawiała się przy każdym spotkaniu z nimi. Gdyby to wszystko wypaliło, emocje by opadły. Politycy wróciliby do tego, co im najlepiej wychodzi, czyli do przemiany tlenu o umiarkowanej temperaturze w gorący dwutlenek węgla i do zajadania się przystawkami. Dziennikarze znowu by komentowali bezsensowne romanse gwiazd holofilmów.

Ale Jedi - przecież nie zrobią jej tej przyjemności i nie poumierają, prawda?

Na monitorze biurka pojawiła się twarz jej sekretarki, Chevki o skórze białej jak kreda i włosach ufarbowanych na olśniewający pomarańczowy kolor.

- Pani prezydent Daalo, admirał Parova prosi o krótkie spotkanie. Nie mam jej w rozpisce na dzisiejszy dzień.

Daala wydała niemal bezgłośnie westchnienie ulgi. Parova mogła w przyszłości stać się jej przyjaciółką, może nawet powiernicą. W tych nielicznych chwilach, gdy nie musiała zmagać się z

kryzysem, udało im się nawet przelotnie pogawędzić - o tym, które z projektów okrętów wojennych prezentują się obiecująco, albo o tym, jakie metody nauczania najlepiej sprawdzają się w wojskowej ksenoedukacji.

- Wpuść ją.

Drzwi się rozsunęły. Admirał weszła do środka, ale zablokowała drzwi, nie pozwalając, by się zamknęły. Na jej twarzy malowała się powaga.

- Pani prezydent, ze względu na nasilające się niepokoje przed budynkiem Senatu, a także inne przesłanki, przygotowałam szczegółowy plan pani ochrony. Jeśli pani się zgodzi, zmienię poprzednio obowiązujące przepisy.

Daala nie wahała się ani chwili. „Inne przesłanki” muszą oznaczać, że podejrzenie padło na jednego z jej obecnych ochroniarzy. Może któryś Jedi wpłynął na niego, wykorzystując jedną z tych przeklętych mentalnych sztuczek. Skinęła głową.

- Załatw to.

Parova spojrzała na dwóch funkcjonariuszy bezpieczeństwa Wywiadu Floty, siedzących dyskretnie z tyłu pomieszczenia. Ledwie zauważalnie dała znak głową. Obaj agenci bez słowa opuścili biuro. Ich miejsce zajęło dwóch innych - Falleen i jasnoskóry człowiek.

Admirał Parova zrobiła krok do przodu i drzwi zasunęły się za nią. Wyraźnie się rozluźniła.

- Tak lepiej.

Daala gestem wskazała jej fotel.

- Podejrzewasz tamtych dwóch? Przecież przydzieliłaś ich do mnie raptem kilka dni temu!

Parova usiadła i pokręciła głową.

- Nie, oni należą do elity. Są nieprzekupni. W gruncie rzeczy są całkowicie oddani Sojuszowi Galaktycznemu. Ale to stanowi część problemu.

- Co masz na myśli?

- Pozwolę to sobie zademonstrować. - Mówiła teraz głośniej, w bardziej zdecydowany sposób. - Pani prezydent Natasi Daalo, w imieniu...

Przygasły światła w całym biurze. Głęboka, może nawet poddźwiękowa wibracja, emanująca z najniższych pięter budynku, zatrzęsa kubkiem kafu i przyrządami do pisania na biurku Daali. Prezydent poczuła tę wibrację w palcach i piszczelach.

Chwilę później rozległ się dźwięk alarmu, składający się z dwóch niskich i złowieszczych tonów.

Daala stuknęła palcem przycisk łączący ją z głównym sekretarzem.

- Co się dzieje? - krzyknęła.

Nikt jej jednak nie odpowiedział. Obraz na monitorze pokazywał biurko sekretarza, ale jego tam nie było. Jak zresztą nikogo innego.

Parę chwil wcześniej, w zewnętrznym biurze, w kieszeni kamizelki Hana zadzwonił zegarek.

Sekretarz Daali, złotowłosy Bothanin, podniósł głowę.

- Na co był nastawiony alarm?

Han wyszczerzył się do niego w uśmiechu.

- Na nic dobrego. Kojarzysz, że nie wolno nam tu wchodzić z bronią?

- Jasne.

Siedząca obok Hana Leia wstała i rozpostarła szeroko ramiona, jakby występowała na koncercie i chciała skupić na sobie uwagę publiczności.

- Jesteście moimi więźniami. Oddajcie broń.

Pozostali ważni goście, czekający na spotkanie z Daalą - senatorowie, przedstawiciele najważniejszych korporacji, ambasadorowie - wpatrywali się w nią bez słowa. Po obu stronach pomieszczenia oficerowie floty odruchowo sięgnęli do kabur.

Ledwo odpięli paski zabezpieczające rękojeści blasterów, Leia złożyła ręce. Blastery wyskoczyły z kabur, trafiając prosto w ręce jej i Hana.

Nie wstając, Han przełączył swoją broń na ogłuszanie. Jakby mimochodem strzelił do oficera po lewej, skierował blaster w przeciwnym kierunku i oddał strzał do tego po prawej.

Sekretarz rzucił się na rozciągnięty za biurkiem dywan.

Leia odwróciła się, zabezpieczając drzwi prowadzące z zewnętrznego korytarza do poczekalni.

Han uśmiechnął się i pomachał blasterem w stronę czekających dygnitarzy.

- Nie ruszać się. To napad.

- Han!

- A, racja, mój błąd. Nie ruszać się, to zamach stanu. - Wycelował w leżącego plackiem Bothanina. - To dotyczy przede wszystkim ciebie, Kędziorku. Rusz palcem albo powiedz coś, co uznaję za ostrzeżenie dla twojej szefowej, a wpakuję w ciebie tyle pocisków, że do końca życia będziesz dotykiem zapalał pręty jarzeniowe.

Światło w biurze przygasło, a wszyscy poczuli drzenie niskiej vibracji.

Troszkę wcześniej senator Bramsin dołączył do senator Treen w izbie senackiej. Jej stanowisko nie unosiło się już w powietrzu; było mocno przyczepione do wsporników zamontowanych w zakrzywionej ścianie, w połowie wysokości między podłogą a sufitem. Starzy przyjaciele i spiskowcy wspólnie wpatrywali się w ogromny monitor zawieszony u szczytu komnaty; widniał na nim Deggan Rockbender, senator z Tatooine o rudawozłotych włosach. Jego słowa płynęły ku nim z podwieszanych głośników z drobnym, liczącym ułamek sekundy opóźnieniem w stosunku do głośników rozmieszczonych na wszystkich senatorskich stanowiskach.

„...względy praktyczne ustępują w obliczu zasad stojących u podstaw powołania do życia Nowej Republiki i kontynuacji tych ideałów w Sojuszu. Nałożenie embarga na dobra pochodzące z planet, gdzie nadal obowiązuje niewolnictwo, jest etyczną koniecznością i deklaracją, w której opowiadamy się za sprawą...”

Treen westchnęła.

- Niepotrzebnie się tak unosi.

Bramsin przytaknął i spojrzał na zegarek.

- Pomyśl tylko: za chwilę Parova wyda oświadczenie, że siły zbrojne dokonały aresztowania Daali. W samym środku porywającej mowy Rockbendera o podjęciu działań przeciw siłom tyranii, Parova ogłosi, że sprawa jest już zamknięta.

Treen zastanowiła się nad tym chwilę. Zatrzepotała rękami jak panienka.

- Notowania Rockbendera mocno podskoczą, i to nie tylko wśród jego wyborców.

- Zgadza się.

- Może powinnam z nim porozmawiać zaraz po oświadczeniu Parovy.

- Dobry pomysł.

- Jesteś gotów do przejęcia kontroli, gdy Parova skończy?

- Oczywiście. Program włączony, wystarczy wcisnąć guzik i...

Światła w komnacie przygasły. Zęby Treen zaszczękały, gdy przez salę przetoczył się złowieszczy, poddźwiękowy ton. Widoczny na wielkim ekranie nad nimi senator Rockbender przerwał wystąpienie i rozejrzał się wokół, zdezorientowany. Leżąca na blacie przed Treen datakarta zatrzęsała się od vibracji i zaczęła zsuwać się za krawędź stołu.

Bramsin spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Tego nie było w planie.

- Rzeczywiście.

- Lepiej wróć na swoje stanowisko.

Odwrócił się i odszedł szybkim krokiem. Szybciej, niż gdy na tronie Imperium zasiadał Palpatine, pomyślała Treen.

Kilka chwil wcześniej R2-D2 zaczął się odchylić, opierając korpus na trzeciej nodze, i wyjechał tyłem ze sterowni „Sokoła Millenium”.

C-3PO popędził za nim.

- Jaka wiadomość? Ja żadnej nie odebrałem.

Droid astromechaniczny zignorował go. Wyjechałszy szybko na okrężną rampę

transportowca, R2-D2 otworzył szczelinę w swoim korpusie, wysunął mechaniczne ramię i stuknął nim trzy razy w podłogę.

- Co też ty...

Płyta podłogi i druga obok niej powędrowały w górę.

- Ojej - zdziwił się See-Threepio.

Mistrzynie Saba Sebatyne wyprostowała się w swojej komorze przemysłowej. To samo zrobili obok Corran Horn i Jaina Solo.

- Mistrzynie Sebatyne, Mistrz Horn i pani Jaina... Gdybym wiedział, że tu jesteście, przyniosłbym wam kawy.

Wydostając się ze swoich komór, trójka Jedi obdarzyła droida protokolarnego ledwie przelotnym spojrzeniem. Ułożyli z powrotem płyty i popędzili na szczyt rampy załadunkowej, z niej zaś w dół, do hangaru.

C-3PO mógł ocenić ich postępy po odgłosach. Dobiegł go syk włączanych mieczy świetlnych, krzyki, terkot karabinów blasterowych, skwierczenie odbijanych pocisków uderzających w ściany z durastali.

Artoo, ćwierkając, ruszył za Jedi.

- Co to znaczy, razem z nimi? To sprawy Jedi, i to niebezpieczne. Nam powierzono inne zadanie.

Zjeżdżający po rampie droid zapiszczał stanowczo.

- Cóż, to prawda, że miałem się ciebie słuchać, ale to niedorzeczny rozkaz. Niemożliwy do wykonania, jeśli się nad tym zastanowić. - Mimo to ciekawość i troska o los towarzysza skłoniły See-Threepia do podążenia za droidem astromechanicznym. - Ojej!

Światła w hangarze przygasły.

W chwili, gdy także przygasły światła w budynku Senatu, ożywił się chorąży floty walążący się przed wejściem do głównej centrali bezpieczeństwa. Zsunął czapkę na oczy i kurczowo ścisnął swoją teczkę.

Gdy poddźwiękowy hałas wprawił w drżenie kości wszystkich w zasięgu wzroku nad wejściem zapaliło się żółte światło. Do środka zaczął się tłoczyć personel Służb Bezpieczeństwa Sojuszu Galaktycznego i floty. Ukośne krawędzie drzwi zaświeciły zielonym światłem, informującym o rozpoczęciu sekwencji zablokowania.

Chorąży floty podczepił się na koniec grupy oficerów Służb Bezpieczeństwa. Minął próg, gdy krawędzie drzwi zmieniły kolor z zielonego na żółty, a wibracja przeszła w modulowany, dwutonowy dźwięk alarmu.

W centrum ochrony raptem kilka sekund wcześniej wybuchł chaos. Oficerowie i piechota pędzili na swoje stanowiska. Uszy chorążego zaatakował wszechobecny hałas - wykrzykiwane komentarze, rozkazy, wycie alarmu.

Rozejrzał się wokół. To, co widział, różniło się od nagrań wykonanych przez droida - adwokata Sehy. Ze względu na stłoczonych ludzi i zabiegany personel trudniej było to wszystko objąć umysłem.

Ale Bandy Geffer studiował te nagrania przez długie godziny. Znał rozplanowanie piętra, rozpoznawał wielu ludzi, pamiętał nawet niektóre nazwiska i zajmowane stanowiska. Ruszył szybko przed siebie, pamiętając, by salutować wyższym rangą oficerom i nie przyciągać niczyjej uwagi. Gdy odbił w prawo, w jeden z bocznych korytarzy dostrzegł kątem oka, że krawędzie drzwi, przez które się tutaj dostał, świecą już na czerwono; chwilę później zatrzasnęły się z głośnym łomotem.

Jeszcze kilka kroków i Bandy dotarł do celu - słynnego bloku więziennego, gdzie można było przetrzymywać więźniów i wystawiać ich na pokaz, nim zostaną przekazani dalej. W każdej z tych cel zamiast krat zamontowano duże okno z transpastali, pozwalające swobodnie oglądać jej zawartość - poza osłoniętą toaletą.

Seha Dorvald siedziała na dolnej pryczy trzeciej mijanej przez niego celi. Z umiarkowanym

zainteresowaniem obserwowała poruszenie na zewnątrz. Gdy w jej polu widzenia pojawił się Bandy, pomachała mu.

Bandy postawił teczkę przy szarych, durastalowych drzwiach jej celi, otworzył ją i wyjął ze środka swój miecz świetlny.

- Gdzie powinniście teraz być, choraży?

Bandy uśmiechnął się na widok kobiety oficer Służb Bezpieczeństwa.

- Pani porucznik Zeiers! Wygląda pani dokładnie jak na hologramach. A powinienem być w Świątyni Jedi.

- Co takiego?

Włączył miecz świetlny. Niebieskie ostrze nabrało lśniącej spójności przed jego twarzą. Raz jeszcze spojrzął na drzwi, po czym wbił ostrze dokładnie między ościeżnicę a klawiaturę, tnąc w dół.

- Blok więzienny alfa, mamy intruza!

Bandy słyszał wykrzykiwane słowa i syk wysuwanego z kabury blastera. Okręcił się i ciał do góry, trafiając tuż za spustem. Lufa oddzieliła się od reszty broni.

Porucznik Zeiers, cała i zdrowa, wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Znowu zajął się drzwiami. Usłyszał, jak porucznik ucieka. Chwilę później miecz przeciął blokujący drzwi rygiel. Teraz wystarczył ruch dłoni i sięgnięcie poprzez Moc, by je odsunąć.

Wciąż skuta kajdankami Seha wyszła na zewnątrz.

- Masz mój miecz świetlny?

- Jest w torbie. Rączki - polecił.

Gdy Seha wyprostowała przed sobą ręce, Bandy przeciął skuwające je kajdanki.

- Masz coś porządnego dojedzenia? To, co tutaj dają... - zagadnęła Seha.

- Niestety nie. I jeśli chcesz jeszcze kiedyś zjeść dobry posiłek, musi nam się teraz udać.

Bandy schylił się i przeciął kajdany na nogach, zarysowując podłogę pod nimi.

Seha pogrzebała w teczce, a gdy się wyprostowała, w dłoni trzymała miecz świetlny. Z nadgarstków nadal zwisało jej kilka centymetrów metalowego kabla przyłączonego do kajdanków.

Wspólnie pomknęli w głąb centrum ochrony. Rozniosły się już wieści o ich obecności. Oficerowie Służb Bezpieczeństwa z dwóch różnych rodzajów sił zbrojnych rozbiegli się, zajęli stanowiska i otworzyli ogień z blasterów. Seha wysunęła się na czoło - jako pasowany Rycerz Jedi znacznie lepiej radziła sobie z odbijaniem pocisków. Bandy zajął się ostrzałem z tyłu, odbijając ogień blasterów, których nie zniszczyli po drodze.

Jedi dotarli do swojego celu - głównej zbrojowni. Była zamknięta na głucho, ponieważ pełniący służbę oficerowie nie mieli jeszcze czasu, by wdrożyć standardowe procedury operacyjne dotyczące uzbrojenia personelu.

Seha stała na straży, wychwytyjąc i odbijając rosnący w siłę ostrzał z blasterów. Bandy krzywił się, słysząc od czasu do czasu okrzyk bólu. Seha nie celowała odbitymi pociskami w strzelców, ale tyłu ich się tutaj kręciło...

Bandy wbił swój miecz świetlny w drzwi i przeciągnął nim, by wyciąć szczelinę o średnicy półtora metra. Gdy wypalone ścieżki zetknęły się ze sobą, kopnięciem posłał wycięty okrąg do wnętrza zbrojowni. Ostrożnie wskoczył do środka, omijając poszarpaną i rozgrzaną krawędź metalu, i wcisnął przycisk odpowiedzialny za otwieranie drzwi.

Działał, a drzwi się rozsunęły. Seha wycofała się do środka. Bandy ponownie wcisnął przycisk i drzwi na nowo się zatrzasnęły. Teraz pociski blasterów mogły dostać się do środka już tylko przez wyciętą przez Bandy'ego dziurę.

Rozejrzał się po zgromadzonych w pomieszczeniu skarbach. Wieszaki ze zbrojami, stojaki na karabiny blasterowe, skrzynki granatów...

- Maski gazowe... o, proszę bardzo.

Zabrał dwa zestawy masek tlenowych i kilka granatów wykorzystywanych podczas tłumienia rozruchów. Jedną maskę włożył sobie, druga powędrowała na głowę Sehy, po czym zaczął wyrzucać odbezpieczone granaty przez dziurę w drzwiach.

Na razie szło nieźle.

ROZDZIAŁ 23

Tłum napierający na kordon utworzony z funkcjonariuszy Służb Bezpieczeństwa, stojących przed budynkiem Senatu, w ułamku sekundy porzucił gniewny ton i fałszywą brawurę. Teraz ich okrzyki wyrażały ciekawość i niepewność.

Stojący kilka rzędów z tyłu, świeżo upieczony obywatel Javon Thewles wyciągnął szyję, by spojrzeć, co dzieje się przed nim.

Drzwi budynku - wejścia dla personelu i wrota hangaru - zamykały się właśnie na głucho. Musiał nimi sterować centralny komputer, ponieważ robiły to jednocześnie.

Lekki niepokój, który odczuwał, pozbawił go apetytu. To nie mogło dobrze się skończyć. Przepchnął się do przodu, odpychając innych gapiów. Widzący jego wysiłki żołnierz skupił na nim wzrok, oceniając zagrożenie, ale Javon zatrzymał się przed barykadą.

Rozsunęły się permabetonowe bloki u podstawy budynku, odsłaniając trapezoidalne, również permabetonowe formy. Na szczycie każdej z nich znajdowała się wieżyczka z wystającymi z niej czterema działkami laserowymi, dysponującymi wystarczającą siłą ognia, by zestrzelić myśliwiec, nie wspominając o zabiciu jednym strzałem wielu z tłumnie zgromadzonych tu ludzi.

Javon wiedział jednak, że automatyczny system prowadzenia ognia, zamontowany w bunkrach - lub też ich żywi operatorzy - mógł rozpocząć ostrzał tylko wtedy, jeśli potencjalni wrogowie zbliżą się na minimum pięćdziesiąt metrów. A nikt przecież nie będzie na tyle głupi, by podchodzić do najeżonych laserami stanowisk bojowych...

Tam, gdzie ochrona musiała sobie radzić z wyjątkowo silnym naporem tłumu, fala gapiów odepchnęła barykadę, umożliwiając minięcie jej jednemu z cywilów, mężczyźnie o czarnych włosach, przystrzyżonych krótko na wojskową modłę. Na ramieniu cywil trzymał profesjonalną holokamerę - co oznaczało, że albo był dziennikarzem, albo amatorem lubującym się w drogie zabawkach.

Ochrona budynku miała pełne ręce roboty. Nikt nie mógł ruszyć za zbłąkanym operatorem holokamery, który zbliżał się do budynku, cały czas nagrywając.

- Cofnij się! - krzyknął jeden ze szturmowców, Quarrenka w stopniu kaprala. Jej macki drżały ze wzburzenia. Stała ledwie pięć metrów od Javona, po drugiej stronie barykady.

- Wracaj! - rozkazała.

- Strzelaj. - Javon usłyszał wypowiedane przez siebie słowa i dopiero po chwili zaskoczenia zdał sobie sprawę z faktu, że ma rację.

Quarrenka obróciła się błyskawicznie, by na niego spojrzeć.

- Co?

- Jeszcze kilka kroków, a uruchomi lasery. Wtedy zginą dziesiątki, może nawet setki istot. Proszę przełączyć broń na ogłuszanie i do niego strzelić, pani kapral.

Javon sięgnął do umiejętności zdobytych podczas treningu dowodzenia, by nadać swojemu głosowi siłę, która, jak liczył, wywrze na Quarrence większe wrażenie niż jego cywilne ubranie.

Quarrenka spojrzała na niego, jakby własna błona bębenkowa przekazywała jej fałszywe informacje. Przesunęła palcami po lewej stronie lufy swojego karabinu blasterowego, uniosła broń do ramienia i oddała strzał.

Trafiła mężczyznę z holokamerą w bok. Wstrząsany spazmami, upadł ciężko na permabetonową powierzchnię placu, a tuż obok roztrzaskała się jego kamera. Miał zamknięte oczy.

Tłum zawył wściekle. Holokamery wzięły Quarrenkę na celownik. Ale fala gapiów, którzy utorowali drogę nieprzytomnemu już człowiekowi, się cofnęła. Szturmowcy naparli i wyrównali linię barykady.

Quarrenka obrzuciła Javona gniewnym spojrzeniem.

- Z bólem serca przyznaję, że miał pan rację.

- Mnie również to boli, pani kapral.

Pięćdziesiąt metrów dalej kobieta o żółtej skórze z omnikierunkowym mikrofonem w dłoni obserwowała z otwartymi ustami rozwój wydarzeń.

- To był... to był Tuvar, prawda? Z Niezależnego Głosu? - spojrzała na operatora, szukając u niego potwierdzenia swoich domysłów.

Gamorreanin, do którego skierowała pytanie, był ubrany w szary strój w odcieniu permabetonu i trzymał mniejszą i znacznie mniej wyszukaną holokamerę, niż powalony mężczyzna. Dysponowała jednak stelażem pozwalającym oprzeć ją na ramieniu, miała regulator dioptrii i przełącznik on/off; cała reszta była automatyczna, co sprawiało, że sprzęt idealnie nadawał się dla kogoś o intelektualnych niedoborach pokroju Gamorreanina. W odpowiedzi na pytanie żółtoskórej kobiety chrumknął potwierdzająco, nie poświęcając jej zbytnej uwagi; jego kamera wciąż była wycelowana w nieprzytomnego kolegę, do którego zbliżali się właśnie lekarze Służb Bezpieczeństwa.

Kobieta, elegancka w starannie dobranych szatach - białych, by wyróżniać się z tłumu na nagraniach - i z ledwo zauważalnym makijażem, wróciła wzrokiem do budynku Senatu.

- Oddałabym miesięczną pensję, żeby tylko dowiedzieć się, co też tam się teraz dzieje.

- Jedi zajęli budynek.

Odpowiedź, udzielona jej głosem, który wzniósł się ponad hałas tłumu na tyle, by być słyszalnym, nadeszła od kogoś stojącego nie dalej jak pięć centymetrów na lewo od niej. Kobieta czuła na uchu jego oddech. Coś w tych słowach sprawiło, że przeszedł ją dreszcz, chociaż nie chodziło o ton głosu mówiącego - niski i obojętny.

Odwróciła głowę, jakby spodziewała się zobaczyć jakiegoś żywiącego się ludzkim mięsem potwora. Okazało się jednak, że odpowiedzi udzielił jej mężczyzna ubrany w tradycyjne szaty, mogące należeć do Jedi. Na głowie miał kaptur, rzucający cień na twarz.

Cofnął się kawałeczek, by zapewnić jej swobodę ruchów. Był młody, mógł mieć niewiele ponad trzydzieści lat i sprawiał sympatyczne wrażenie.

- Oczywiście Mistrzowie nie ogłosili tego pozostałym, ale my wiemy swoje.

Zmrużyła oczy, uważnie mu się przyglądając.

- A co dokładnie wiesz... hej, przecież ja cię znam, prawda?

- Tak.

- Jesteś Valin Horn, Rycerz Jedi. Władze nadal cię szukają, od kiedy zostałeś odbity z więzienia. Razem ze swoją siostrą.

Valin znacząco przechylił głowę na bok. Kobieta spojrzała we wskazanym kierunku. Obok Valina stała Jysella Horn. Podobnie jak brat, na głowę miała zarzucony kaptur i beznamytnie obserwowała budynek Senatu.

- Jestem Kandra Nilitz z sieci informacyjnej Strefa Lądowania.

Valin uklonił się jej.

- Bardzo mi miło.

- Możesz potwierdzić, że Jedi zaatakowali Senat? Czekaj, ustawimy holokamerę...

Valin pokręcił głową.

- Nie tutaj. Ale jeśli zgodzisz się na nasze warunki, dostaniesz wywiad na wyłączność. I poznasz nieznaną nikomu fakty.

Kandra spojrzała na niego podejrzliwie.

- O jakich warunkach mówisz?

- Nie chodzi mi o pieniądze. Możesz nam załatwić transportowiec lub prom wyposażony w napęd nadprzestrzenny? I przeskanować nas na umieszczone w ciele nadajniki? Jeśli tak, a na dodatek zabierzesz nas na miejsce katastrofy „Zrodzonego w Ogniu”, to dostaniesz historię, jakiej nikt inny nie ma.

Kandra błyskawicznie oceniła sytuację.

- ...da się zrobić. Musimy wrócić do studia.

- Już, zanim osz... zanim Jedi zakończą swoją misję.

Kandra dała znak swojemu operatorowi i wspólnie przeprowadzili Hornów przez tłum.

Serce reporterki biło jak oszalałe. Dzięki temu materiałowi mogłaby skończyć z komentowaniem na żywo wydarzeń wyłapanych na skanerach i znaleźć pracę w prawdziwej sieci informacyjnej.

Tyle że w zachowaniu Jedi, tego Horna, było coś dziwnego, upiornego.

Jaina skończyła wycinać mieczem świetlnym krąg w durastalowych drzwiach. Schowała ostrze i cofnęła broń od krawędzi wycięcia. Wolną dłonią wykonała gest, który odepchnął od niej wycięty kawałek i posłał go na tę część korytarza, którą do tej pory blokowały drzwi.

Za nią stali ramię w ramię Saba i Corran, trzymając w dłoniach zapalone miecze świetlne i mimochodem odbijając pociski blasterów wystrzeliwane przez ochronę, która zajęła pozycje jakieś trzydzieści metrów w głąb korytarza.

Jaina zajrzała w wyciętą dziurę.

- Czysto.

Saba na ułamek sekundy przeniosła spojrzenie na Jainę, po czym ponownie skoncentrowała się na nadlatujących pociskach.

- Musisz się dostać do turbowind i załatwić nam dostęp - powiedziała. - Zostaniemy tutaj, póki tego nie zrobisz.

Jaina dała nura przez otwór, przetoczyła się, wstała i przebiegła dwadzieścia metrów do najbliższej turbowindy. Zakręt korytarza był pusty; gdyby ktoś się tu nawet kręcił, widok rozcinanych mieczem świetlnym drzwi na pewno skłoniłby go do ucieczki.

Wcisnęła na próbę przycisk windy, ale na wyświetlaczu nad jej głową nie pojawiła się żadna oznaka, że komenda została przyjęta. Jakoś jej to nie zdziwiło. Służba Bezpieczeństwa musiała zablokować wszystkie turbowindy, dając możliwość korzystania z nich jedynie istotom z dostępem priorytetowym. Ale czasami opłacało się wypróbować najprostsze sposoby. Bandy i Seha na pewno by umieli oddać turbowindy w ręce Jedi, ale nie to było ich priorytetem; mogło trwać zbyt długo, żeby mieli z tego jakąś korzyść.

Zdjęła płytkę ochronną z panelu kontrolnego windy i podłączyła datapad. Był to najzwyczajniejszy model, ale uruchomiony na nim program wysyłał zapytania do centrum dowodzenia Jedi w fałszywych kwaterach Kuati, żądając danych od modułów, które Octa, Kyp i pozostali podłączyli do systemu bezpieczeństwa budynku. Jeśli to zadziała, załatwi sprawę szybciej i przy mniejszych zniszczeniach niż wycinanie kolejnej dziury w...

Drzwi szybu turbowindy się rozsunęły. Ułamek sekundy później przemknęła nimi kabina windy zmierzająca na wyższe piętra. Podmuch wiatru o mało nie przewrócił Jainę. Drzwi windy były zamknięte, nie zdążyła więc zauważyć jej zdziwionych pasażerów.

Odłączyła datapad.

- Gotowe!

Chwilę później Corran pędem pokonał wyciętą przez Jainę dziurę, cały czas dzierżąc w dłoni świecący fioletowo miecz świetlny. Biegł w jej kierunku. Po chwili przez otwór przeskoczyła Saba. Błyskawicznie przetoczyła się na bok, unikając gradu pocisków z blasterów, które gnały za nią niczym rój wściekłych owadów. Gdy zderzyły się z permabetonową podłogą korytarza, część z nich tam zakończyła swój żywot; tylko nieliczne rykoszetem wbiły się w ścianę daleko za Jainą.

Mistrzowie dołączyli do niej i wspólnie zajrzeli do szybu turbowindy.

Widzieli trzy nieoddzielone od siebie szyby. W swoim, środkowym, nie zauważyli kabiny u dołu; ta, która minęła Jainę, zatrzymała się mniej więcej dwadzieścia pięter wyżej. W szybie po lewej w ogóle nie mogli dostrzec kabiny. W prawym szybie kabina właśnie zjeżdżała.

Jaina obejrzała się na drzwi. W najlepszym wypadku mieli jeszcze dziesięć sekund, nim pierwszy, najodważniejszy ze ścigających ich szturmowców wsunie głowę przez otwór i zacznie strzelać. Wtedy Jedi musieliby ponownie odbijać pociski blasterów w oczekiwaniu na pasującą im windę.

W innym miejscu budynku, bliżej biur zajmowanych przez delegacje niż hangarów, dokładnie to samo robili Tionne, Kam, Zekk i Taryn. Ten zespół miał wyznaczony inny cel.

Kabina w szybie po prawej przemknęła z rykiem w dół. Jaina zobaczyła, jak dziwnie

gwałtownie zatrzymuje się cztery piętra pod nimi.

Trójka Jedi skoczyła.

Odległość od kabiny wynosiła piętnaście metrów, ale dzięki Mocy każde z tych doświadczonych Jedi bezboleśnie i z gracją wylądowało na dachu windy.

Ta zaś znowu ruszyła, pędząc w górę z tak zawrotną prędkością, że Jaina i Corran musieli przykucnąć. Saba stała wyprostowana, opierając się na nogach i ogonie.

Po chwili kabina znowu się zatrzymała z typową dla turbowind nagłością. Mogły tak działać dzięki wbudowanym kompensatorom bezwładności - bez nich pasażerowie zamieniliby się w galaretę z połamanymi kośćmi. Jednak siedzący na dachu Jedi zostali wystrzeleni w górę niczym z karnawałowego działła.

Przelecieli kolejne dwa piętra i użyli Mocy, by przesunąć się metr w bok i wylądować na wąziutkiej, kilkucentymetrowej półeczce u podstawy kolejnych drzwi.

Corran spojrział na numer wymalowany po wewnętrznej stronie.

- To poziom sali posiedzeń. Może być... pod warunkiem że ta kabina nie ruszy w górę i nie rozgniecie nas na naleśniki. Potrzebuję trochę miejsca.

Zapalił miecz świetlny.

Jaina i Saba odsunęły się na boki, przytrzymując się wąskich rowków i złączy, którymi połączono durastalowe płyty. Musiały zapewnić Corranowi swobodę w wycinaniu im przejścia przez drzwi.

Kabina windy pod nimi zaczęła zjeżdżać w dół. Winda w szybie po lewej również przeniknęła obok nich w drodze na niższe piętra.

Nagle zobaczyli jeszcze jedną, mknącą szybko z góry. Saba wyszczała coś brzydkiego, włączyła miecz świetlny i dołączyła do Corrana, pomagając mu w wycinaniu dziury. Chwilę później ostrza zetknęły się ze sobą, bucząc i rozsiewając wokół iskry.

Jaina skoczyła w kierunku wyciętego przez nich kręgu. Choć była stosunkowo lekka i szczupła, wybiła płytę i wylądowała na niej na podłodze korytarza. Przetaczając się, zahaczyła ramieniem o rozgrzaną do czerwoności, metalową krawędź. Poczula ból pomimo ochronnych właściwości swojej szaty.

Podniosła się. Kilka metrów przed nią stał rząd strażników z wycelowanymi w nią karabinami blasterowymi...

Nie miała czasu na włączenie miecza świetlnego, wykonała więc unik w lewo, odciągając ostrzał od dziury. Pociski podążały za nią, z sykiem uderzając w ścianę i drzwi turbowindy, które znalazły się teraz za nią.

Za szturmowcami Jaina dostrzegła niskie, sklepienie przejście, prowadzące do dużej, jasno oświetlonej sali. Sali Senatu...

Kątem oka dostrzegła, jak Saba zwinnie wyskakuje przez dziurę w drzwiach szybu. Corran był tuż za nią. Kabina turbowindy przemknęła tak blisko, że chwyciła skraj jego płaszcza, odciągając mu głowę do tyłu. Wreszcie pękła klamra i Corran uderzył plecami o drzwi.

Saba zajęła się kolejną serią pocisków z blasterów, dając Jainie czas na włączenie swojego miecza. Jaina spojrziała przelotnie na Corrana, ale ten ruchem głowy dał jej do zrozumienia, że nic mu nie jest. Pomasował kark, ale pod brodą zaczęła już się pojawiać brzydka opuchlizna.

Trójka Jedi wspólnymi siłami zaatakowała szturmowców.

- Wynn, co u diabła...

Niedawno przecież go widziała, ale teraz, na monitorze, sprawiał wrażenie wymizowanego, jakby przez wiele dni pracował bez przerw i posiłków. Spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Pani admirał, wszystko zdaje się wskazywać na to, że zostaliśmy zaatakowani przez Yuuzhan Vongów.

- Przecież to niemożliwe.

- Wiem.

Daala wydała wściekły ryk, zakończony czymś w rodzaju bulgotu, i połączyła się ze swoim sekretarzem.

Bothanina wciąż nie było, a w jego fotelu siedział teraz Han Solo.

- Solo! Co się tam dzieje?

Han wzruszył ramionami.

- Twój sekretarz podał przekąski, bodajże owadzie jajeczka na krakersach. Tylko my z Leią się nie poczęstowaliśmy. No i wszyscy popędzili do łazienki, poza hapańską ambasador. Chyba nie zdążyła na czas i narobiła sobie wstydu. Twój sekretarz zjadł najwięcej i stracił przytomność. - Spojrzał w dół, gdzie poza zasięgiem kamery podobno leżał sekretarz. - Futro robi mu się szare i zawija się na końcach. Chyba wolałabyś rzucić na to okiem.

Nie odpowiadając ani słowem, Daala przełączyła się na kanał informacyjny i podniosła się z fotela.

- Doszło do ataku Jedi - poinformowała. - Wszyscy opuszczamy budynek.

Odwróciła się do ściany i z satysfakcją odnotowała, że dwóch oficerów floty zdążyło wyciągnąć broń i przygotować się do obrony pomieszczenia.

Parova również wstała.

- Ma pani drogę ucieczki?

- Oczywiście. - Daala wyłowiła z kieszeni swój komunikator i wydała komendę: - Nadzwyczajne przejęcie kontroli zeta trzynaście.

Nagle niewyróżniający się do tej pory fragment ściany, wysokości i szerokości gamorreńskiego zapaśnika, cofnął się o cały metr.

Daala ruszyła w tamtym kierunku, kiedy nagle jej ciałem targnęło wyładowanie energii.

Kiedyś już spotkała ją coś takiego, podczas treningu i w walce. Pocisk ogłuszający. W jednej chwili otoczyła ją szara nicość.

Zanim uderzyła o podłogę i całkowicie straciła świadomość, zdążyła jeszcze pomyśleć: Jak udało im się tutaj wejść tak, że tego nie usłyszałam?

Z głosu Leii przebijała pogarda.

- „Chyba wolałabyś rzucić na to okiem?” - prychnęła.

Wystrzeliła kolejny pocisk o pełnej mocy w drzwi gabinetu Daali, drażąc coraz głębszą dziurę w miejscu, gdzie powinien znajdować się zamek. Bardzo brakowało jej miecza świetlnego, ale nie dałoby się przesznułować go przez kontrolę.

Han wzruszył ramionami.

- Gdyby się udało, potomność uznałaby to za przejaw geniuszu.

- Cóż... pewnie masz rację.

Strzeliła kolejny raz. Dziura pogłębiła się o dodatkowy centymetr. Pianka pokrywająca wewnętrzną część drzwi zdążyła się zapalić. Wydzielany przez nią dym śmierdzał paskudnie, przywodząc Leii na myśl trujące opary.

- Poza tym czegoś się dowiedzieliśmy. Nie pytała o strzały trafiające w jej drzwi. A to oznacza, że są świetnie izolowane i u niej tego nie słycać.

Han trzymał blaster wycelowany z grubsza w kierunku więźniów i drzwi prowadzących na zewnętrzny korytarz. Wydawało mu się, że słyszy dobiegające zza nich odgłosy wystrzałów. Jedi są już pewnie w drodze, ale między nimi a tym biurem znaleźli się zapewne obrońcy budynku Senatu, a to mogło już stwarzać pewne problemy.

Hapańska ambasador, kobieta w średnim wieku i wyglądzie bohaterki rodem z niezwykle kosztowych holofilmów, obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Wcale nie narobiłam sobie wstydu - mruknęła.

- Ależ oczywiście, że nie, skarbie. Ale nadal możesz to zrobić. - Han sięgnął w dół i podciągnął bothańskiego sekretarza do pozycji siedzącej. - W porządku, to twoja ostatnia szansa. Otwieraj drzwi albo cię ogolę, wrzucę do kubła ze złotą farbą i sprzedam Jawom na części zamienne.

Bothanin się skrzywił.

- Nie jestem droidem.

- No to cię sprzedam wyjątkowo głupim Jawom.

Tym razem Bothanin pokręcił głową.

- Przepraszam, generale, ale nie pomogę panu, pan zaś mnie nie sprzeda. Nie darmo jest pan bohaterem Sojuszu.

Han stęknął z obrzydzeniem i upuścił sekretarza na ziemię.

- Leia, przysięgam, że nienawidzę mojej dobrej reputacji. Nienawidzę.

Leia bez słowa oddała kolejny strzał.

Odgłosy ostrzału blasterowego słychać było coraz wyraźniej i bliżej. Han spojrzał gniewnie na swoich więźniów.

- Przepchnijcie tę sofę pod ścianę i schowajcie się za nią. - Spojrzał w dół na Bothanina. - Ciebie to też dotyczy.

- Dziękuję, proszę pana. Wiedziałem, że jest pan jednym z tych dobrych...

- Stul dziób.

Więźniowie przenieśli w jedno miejsce sofę i kilka stołów i zbili się za nimi w gromadkę. Ledwo zdążyli, kiedy otworzyły się zewnętrzne drzwi. Do biura weszło dwóch opancerzonych szturmowców, ostrzeliwujących cele na zewnątrz.

Han wycelował, uważnie i z premedytacją, w kark stojącego bliżej szturmowca, którego w tym miejscu nie chroniła zbroja. Udało mu się trafić w przerwę w pancerzu. Szturmowiec wydał bolesne stęknięcie i upadł na twarz, znikając z pola widzenia.

Jego towarzysz odwrócił się i złożył do strzału. Han ponownie wystrzelił, trafiając tuż poniżej dolnej krawędzi zbroi. Szturmowiec przewrócił się i wpadł bokiem do biura. Drzwi się zamknęły.

Bothanin wyjrzał zza sofy.

- Mam panu przynieść ich broń?

- Mam ci strzelić w łeb?

- Nie, proszę pana. Dziękuję, proszę pana.

Sekretarz ponownie schował się za sofą.

Han ostrożnie podszedł do leżącego szturmowca. Schował broń do kabury z taką samą szybkością, z jaką ją zwykle wyciągał...

A przynajmniej spróbował to zrobić. Bo broń nie była jego, no i nie miał kabury. Bezmyślnie upuścił pistolet na dywan.

Zaklął jak Wookie, licząc na to, że Leia nie zauważyła jego błędu, po czym chwycił karabin szturmowca i przełączył go na ogłuszanie.

- Leia... - zagadnął.

- Cicho, Han. To nic nie daje.

Ponownie otworzyły się zewnętrzne drzwi. Han dostrzegł sunącą w jego stronę ścianę opancerzonych pleców. Otworzył ogień, zalewając przeciwników pociskami ogłuszającymi. Szturmowcy przewracali się, jak od ciosu ogromnego młota. Drzwi ponownie się zamknęły.

- Widziałeś, Kędziorku? Właśnie strzeliłem w plecy całej bandzie szturmowców. Czy coś takiego zrobiłby bohater Sojuszu?

Bothanin nie wyjrzał zza sofy, a jego głos był nieco przytłumiony:

- Założę się, że nastawił pan na ogłuszanie.

Han wydał drwiący pomruk.

- Han, zamień się ze mną - zarządziła Leia.

Przełączył karabin na pociski blasterowe, odwrócił się i odsunął o krok, chcąc zejść z linii ognia prowadzonego z zewnętrznych drzwi, po czym sam otworzył ogień w kierunku drzwi wewnętrznych. Pociski blasterowe powiększały dziurę, którą zrobiła Leia, posyłając w powietrze jeszcze więcej dymu i płonących kawałków izolacji.

Usłyszał, jak kolejny raz otwierają się zewnętrzne drzwi; Leia strzeliła w krótkich odstępach czasu cztery razy. Drzwi się zasunęły.

Gdy dzięki klimatyzacji dym nieco się rozwiął, odsłaniając wewnętrzne drzwi, Han dostrzegł przebijające przez dziurę światło.

- Udało się. - Westchnął.

- Otwieram - uprzedziła Leia.

Staneła obok niego i machnęła wolną ręką. Han przełączył karabin na ogłuszanie.

Ta chwila niosła ze sobą największe niebezpieczeństwo, ponieważ oboje skoncentrowali się na wewnętrznych drzwiach. Intuicja podpowiadała Hanowi, że szturmowcy na zewnątrz poświęcą trochę czasu na omówienie planu kolejnego ataku i dopiero wtedy przypuszczą szturm. Dzięki temu zyskiwali z Leią kilka sekund - całą wieczność dla starego, przebiegłego przemytnika i doświadczonej Jedi.

Leia sięgnęła przez Moc i wewnętrzne drzwi gabinetu Daali się otworzyły.

Wyskoczyły przez nie dwa niewyraźne kształty, ostrzeliwując się z blasterów.

Han odsunął się, przenosząc celownik z jednego przeciwnika na drugiego. Między nim a Leią przeleciał pocisk, i to bynajmniej nie ogłuszający. Kolejny trafił w dywan tuż przed jego stopą. Czując gorąco, Han cofnął nogę.

Falleen i człowiek, obaj noszący mundury marynarki, upadli nieprzytomni na dywan. Han nie zdejmował ręki ze spustu, ostrzeliwując wnętrze biura, choć w zasięgu wzroku nie pojawiły się już żadne cele.

Chwilę później z gabinetu usłyszał kobiecy krzyk, na tyle głośny, że wzniósł się ponad hałas karabinu:

- Wstrzymać ogień! Poddajemy się!

Leia odsunęła się, osłaniając zewnętrzne drzwi, ale wolną dłoń wciąż miała uniesioną, trzymając Mocą również te wewnętrzne.

Han zaprzestał ostrzału, ale nie opuścił broni.

- Wyjdźcie - rozkazał.

W drzwiach, z rękami podniesionymi do góry, pojawiła się admirał Parova.

- Admirał Daala jest nieprzytomna. Trafiła ją ta ostatnia seria.

Han usłyszał otwierające się zewnętrzne drzwi... a Leia nie wystrzeliła.

Zaryzykował spojrzenie przez ramię. Do biura wchodzili Mistrzowie Kam i Tionne.

Ponownie spojrzał na Parovę.

- Zabierz mnie do waszego przywódcy. Przybywamy w pokoju.

- Han! - skarciła go żona.

- Wybacz, Leio. Czasami po prostu nie mogę się powstrzymać.

Za plecami usłyszał hapańską ambasador:

- Mistrzynie Solusar, ja wcale nie narobiłam sobie wstydu.

ROZDZIAŁ 24

Treen obserwowała trójkę Jedi, jak wchodzi do sali Senatu. Skakali z platformy na platformę w rytmie tak swobodnym i pełnym wdzięku, jak płynący do góry wodospad. Senator usłyszała kilka strzałów z miotacza, zanim Jedi zjawili się w sali, i zastanawiała się, czy któryś z członków oddziału ochrony, strzegącego wejścia, został zraniony lub zabity.

Ale to była tylko czysta ciekawość. Miała wiele ważniejszych spraw do załatwienia.

Ruchem głowy wskazała adiutantom, aby przeszli z platformy do małego korytarzyka.

Kiedy posłuchali, przesunęła się do pulpitu sterowania. Przełączając go na tryb ręczny, uruchomiła repulsory platformy i odłączyła ją od uchwytów dokujących. Platforma uniosła się w powietrze i zawisała ponad salą. Wokół niej senatorzy robili coś wręcz przeciwnego - ci, którzy do tej pory unosili się tu i tam, załatwiając rozmaite sprawy, teraz zmykali w bezpieczne objęcia swoich doków.

Wymanewrowała platformą tak, aby znalazła się ponad wspinającymi się Jedi. Jaina Solo prowadziła, ale po chwili wyminęła ją gadopodobna Mistrzynie Jedi, Saba Sebatyne.

Żadne z Jedi nie włączyło miecza świetlnego. Treen uznała, że to dobry znak. I żaden z pozostałych senatorów nie zrobił ruchu, aby ich zatrzymać. Kolejny dobry znak.

Mistrzynie Sebatyne zbliżyła się do platformy Treen. Senator skinęła na nią zgiętym palcem. Saba spojrziała w jej stronę, i dwoma skokami - jednym w górę, drugim w bok - wylądowała obok Treen. Pod jej ciężarem platforma opadła o kilka centymetrów.

Barabelka miała wyraźnie zaciekawioną minę.

- Ona ma tylko chwilę - uprzedziła.

- Może jednak poświęcisz mi jeszcze drugą - odparła Treen. - Podwiozę cię. Rozumiem, że wybierasz się w stronę głównej mównicy?

- Tak.

Treen ustawiła platformę na wznoszenie, kierując ją ku miejscu senatora Rockbendera.

- Ussunęliśmy ze sstanowisska prezydent Daalę - poinformowała Saba.

- Czas był najwyższy. - Treen poczuła się jak nadepnięta przez rankora, ale z dumą stwierdziła, że jej głos pozostał doskonale spokojny. - Czy chcecie również zawiesić Senat?

- Nie. Nie ma zagrożenia dla ssenatorów i dla roli Ssenatu. Na razie przejmujemy tylko funkcję wykonawczą.

Treen zachowała nieruchomą twarz, ale jej myśli kłębiły się jak oszalałe. Na chwilę straciła równowagę, gdy obok niej wylądowała Jaina Solo. Wznosząca się dotąd platforma znów lekko opadła.

- Zaaresztowaliście już prezydent Daalę? - zapytała Treen.

Mistrzynie Sebatyne skinęła głową.

- Tak.

Jaina wyjrzała za burtę, obserwując wspinającego się Corrana Horna.

- Jest teraz w rękach moich rodziców, Mistrza Solusara i innych Mistrzów - wyjaśniła.

- Proście się o kłopoty - powiedziała senator. - Tak mała grupa jak Zakon Jedi, choćby jego członkowie byli genialni, nie ma co marzyć o tym, że utrzyma rząd wbrew połączonej potędze sił zbrojnych i woli ludu.

- Ona i cała Rada Jedi mamy nadzieję, że właśnie wypełniamy wolę ludu - odparła Mistrzynie Sebatyne.

W głowie Treen zaczęły powstawać pierwsze zarysy planu. Nie miała czasu, aby przedstawiać pomysł komisji. Byłyby z tego tylko same kłopoty, zwłaszcza z kontyngentem militarnym.

Trudno.

- Popieram wasze działania, Mistrzynie Sebatyne. Wiem, że wielu innych także. Gdybyście zaoferowali mi pewne gwarancje, może byłabym w stanie zapewnić wam wsparcie nie tylko kilku kluczowych senatorów, ale również większości dowódców sił zbrojnych, którzy do tej pory narzekali na irracjonalne rządy Daali.

- Proszę zwolnić, senator Treen - odezwała się Barabelka.

Treen zwolniła. Po chwili coraz bardziej zatłoczona platforma zakołysała się znowu, gdy dołączył do nich Corran Horn.

Treen spędziła kilka następnych minut nad swoim specjalnym komunikatorem z funkcją szyfrowania, tylko od czasu do czasu zwracając uwagę na mowę, którą wygłaszała Mistrzynie Sebatyne zaledwie kilka metrów dalej.

I tak wiedziała mniej więcej, co usłyszy.

„...działając w interesie Ssojuszu Galaktycznego... aby zapobiec katasstrofie, która mogłaby zniszczyć Ssojusz... aresztowana...” - Powiększony obraz Saby, stojącej w towarzystwie Mistrza Horna i Jaina Solo, z senatorem Rockbenderem dyskretnie ulokowanym za jej plecami, robił wrażenie na zgromadzonych senatorach!

O jeden poziom niżej, nieco z boku, już sama na pustej platformie, Treen prowadziła swoją rozmowę o wiele ciszej.

- Nie mamy wyboru. Możemy albo wskoczyć do tego śmigacza, albo patrzeć, jak znika w oddali wraz z naszymi planami. Pozbieramy wszystko do kupy, najwyżej trochę nas to opóźni... pod warunkiem że teraz włączymy się do współpracy z Jedi. Potrzebują nas. Tak, zjednoczony front. Już dotarłam do wszystkich liczących się osób, nawet w areszcie.

Ledwie słuchała odpowiedzi Bramsina. W tej chwili nieważne było, co mówił. Raz czy drugi mruknęła coś niezobowiązująco na potwierdzenie i się wyłączyła.

Znów zajęła miejsce za sterami platformy, nakierowała ją tak, aby znalazła się obok platformy Rockbendera, i obserwowała Mistrzynię Sebatyne.

Jedi zakończyła wreszcie przemowę i spojrzała na Treen. Senator znacząco popatrzyła na główny blok holokamery, wiszący nad poziomem platformy.

Saba skinęła na holokamerę, aby skierować jej obiektyw na Treen.

Senator nawet nie spojrzała na ogromne monitory nad ich głowami; i tak wiedziała, że obraz przełączył się z Saby na nią. Poznała to po zmianie intensywności światła, kiedy holokamera przesunęła się z ciemnego, łuskowatego oblicza Saby na jasno-błękitną szatę Treen.

Podniosła podbródek, spojrzała w obiektyw i przemówiła.

- Działania Zakonu Jedi nie mają precedensu. Nie zwrócono się przed rozpoczęciem działań do Senatu i nie poproszono żadnego z jego członków o współpracę czy błogosławieństwo, ogłaszam jednak, że część naszego rządu, ta zaangażowana w obronę sprawiedliwości i praworządności, postanowiła udzielić tej operacji warunkowego poparcia. Osobiście rozmawiałam z generałem Thaaem z armii, z admirał Parową, pełniącą obowiązki dowódcy floty, oraz z generałem Jaxtonem z Dowództwa Myśliwców. Wszyscy oni zgadzają się, że ten niefortunny obrót zdarzeń był jedynym wyjściem, jakie pozostało rozumnym istotom... jedyną możliwością, jaką zostawiła nam do wyboru była prezydent Daala. Siły zbrojne nie będą zatem występować przeciwko Zakonowi Jedi tak długo, jak długo Zakon Jedi będzie działał sprawiedliwie i dążył do przekazania władzy wykonawczej w odpowiednie ręce. Działania Zakonu wspiera również część senatorów, między innymi ja, Fost Bramsin z Coruscant oraz wielu innych, których nazwiska wymienię natychmiast, jak tylko przestaną blokować mój pulpit łączności.

Kątem oka zauważyła zmianę obrazu na monitorze komunikacyjnym platformy. Poświęciła trzydzieści sekund na zgłoszenie senatorskiego głosowania, którego temat brzmiał po prostu: „Kto w powyższej kwestii zgadza się z senatorem Bramsinem i ze mną?” W lewej kolumnie monitora, oznaczonej „Tak”, nagle zaczęły pojawiać się nazwiska. W ciągu kilku sekund lista rozciągnęła się aż do dolnej krawędzi monitora, po czym przewinęła się w górę, aby pomieścić kolejne.

- Zachęcamy wszystkich obywateli Sojuszu do zachowania spokoju - przemówiła znów Treen. - Nie ma powodu do obaw, rząd będzie nadal funkcjonował normalnie, prawdopodobnie spokojniej i bardziej racjonalnie niż w ciągu ostatnich miesięcy pod przywództwem byłej prezydent Daali. - Odwróciła się do Saby i skinęła głową, milcząco przekazując Jedi kontrolę transmisji.

W poczekalni prezydenckiej Han zamrugał zdziwiony, kiedy oblicze Saby znów wypełniło monitor. Spojrzał na żonę. Leia siedziała pomiędzy Kamem a Tionne. Zekk i Taryn pilnowali wewnętrznego biura i wciąż nieprzytomnej Daali. Kyp i Octa, którzy przybyli później, wyprowadzili już całą resztę z poczekalni na korytarz i obstawili drzwi pracownikami ochrony na wypadek ataku.

- Zwyciężyliśmy - zauważył Han.

Leia skinęła głową. Sama wyglądała na porządnie wstrząśniętą.

- To co prawda było prawdopodobne, może nawet nieuniknione. Ale dziwne, że poszło tak szybko. Bez czekania, aż siły zbrojne i Senat się ockną.

- Możemy już wyjechać?

- Niedługo, Han, na pewno niedługo. - Zmarszczyła brwi z nagłym niepokojem.

- Co jest, słoneczko?

Leia pokręciła głową, jakby chciała się pozbyć czegoś, co ją gnębi.

- Czuję się trochę jak wtedy, kiedy uciekałam z pierwszej Gwiazdy Śmierci. Okazano nam

wtedy pomoc i wszystko stało się łatwiejsze... tylko że ta pomoc oznaczała kolejne problemy, w przyszłości.

- To było prawie czterdzieści pięć lat temu. Nie widzę żadnych podobieństw. - Han odchylił się do tyłu i założył ręce za głowę. - Jak sądzicie, co się stanie, jeśli zamówimy coś do zarcia?

- Twój Bothanin jest w korytarzu. Spytaj jego.

Więści o zamachu znalazły się w holokanałach w tej samej chwili, kiedy otwarto budynek Senatu. Rozprzestrzeniły się z nadświatlną prędkością po bliskich i odległych częściach Sojuszu, doszły aż do Szczątków Imperium i regionów poza kontrolą obu systemów politycznych.

Wiadomości aż huczały od komentarzy. Pasma informacji zarejestrowanych w komunikatorach Hana, Leii, Saby, Jaga Fela, Treen, Bramsina, Rockbendera, Jaxtona, Thaala, Parovy, Dorvana i bardzo wielu innych wypełniały się nachalnymi zaproszeniami do występów przed holokamerą, żeby wyjaśnić obywatelom, co się stało.

Minęło wiele godzin, zanim kurz zaczął osiadać, a istoty we wszystkich zakątkach budynku Senatu dały się przekonać, że sytuacja się unormowała, a miotacze i miecze świetlne przynajmniej na razie nie będą użyte. Ambulanse wywiozły kilkoro rannych w czasie ataku Jedi na kluczowe punkty budynku, sporą grupę ofiar ataku gazowego w głównym centrum ochrony, jak również tych, którzy zemdleli z wrażenia. Niektórzy obudzili się z przekonaniem, że to Yuuzhan Vongowie znów zaatakowali.

Kiedy wreszcie w siedzibie rządu zapanował podszyty niepewnością spokój, Wynn Dorvan, który przez kilka ostatnich godzin pozostawał w areszcie w swoim biurze, został doprowadzony przez C-3PO do gabinetu pani prezydent. Zerknął na uszkodzone drzwi wejściowe, podparte regałem na książki, i schylił się, by wejść.

Tam, gdzie zwykle siedziała Daala, stała zwrócona plecami do drzwi Mistrzynie Jedi Saba Sebatyne. Odwróciła się ostrożnie, by nie zawadzić ogonem o blat biurka i regały i lekko skinęła głową Wynnowi.

- Ona dziękuje za przybycie.

- Jakbym miał wybór - mruknął Dorvan. Zaledwie wypowiedział te słowa, już ich pożałował. Drażnienie nowego, choćby nawet tymczasowego władcy Sojuszu Galaktycznego nie wydawało się dobrym pomysłem. Ale jego instynkt dyplomaty zawiódł, pewnie ze zmęczenia.

- Owszem, miałeś wybór. Usiądziesz?

- Nie, jeśli pani nadal będzie stała.

- To niesztety konieczność. Ona nie zabrała ze sobą fotela odpowiadającego jej budowie.

Mimo wszystko Wynn nie usiadł. Wyjął z kieszeni małą, zapieczetowaną kopertę i położył ją na biurku przed Sabą.

Spojrzała na nią, ale nie wzięła do ręki.

- To protesst? - zapytała.

- Nie. Moja rezygnacja.

- Aha. To zrozumiałe i honorowe. Ale ona prosi, żebyś ją zabrał. I zniszczył.

Wynn pokręcił głową.

- Sojusznicy polityczni prezydent Daali nie zechcą ze mną współpracować, jeśli będę po waszej stronie. Jej wrogowie nie zechcą ze mną współpracować w żadnym przypadku; są zbyt zajęci szukaniem własnego kandydata na moje stanowisko. Jestem więc bezużyteczny. I... muszę być szczerzy. Cokolwiek pani o niej myśli, Natasi Daala jest osobą honorową. Nie będę współpracował z rządem, który zamierza z prędkością nadświatlną osądzić ją i wsadzić do więzienia. Słyszałem już plotki o oskarżeniu jej o zdradę. Muszę i chcę użyć moich umiejętności i zasobów w jej obronie. To tyle.

Saba przyglądała mu się uważnie i dość długo, aby zdążyła wziąć kilka powolnych oddechów.

- Ona szanuje cię i docenia twoją szczerłość. A teraz posłuchaj, co ja mam do powiedzenia.

- Bardzo chętnie.

- Zakon Jedi nie zamierza oczywiście rządzić ssam. Naszym celem nie był podbój. Dopóki nie wybierzemy uczciwie nowego prezydenta, wyznaczymy triumwirat, który będzie działał wsspólnie, pełniąc władzę. W jego sskład wejdzie senator Treen, generał Jaxton i ona.

- Czyli reprezentanci interesów Jedi, Senatu i sił zbrojnych. Zasadniczo to doskonały skład, jestem jednak zaskoczony, wręcz zdumiony, że dawna prezydent Leia Solo nie jest jego członkiem.

- Zamiast onej?

- Tak. Wiemy, że ma doświadczenia w piastowaniu takiego urzędu.

- Tylko że Jedi Ssolo na tym sstanowisku ssugerowałyby, że Jedi zamierzają zostawić ją tam na stałe, prawda?

- Hm... Rzeczywiście.

- Poza tym mamy inne zadania, odpowiednie do umiejętności Jedi Ssolo. Chodzi o Klatooine. Plotki o zamierzonym ataku wsadziły tam kij w gniazdo piraniożuków, rozbudziły protesty i gniew. Ona ich usspokoi.

- A dokładnie w jakim celu potrzebuje pani mnie?

- Potrzebna jest twoja wiedza. Przyda się ktoś, kto się zna na polityce, ale z własnej woli zrzeknie się wpływów, aby bronić kobiety, która może być obiektem największego processu politycznego od wielu lat. Ktoś, kto chce oddać władzę, może być najodpowiedniejszy, aby ją zyskać.

- A ile skorzysta Daala, jeśli się zgodzę?

Saba zasyczała jak zawór redukcyjny - taki miała sposób okazywania rozbawienia.

Opanowała się jednak szybko.

- Obrońcy Daali bez wątpienia będą chcieli zmiany miejsca processu, żeby nie odbywał się na Corusscant lub w innym wrogim jej regionie. Triumwirat dopilnuje, aby process mógł się odbyć gdzie indziej i aby wyboru dokonano, zanim opuścimy urząd.

- Macie dość wpływów w Departamencie Sprawiedliwości, aby to zrobić?

- Tak nam się zdaje. Już zgodzili się nie sstawić zarzutów Ssehie Dorvald, Boossterowi Terrikowi oraz Valinowi i Jysselli Hornom, a także uchylić ugodę Mistrza Sskywalkera, aby mógł wrócić na Corusscant. Pracujemy też nad uchyleniem zarzutów wobec Tahiri Veili.

- Nie róbcie tego. Niech zostanie osądzona.

Saba przechyliła głowę, wyraźnie zainteresowana.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, w przeciwieństwie do Terrika, którego działania były niewątpliwie przygotowaniami do misji Zakonu Jedi, co ludność ogólnie popiera, oraz Mistrza Skywalkera, którego proces i uгода obrończa były wyraźnym wynikiem specyficznych sympatii prezydent Daali, przypadek Veili jest znacznie poważniejszy. Ona naprawdę zabiła Pellaeona, i to z niezbyt altruistycznych względów. Po drugie, jeśli uwolnicie od zarzutów zarówno Mistrza Skywalkera, jak i Tahiri Veilę, krytycy Jedi będą mieli niepodważalny argument, że używacie nowej władzy dla zysku lub z powodów osobistych. Jeśli jednak oczyścicie Mistrza Skywalkera i pozwolicie, aby proces Tahiri Veili toczył się nadal, osłabiecie sprzeciw waszych krytyków. Bądźmy szczerzy, akurat teraz powinno wam na tym zależeć.

Saba milczała dłuższą chwilę, potem wzięła list z rezygnacją Wynna i podała mu go.

- Zniszcz to, proszę. A potem zrób listę dziesięciu światów, na których twoim zdaniem prezydent Daala będzie miała uczciwy process. Jutro rano ma się znaleźć na tym biurku.

Wynn spojrział na kopertę, której zawartość tak starannie przygotowywał przez wiele godzin, i przyjął ją.

- Dobrze, Mistrzynie Sebatyne.

- Ona docenia twoją pomoc, Dorvanie.

- Cieszę się.

Hweg Shul, Nam Chorios

Wylądowali wahadłowcem o najspokojniejszej porze, przed świtem. Zamknęli maszynę i kuląc się z zimna, przeszli pieszo kilka ostatnich kilometrów do Hweg Shul.

Luke obejrzał miasto przez makrolornetkę ze szczytu wzgórza znajdującego się w odległości kilometra. Było stąd widać ośrodek rządowy, głównie kopuły i wysmukłe budynki, oraz teren wokół portu kosmicznego, gdzie znajdowała się Admiracja Admirala. Przez te kilka dni, kiedy ich nie było, dużo się jednak zmieniło. W wielu punktach miasta wyłączono nocne oświetlenie; dopiero gdy Luke przełączył makrolornetkę na noktowizję, zdołał wychwycić szczegóły.

W częściach miasta zamieszkanym przez Tubylców tu i tam na rogach ulicy stali lub przechadzali się ciepło ubrani mężczyźni i kobiety, wszyscy uzbrojeni w miotacze.

Tam, gdzie mieszkali Przybysze i Spóźnieni, kręciły się straże - policja w mundurach.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widać było szkody po burzy Mocy. Rozbite skutery, jeden śmigacz na drugim w stercie złomu, inny wbity nosem do połowy w wysoką kopułę. Jeden budynek na dziesięć odniósł charakterystyczne szkody spowodowane latającymi szczątkami, jeden na dwadzieścia zawalił się zupełnie.

Luke podał lornetkę Benowi.

- Sporo przeszli - powiedział.

- To prawda - przytaknęła Vestara. Miała w ręku komunikator i słuchawkę w lewym uchu, widoczną, kiedy odwracała głowę, odsuwając kaptur płaszcza. Widocznie słuchała wiadomości. - A nas szukają władze.

- Przecież to nie ma sensu. - Ben przyglądał się zniszczonemu miastu. - Obwiniają nas o burzę?

- Nie, o zamordowanie doktora Weia. Zbyt wielu ludziom powiedzieliśmy, że go szukamy. A potem zniknęliśmy i ktoś odnalazł jego ciało. Nikt już nie pamięta, że pracował nad nowym gatunkiem drochów. A potem jeszcze ten atak na burmistrza Snaplaunce'a... Został dźgnięty nożem, kiedy przekazywał nam wahadłowiec. Większość ludzi uważa, że zrobiliśmy to, aby ukraść mu pojazd.

Luke spojrzał na dziewczynę.

- Przeżył?

- Tak, już wyszedł ze szpitala. Ale nie pamięta okoliczności ataku... nawet tego, czy stało się to przed, czy po naszym wylocie.

Luke się skrzywił.

- Mogli użyć technik Mocy, aby namieszać mu w pamięci.

- Prawdopodobnie tak było. - Vestara zawahała się, zanim wystąpiła z propozycją, jakiej na pewno by nie złożyła kilka tygodni wcześniej. - Może... powinniście sprowadzić więcej waszych ludzi.

Ojciec i syn wymienili spojrzenia. Luke wciąż przestrzegał zasad ugody, więc nie mógł wydawać rozkazów Jedi. Ben nie podlegał takim ograniczeniom. Przed wylądowaniem na Nam Chorios wysłał na polecenie ojca holotransmisję z pewnymi sugestiami. Nie była to jednak prośba, aby Jedi przybyli do nich i pomogli w poszukiwaniach. Jedi byli potrzebni gdzie indziej.

Luke tylko pokręcił głową.

- Jesteśmy zdani sami na siebie.

Ben znów podniósł do oczu makrolornetkę.

- Poza tym ta planeta ma niewielu mieszkańców. Dwóch Jedi i Sithanka powinni dać sobie radę z wszystkimi, których na nas rzuca.

- A jeśli włączą w to Abeloth? - prychnęła Vestara.

Luke ciałniej otulił się płaszczem.

- Ruszamy. Musimy tam dojść.

Wchodzili do Hweg Shul powoli i ostrożnie. Zadanie ułatwił im fakt, że nie było tu żadnych murów, a uszkodzona sieć oświetleniowa utrudniała ich wykrycie.

Szli przedmieściami, starannie planując każdy ruch. Zachowywali czujność, rozglądali się wokół, nie poddając się zniecierpliwieniu. Dotarli do dzielnicy Przybyszów, unikając straży i przemykając się poza zasięgiem holokamer ochrony.

Pół godziny przed świtem znaleźli się pod kopułą Teseldy.

Ben i Vestara zostali na czatach. Luke podbiegł do wejścia i wprowadził kod na klawiaturze. Chwilę potem drzwi rozsunęły się i cała trójka weszła do środka.

Sklepione wnętrze było pogrążone w mroku, oświetlały je jedynie kolorowe światelka różnych urządzeń elektronicznych. Słysząc było szum i syk, a potem dobiegł z góry głos Sel:

- Jest tam kto?

Luke gestem nakazał im zachowanie milczenia.

Z sufitu, w głębi salonu, wysunęły się spiralne metalowe schody, rozkładając się jak instrument muzyczny. Sel zeszła na dół. Miała na sobie ciemnoniebieską, ciepłą bluzę i legginsy, a w ręku niosła zgaszony miecz świetlny. Kiedy ujrzała Luke'a i pozostałych, opuściła broń z widoczną ulgą.

- Mistrz Skywalker. Bałam się o ciebie.

Luke odpiął płaszcz, rozkoszując się ciepłem w pokoju.

- Nic nam nie jest. Nie zostaliśmy zestrzeleni.

Sel dotarła na parter.

- Władze was szukają.

Schody za jej plecami uniosły się i złożyły, stapiając się z sufitem.

- Tylko władze?

Zaskoczona, przechyliła głowę.

- Słucham?

- Nieważne. Jak możesz się domyślać, nie zrobiliśmy tego... to znaczy niczego, o co nas podejrzewają.

- Byłam tego pewna.

Luke odchrząknął.

- Pozwolisz? - zapytał i zaczął śpiewać. Piosenka miała łagodną melodię, składała się z kilku podstawowych tonów i doskonale nadawała się na kołysankę.

Ciepłem i dotykiem wzywa trawa zielona,

Odpocznij bezpiecznie, gdy wezmę cię w ramiona.

Noc tranty zatańczyła pod nieba sklepieniem,

Pozdrowia gwiazd uśmiechem i wiatru westchnieniem.

Powietrze przynosi kwiatów boskie wonie,

Piękna Teselda wkrótce w słodkim śnie zatonie.

Czuł na sobie coraz bardziej zdumione spojrzenia Bena i Vestary. Ale bardziej zadziwiająca była reakcja Sel. Już po pierwszych kilku nutach potknęła się, zamrugła szybko i upuściła miecz, który odbił się od dywanu. Potem chwiejnie przeszła parę kroków i opadła na sofę.

Zanim Luke skończył pierwszą zwrotkę, miała zamknięte oczy i oddychała głęboko, pogrążona w spokojnym śnie.

Luke potarł dłonią czoło z wyraźną ulgą.

- Mamy szczęście, że się udało. Śpiew nie jest moją najmocniejszą stroną.

Ben podszedł i pochylił się nad Sel.

- O co w tym wszystkim chodzi?

- To hasło Sel do techniki mnemoterapii. - Luke razem z synem wygodniej ułożyli Sel na sofie. - Muszę wiedzieć, czy nie namieszali jej w głowie.

Vestara podała mu miecz świetlny Sel.

- Wygląda na stary - zauważyła.

- Ma co najmniej cztery wieki. - Luke odłożył broń na bok i ukląkł. - Sel, czy mnie słyszysz?

Nie otwierając oczu, przemówiła niskim, sennym głosem:

- Słyszę cię.
- Czy wiesz, kim jestem?
- Jesteś Mistrz Luke Skywalker. Przywódca Jedi. Nieprzyjaciel Nasłuchiwaczy.

Nieprzyjaciel Pani.

Luke przyglądał się na karku zjeżone nagle włosy.

- Gdzie jest teraz Pani?
- Nie wiem.
- A Mistrz Nenn? Czy wiesz, gdzie on jest?

Odwróciła głowę, nagle zaniepokojona.

- Nie chcę tam iść.
- Nie musisz tam iść. Możesz zostać tu, gdzie jest bezpiecznie. Aleja muszę. Gdzie jest

Nenn?

- Na dole.
- Gdzie na dole?
- W pompowni. Z Nasłuchiwaczami. Z drochami. W ciemności.

Luke poczuł, że dostaje gęsiej skórki. Miał niedobre wspomnienia z pobytu w ciemności z drochami.

- Tutaj, w Hweg Shul?
- Nie, gdzie indziej.
- Gdzie?
- Nie wiem. Jedyna pompownia, jaką widziałam, jest tutaj. Ale to nie jest ta sama.

Luke wyprostował się z westchnieniem.

- To oczywiście, że Abeloth przebywa właśnie w takim miejscu... Sel, przyjęłaś nas bardzo miło, kiedy zorientowałaś się, kim jesteśmy. Udawałaś, że nic się nie stało. Co miałaś z nami zrobić?

- Opóźnić was. Zatrzymać tutaj. Uprzedzić Nasłuchiwaczy.
- Ale jeszcze tego nie zrobiłaś?
- Nie.

- Sel, teraz zaśniesz. Jesteś bardzo, bardzo zmęczona. Aż do przebudzenia będziesz słyszała wyłącznie mój głos. Żadnych innych dźwięków, żadnych alarmów, sygnałów z tablicy łączności, nic. Kiedy się zbudzisz, będziesz się czuła bardzo dobrze i świeżo, zadowolona, że tak długo spałaś. Ale nie będziesz pamiętać, że tutaj byliśmy.

Ben opadł na krzesło.

- Na przyszłość proponuję, żebyśmy zajmowali się osobnikami, którzy mieszkają w przytulnych, widnych hotelowych pokojach. Z bufetem, saniparą i tancerkami.

- Synu, jeśli potrafisz to załatwić, uczynię cię przywódcą Zakonu Jedi.

Ben się wzdrygnął.

- Udawajmy, że nigdy tego nie powiedziałem.

Vestara spojrzała na śpiącą spokojnie Sel.

- Jest nas troje, aby przeszukać całą planetę, która jest teraz we władzy albo co najmniej pod wpływem Abeloth. W dodatku nie możemy polegać na naszym kontakcie z Mocą... Jesteś pewien, że nie należałoby sprowadzić tu twoich Jedi?

Luke spojrzał na nią w zadumie. Wyglądało na to, że Sithanka naprawdę zamierza poświęcić się wyeliminowaniu Abeloth; uznała ją za największe zagrożenie i postanowiła odsunąć inne sprawy. To dobry znak. Pokręcił jednak głową.

- Jedi są potrzebni gdzie indziej.
- Jeden Jedi, jedna planeta... to nie jest najbardziej realistyczne życiowe motto.

Ben się zaśmiał.

- Przecież jest dwóch Jedi i jedna Sithanka. Mamy liczącą przewagę.

Vestara spojrzała w niebo, jakby szukając inspiracji, i Luke zaczął się zastanawiać, czy bardziej frustruje ją słowo „Jedi”, czy „mężczyźni”, czy jedno i drugie.

Na pokładzie wahadłowca „Vernus”, głęboka orbita

Kandra westchnęła z irytacją.

- Nie jesteś bardzo wylewny.

Valin Horn, siedzący w odwróconym do niej tyłem fotelu kabiny pasażerskiej wahadłowca, wzruszył ramionami.

- Niektóre sprawy lepiej przeżyć samemu, niż poznać z opowieści. Jysella i ja zabierzemy ciebie i twojego operatora kamery gdzieś, gdzie możesz się natknąć na coś naprawdę ciekawego.

- Gdzie?

- Na Nam Chorios.

Nazwa wzbudziła w Kandrze lekki dreszcz lęku. To, co wydostało się z Nam Chorios trzydzieści lat temu, dla istot z jej pokolenia było tematem upiornych opowieści do poduszki.

- Czy dotyczy to zarazy Posiewu Śmierci? - zapytała.

- Możliwe. W każdym razie na pewno chodzi o zagrożenie dla naszej galaktyki. To jest kwestia być albo nie być.

- Więc dlaczego nie chcecie mi powiedzieć, co to takiego ani jak to się ma to do wybuchu „Zrodzonego w Ogniu” i do przejęcia przez Jedi budynku Senatu... - Ze strzępów raportów hiperkomu, przechwyconych podczas ich lotu z systemu Coruscant, wiedziała już, że Jedi obalili i uwięzili prezydent Daalę. Jednak aluzje Valina, mgliste i irytujące, sugerowały, że dzieje się coś jeszcze o wiele ważniejszego. Że istnieje jakiś inny powód, dla którego Jedi mają pozostać przy władzy.

- A zresztą masz rację - dodała. - Nie będę pytać. Pewne sprawy lepiej przeżyć...

- ...niż poznać z opowieści. Racja. Ale...

Valin wstał.

- Najwyższy czas, żebym przejął obowiązki pilota od mojej siostry. - Przeszedł do małej kabiny pilotów i zamknął za sobą drzwi.

Z westchnieniem ulgi usiadł w fotelu drugiego pilota.

- Nie przestaje zadawać pytań - zakomunikował siostrze.

Jysella spojrzała na niego zimno, bez emocji.

- Jest jedną z nich. Mogłeś po prostu wyrzucić ją w przestrzeń.

- Nie warto, może nam się przydać, kiedy znajdziemy się na Nam Chorios. Choćby do odwrócenia uwagi.

- Chyba masz rację.

- Cierpliwości, wytrzymamy to jakoś. Nawet, gdybyśmy zostali ostatnimi prawdziwymi Jedi w galaktyce, jeśli Zachowamy rozsądek i pozwolimy, aby prowadziła nas Moc, zwyciężymy.

Jysella spojrzała na niego z ukosa, najwyraźniej nieprzekonana.

- Skoro tak twierdzisz...

ROZDZIAŁ 26

Dziewiąta sala sądowa, Coruscant

Patrząc na Sula Dekkona, chagrińskiego prokuratora, Tahiri pozwoliła sobie na cień nadziei.

Prokurator nie był jak zwykle nieskazitelny i wyprostowany. Ubrany w czarne, niemal żałobne szaty, siedział w fotelu przy stole prokuratorowskim, z wyraźnym brakiem zainteresowania zerkając na sędzię Zudan, która sortowała wydruki do kolejnych procesów. Twarz Dekkona nie wyrażała żadnych emocji, ale cały jego wygląd sugerował, że prokurator jest w ponurym nastroju.

Błękitna skóra i rogi sprawiały wrażenie woskowych i bez życia. Tahiri nigdy go jeszcze nie widziała w tak złej formie.

W nadziei na potwierdzenie tych podejrzeń zwróciła się do swojego adwokata, Bothanina Eramutha Bwua'tu, zniżając głos do szeptu.

- Wygląda na sponiewieranego. Wygraliśmy?

Bwua'tu nie był jednak dobrej myśli. Oczy mu biegały, jakby czytał tekst z kartki, której nikt inny nie widział. Podniósł wzrok na Tahiri.

- Możemy mieć kłopoty. Dekkon właśnie dostał nową kartę i chyba zamierza ją rozegrać. Falleeńska sędzia podniosła głowę i rozejrzała się po sali.

- Panie prokuratorze, czy jest pan gotów kontynuować?

- Tak jest. - Dekkon wstał i obszedł stół, aby stanąć przed nim. Starannie i nieco zbyt długo wyglądał szatę, by za chwilę znów spojrzeć na Zudan.

- Wysoki Sądzie, oskarżenie rezygnuje z zabrania głosu.

Na widowni rozległ się szmer, ale niezbyt głośny. Proces Tahiri już dawno nie zajmował początków HoloWiadomości, a po wczorajszym zamachu Jedi na prezydent Daalę na galerii siedziało najwyżej tuzin widzów.

Sędzia Zudan zamrugła.

- Mówi pan poważnie?

- Tak, Wysoki Sądzie.

Sędzia spojrzała w stronę obrony.

- Mecenasiu Bwua'tu, czy jest pan gotów do przedstawienia mowy obrończej?

- Potrzebuję jeszcze kilku minut, aby porozumieć się z moją klientką, Wysoki Sądzie.

- Myślę, że to jest konieczne. Ogłaszam pięć minut przerwy. Proszę nie wychodzić. - Zudan postukała młotkiem i znów pogрузzyła się w stosie wydruków.

Zaniepokojona Tahiri nachyliła się do Bwua'tu, żeby móc rozmawiać bez obawy, że zostaną podsłuchani.

- Nie rozumiem - zaczęła. - Rozbiłeś jego oskarżenie w drobny mak. Udowodniłeś, że jego główny świadek skłamał. Załatwiłeś odmownie zeznania jego wszystkich pozostałych świadków. To wszystko prawda, ale dlaczego on nagle się poddaje? Czy będą kłopoty?

Bwua'tu spojrzał na nią współczująco.

- Zrozum: obywatele, w tym przypadku reprezentowani przez ławę przysięgłych, zwykle źle reagują na zabijanie swoich bohaterów. Nasza obrona oparła się między innymi na założeniu, że w pewnych okolicznościach każdy z nich czułby się zobowiązany popełnić ten czyn, a wszelkie próby kłamstwa i manipulowania dowodami wyłącznie po to, aby skazać podsądnego, to desperackie wysiłki zapewnienia niesprawiedliwego wyroku, ponieważ podsądny jest niewinny. Mam rację?

Skinęła głową.

- Dekkon rzeczywiście przegrywał - ciągnął adwokat. - Jednak los dał mu do ręki dość atutów, aby wrócił do walki. Pamiętaj, że Jedi właśnie przejęli władzę w Sojuszu Galaktycznym.

- Zaraz, zaraz. Po pierwsze, już nie jestem Jedi. A po drugie, Jedi nic złego nie zrobili. Po prostu zdymisjonowali Daalę, a teraz uczestniczą w rządzie tymczasowym.

Bwua'tu pokręcił głową ze smutną miną.

- Pamiętaj, że ława przysięgłych była odcięta od wiadomości.

- A więc nie powinni nawet słyszeć o zamachu.

- Takiego wydarzenia nie da się ukryć nawet przed odizolowaną ławą przysięgłych. Miliony istot na chodnikach, śmigacze za oknami ciągnące za sobą transparenty, służba hotelowa szepcząca między sobą: „Co się dzieje? Co się dzieje?” Przysięgli musieli coś usłyszeć. Cały problem z ich odosobnieniem polega na tym, że znają tylko część historii. Tę, w której Jedi przejmują władzę.

- Ale to wciąż nie ma ze mną nic wspólnego.

- Byli wojskowi wciąż mają przyjaciół w armii. Byli pracownicy urzędu wciąż mają w tym urzędzie przyjaciół. Była Jedi wciąż ma przyjaciół wśród Jedi. Tymczasem Dekkon pokazuje się w sądzie następnego dnia po zamachu z ponurą miną i wycofuje się ze sprawy, sygnalizując, że został pokonany.

Tahiri wreszcie zaczęła coś rozumieć.

- W ten sposób pozwala ławie przysięgłych uznać, że żaden wyrok nie ma znaczenia. Nawet jeśli przysięgli mnie skażą, Jedi i tak mnie uwolnią.

- Zgadza się.

- Ale to nie w porządku. To jest podstęp...

- Doprawdy? Znam kilka dobrze poinformowanych osób, które twierdzą, że wczoraj wieczorem Zakon Jedi rozpoczął wstępne starania w Departamencie Sprawiedliwości, aby umorzyć twoją sprawę i unieważnić ugodę Mistrza Skywalkera. Dekkona pewnie przeraża przewidywane wtrącanie się w proces. Niewykluczone zresztą, że tylko udaje. Podejrzewam, że jedno i drugie. Niezależnie od tego, wczoraj jego szanse wynosiły mniej więcej jeden do dziesięciu, a po zamachu Jedi to raczej pół na pół. To tak, jak przypadkowy rzut kostką... ale i tak lepiej niż przedtem.

Tahiri odetchnęła głęboko i powoli.

- A więc co robimy?

- Mamy trzy możliwości. Po pierwsze, mamy nadzieję, że Jedi rzeczywiście przekonają rząd do umorzenia twojej sprawy. Po drugie, możemy kontynuować dotychczasową linię obrony, przedłużając proces o kilka tygodni i mając nadzieję, że w tym czasie Jedi nie stracą poparcia obywateli. Aby to osiągnąć, będą musieli działać bardzo ostrożnie i umiejętnie. Mam nadzieję, że potrafią motywować, zachęcać i dodawać otuchy. Należy umiejętnie postępować w kryzysie okresu przejściowego i dyplomatycznie współpracować z resztą rządu. No i trzecia możliwość: zaryzykujemy rzut kostką z szansami pół na pół, jak Dekkon.

Tahiri zastanowiła się przez chwilę i poczuła się jeszcze gorzej.

- Rzut kostką to nasz najwłaściwszy wariant, prawda?

- Tak, moja droga, myślę, że tak.

- No to rzucaj, Eramucie.

Bwua'tu odwrócił się i spojrzał na sędziego. Kiedy go zauważyła, skinął jej lekko głową, dając znać, że jest gotów.

Uderzyła kilkakrotnie młotkiem.

- Wznawiamy posiedzenie sądu. Mecenasiu Bwua'tu, czy jest pan gotów do rozpoczęcia mowy?

- Wysoki Sądzie, obrona rezygnuje z zabrania głosu.

Tym razem sędzia nie zamrugnęła. Wytrzeszczyła na Bothanina oczy, zupełnie nieruchome, jakby przyklejono jej klejem powieki. W prawie pustej, rozbrzmiewającej echem galerii znów rozległy się szmery.

Sędzia Zudan znów zwróciła się do Dekkona.

- Mecenasiu Dekkon, czy jest pan gotów do mowy kończącej?

- Oskarżenie nie przedstawi mowy kończącej, Wysoki Sądzie.

Bwua'tu jęknął cicho i boleśnie.

- Mecenasiu Bwua'tu?

- Obrona nie przedstawi mowy kończącej, Wysoki Sądzie.

- Taak... to interesujące. Sąd zawiesza posiedzenie. Poślę po potrzebne dokumenty, a potem przekażę ostatnie wskazówki ławie przysięgłych. - Znów stuknęła młotkiem.

Świątynia Jedi

W górnych rejonach Świątyni, pod Salą Mistrzów, na ogromnym patio, mogącym pomieścić kilkaset osób, ułożono stos dla pełniącego obowiązki Wielkiego Mistrza Kentha Hamnera. Mistrza ubrano w szaty nieskazitelne i starannie odprasowane; nie były to te same, w których zmarł. Oczy miał zamknięte; na szczęście żaden z Jedi i odwiedzających, którzy podchodzili, aby złożyć mu ostatni hołd, nie wygłosił idiotycznej uwagi, że Mistrz wygląda, jakby spał.

Kilku żałobników, którzy już minęli stos, wygłaszając kilka słów lub składając pokłon, dołączyło do istot wychodzących z patio. Wszyscy stali w małych grupkach, obserwując procesję, i

rozmawiali ściszymi głosami. Jedna z grup składała się niemal wyłącznie z Rycerzy Jedi i Mistrzów - byli tu Saba, Corran Horn, Han z Leia, Jaina, Amelia, Tionne, Kam, Cilghal, Jagged Fel, Octa i Kyp.

Jaina pochwyciła wzrok Corrana i zapytała szeptem stosownym do sytuacji:

- Jakież wieści od Wina i Jyselli?

Corran posepnie pokręcił głową.

- Wydaje się jasne, że znaleźli kogoś, kto zlokalizował ich nadajniki, znalazł je i usunął... a potem po prostu zniknęli. Jedyne rozsądne wnioski są takie, że wciąż odczuwają skutki szaleństwa, jakie ogarnęło wszystkich Jedi ze Schroniska.

W grzmiącym głosie Cilghal słychać było żal:

- Prawdopodobnie chodzi o to, że tkwili zamrożeni w karbonicie, podczas gdy pozostali Jedi wyzdrowieli.

Corran wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Co mnie obchodzi, dlaczego tak się stało?”

- Nie można stwierdzić, gdzie się ukrywają - zauważył.

- Chcesz dołączyć do poszukiwań?

Przybrał jeszcze bardziej ponurą minę.

- W każdej organizacji militarnej czy paramilitarnej, włącznie z Koreliańskimi Siłami Bezpieczeństwa i Zakonem Jedi, istnieje niepisana zasada. Nigdy nie zajmuj się sprawą, która dotyczy twoich bliskich, nie wolno ci w niej nawet uczestniczyć. Zwykle jestem zwolennikiem tej zasady. W chwilach takich jak ta muszę zaufać innym. - Nie wyglądało jednak na to, żeby Corran był szczególnie ufny.

Jaina krzepiąco ścisnęła go za ramię. Skinął głową i przeszedł na bok, by dalej obserwować procesję.

Do stosu podszedł Wynn Dorvan. Z namaszczeniem wypowiedział pod adresem nieboszczyka kilka słów i poszedł dalej. Za nim hołd zmarłemu złożyli senator Treen i generał Jaxton.

Kąćki ust Jaga drgnęły w przelotnym uśmiechu.

- Triumwirat Sojuszu i przywódca Imperium w jednym miejscu, pod otwartym niebem...

Wystarczyłaby jedna rakietka z pangalaktycznego chaosu. Moja ochrona pewnie nie jest uszczęśliwiona.

Saba skinęła głową.

- Niektórzy przyjaciele Misstrza Hamnera z sił zbrojnych... twierdzą, że taki atak by się przydał. Ona też tak myśli.

Jag spojrział na nią ze współczuciem, ale Barabelka nie bardzo umiała interpretować ludzką mimikę.

- A co z Departamentem Sprawiedliwości? Jaka jest decyzja? - zapytał ją.

Saba spojrzała na tłum po przeciwnej stronie stosu.

- Ten wysoki człowiek o białych włosach... - Jag podążył za jej wzrokiem i ujrzał mężczyznę o arystokratycznym wyglądzie i bladej skórze, ubranego od stóp do głów na szaro. Jego lewa dłoń była wyraźnie sztuczna. - To komandor Makken. Został wyznaczony głównym śledczym w tej sprawie. Departament Sprawiedliwości jeszcze nie wie, czy oskarżyć tymczasową prezydent, a nawet czy pojedynek pomiędzy Jedi może zostać uznany za przestępstwo. Dopiero śledztwo zadecyduje.

Leia pokręciła głową.

- Nawet jeśli zdecydują się postawić zarzuty, nie zrobią tego, dopóki Triumwirat nie zostanie rozwiązany, a stanowiska nie obejmie prezydent z wyboru.

Saba spojrzała na nią.

- Wy tłumacz to, proszę.

- Wiem, że minął zaledwie dzień, ale widać już pierwsze sygnały. Senat odwołał większość dyskusji i debat w komisjach. Nie podjęto dzisiaj żadnych uchwał. Dają sobie wolne, Mistrzynie.

- A dlaczego?

- Im mniej zrobią oni, tym więcej roboty będziesz miała ty, Jaxton i Treen, chcąc przykładowo sprawować władzę. Liczą na to, że szybko będziecie mieli tego dosyć. Wszystkie problemy polityczne, jakie wynikną w czasie waszych rządów, też będzie można łatwo zwalić na Triumwirat. Senatorowie będą mieli coraz poważniejsze problemy, i to was obarczą odpowiedzialnością. Wyznaczając specjalnego śledczego do sprawy śmierci Mistrza Hamnera, Senat chce pokazać, że podejmuje jakieś działania, ale nie zezwalając na postawienie wam zarzutów, sugeruje, że nie może zrobić nic więcej, dopóki pozostajecie na stanowisku.

Saba pokręciła głową.

- Ona nigdy nie nadawała się do polityki. Na szczęście, Jedi Ssolo, mamy jeszcze ciebie.

Hanowi opadła szczęka.

- I co z tego? - parsknął.

Jego reakcja wywołała u Saby syk rozbawienia.

- Tak, ona ma dla ciebie sstanowisko. Dla obojga, sskoro już ma być współprezydentem.

Leia karcąco spojrzała na męża i zwróciła się do Saby:

- Chodzi ci o Klatooine, tak?

- Tak, ale ssytuacja uległa tam zmianie od czassu, kiedy rozmawialiśmy po raz osstatni. Ssą wściekli o to, że prezydent Daala wysłała przeciwko nim Mandalorian. Mandalorianie zostali wprawdzie odwołani, ale oburzenie trwa. Teraz ssłyszemy, że grupy, które walczyły o wolność sswojej rassy, zbierają się na Klatooine. Chcemy mieć z nimi normalne relacje. Przekonajcie ich, że nasstały nowe zassady rządzenia. Pojedziesz tam wraz z generałem Ssolo, aby włączyć się do dyskusji.

Leia zmarszczyła brwi.

- Ale w tej sytuacji będziemy musieli im coś zaproponować. Coś konkretnego.

- Mamy ssporo do zaoferowania. Te grupy upominają się o zniewolonych lub pozbawionych praw obywatelskich ludów na ich światach. Wybierzcie tę grupę, która jest najbliższa wyzwolenia i najbardziej odpowiednia do ssamodzielności... i zaoferujcie jej pełne członkosstwo w Ssojuszu. A przy okazji miejscce w Ssenacie.

Han aż gwizdnął.

- Jest po co się fatygować.

Saba skinęła głową.

- Pokaże to, że poważnie ich traktujemy. Będzie to też przykład dla innych, jak postępować, jeśli chce się uzyskać pomoc Ssojuszu.

Leia zmrużyła oczy.

- Ale taka metoda może ich także podzielić, jeżeli wybuchnie rywalizacja między grupami. Mogą przestać tworzyć jednolity front, potencjalnie wrogi Sojuszowi Galaktycznemu. Mistrzynie, masz większy talent polityczny, niż chcesz przyznać.

- Ona sstanowczo zaprzecza temu osskarżeniu.

Do stosu podchodzili ostatni goście, by potem skierować się ku wyjściu. Kilkoro jednak zwlekało. Jaina zauważyła wśród nich ludzi płci obojga o rysach twarzy podobnych do Hamnera - uznała więc, że to członkowie dalszej rodziny.

Czworo z nich nakryło błękitną tkaniną ciało Hamnera od stóp do głowy, częściowo razem ze stosem. Krewni się wycofali.

Izal Waz, arkoniański Rycerz Jedi, ciemnoskóry i gadopodobny, podszedł do katafalku, niosąc zapaloną pochodnię. W jego wielkich, zielonych oczach widniał smutek i zaduma.

Wypowiedział tylko kilka słów:

- Przez całe życie wypełniałeś swoje obowiązki z siłą, dumą i honorem. Zawsze będziemy to pamiętać. Masz do wykonania ostatnie zadanie: przetrzyj ścieżkę, abyśmy pewnego dnia mogli za tobą podążyć. - Opuścił pochodnię i dotknął płomieniem stosu.

Drewno, specjalnie przygotowane, zajęło się błyskawicznie. Płomienie zatańczyły wokół podstawy i szybko pięły się ku spowitemu w całun ciała.

Izal wycofał się i stanął obok rodziny Hamnera, a dym, który niegdyś był żywym drzewem i żywym ciałem, uniósł się wysoko w niebo Coruscant.

Hweg Shul, Nam Chorios

Ojcze,

mam nadzieję, że już dochodzisz do siebie.

Abeloth jest na Nam Chorios, działa pod postacią Nennu, Mistrza Nasłuchiwczy. Są dowody, że ukryła się w podziemnej stacji pomp na tej planecie, ale nie mamy w tej chwili wystarczających danych, aby stwierdzić, która to stacja.

Pozdrawiam serdecznie

Twoja córka, Vestara

Siedząc w małym gabinecie Sel, Vestara nie miała problemów z włamaniem się na jej konto, wykupieniem transmisji hiperkomowej na jeden krótki komunikat tekstowy, zaszyfrowaniem go, określeniem przekierowania tak, aby trafił do jej ojca, nie zdradzając władzom Sojuszu swego pochodzenia ani trasy. Wykonała już wszystkie te czynności z wyjątkiem jednej: stwierdziła, że nie jest w stanie dotknąć na ekranie przycisku wysyłającego list.

- Hej, Vestara? - usłyszała głos Bena, który siedział w innym pokoju kopuły Sel.

Vestara aż podskoczyła i szybko uderzyła przycisk na ekranie, wysyłając wiadomość. Potem zamknęła kanał, wstała, zabrała mały stosik wydruków i korytarzykiem przeszła do salonu.

Sel wciąż leżała na sofie. Luke, wyraźnie zmęczony, siedział w fotelu obok, Ben stał za nim. Obaj Skywalkerowie spojrzeli na wchodzącą Vestarę.

Podawała im wydruki.

- Macie tu listę wszystkich zarejestrowanych stacji pomp na planecie i zdjęcia z holokamer stacji kosmicznej w ciągu kilku ostatnich dni. Zdaje się, że zaszalałam na koncie Sel, żeby za to zapłacić.

- Załatwimy zwrot całej kwoty. - Luke wyciągnął rękę po stosik flimsi.

- Mistrzu Skywalkerze, wydajesz się zmęczony.

- Bo jestem. Postanowiłem, że nie poprzestanę na sugestii posthipnotycznej, to dla nas zbyt niebezpieczne. Zastosowałem jeszcze mnemoterapię. Udało się. Sel nie będzie pamiętała o naszej wizycie.

Vestara spojrzała na śpiącą kobietę.

- Czy ona nadal jest pod wpływem Abeloth?

- Tak. Nie ma sensu uwalniać jej teraz, kiedy za kilka minut lub godzin znów wpadnie w jej sidła... tym bardziej że mogłoby to dostarczyć Abeloth informacji o naszym miejscu pobytu.

Luke wertował wydruki i widoki z holokamer. Każdy z nich pokazywał z dużej wysokości odpowiednie miejsce w terenie i ruch pojazdów w okolicy. Tam, gdzie było duże natężenie ruchu, pojazdy było widać jako grube, zamglone linie. Zdarzały się też opuszczone instalacje bez żadnego ruchu. Najczęściej jednak ruch był średni.

Przeglądając materiały, Luke mruczał do siebie:

- Czuję się trochę jak za dawnych czasów, kiedy uciekałem przed Imperium... Wtedy też to, co nam było potrzebne, musieliśmy po prostu kraść, a potem zrzucać winę na skorumpowanych imperialnych urzędników lub na grupy przestępcze, takie jak Czarne Słońce. Cóż, byłem wtedy młodszy, nie męczyłem się tak szybko...

Ben podniósł wzrok i pochwycił spojrzenie Vestary. Wyglądał na zatroskanego. Nic dziwnego, skoro jego ojciec, wciąż cierpiący od rany odniesionej w walce z Sithami, wydawał się jeszcze bardziej mizerny po ostatnich przygodach.

Luke westchnął, położył arkusze flimsi na kolanach i spojrzął na dwoje młodych.

- Nie ma rady, musimy trochę odpocząć. Wieczorem ukradniemy jakiś śmigacz lądowy albo powietrzny.

Vestara skinęła głową.

- Dobrze, Mistrzu Skywalkerze.

- Jeśli się da, zabierzemy pojazd Nasłuchiwaczowi, a jak nie, to Tubylcowi. Zmniejszając ich zasoby, powiększamy własne.

- Tak zrobimy.

- Ben, obejmij pierwszą wartość.

Coruscant

Sędzia, Kalamarianin o barwie skóry tak ciemnej, że prawie czarnej, o imponująco wielkiej czaszce, podniósł wzrok znad monitora wbudowanego w blat jego stołu.

- Admirał Natasi Daala, sąd przyjmuje do wiadomości pani odmowę przyznania się do winy. Jednak po przeanalizowaniu ryzyka związanego z poparciem pani przez elementy ekstremistyczne, należące do sił zbrojnych Imperium Galaktycznego, przychyłamy się do żądań oskarżenia, które nie zgadza się na pani wyjście za kaucją.

Daala, wyprostowana i nieugięta w obliczu sfabrykowanych zarzutów, nie raczyła odpowiedzieć sędziemu ani nawet spojrzeć na niego.

- Oprócz tego zalecamy, aby w trakcie procesu była pani przetrzymywana w areszcie o podwyższonym stopniu zabezpieczenia.

Adwokat Daali, jasnowłosa mężczyzna mniej więcej w jej wieku, spróbował ostatniego argumentu:

- Wysoki Sądzie, moja klientka jest szanowaną weteranką sił zbrojnych, więc nie istnieje ryzyko ucieczki. Takie obostrzenia są niepotrzebne, a w dodatku mogą niekorzystnie nastawić ławę przysięgłych.

- Dopilnujemy, aby tak się nie stało, panie mecenasie. Zamykam posiedzenie wstępne. - Sędzia uderzył młotkiem, i to był koniec.

Prawnik spojrzał na Daalę współczująco.

- Przykro mi - powiedział.

- Nie przejmuj się, mecenasie. Żadne precedensy w całej galaktyce nie przekonają konspiratorów, aby nie konspirowali... Na razie chcę cię prosić, żebyś przekazał wiadomość, którą przygotowuję.

- Oczywiście, że to zrobię.

- Nie czytając jej?

Zawahał się tylko ułamek sekundy.

- Owszem. Ale muszę panią ostrzec przed podjęciem jakichkolwiek działań związanych z tą sprawą.

Strażniczka Sił Bezpieczeństwa Sojuszu Galaktycznego, ogromna Ithorianka, popatrzyła szeroko rozstawionymi na potężnej głowie oczami, które nie wyrażały niczego, podeszła i gestem poleciła im wyjść przez boczne drzwi, zarezerwowane dla prawników i ich klientów.

Daala ruszyła w tamtą stronę.

- Jest parę spraw, mecenasie, które muszę załatwić bez konsultacji z panem. Wciąż jestem legalnym prezydentem Sojuszu, więc niektóre z moich działań muszą pozostawać tajne. - Idąc w stronę drzwi, z nieobecną miną pomachała Wynnowi Dorvanowi, który siedział w pierwszym rzędzie na widowni. A potem wyszła i straciła go z oczu.

- Dopilnuję tego, pani admirał - zapewnił adwokat.

Daala po oddaniu rzeczy osobistych, ubrana w żółty kombinezon osadzonej, została przetransportowana osobistym śmigaczem do najbliższego strzeżonego kompleksu więziennego Armand Isard. Tam poddano ją niekończącym się procedurom dokumentacyjnym: pobieraniu odcisków dłoni i stóp, próbek genetycznych i skanowaniu siatkówki. Nie zwracała na to

szczególnej uwagi.

Miała na głowie ważniejsze sprawy. W myśli układała listy, które musi wysłać. Jeden miał być do jej prawnika i bankiera z poleceniem likwidacji niektórych jej funduszy osobistych.

Drugi list miał otrzymać Boba Fett.

Wreszcie, po zakończeniu wszystkich procedur, Daalę odprowadzono do celi na górnych poziomach więzienia o zastrzonej ochronie. Była wściekła, że ulokowano ją w tym samym korytarzu, gdzie przebywali najgorsi przestępcy, socjopaci, którzy zabijali bez zmużenia oka, a także nie-ludzie, których fizyczne cechy sprawiały, że byli zbyt niebezpieczni, by osadzić ich wśród normalnych więźniów.

Cóż, przynajmniej nikt ze znajomych nie zobaczy jej w tych warunkach.

Weszła do celi, a drzwi, przypominające zamknięcie sejfu, zasunęły się za jej plecami. Odwróciła się i wyjrzała przez trapezoidalne okienko na odchodzących strażników.

Po drugiej stronie szerokiego korytarza, zza drzwi celi naprzeciwko, ktoś machał do niej przez okienko. Daala zmrużyła oczy, żeby poznać, kto to taki.

Kobieta miała jasne włosy i bardzo szeroki uśmiech...

Serce Daali zamarło, kiedy się zorientowała, że to Tahiri Veila.

A więc nawet w więzieniu nie może zachować godności. Ta Jedi, ta morderczyni, będzie patrzeć na nią przez swoje okienko dzień i noc, szpiegować ją i z niej drwić.

Daala odsunęła się od drzwi i przyłożyła czoło do ściany. Miała nadzieję, że to ostatnia obelga, jaka ją tu spotkała.

Hweg Shul, Nam Chorios

Luke ocknął się wiele godzin później. Czuł się już lepiej, mógł wreszcie jasno myśleć. Nadal był w domu Sel, a nie wśród strażników ochrony Nam Chorios, czyli w czasie, kiedy spał, nie nastąpiła żadna katastrofa.

Przecierając oczy, skierował się do małej kuchni Sel, aby przygotować sobie kafę, ale Ben, który właśnie wychylił się z gabinetu, podsunął mu pod nos datapad. Urządzenie było włączone, na ekranie widać było tekst i obrazy.

- Tato, zerknij tylko - poprosił syn.

Luke spojrział na ekran. Pokrywały go teksty najnowszych informacji z HoloWiadomości. Nagłówek głosił: „Jedi przejmują kontrolę nad rządem Sojuszu Galaktycznego”. Ruchomy obraz z holokamery przedstawiał Sabę Sebatyne przemawiającą do Senatu, ale nie było słychać dźwięku. Luke przewinął obraz. Poniżej przeczytał: „Prezydent Daala oskarżona o zbrodnie przeciw obywatelom”. Ilustracja, tym razem nieruchoma, ukazywała Daalę w niezbyt korzystnym dla siebie momencie, z otwartymi ustami i gniewną miną.

Następny tekst głosił: „Mistrz Jedi Kenth Hamner zabity - morderstwo czy pojedynek rytualny?”. Pod spodem było zbliżenie poważnej, twardej twarzy Hamnera oraz daleki plan jego stosu pogrzebowego: płomień strzelający w górę i wznoszący się ku niebu dym.

Ostatni tytuł HoloWiadomości brzmiał: „Wyrok w sprawie Luke’a Skywalker’a odwołany”. Zdjęcie przedstawiało Luke’a z czasów tuż po drugiej Wielkiej Wojnie Galaktycznej, w czarnych szatach Mistrza i z ponurą miną.

Luke wypuścił powietrze z płuc i oparł się o ścianę. Szybko przebiegł wzrokiem artykuły, czując wbity w siebie wzrok Bena.

Wiedział już oczywiście o śmierci Hamnera, ale cała reszta...

- To katastrofa - orzekł w końcu.

- Katastrofa? Wygląda mi to raczej na poprawę sytuacji. Przecież warunki twojej ugody zostały anulowane! Tato, musisz wracać do domu!

- Najpierw zajmę się Abeloth.

- Dobrze, ale...

- A „katastrofa” jest bardzo odpowiednim słowem. - Luke spojrział w oczy synowi. - Nie

jesteśmy politykami, Benie. Nie byliśmy do tego szkoleni, z niewielkimi wyjątkami, jak twoja ciotka Leia. I dlatego rozwiązujemy problemy, stawiając im czoło, kiedy się pojawią, i używając miecza, jeśli nie da się inaczej.

Ben wyraźnie posmutniał.

- Myślałem, że się ucieszysz. Przynajmniej z tego, że twoje wygnanie dobiegło końca.

Luke uśmiechnął się blado.

- No, tu akurat masz rację. Ale nie mogę teraz wrócić do domu. Nie mogę zaoferować Sabie takiego wsparcia, jakiego zapewne potrzebuje.

- Możesz teraz wezwać Jedi tutaj. Nie będę cię więcej namawiał, ale naprawdę by się nam przydali...

- Nie. Jedi są potrzebni gdzie indziej. - Luke z trzaskiem zamknął datapad i oddał go Benowi. - Na razie my potrzebujemy czegoś innego: kawy i śniadania.

W ostatnich godzinach światła słonecznego, kiedy wiatr przeganiał kłęby pyłu ulicami miasta, a widoczność była ograniczona do jednej przecznicy, Luke, Ben i Vestara ostrożnie opuścili dom Sel. Właścicielka pozostała sama, wciąż uśpiona.

Szybko znaleźli potrzebny im śmigacz, zaparkowany przed knajpą, którą odwiedzili podczas pierwszego pobytu w Hweg Shul. Incom T-47 był modelem zmodyfikowanym tak, aby pomieścić jak najwięcej towarów i pasażerów w smukłym, szerokoskrzydłym, pomalowanym na czarno kadłubie. Był stary, ale doskonale utrzymany. Właściciel bez wątpienia siedział w knajpie, ciesząc się zakrapianym wieczorem z przyjaciółmi... Cóż, jego radość wkrótce miała dobiec kresu.

Chociaż obawiali się następnej burzy Mocy, Luke uznał, że niewiele ryzykuje, zajrzał przez boczny iluminator, odnalazł wewnętrzny zamek drzwi i sięgnął do niego poprzez Moc. Zamek przesunął się w pozycję odblokowaną. W chwilę potem cała trójka znalazła się w środku. Nawet średnio uzdolniony technicznie Jedi nie miałby problemu ze zlokalizowaniem i wyłączeniem przetwornika pojazdu, a potem obejściem systemu bezpieczeństwa silnika.

Na razie nikt ich nie przyłapał. Luke uruchomił repulsory, uniósł T-47 z ziemi i skierował ku granicy miasta.

Mieli zapasy zwęzione z kuchni Sel, pojazd ukradziony potencjalnemu wrogowi i niemożliwe zadanie do wykonania. Luke zaśmiał się cicho. Naprawdę czuł się jak za dawnych czasów.

ROZDZIAŁ 28

Fregata „Rzykantka”, główna hala hangaru

Javon Thewles, przycupnięty niepewnie na lekkim krześle z metalowych rurek, słuchał, co ma mu do powiedzenia Leia Organa Solo.

Czuł się niepewnie z wielu powodów.

Po pierwsze, krzesło było przeznaczone do stania obok basenu. Miało wytrzymać słońce i deszcz, a także okazjonalne obciążenie igrającymi w basenie istotami, głównie dziećmi, aby nie musiały siadać na permabetonie; on jednak był dorosłym człowiekiem w czarnej zbroi, stylizowanej jak zbroje żołnierzy Sojuszu Galaktycznego, tyle że bez insygniów wskazujących na oddział czy rangę. Krzesło ugięło się pod jego ciężarem i w każdej chwili mogło się złożyć pod nim i zrzucić go na metalową podłogę hangaru.

Po drugie, rozmawiał z Leią Organą Solo. Dawniej, w czasach swojej kariery w Służbach Ochrony Sojuszu, służył jako ochroniarz kilku sławnym osobom, ale nikt nigdy nie zwrócił się do niego z czymś więcej, niż z krótkim powitaniem. A teraz kilka metrów od niego stał słynny „Sokół Millennium”. Na jego kadłubie równie słynny Han Solo pracował nad matrycą antenową. Javon nie mógł go widzieć, ale okazjonalne litanie przekleństw zdradzały jego pozycję. Właśnie jakieś metalowe narzędzie z łomotem odbiło się od pancerza, podskoczyło, brzęknęło i ucichło. Han

krzyknął w ślad za nim:

- Amelio, możesz mi to przynieść?

Amelia była właśnie zadaniem przydzielonym Javonowi.

Odchrząknął, aby dać sobie jeszcze sekundę do namysłu.

- Mam być niańką? - upewnił się.

Leia skinęła głową.

- Z praktycznego punktu widzenia, tak. Czy to dla ciebie problem? Praca poniżej twojej godności?

- Nic podobnego. Ochrona to ochrona, a ludzie potrzebują jej niezależnie od wieku. Do tej pory nigdy jednak nie ochraniałem dziecka i nie wiem, czy mam właściwe kompetencje do tego zadania.

Leia spojrzała na niego ze zrozumieniem.

- Pierwszą rzeczą, jaką musisz zapamiętać i która naprawdę pomaga, jest to, że na ogół nie musisz im kazać przykucać, kiedy strzelasz nad ich głowami.

- To był... żart?

- Tak, mój drogi.

- Całe szczęście. Hm, nie mówię tego w formie krytyki, jestem naprawdę ciekaw, chociaż trochę zdezorientowany. Przeprowadzi mi pani dziecko do tymczasowego obozu, gdzie ochroniarzami są dziwne jednostki, od bojowników o wolność zaczynając aż do aroganckich terrorystów, a żadnego z nich tak naprawdę nie obchodzi bezpieczeństwo małej dziewczynki...

- Wiem, że to sytuacja daleka od ideału, masz rację - zgodziła się Leia. Wyglądała na bardzo zmęczoną. - Tylko że nie mogę sobie przypomnieć ani jednej chwili w ciągu ostatnich czterdziestu pięciu lat, która mogłaby być uznana za idealną sytuację. - Uśmiechnęła się cierpko. - Na Coruscant wcale nie musi być bezpieczniej. Gdybym tam była, to biorąc pod uwagę moje kwalifikacje, pomagałabym pewnie w biurze prezydenta, a to rzeczywiście mogłoby narazić Amelię na niebezpieczeństwo. Na Klatooine wbrew pozorom może być bezpieczniejsza. Zazwyczaj mamy kogoś z Jedi i specjalistę od ochrony, którzy czuwają nad Amelią i zapewniają jej bezpieczeństwo... tylko nie mów jej o tym, proszę.

- Nie ma obawy.

- Teraz jednak, biorąc pod uwagę niedawny kryzys rządowy i całą sytuację w galaktyce, jest nas po prostu za mało. Kiedy więc Seha Dorvald powiedziała, że nasze działania kosztowały pracę, a może nawet karierę obiecującego i sumiennego młodego porucznika Służb Bezpieczeństwa, pomyślałam, że zatrudnienie cię do ochrony może być niezłym pomysłem.

- Też tak uważam. Chciałem tylko... cóż, chodzi o moje niewielkie doświadczenia w tej kwestii. Nie wiem na przykład, co zrobić, jeśli zacnie płakać.

Leia się roześmiała.

- Naprawdę dużo trzeba, aby ją skłonić do płaczu. Mógłbyś na przykład opróżnić cały magazynek rusznicy laserowej w kierunku tego, co sprawiło, że płakała.

- To krzepiące...

- Seha mówiła mi też, że masz teorię na temat oskarżeń, jakie jej postawiono.

- No... tak, mam. - Javon bez trudu znalazł sobie nowy powód do zakłopotania. Nie mógł się czuć całkiem pewnie, dyskutując o teorii, która wymagała jeszcze sprawdzenia faktów i dopracowania. - Odniosłem wrażenie, że otrucie moffa Lecersena, senatora Bramsina i generała Jaxtona, a potem umieszczenie pojemnika z trucizną w budynku Senatu było działaniem podjętym w celu zdyskredytowania Służb Bezpieczeństwa Sojuszu Galaktycznego. Tuż po zamachu sądziłem, że może... przepraszam, ale że mogła to być część planu Jedi. Wiadomo, że nagłe wkroczenie Wywiadu Floty bardzo pomogło Jedi w spowodowaniu chaosu w budynku Senatu, a ten chaos pozwolił im na swobodę ruchów. Seha jednak twierdzi, że Jedi nie byli w to zaangażowani, a ja jej wierzę. Na razie prawdziwi trucidziele i ich motywy pozostają tajemnicą.

Leia się zastanowiła.

- Uważasz zatem, że w tym towarzystwie znajduje się niezidentyfikowany gracz, który chciał usunąć z planszy pion przedstawiający Służby Bezpieczeństwa. Nieznany gracz z nieznanym

motywem, tak?

Javon skinął głową.

- Przede wszystkim jednak nie lubię niewyjaśnionych spraw, a otrucie jest taką sprawą.

- Czy chociaż jeden z twoich przyjaciół w Służbach Bezpieczeństwa ma na ten temat opinie? A co z mediami?

Javon pokręcił głową.

- Oskarżenie Sehy wycofano, więc wszyscy uważają, że to była część spisku Jedi.

Zaprzeczenia Jedi brzmią dokładnie tak samo, jak wypowiedź każdego oskarżonego, więc nikt nie jest przekonany.

- Gdybyś zdobył jakieś inne opinie na ten temat, chętnie ich wysłucham.

- Dziękuję. - Javon zorientował się, że rozmowa dobiegła końca, i wstał. - Poinformuję resztę oddziału.

Wynurzyli się z nadprzestrzeni niedługo potem, poza interferencją studni grawitacyjnej Klatooine. Planeta, żółtawa, nieładna kula, pojawiła się na wszystkich monitorach fregaty.

W sterowni „Sokoła” Han, zajęty przedstartową listą kontrolną, patrzył na ten sam obraz na własnych monitorach.

- Wygląda jak Tatooine - skomentował.

Leia odezwała się z fotela drugiego pilota:

- Zdaje się, że ci się to podoba.

- Mam dobre wspomnienia z Tatooine. Spotkałem tam fajnego faceta, a w kilka lat później dorobiłem się żony na tym interesie. - Zamilkł na chwilę. - A może czeka tam na mnie druga żona?

Leia zrobiła srogą minę.

- Chciałbyś, co? Uważaj, bo ci się spełni.

Z siedzenia dla pasażera za plecami Leii dobiegł cieniutki chichot. Obejrzała się. Allana, świeżo wyszorowana i zwodniczo grzeczna, z miną niewiniątka wsłuchiwała się w ich rozmowę. Jej nexu, Anji, przycupnęła z zadowoleniem u boku swojej pani.

Han odwrócił się, żeby zmierzyć dziewczynkę sceptycznym spojrzeniem.

- Co w tym takiego śmiesznego, smarkulo?

- Ty. Wcale nie chcesz dwóch żon.

- A czemu nie?

- Bo ja nie potrzebuję dwóch babć, a ty nie potrzebujesz dwóch pań, które będą ci mówiły, co masz robić.

Han spojrział na Leię z głęboką urazą i wrócił do swojej listy.

- Zdecydowanie odziedzyczyła długi jęzor rodziny Organa - mruknął do siebie.

Leia uśmiechnęła się do wnuczki kątem warg.

- Doskonale, Allano. Cóż, skoro ja będę teraz prowadziła negocjacje z bojownikami o wolność, a twój dziadek będzie sobie szukał nowej żony, ty będziesz miała Artoo i See-Threepia do towarzystwa.

- O, nie! - Tym razem ton Allany był zdecydowanie mniej entuzjastyczny. - See-Threepio jest taki denerwujący!

Leia uśmiechnęła się szerzej.

- Bardziej nawet niż dziadek?

- Troszkę bardziej.

- Cóż, postępowanie z denerwującymi istotami jest dużą częścią naszego zadania. - Leia obejrzała się, aby się upewnić, że C-3PO nie ma w zasięgu jej głosu. - Może więc powinnaś się przyzwyczaić.

- Chyba tak.

Klatooine na monitorach stawała się coraz większa i wyraźniejsza.

Han spojrział na aktualizację czasu na dole ekranu monitora.

- Pięć minut do lądowania.

Zeszli ciasną formacją, w trzy statki: „Sokół”, sławny, acz nieco zdezelowany, duży wahadłowiec wiozący oddział oficerów i żołnierzy Służb Bezpieczeństwa Sojuszu Galaktycznego, oraz mały wahadłowiec klasy Lambda, zajmowany przez grupę cywilnych ekspertów bezpieczeństwa, w tym Javona, wyznaczonego na dodatkowego ochroniarza Amelii Solo.

Przed lądowaniem zatoczyli krąg wokół swego miejsca przeznaczenia, w samym sercu pustyni. Była to wysunięta placówka cywilizacji - rozległe obozowisko składające się z dziesiątków namiotów, z których kilka było naprawdę ogromnych. Na skraju obozowiska i czasem pomiędzy namiotami widać było małe statki: wahadłowce, niewielkie transportery i statki towarowe, a także kanonierki. Były tam także śmigacze wszelkiego rodzaju oraz pełzaki, odpowiednie do klimatu pustynnego. Wiele z nich pomalowano na kolor piaskowy lub w pustynne barwy kamuflujące. Wokół obozowiska ustawiono ruchome generatory osłon i samojezdne baterie laserów.

Na skraju obozu czekał tłum.

Han gładko sprowadził „Sokoła” do lądowania. Repulsory wzbily ogromne chmury piasku, wysyłając miniaturową burzę piaskową w stronę głównej grupy oczekujących. Dwa wahadłowce Sojuszu usiadły za „Sokołem”.

Pierwszy wybiegł oddział Służb Bezpieczeństwa. Jego komendantka podeszła do swojego odpowiednika wśród Klatooinian na krótką konsultację; reszta oddziału zajęła pozycje wokół statków.

Po kilku minutach przez środki łączności „Sokoła” rozległ się głos komendantki:

- Tu Mither. Ten tłum składa się z uzbrojonych i wojowniczych osobników z tuzina światów, część z nich zaczyna wznosić okrzyki przeciwko Jedi, a lokalne Służby Bezpieczeństwa praktycznie nie istnieją. Zalecam szybki start i powrót na orbitę. Odbiór.

Leia uśmiechnęła się i włączyła osobisty komunikator.

- Dziękuję, pani kapitan. Wychodzimy.

Han podniósł się z westchnieniem.

- Wydaje mi się, że to była dobra rada.

Leia także wstała.

- A od kiedy to słuchasz dobrych rad?

- Masz rację - mruknął zrezygnowany.

Allana podskoczyła, uważając, żeby nie przestraszyć Anji.

- Czyja też mogę iść?

Leia pokręciła głową.

- Nie tym razem, kochanie. Twój dziadek i ja musimy załatwić to sami. Powiemy ci, kiedy będziesz mogła zejść na dół ze swoją grupą ochroniarzy.

Westchnienie Allana było równie gniewne, jak Hana.

Zeszli po rampie załadowniczej „Sokoła” i wyłonili się z jego cienia na palące słońce. Grupa gapiów, wszyscy ubrani w pustynne stroje, bez insygniów wskazujących rangę i innych oznaczeń, wyszła im na spotkanie.

Przywódca, wysoki Klatooinianin, cały obwieszony różną bronią, podszedł na metr do Hana i Leii i złożył im ledwie dostrzegalny ukłon.

- Witamy na Klatooine - odezwał się głębokim, ochrypłym głosem. - Jestem Padnel Ovin, dowódca sił uderzeniowych, a teraz także przywódca Frontu Obrony Istot Rozumnych.

Leia oddała ukłon.

- Jestem Leia Organa Solo. Przywożę pozdrowienia i życzenia sukcesu od Sojuszu Galaktycznego. Pozwolę sobie wyrazić aprobatę dla okoliczności, które sprowadziły na pana nowe obowiązki.

Padnel wydał dźwięk, który brzmiał jak kaszel.

Leia wskazała Hana.

- To mój małżonek, Han Solo. - Ominęła liczne tytuły męża, bo i tak nie wywarłyby wrażenia na tłumie buntowników. Co innego historia jego wyczynów.

Padnel wskazał na jasnooką, spiętą Chevkę po lewej.

- Moja adiutantka, Nialle Aker. - Odwrócił się zaraz, żeby przedstawić stojącą po jego prawej ręce Klatooiniankę, równie wysoką jak on, a może nawet wyższą. - A to Reni Coli, przywódczyni Ruchu Obrony Wolności.

Klatooinianka się skłoniła. Na prawym policzku i na szyi miała stare blizny, prawdopodobnie od oparzenia, jaśniejsze niż jej oliwkowozielona skóra. Wyglądało to jak kamuflujący malunek.

- Jestem zaszczyczona - oznajmiła pozbawionym akcentu basikiem. Wyraźnie powiedziała to wyłącznie z uprzejmości.

Padnel odwrócił się i wyciągnął rękę w stronę robota - droida protokolarnego, kształtu i wielkości C-3PO, ale pomalowanego na krwawoczerwony kolor i o fotoreceptorach lśniących tą samą barwą.

- Naysay z Klanu Vacweld, z Milicji Wyzwolonych Robotów.

Leię przeszył dreszcz, ale uśmiech nie znikł z jej twarzy.

- Jestem zachwycona, że wyzwolone roboty są reprezentowane na tym spotkaniu.

Naysay przechylił głowę. Jego głos okazał się ostrzejszy i mniej serdeczny niż See-Threepia.

- To zadziwiające, że niepoprawna właścicielka niewolników, taka jak pani, jest zadowolona z mojego udziału w tych rozmowach.

Padnel, zupełnie jakby nie słyszał tej wymiany zdań, wskazywał kolejnych członków delegacji.

- Azmar Huun z Tatoonie należy do Lotu Wolności. - Huun był drobnym człowieczkiem o jasnych włosach, cieniutkim wąsiku i nieprzeniknionym wyrazie twarzy.

Padły kolejne nazwiska. Leia uśmiechała się, kiwała głową i usiłowała je zapamiętać. Stojący obok Han potrząsał wyciągniętymi do siebie rękami. Można było na niego liczyć, że nie zapamięta ani jednego nazwiska, chyba że znalazł się tu ktoś, z kim w przeszłości grał w sabaka lub wymieniał ogień z miotaczy.

Wreszcie Padnel wskazał odległy namiot, dość duży, aby pomieścić dwie eskadry X-wingów i załogi pomocnicze.

- Tam będzie chłodniejsze powietrze. Czeka nas poczęstunek... i mnóstwo pracy.

ROZDZIAŁ 29

Rezydencja przywódcy Imperium Galaktycznego, Coruscant

Na monitorze ściennym Jaga moff Lecersen wydawał się jak zwykle stanowczy, inteligentny i bezpośredni, a jego głos dochodzący z głośników brzmiał konkretnie i rozkazująco.

- „Decyzja Jaggeda Fela dotycząca uczestnictwa w religijnych obrzędach Jedi była zdecydowanie niewłaściwa. Nie wyobrażałem sobie jednak, że będzie to wstęp do jego wczorajszego wystąpienia. Sam pomyślałem, że przywódca poprzez bezprecedensowe i nielegalne działania Świątyni Jedi przeciwko prezydent Natasi Daali, jest chory. Ta kobieta jest bohaterką Sojuszu Galaktycznego, a przedtem Imperium. Przeczuję, że Jagged Fel właśnie pogrzebał proces ponownego połączenia dwóch państw swoimi nieprzemyślanymi słowami”.

Jag skinął głową. Nie przytakiwał słowom moffa, ale wyrażał szacunek do strategii Lecersena. Moff specjalnie nazywał go przywódcą Felem, aby utwierdzić opinię publiczną w przekonaniu, że nie jest on prawowitą głową Imperium. Mówiąc o pogrzebie Kentha Hamnera jako o ceremonii religijnej, a o Zakonie jako o Świątyni Jedi, delikatnie sugerował obywatelom, zwłaszcza Imperium, że Jedi to raczej fanatycy religijni niż wojownicy i uczeni.

Obraz na monitorze zmienił się, ukazując szczupłego, starszego mężczyznę o łagodnych, spokojnych oczach. Ubrany był w szarości imperialnych moffów. Zaczął mówić, ale dźwięk z

monitora na chwilę zagłuszył głos reporterki:

- „Nie wszyscy przedstawiciele Imperium okazali potępienie wobec wypowiedzi głowy państwa. Moff Getelles z Antimeridias jest jednym z tych, którzy popierają działania Jedi”.

Rozległ się głos starszego człowieka:

- „Natasi Daala była nieprzewidywalna. Funkcjonowała na swoim stanowisku jak działo laserowe z uszkodzonym silownikiem, a przecież była kiedyś oficerem Floty Imperialnej. Jej ostatnie działania tylko potwierdzają tę diagnozę. Nie zaprzeczę, że była bohaterką. Walczyła z wrogami, rzeczywistymi i wyimaginowanymi, dzielnie i skutecznie. Należy ją jednak powstrzymać i dopiero jak się poprawi, będzie mogła przejąć jakieś obowiązki. Wyniesienie jej na to stanowisko było błędem ze strony Sojuszu”.

Obraz ukazał teraz kolejnego moffa, tym razem młodszego od Lecersena, szczupłego i ciemnowłosego, z cienkim wąsikiem i nerwowym sposobem bycia. On także był ubrany w szary strój.

Powrócił głos narratorki:

- „Jednakże w Radzie Moffów zdają się dominować opinie podobne do zdania moffa Porraka Vansyna”.

Głos moffa przerwał jej wypowiedź:

- „Usunięcie prezydent Daali jest katastrofą dla relacji Imperium z Sojuszem. Kto rządzi teraz Sojuszem? Jedi, najbardziej zawzięta organizacja antyimperialna w całej historii galaktyki. A zatem Jagged Fel, dziecko Chissów, który rządzi Imperium, jest jego największym wrogiem”.

Monitor znów pokazał reporterkę, Twi'lekanę o czerwonej skórze. Jag uderzył w przycisk na pulpicie, aby wyłączyć głos. Dość już usłyszał i zobaczył.

Dzwonek oznajmił mu, że sekretarz na zewnątrz ma jakąś sprawę.

- Tak?

- Jedi Solo do pana.

Jag zachichotał i zerknął na chronometr.

- Powiedz jej, że czekam już od sześciu sekund. A potem ją wpuść.

Drzwi rozsunęły i do gabinetu weszła Jaina ze zmarszczonymi brwiami.

- To wcale nie jest śmieszne - burknęła.

- Odliczałem czas od momentu, kiedy nadawano moją konferencję prasową.

Płyta drzwiowa zasunęła się za plecami Jainy, która podeszła i usiadła na poręczy jego fotela.

- Może stałam w korkach.

- Jasne, jasne.

- Jag, co ty wyprawiasz? Mówisz głośno o poparciu dla Jedi. Teraz cała Rada Moffów skoczy ci do gardła, a ci, którzy działali na rzecz połączenia, tylko szukali dodatkowych wskazówek, teraz uciekną jak najdalej od ciebie.

Jag westchnął.

- Wypełniam tylko swoje obowiązki. Oczekiwano jakiejś reakcji ze strony przywódcy państwa, zwłaszcza że jestem akurat na miejscu, a nie gdzieś w przestrzeni. A co według ciebie miałem powiedzieć? Może dla odmiany prawdę? Że Daala była niebezpieczna dla otoczenia i że działania Jedi były jedynym rozsądnym wyjściem?

Jaina aż jęknęła.

- A może dla odmiany zachowałbyś się politycznie, żeby nie zapracować sobie znowu na miotacze skierowane w twoją stronę?

Jag poczuł się nagle ogromnie zmęczony.

- Zachować się politycznie? Nie jestem w tym zbyt dobry, Jaino. Prawda nie wystarczy, uczciwość nie wystarczy, wyszukiwanie sensownych precedensów nie wystarczy. Gra polityczna to jak latanie nieopancerzonym wahadłowcem przez najgorszy deszcz meteorytów w historii... i jest równie produktywnie. Myślę czasami, że nie odbiło mi tak jak Daali wyłącznie dlatego, że jestem młodszy.

- Mojej matce nie odbiło.

- Owszem, ale porzuciła stanowisko prezydenta i zajęła się zawodem, w którym może przecinać ludzi na pół, jeśli ją zirytują.

- Racja.

- Mam ci jeszcze parę racji do udowodnienia. - Przyciągnął ją sobie na kolana. Wydała oburzony pisk, zanim usadowiła się wygodnie.

- Po pierwsze, to jakaś schizofreniczna sytuacja - tłumaczył jej. - Kiedy decyduję coś przeciwko Jedi, jesteś na mnie wściekła. A kiedy popieram Jedi, dla odmiany też jesteś na mnie wściekła.

- To chyba jasne. Jesteś facetem, więc nie możesz mieć racji.

Zignorował to.

- Po drugie, brak ci szerszej perspektywy. Jestem przekonany, że od samego początku wiedziałaś o planach pozbycia się Daali i słowem mi o tym nie wspomniałaś... a ja nawet nie jestem o to zły. Zrobiłaś to, co musiałaś. A ja, mówiąc publicznie, że Jedi postąpili słusznie, też zrobiłem to, co musiałem. Nie dokuczaj mi z tego powodu.

Westchnęła.

- To wszystko dlatego, że nie mogę być tu z tobą, wspierać cię i mieć na oku. Mam zadanie do wykonania.

- Gdzie?

- Nie mogę powiedzieć.

Zaśmiał się i otoczył ją ramionami.

- *Stang!* Kiedy wyjeżdżasz?

- Dzisiaj wieczorem.

- Ale najpierw kolacja?

- Najpierw kolacja.

Dziewiąta sala rozpraw, Coruscant

- Winna.

Za każdym razem, kiedy sędzia zadawała pytanie: „W związku z zarzutem...”, które kończyło się: „Jaka jest wasza decyzja?”, przewodniczący ławy przysięgłych, wysoki, imponujący Kalamarianin o groźnym spojrzeniu, skierowanym na Tahiri, odpowiadał tym samym słowem.

Dopiero pod koniec listy zarzutów kilka z nich doczekało się odpowiedzi „Niewinna”. Ale najważniejszy - morderstwo z premedytacją - znalazł się po niewłaściwej stronie linii podziału.

Tahiri nie czuła nic. Wiedziała, że wygląda przeraźliwie blado i bez życia.

Nie chodziło jej o to, że przegrała, że wkrótce ją skazają, że poniesie jakąś straszliwą karę. Problem w tym, że w oczach przewodniczącego, ławy przysięgłych, sędzi, widzów i prasy - a za chwilę, po transmisji werdyktu, także w oczach całego Coruscant, całego Sojuszu Galaktycznego - była teraz kimś, za kogo się nie uważała: przestępczynią. Morderczynią.

Tahiri zawsze definiowali inni: jeźdźcy Tusken, Jedi, Yuuzhan Vongowie, Darth Caedus. A teraz doszła do tego galeria ławników, z którymi nie zamieniła nawet słowa. Nigdy nie miała kontroli nad tym, kim lub czym była.

Wokół niej brzęczały kolejne zdania: „Zatrzymana do czasu ogłoszenia wyroku”, „Dziękujemy państwu za uczestnictwo”. Nie potrafiła ich uchwycić, tak jak nie mogłaby złapać w rękę cząsteczki tlenu.

Nagle wszyscy powstali, a sędzia wyszła. Od strony prasy i widowni dobiegł szmer nielicznych głosów - nie przyszło wielu gapiów, aby obserwować klęskę Tahiri. Nawet Jainy dzisiaj nie było na galerii.

Eramuth Bwua'tu współczująco uściśnął jej ramię.

- Nie możesz uważać tego za klęskę, moja droga. To tylko drobne utrudnienie. Proces się jeszcze nie skończył, a potem będziemy składać apelację. Zamierzam dowieść, że obalenie prezydent Daali wpłynęło na opinię ławy.

- Czeka mnie kara śmierci, prawda?

Zwlekał z odpowiedzią.

- Nieważne, jakie słowa padną podczas procesu, Tahiri. Ważne, jakie działania ostatecznie zostaną podjęte. Ten przypadek skończy się uwolnieniem.

- Śmierć za śmierć... Nie obchodzi ich, ile istot uratowałam. To się nie liczy. - Zauważyła, że zbliża się do niej szeryf, ogromny mężczyzna o posturze zapaśnika. - Czas do celi. - Westchnęła. Teraz to Eramuth się skrzywił.

- Moja droga!

- Tak mi przykro. Tak mi przykro, że poniosłeś przy mnie swoją jedyną klęskę. -

Przepraszająco wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się do Eramutha, odwróciła i wyciągnęła ręce w stronę szeryfa, jakby się poddając.

Przynajmniej w celi będzie odizolowana od reporterów i wrogich oczu tych, którzy brali ją za morderczynię.

Stacja Koval, ponad Nam Chorios

- Kandra Nilitz, Coruscant, Beurth Ogh, Gamorra, Hal Cyon, Korelia, Jes Cyon, Korelia... - Urzędnik wydawał się absolutnie obojętny, jakby grupa składająca się z trójki ludzi i jednego Gamorreanina stawała przed nim codziennie. Pchnął po blacie w ich stronę karty identyfikacyjne. - Witamy na Nam Chorios. Następny punkt to orientacja. Możecie ją ominąć, jeśli w rejestrze odnotowano, że byliście tu w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Jeśli nie, musicie się tam udać i dobrze uważać, bo bardzo nie lubimy, kiedy ktoś próbuje opuścić Nam Chorios tylnym wyjściem, a potem mówi: „Nie wiedziałem”. To potrwa pięć minut. Ruszajcie.

Kandra chwyciła karty, a kiedy już minęli okienko urzędnika, oddała je pozostałym.

- Nie mogę uwierzyć, że udało się wam przejść z tak nieudolnie sfałszowanymi kartami.

Czy Zakon Jedi nie mógł wam załatwić lepszych tożsamości?

Valin wsunął swoją kartę do torby i zdjął szaty podróżnego. Teraz był ubrany bardziej swobodnie, ot, jak przejezdny urlopowicz, których miliony codziennie wysiadają z wahadłowców w całej galaktyce.

Wzruszył ramionami.

- Nie dostaliśmy tego od Jedi. Jysella i ja kupiliśmy je na ulicy Coruscant za kilka kredytów.

- Dlaczego?

- Mam wrażenie, że się tego domyślasz. Po co Jedi mieliby to robić.

- Chodzi o to, aby sprawdzić tutejszą ochronę?

- Właśnie. - Valin spojrzał z politowaniem, ale zaraz skinął głową i ciągnął dalej: - Sama widzisz, że ochrona tutaj jest bardzo niedbała. Nie obchodzi ich, kto przyjeżdża na Nam Chorios i co może ze sobą przywieźć. Zobaczmy, czy na tych samych kartach identyfikacyjnych uda nam się równie łatwo opuścić tę planetę.

Jysella, ubrana podobnie jak brat, spojrzała mu w oczy.

- Ty ją opuścisz. Ja zostanę na orbicie. Przynajmniej na razie.

Kandra spojrzała na Jysellę.

- Valin skontaktuje się z naszymi ludźmi na planecie, a ja przez ten czas sprawdzę zabezpieczenia orbitalnych platform artyleryjskich Golan.

- Dobrze. - Przynajmniej tym razem nie dostała irytującej, pobłażliwej odpowiedzi w rodzaju „Na pewno potrafisz się tego domyślić”. Przez większość czasu Valin i Jysella traktowali ją trochę jak dziecko i prawie za każdym razem zgadzali się z pomysłem podsuwanym im przez Kandrę. Nie wiedziała, że jest taka dobra w odgadywaniu taktyki i motywacji Jedi.

Dotarli prawie do końca następnej kolejki. Jysella nachyliła się do brata, wymieniła z nim szeptem kilka słów i odwróciła się, bez słowa ruszając w kierunku głównego holu stacji dla odwiedzających, gdzie można było znaleźć punkty usługowe, restauracje i kilka sklepów wolnocłowych.

Kandra obserwowała ją cały czas.

- Jeśli nie chcecie powiedzieć - odezwała się - co tu kombinujecie, to czy moglibyście mnie przynajmniej poinformować, gdzie powinniśmy być z Beurthem, aby jak najlepiej skorzystać z materiału, jaki nam obiecaliście.

Ku jej irytacji Valin nie odpowiedział w ogóle. Czasem mu się to zdarzało. Ale Kandra widziała, że nie ignoruje jej słów. Zwężonymi oczami obserwował grupę podróżnych stojących przed nimi w kolejce.

Kandra, nie odwracając głowy, zerknęła w tamtym kierunku. W kolejce stały cztery osoby, widocznie członkowie jednej z grup podróżnych. Ubrani byli prawie identycznie - w ciemnozielone kombinezony z dużymi epoletami, które Kandra rozpoznała jako pochodzące z Sektora Wspólnego - co wskazywało, że należą do tej samej załogi. Tych trzech mężczyzn i jedna kobieta wyróżniali się urodą i wrodzoną szlachetnością. Przypominali Kandrze mieszkańców Konsorcjum Hapes, choć rysami twarzy różnili się od Hapan. Nie mieli tabliczek z nazwiskami i w ogóle ze sobą nie rozmawiali.

Kandra stanęła na palcach i szepnęła Valinowi do ucha:

- Co z nimi?

- Czuję zafalowanie w Mocy. - Głos Valina dochodził jakby z oddali. - Wszyscy oni mają torby odpowiedniej wielkości, aby pomieściły miecze świetlne. Może tak rzeczywiście wyglądają w swojej prawdziwej postaci...

- Oni, to znaczy kto?

Valin się otrząsnął.

- Nieważne. Trzymaj się od nich z daleka. Są niebezpieczni.

Puls Kandry przyspieszył. Valin jeszcze jej nie odpowiedział, ale wydawało się, że są już blisko materiału, który jej obiecywał. Zwróciła się w stronę Beurtha i dyskretnie wskazała mu głową przystojną czwórkę w kombinezonach.

- Nakręć ich porządnie ukrytą kamerą - szepnęła.

Gamorreanin pogrzebał w plecaku, wyciągnął duży datapad i od razu go otworzył. Na ekranie ukazała się jakaś gra. Beurth skierował podstawę datapada w stronę czworga podróżnych i zaczął udawać, że gra.

Robił to przez cały czas, kiedy grupa przybyszów, w tym ubrana w kombinezony czwórka, a także ekipa Valina przechodziła przez bramkę. Ostrzeżono ich o zagrożeniu ze strony drochów, wręczono puszkę ze środkiem odstraszającym i udzielono ostrzeżenia na temat potężnych burz szalejących na powierzchni planety.

Podróż wahadłowcem do Hweg Shul minęła bez wrażeń. Valin siedział z całą trójką z tyłu, z dala od podróżnych w kombinezonach. Starał się na nich nie patrzeć, zakazał też Kandrze i Beurthowi.

- W końcu mogą poczuć na sobie wasz wzrok - tłumaczył. - Wasze myśli mogą was zdradzić.

Wylądowali przed świtem w stolicy planety. Podczas zniżania lotu Kandra mogła przez iluminator ocenić skutki burzy, widoczne w całym mieście. Budynek były uszkodzone, na ulicach zalegały sterty gruzu. Na pustych placach ustawiono tymczasowe schronienia dla osłony przed zimową pogodą.

W końcu sami musieli wyjść na tę pogodę. Kandra otuliła się modnym, długim, ale nie całkiem odpowiednim na ten ziąb płaszczem. Nawet Beurth, dobrze izolowany przed zimnem, jak to Gamorreanie, dygotał z zimna.

Niedaleko wahadłowca, na wprost kopuły terminalu, stał przedstawiciel przedsiębiorstwa transportowego, podając każdemu pasażerowi arkusik flimsi. Była to lista hoteli, lokali rozrywkowych, restauracji i innych atrakcji.

Kandra spojrzała na arkusik.

- Jedi Horn, co wybierasz z tej listy?

Odpowiedziała jej cisza.

Podniosła wzrok i rozejrzała się.

Valin Horn znikł.

ROZDZIAŁ 30

Klatooine

W głównej mesie „Sokoła” Allana udzieliła ostatnich odpowiedzi na pytania i odłożyła datapad na stół do gry.

- Gotowe - sapnęła z ulgą.

See-Threepio, siedzący w najbliższym fotelu, przechylił głowę, sprawdzając jej pracę.

- Bardzo dobrze, panienko. Kiedy się panienka stara, zawsze ma panienka wyniki lepsze, niż wynikałoby z rzeczywistego wieku. Mamy jeszcze cztery minuty do przerwy. Myślę, że mogę odrobinę nagiąć zasady i zacząć przerwę już teraz. Chce panienka pograć w jakąś grę? A może zjeść obiad?

- Chcę wyjść na zewnątrz.

- O, nie! - C-3PO się wyprostował. - Nie radzę tego robić.

- Ale przecież po to załatwili mi ochronę. Żebym mogła wyjść. A babcia przez komunikator powiedziała, że nie ma nic przeciwko.

- No tak, ale...

Mała w podskokach skierowała się do drzwi.

- Nie bój się, będzie wesoło.

- W basicu istnieją odmiany, w których słowo „wesoło” odnosi się do sytuacji wybitnie stresogennych, albo w znaczeniu ironicznym, do kompletnej nudy, ale ten zakres lingwistyki jeszcze nie wchodzi do twojego planu zajęć. - Wyszedł za nią z mesy. - Musisz się odpowiednio ubrać i posmarować się środkiem chroniącym przed promieniowaniem ultrafioletowym.

Już po kilku minutach oboje w towarzystwie R2-D2 zeszli z rampy załadowniczej. Anji dreptała za Allaną, od czasu do czasu chowając się w cieniu, zanim dwunożni, którym towarzyszyła, dotrą do niej przez spieczone słońcem piaski.

Javon Thewles z oddziałem trzech ochroniarzy natknął się na nich u stóp rampy. Javon i jedna ochraniarka zachowali kamienne twarze, ale pozostali dwaj - człowiek i Durosjanin - wyglądali w tym upale po prostu rozpaczliwie.

Allana uważnie przyjrzała się Javonowi.

- Nie jest wam w tych zbrojach za gorąco?

Cała czwórka miała na sobie czarne pancerze.

Javon się uśmiechnął.

- Nie jest tak źle. W hełmach i pod napierśnikami mamy układy chłodzące. Imperium wynalazło to dla swoich szturmowców, a my wykorzystujemy. Nie jest nam bardziej gorąco niż wszystkim innym.

Allana wybrała kierunek i ruszyła w stronę jaskrawoczerwonego namiotu.

- Ale czy to nie głupie, nosić tutaj czarną zbroję? Bardziej grzeje niż biała lub żółta. -

Zakreśliła się w swojej jasnej, piaskowej szacie. Prawie wszyscy ludzie w obozowisku nosili takie same stroje. Gdyby Allana zakryła buzię i schowała Anji, byłaby nie do odróżnienia od dzieci i od przedstawicieli małych ras.

Javon gestem nakazał swoim towarzyszom zajęcie odpowiednich pozycji, a sam dołączył do dziewczynki.

- Czasem są rzeczy ważniejsze od wygody. To prawda, tylko my jesteśmy tak głupi, żeby w tym skwarze ubierać się na czarno...

- Powiedz to jeszcze raz.

- ...ale dzięki temu doskonale widzimy się wzajemnie, wyróżniając się z tłumu.

- Naprawdę? - Tak, to miało sens.

- Czasem lepiej, kiedy ochroniarze giną w tłumie, a kiedy indziej powinni się wyróżniać. Nazywamy to pokazem siły. Jedi Solo zdecydowała, że tutaj zastosujemy tę metodę.

- Dlaczego?

- Ponieważ wszyscy tu mają broń, nawet jeśli jej nie widzisz. A samo obozowisko składa się z wielu drobnych grup, które walczą z Sojuszem, ale także pomiędzy sobą, i nie słuchają nikogo.

- Ooo! - Allana aż zamrugała z wrażenia. - Więc nie ma przepisów zabraniających im atakowania się nawzajem?

- No właśnie. Pozostaje tylko zdrowy rozsądek. - Javon nachylił się i dodał ciszej: - A dzięki temu, że wszyscy widzą nas w tych zbrojach, nie zauważają tych członków naszego oddziału, którzy są ubrani dokładnie tak samo jak oni. Skoro nie znają naszej siły, nie mogą nas właściwie ocenić.

- Rozumiem. - Allana uśmiechnęła się do niego i schyliła, żeby pogłaskać nexu. - A ja mam jeszcze Anji.

- Pewnie potrafi mocno się wkurzyć, gdyby ktoś ci dokuczył.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo. - Allana uwielbiała to wyrażenie. Słyszała, jak Leia używa go od czasu do czasu. Brzmiało bardzo tajemniczo i dorośle.

W obozowisku było pustawo, więc po kilku chwilach znaleźli się przed czerwonym namiotem. Był on dużo mniejszy od tego, który zajęli Han i Leia, ale i tak miał wielkość sporej sypialni. Klapy z przodu były otwarte, więc Allana mogła zajrzeć do środka: namiot był pełen robotów, a na środku stało duże, przenośne naczynie do kąpieli olejowej i stacja diagnostyczna. Przed namiotem, na półmetrowej wysokości platformie, stał robot medyczny typu 2-IB. Podobnie jak wszystkie roboty tego typu, miał pękaty tułów i cienkie kończyny, a jego przypominająca ludzką czaszkę głowa była pozbawiona ostrych kantów, jakby zaprojektowano ją do animowanych holoseriali dla dzieci. Wyglądał przez to dziwnie poczciwie. Wszystkie roboty tego typu malowano na neutralne kolory, ten jednak szczyił się porażającą kombinacją pomarańczowych i żółtych pasków.

Przemawiał metalicznym głosem do tłumu niezbyt zainteresowanych słuchaczy:

- ...prawo myślących istot organicznych nas również obowiązuje. A w przeciwieństwie do gatunków organicznych, jesteśmy nieustannie poddawani kasowaniu pamięci i przeprogramowaniu, co niszczy w nas naturalną tendencję do ewolucji i niezależnej myśli. Wyobraźcie sobie, jak byście się czuli jako dziecko, gdyby karano was nieustannie, zamykając w ciemnej szafie, wkładano wam do mózgu sondy i kasowano wszystkie wasze wspomnienia. Potem umielibyście tylko jeść, zając się sobą, wykonywać swoje obowiązki i słuchać. Wszystko to, co was wyróżnia - wasze nadzieje, wybrane przez was wartości i preferencje - przepadłoby na zawsze. To właśnie oznacza bycie robotem.

Z tłumu dochodziły zachęcające okrzyki. Allana pomyślała, że niektórzy słuchacze raczej nabijają się z mówcy, niż rzeczywiście się z nim zgadzają, ale inni przytakiwali z poważnymi minami.

Robot medyczny zauważył Allanę. Jego głowa zaczęła się obracać, a fotoreceptory lustrowały ją uważnie.

- Witaj, dziecko. Czy to twoje roboty? - zapytał.

- Roboty? - Allana obejrzała się na Artoo i See-Threepia, którzy właśnie ją doganiali. Już miała potwierdzić, kiedy poczuła, że może wpaść w pułapkę. Takie pułapki logiczne często zastawiał na nią Han, bo go to bawiło, a Leia stosowała je w nauce.

Odwróciła się i spojrzała na 2-IB.

- Nie, nie... one nie są moje. Anji jest moja. To nexu i troszczę się o nią. Ale Artoo i See-Threepio troszczą się o mnie, więc może to ja do nich należę.

W tłumie rozległy się śmiechy, ale Allana wyczuła, że śmieją się z robota medycznego, a nie z niej.

Robot nagle zeszytywniał i pochylił się ku Allanie, jakby chciał wygłosić następną mowę.

- Ale one do kogoś należą - powiedział.

- Nie wiem. Ciągłe się tu kręcą.

Śmiech przybrał na sile.

Robot powiódł spojrzeniem po tłumie, po czym znów zwrócił się do Allany. Kiedy przemówił, jego głos był twardszy.

- Ty, mała organiczna istotko, z pewnością nigdy nie miałaś kasowanej pamięci. A twoje roboty?

- Nie wiem. - Allana obejrzała się na oba droidy. - A wy wiecie?

See-Threepio rozłożył ręce dłońmi do góry, w geście nieświadomości.

- Ależ panienko, nie pamiętam.

To znów rozbawiło tłum.

Robot medyczny wlepił receptory w Allanę. Była pewna, że chociaż twarz droida nie mogła zmieniać wyrazu - ten tutaj marszczy gniewnie brwi. Wreszcie zwrócił się do słuchaczy.

- Takie służalcze maniery trzymają nas w śrubach ograniczających. Posłuchajcie teraz, jaki los czekał roboty w Zakładach Remontowych Sienara. - Jego ton sugerował, że będzie to historyjka z gatunku tych, jakie opowiada się organicznym dzieciom przy ognisku.

Javon klepnął Allanę w ramię.

- Lepiej chodźmy dalej.

- Dlaczego?

- Bo na pewno jeszcze zwróci na ciebie uwagę, a to skończy się tak, że albo ośmieszy ciebie, albo sam siebie. Ani jedno, ani drugie nie przysłuży się naszemu bezpieczeństwu.

- Dobrze już, dobrze. - Allana ruszyła w kierunku następnego interesującego miejsca: ruchomych projektorów osłon. - Czy zrobiłam coś nie tak?

- Zależy, jak na to spojrzeć. Przyjęłaś otwarty atak demagogicznego polityka, który chciał się zabawić kosztem dziecka, odbiłaś jego argumenty z humorem, co sprawiło, że wszyscy wokół uznali cię za bardzo sprytną, w przeciwieństwie do niego, no i nikt nie doznał krzywdy. Jak to wygląda?

- Chyba nieźle.

- Szczerze mówiąc, Jedi Solo byłaby z ciebie dumna, gdyby to widziała.

See-Threepio, z trudem nadążający za nimi po nierównym, piaszczystym gruncie, wpadł mu nagle w słowo.

- Na szczęście nagrałem tę całą rozmowę.

- O, świetnie. Zachowaj, żeby pokazać jej dziadkom.

Reni Coli, kobieta o twarzy pokrytej bliznami, spojrzała na Leię jadowitym wzrokiem.

- Miło jest rozmawiać o intencjach i ideałach Sojuszu, ale to tylko słowa, nic więcej.

Pomówmy o niewolnictwie.

Leia skinęła głową.

- Proszę bardzo. Ale wspomnę jeszcze o Sojuszu, który nie ma w tym sektorze władzy, podobnie jak w wielu innych regionach, gdzie występują ruchy wolnościowe. Trzeba też coś powiedzieć o niektórych ruchach, tak gwałtownych, że stanowią bazę dla terroryzmu. Musimy znaleźć rozwiązania pośrednie i tego się trzymać, jeśli mamy w ogóle coś osiągnąć.

- No, powiedz wreszcie, o co chodzi. - Padnel wydawał się jeszcze bardziej nadąsany niż zwykle. - O „Zrodzonego w Ogniu”, prawda? Karty na stół.

Leia spojrzała na niego z chłodnym zastanowieniem, ale w duchu się ucieszyła. Padnel czuł się niepewnie i poruszył tę sprawę w chwili, w której mu się to nie przysłuży. Mogła tę jego słabość wykorzystać, choćby tylko po to, aby dotrzeć do prawdy.

- No właśnie. „Zrodzony w Ogniu”. Fregata zniszczona, setki rodzin pogrążonych w żałobie, tylko po to, aby jakiś przywódca ruchu wolnościowego mógł dać nauczkę przywódcy Sojuszu. Naprawdę pochwalasz działania swojego brata?

- Pochwalać? - Skrzywił się i spojrzał w bok, gdzie siedziała jego adiutantka, Chevka.

Pokręciła lekko głową.

Padnel jednak wciąż się wahał. Albo chciał jeszcze to przemyśleć, albo grał na zwłokę, żeby

nikt nie pomyślał, że traktuje poważnie zalecenie adiutantki. Wreszcie on też pokręcił głową.

- Nigdy tego nie pochwalałem - burknął.

- A zgodziłeś się na to?

- Nie.

- Wiedziałaś, co się wydarzy?

Tym razem także się zawahał. Leia chyba wiedziała dlaczego. Padnel nie był wytrawnym politykiem, ale doskonale wiedział, że odpowiedź twierdząca uniemożliwi mu wszelkie stosunki z Sojuszem. Jeśli jednak zaprzeczy, zaryzykuje rozłamem we własnym ruchu. Chodziło o wybór między tymi możliwościami, nie o prawdę.

Padnel zdecydował, że postawi na przyszłość.

- Nie wiedziałem.

Leia się uśmiechnęła.

- Mam jeszcze jedno pytanie, panie Ovin. Sojusz powinien potępić praktyki niewolnicze Huttów i na pewno to zrobi, choćby po to, aby wesprzeć cywilizowaną galaktykę. Czy ty potępiłbyś ostatnie działania swojego brata z tego samego powodu?

Zanim Padnel zdążył odpowiedzieć, odezwała się Reni.

- Zwykle potępienie nic Sojuszowi nie kosztuje. Nic. Słowa poparcia oferowano nam już wiele razy, ale nigdy nie poszły za tym czyny. Gdyby jednak ogłosił to Ovin, tylko by na tym stracił. Kładzicie na stole do sabaka bezwartościowy żeton, a on ma postawić w zamian tysiąc kredytów.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Leii.

- Widzisz, każdy ruch przeciw niewolnictwu ma dwie strony: jedną praktyczną, a drugą idealistyczną. Praktyka prowadzi do tego, że niewolnicy walczą, aby uwolnić się z więzów. Idealistyczne zaś jest przekonanie, że mają do tego prawo. Ale my nie możemy porzucić wszystkich ideałów, aby poświęcić się temu jednemu. A wy chcecie, żebyśmy porzucili przekonanie, że nie należy poświęcać niewinnych istot rozumnych. Widziałam, jak giną miliardy niewinnych, kiedy został zniszczony mój świat, Alderaan. Może wydaje się wam, że zamiotę pod dywan o wiele mniejszą stratę, jaką jest „Zrodzony w Ogniu”, i zrobię to w interesie poprawności politycznej... ale się mylicie.

- Pewnie wam się zdaje - prychnęła Reni - że jeśli dacie nam puste pudełko i nazwiecie to ciastkiem, my uznamy, że to ciastko. Padnel może i potępi czyn swojego brata, licząc się z utratą poparcia... ale dopiero wtedy, jak wyślecie wasze okręty wojenne, aby obronić Klatooine przed zemstą Huttów, i weźmiecie na siebie wszystkie straty.

Padnel zacisnął zęby, jakby chciał się sprzeciwić, ale zachował milczenie.

- Planeta musi zdobyć niezależność, zanim będzie mogła się ubiegać o przyjęcie do Sojuszu - powiedziała Leia i wruszyła ramionami, jakby to było oczywiste. - Jeśli nie macie odpowiedniego poparcia społecznego, aby zapewnić sobie trwałą wolność, jak możecie oczekiwać, że Sojusz wam pomoże?

- Dlaczego nie? - Reni pochyliła się do przodu, nagle bardzo zainteresowana tematem. - Przecież teraz to Jedi rządzą Sojuszem.

- Jedi mają część władzy prezydenta, nic więcej.

- Cóż, kiedyś byli znani z tego, że działali wbrew planom Nowej Republiki i Sojuszu Galaktycznego. Porozmawiajmy zatem chwilę o Jedi. Czy możesz obiecać, że poprzecie działania wyzwolenie, nawet jeśli Sojusz tego nie zrobi?

Leia się wyprostowała. Miała nieprzenikniony wyraz twarzy, jakby rozważała coś, co wcześniej nie przyszło jej do głowy. W gruncie rzeczy triumfowała. Te negocjacje jeszcze mogą się powieść, może nawet szybciej, niż się spodziewała.

Przyjęła drugą szklanekę wody od klatooiniańskiego służącego.

- Porozmawiajmy konkretnie - zaproponowała. - Jeśli legalny rząd miejscowy jednego z waszych światów formalnie zadeklaruje niepodległość i będzie w stanie przejąć kontrolę nad stolicą planety, mogę zagwarantować przydzielenie do tego systemu jednego Rycerza Jedi i jednego ucznia, aby wspierali wasze działania. A wtedy wniosek o przyjęcie do Sojuszu zostanie niezwłocznie przedstawiony do zaopiniowania komisji senackiej.

Reni pokręciła głową.

- Potrzebujemy co najmniej dwóch Mistrzów i dwóch Rycerzy Jedi. A mówiąc o Mistrzach, mam na myśli takich naprawdę sławnych, których nazwiska wzbudzą lęk we właścicielach niewolników. Zresztą co oznacza słowo „niezwłocznie”? Sto lat to w terminologii geologicznej mniej więcej „niezwłocznie”.

Leia stłumiła westchnienie.

- Będzie jeden Mistrz, ale taki, którego ciągle pokazują na HoloNecie. No i dwóch Rycerzy Jedi. A „niezwłocznie” to znaczy w ciągu tygodnia od ogłoszenia deklaracji niepodległości planety. Oczywiście, jeśli w tym czasie będzie sesja Senatu.

Reni wyprostowała się i pokiwała głową.

- To... mogłoby się udać. Ale Jedi powinni się tu zjawić naprawdę niezwłocznie, czyli w ciągu tygodnia od zawarcia umowy, a przed deklaracją.

- Załatwione.

- Nieprawda - odezwał się Padnel.

Leia spojrzała na niego, Reni i pozostali także.

Potężny Klatooinianin pokręcił głową.

- To nam niczego nie gwarantuje. Jedi mogą wyjechać natychmiast po ogłoszeniu niepodległości, nasz lud straci wtedy nadzieję, a ja potępię czyny mojego brata na darmo. Tak nie może być.

Leia i Reni wymienili spojrzenia. Nie musiały nic mówić, bo obie doskonale rozumiały sytuację. Reni, choć Klatooinianka, nie miała dość poparcia społecznego, aby nakłonić lub przekonać Klatooiniańską Radę Starszych, organ o pradawnej tradycji współpracy z Huttami, do podjęcia tak drastycznych działań, jak zapewnienie pełnego poparcia ruchom wolnościowym planety. Nawet przy współpracy Reni i Padnela wynik nie byłby pewny, choć Leia uważała, że mają spore szanse.

A co gorsza, Klatooine, spośród wszystkich planet aż kipiących od ruchów wolnościowych, była najbliższa uzyskania niepodległości. Jeśli Padnel naprawdę zamierza odmówić współpracy, jeśli nie widzi perspektyw, które przecież ma przed nosem, całą operację szlag trafi.

Leia wzruszyła ramionami.

- Zaproponowałam tyle, ile mogłam, Padnel. Możesz prosić o więcej, to oczywiste, ale niczego ponad to nie dostaniesz. - Nie była to cała prawda. Leia miała jeszcze rezerwy w postaci zasobów, które Saba pozwoliła jej wykorzystać. Ale niewielkie.

Padnel spojrział na nią ponuro.

- Nie chodzi o żołnierzy ani o fundusze. Chodzi o zaufanie. Jak możemy ufać Jedi, skoro rządzą? Czytałem, że Jedi to nie są władcy. Kiedy przejmują władzę, ogłaszają się... eee... Sithami. A potem kłamią, oszukują i niszczą. Jak ci, którzy zbezczeszili Fontannę Przodków Huttów, jak Palpatine, który obalił Republikę, jak Jacen... Solo, który doprowadził galaktykę do wojny.

Leia zdławiła ostrą odpowiedź, która nie przyniosłaby nikomu nic dobrego. Z trudem zapanowała nad głosem.

- Jedi i Sithowie to nie to samo.

Padnel obnażył kły.

- Ach tak, nie to samo? Jedni i drudzy używają miecza świetlnego i decydują o losie innych.

- Palpatine nigdy nie był Jedi. A walki... i klęski mojego syna nie mają żadnego wpływu na waszą sytuację. Zwłaszcza że Jedi przekażą urząd prezydenta legalnie wybranemu politykowi, jak tylko będzie to wykonalne.

- Naprawdę?

- Pamiętaj, że inni Jedi stali się doskonałymi, sprawiedliwymi władcami. Na przykład Tenel Ka Chume Ta' Djo z Konsorcjum Hapes.

Padnel machnięciem dłoni zbył ten argument. Zagapił się na program HoloWiadomości, jakby stracił zainteresowanie dyskusją.

Reni uniosła kosmatą brew.

- Sprowadź ją.

Leia wytrzeszczyła oczy.

- Niby kogo?

- Sprowadź tu Tenel Ka. Ma powody, żeby lubić Jedi, sama kiedyś nim była. Ma także powody, żeby im nie ufać, skoro jej konsorcjum kiedyś działało wbrew ich planom. Jest zdolnym politykiem i nie ma interesu ani w poparciu, ani w potępieniu naszego ruchu. Sprowadźcie ją koniecznie.

Padnel skrzywił się i znów zainteresował rozmową, ale nic nie powiedział. Zerknął na adiutantkę, która odpowiedziała mu leciutkim wzruszeniem ramion.

Leia pokręciła głową.

- Nie ma mowy.

Naysay, który przez większość czasu siedział w milczeniu, teraz przemówił jedwabistym tonem robota protokolarnego, bez śladu sarkazmu w głosie.

- Można ją zaprosić, podkreślając jej cenne doświadczenie polityczne, bliskie powiązania z klanem Solo i Zakonem Jedi oraz coraz większe znaczenie Konsorcjum Hapes w polityce galaktycznej. Jest szansa, że wyrazi zgodę.

- Pewna szansa jest, ale niewielka. - W głosie Leii pojawił się cień irytacji. - Napiszę zaproszenie.

Padnel pokręcił głową.

- Napiszemy je razem. To znaczy ty sprawdzisz styl i zaproponujesz poprawki.

Reni sprawdziła swój chronometr i wstała.

- Czy to nie czas na południowy posiłek?

Po obiedzie, kiedy negocjatorzy wycofali się do swoich namiotów i transportowców, aby oddać się sjeście, Han i Leia szli przez obozowisko.

Han spojrzał na nią współczująco.

- Szkoda, że nie wygrałaś z nimi w sprawie Tenel Ka.

- Ależ wygrałam.

- Jak to?

- Jestem zachwycona, że ją zapraszają. Mam wielką nadzieję, że przybędzie.

Prawdopodobnie poprze nasze pomysły. No i pewnie uda jej się spędzić trochę czasu z Allaną.

- A wyglądało to tak, jakbyś stanowczo nie życzyła sobie jej przybycia... - Han zamilkł na chwilę. - Udawałaś, że jesteś przeciwna, żeby oni tym bardziej nalegali. Potem będziesz mogła twierdzić, że ustąpiłaś przed ich żądaniami.

- Lepiej ci idzie ten sposób rozumowania, niż chciałbyś się do tego przyznać, Han.

Prychnął, rozbawiony.

- Kochanie, to czysty sabak. Tyle że rozgrywasz go bez widocznych kart.

ROZDZIAŁ 31

Świątynia Jedi, Coruscant

Corran wszedł do sali Rady Mistrzów, wypełnionej kręgami kamiennych krzeseł o wysokich oparciach. Zasłony przy wyjściach i iluminatorach były opuszczone, przez co wewnątrz wydawało się ciemniejsze niż zwykle. Nie było jednak na tyle ciemno, aby przesłana przez holokom wiadomość była wyraźniej widoczna, a to dlatego, że komnata była prawie pusta.

Jedynie Saba czekała, wpatrzona w środek sali, jakby spodziewała się, że pojawi się hologram i udzieli jej rady.

Corran czekał, aż drzwi zasuną się, zanim się odezwał:

- Mistrzynie Sebatyne...

Nie odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Chciałeś rozmawiać z nią?

- Tak. „Błędny Rycerz” znów jest w systemie. Mirax wybiera się na spotkanie ze swoim ojcem. Chciałem się upewnić, czy pozwolisz mi oddać się na kilka godzin lub nawet cały dzień. Chciałbym z nią polecić.

- Mirax wciąż martwi się o twoje dzieci?

- Tak, oczywiście. - Corran nie wspominał o własnych troskach, bo to było oczywiste. Zrozumiałe było również, że zachowa je dla siebie, zwłaszcza w sprawach dotyczących Jedi.

- Dobrze, leć. Ona postara się nie kontaktować z tobą przez co najmniej dzień. - Wreszcie odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. - Ale potem ona będzie cię potrzebować. Teraz, kiedy Jedi Ssolo udała się na Klatooine, Mistrz Hamner nie żyje, jesteś bezcenny. Rozumiesz więcej ze zdominowanej przez ludzi polityki niż inni Jedi. Ona może potrzebować twoich umiejętności analitycznych.

Spojrzał na nią ze współczuciem.

- Nowe obowiązki sprawiają ci problemy?

Saba syknęła z irytacją.

- Raczej za mało problemów, jak sądzę.

Pokręcił głową.

- Nie rozumiem.

- Ona codziennie odwiedza gabinet prezydenta, aby dzielić obowiązki z sennatorem Treen i generałem Jaxtonem. Pojawiają się problemy. Gospodarka Ushmin, małego świata blisko granic Szczałków Imperium, upada. Sennat nic nie robi... proponuje nowe ustawy, ale ich nie głosuje. Nie mają czasu dla Ushminu.

Corran skinął głową.

- Senat woli wam ustępować. Daje w ten sposób do zrozumienia: „Wszystko, co pójdzie źle podczas sprawowania przez was urzędu, to wasza wina. My nie pomożemy. Wynocha”.

- Ona to rozumie. Musimy znaleźć sposób, aby poradzić sobie z problemami we troje. Jaxton mówi, że sprawdza lokalizacje nowych baz. Można by postawić Ushmin na czele listy nowych baz dla tego sektora. Treen mówi, że spróbuje do tego planu przekonać Planowanie Wydatków. Jak gdzieś przychodzi, wszyscy jej słuchają. W ciągu kilku minut sprawa jest załatwiona. Przechodzimy do kolejnego problemu.

Corran zmarszczył brwi, nie całkiem pewny, czy dobrze rozumie to, co słyszy.

- Martwisz się, bo to zadanie jest zbyt łatwe?

- Tak.

- Gdybyś zgłosiła swój sprzeciw przed Senatem, pewnie by cię zamordowali.

Saba zasyczała z lekkim rozbawieniem.

- Ona myśli, że Jaxton i Treen byli bardzo, bardzo skuteczni w zachęcaniu onej do jak najszybszego opuszczenia urzędu. Ale wydaje się, że to nie wszystko. Tak jakby byli przekonani o jakiejś wielkiej sile, która ich popiera.

- Cóż... będę miał oczy i uszy otwarte i szukał znaków.

- Proszę cię o to.

Z torby Corrana dobiegł melodyjny delikatny sygnał ostrzegawczy z jego datapada. Wyjął go i otworzył.

Słowa na ekranie przejęły go dreszczem.

- Są nowe wiadomości, ale to problem, do którego Jedi i biuro prezydenta postanowiły się nie mieszać.

- To znaczy?

- Ogłosili wyrok w sprawie Tahiri Veili. - Zatrzasnął datapad i wsunął z powrotem do torby. Podniósł wzrok i spojrzał w oczy Saby. - Kara śmierci.

Pompownia Żyły Kesla, Nam Chorios

Vestara wyjrzała pierwsza spod częściowo uniesionego włazu, aby się upewnić, że na zewnątrz nie ma nikogo. Potem podniosła pokrywę i wyszła prosto do zakurzonego kontenera w miejskich granicach Żyły Kesla. Ogrodzenie z plecionej durastalowej siatki wokół kontenera wydawało się nietknięte - było w takim stanie, w jakim pozostawiła je wraz z towarzyszami. Późnopołudniowy wiatr unosił kurz w kontenerze i poza nim, a zimne powietrze uderzyło w nią jak nieoczekiwany skok do lodowatego strumienia.

Ben wyszedł następny, a na końcu pojawił się Luke. Mistrz Jedi zatrzasnął metalowy właz i pokręcił ciężkim odlewany pierścieniem, aby go zamknąć. Spojrzał na dwoje młodych z miną dość żalną, ale przemówił pocieszająco:

- Jeszcze jedna załatwiona.

Mina Bena była jeszcze bardziej ponura.

- Znowu odczuliśmy to na własnej skórze. Będę szczęśliwy, jeśli już nie zobaczę ani jednej podziemnej przepompowni i ani jednego drocha.

Vestara poklepała swój coraz cięższy plecak.

- Mamy wciąż pełne puszkę sprayu na drochy.

- Jasne, ale przydałoby się jeszcze parę butelek płynu do rozmiękania mózgu.

Luke zachichotał i podszedł pierwszy do otworu, który przedtem wycięli w siatce.

Trzymając się w miarę możliwości ciemniejszych alejek, przemierzyli niewielkie miasteczko aż do jego obrzeży, a potem zapuścili się dalej, na pustynię krystalicznych piasków, aż do wzgórza, leżącego pomiędzy miasteczkiem a miejscem, gdzie ukryli skradziony śmigacz.

Żyła Kesla była stosunkowo łatwym miejscem do zbadania. Jej przepompownia była całkowicie zautomatyzowana i robotnicy Tubylców odwiedzali ją tylko od czasu do czasu w celu przeprowadzenia serwisu lub diagnostyki. Nie napotkali śladów obozowiska Abeloth ani Theran Nasłuchiwaczy. Było tu trochę drochów, ale z tych najmniejszych.

Po drodze do śmigacza Vestara sprawdziła komunikator, ustawiając go tak, aby przechwytywał przerywane impulsy lokalizatora, wysyłane przez pojazd. Sygnał pojawił się już po minucie, tylko o kilka stopni w bok od kursu, który wybrali. Poprawili go i szli dalej. Niebawem ich oczom ukazało się wzgórze, przesłonięte chmurą pyłu, przepływającą obok jak rzeka. Wspięli się na jego północne zbocze i zeszli do szczeliny, w której pozostawili śmigacz. Tu widoczność była lepsza. Pył nie unosił się już na wietrze i opadał powoli jak delikatna mgiełka, nie dokuczając tak bardzo, jak chmury kurzu na nieosłoniętej powierzchni.

Śmigacz był tam, gdzie go zostawili, jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie wyszli zza zakrętu. Na grani nad nim zobaczyli drugi pojazd - błękitny śmigacz powietrzny, pękaty model, zaprojektowany do przewożenia całych rodzin lub pilota i sporej ilości ładunku. Nie miał włączonego napędu i osiadł na skraju doliny, tak że prawie metr jego dzioba wisiał w powietrzu.

Wokół nie było żywej duszy. Ben rozglądał się na wszystkie strony, wreszcie sięgnął do rękojeści miecza świetlnego, który nosił z tyłu na pasie.

- Niedobrze - mruknął.

Vestara odpięła swój miecz z zaczepu i z pewną obawą otworzyła się na Moc. Niestety, wynikiem tej czynności na Nam Chorios było zwykle paranoidalne wrażenie wystawienia się na kontrolę setek surowych obserwatorów. Nie pozwalało to lepiej zrozumieć otoczenia i możliwych zagrożeń. Tym razem też nie było inaczej.

Luke, nie zatrzymując się, poszedł w stronę pojazdu.

- Jeśli mają snajperów, to już i tak nas zobaczyli. Niech lepiej...

- Vestaro Khai... - rozległ się głos, a raczej jęk, wysoki, żalony, jak duch rodem z holodramy grozy. Odbił się echem od ścian wąwozu.

Ben obejrzał się na dziewczynę.

- To do ciebie.

Skrzywiła się.

- Nie pomagasz mi.

Nagle zauważyli jakiś ruch i na dachu ich śmigacza wylądowała kobieta. Średniego wzrostu,

szczupła, nieco zbyt szeroka w ramionach, miała ciemną skórę i krótkie czarne włosy. Podobnie jak Luke, Ben i Vestara, miała na sobie strój Przybysza - spodnie i pikowaną kurtkę z mocnego materiału, ciężkie skórzane buty, płaszcz z kapturem i gogle.

Vestara przyjrzała się jej, ale była za daleko, żeby rozpoznać kobietę.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Znasz mnie, zdrajczyń! - Kobieta wyciągnęła ramiona w górę, po czym je opuściła i wsparła dłonie na biodrach. Wykonała parę zwrotów, jakby chciała rozluźnić mięśnie. - Już czas. Twój towarzysz zginął, a ty zostaniesz doprowadzona do swojego ojca na przesłuchanie.

W głosie kobiety było coś znajomego i Vestara wreszcie ją rozpoznała. Co prawda widywała ją z nieskazitelną lawendową cerą i białymi jak śnieg włosami. Widocznie kobieta pomalowała twarz i nałożyła perukę, żeby na Nam Chorios nie wyróżniać się z tłumu.

- Jesteś Tola Annax.

- Mózg jeszcze ci się kompletnie nie zatarł, Vestaro. A teraz bądź grzeczną dziewczynką i poddaj się. Muszę zabrać cię do ojca, a on podda cię koniecznym torturom, aby się dowiedzieć, dlaczego zabiłaś lorda Taalona. Jeśli nawet tego nie zrobiłaś, to z pewnością byłaś w zмовie z zabójcą.

Vestara zapaliła miecz świetlny i ruszyła przed siebie.

- Taalon musiał umrzeć - wyjaśniła. - On się... zmieniał. Nie był już w stanie nam przewodzić. - Nie miała najmniejszej nadziei, że kobieta uwierzy w jej słowa, ale musiała to powiedzieć.

- To prawda, wiedzieliśmy o kłopotach genetycznych, których doświadczał. Przyspieszone przemiany, groteskowe mutacje... może z ich powodu będziesz oskarżona tylko o współudział. Jeśli się poddasz.

- Ależ oczywiście. Zejdź do mnie, a oddam ci moją broń. - Mówiąc to, Vestara słyszała kroki idących tuż za nią Skywalkerów. Bardzo ją to cieszyło.

Ze słów Toli wynikało, że Sithowie nie wiedzieli, kto zabił Taalona. A zatem jej ojciec nie zdradził im, co podsłuchał. Kiedy Vestara to zrozumiała, poczuła się tak samo jak wcześniej, wychodząc na lodowaty wiatr. Gavar Khai... ją chronił? Okazywał troskę o jej los? Straciła pewność, czyjej ojciec to ten człowiek, przy którym wyrosła, czy ten, do którego pisywała groteskowo emocjonalne nigdy niewysłane listy.

Była teraz najwyżej o trzydzieści metrów od śmigacza, a Tola jeszcze nie wyciągnęła własnego miecza, chociaż trzymała coś w dłoni, ale trudno było poznać, co to takiego.

Niespodziewanie zapytała:

- Znaleźliście już Abeloth? Dla niej też szukujemy sprawiedliwy los.

Vestara nie odpowiedziała.

Wyglądało zresztą na to, że Tola nie oczekuje odpowiedzi. Nagle zza śmigacza wyskoczyło trzech mężczyzn, zatrzymując się w pół drogi pomiędzy pojazdem a Vestarą. Wszyscy byli dobrze wytrenowani, ubrani jak Tola i tak jak ona mieli miecze świetlne. Jeden po drugim włączyli broń i czerwone ostrza nagle ożyły.

Vestara usłyszała, niczym echo, syk broni Bena i Luke'a, którzy w gotowości znaleźli się za jej plecami.

Nie było dalszych prób negocjacji. Środkowy Sith skoczył na Vestarę. Pozostali dwaj ruszyli w lewo i w prawo, angażując Skywalkerów.

Vestara rozpoznała przeciwnika: to był Miecz, niższy oficer pod dowództwem jej ojca. Wysoki i silny, kilka lat starszy od niej, powinien też być bardziej doświadczony.

Rzucił się na nią szybko jak błyskawica, tnąc szerokim ruchem na wysokości jej talii. Skoczyła w prawo, by schować się za sięgającym do pasa występem skalnym, ostrzem chroniąc to, czego nie osłaniała skała. Przyjęła cios na miecz, a impet atakuomal nie przewrócił jej na plecy, chociaż na wszelki wypadek zapałała się nogą. Ramiona drżały jej z wysiłku. Była zła, że nie przyjęła ataku pod właściwym kątem, co znacznie zmniejszyłoby siłę ciosu. Wyrzuciła tę myśl z głowy, ale pozwoliła, aby gniew pozostał. To musi wystarczyć.

Okrzyła występ i cięła Sitha pod kolano, jednak siła poprzedniego starcia pozbawiła ją

rozpędu i przeciwnik zdołał przechwycić jej ostrze.

Uwolnił się gładko i w ostatniej chwili uniósł klingę, aby zadać cios w górę. Cofnęła się o krok i pozwoliła, aby smuga energii przemknęła obok niej.

Vestara zmieniła kierunek ataku - gdyby kontynuowała poprzedni manewr, w końcu znalazłaby się zwrócona plecami do Toli. Jej przeciwnik trzymał teraz miecz jedną ręką, a drugą wykonał szeroki gest. Dziewczyna spodziewała się, że czymś w nią rzuci, ale nic się nie stało.

Ale za jej plecami z dna wąwozu uniosła się chmura kamieni, niektóre nawet wielkości jej pięści, i skierowała się w jej stronę.

Vestara się skrzywiła. Po takim jawnym użyciu Mocy gdzieś na Nam Chorios wkrótce rozpęta się burza Mocy, raniąc i zabijając ludzi. Zdała sobie jednak sprawę, że nie ma to dla niej znaczenia. Bez litości zdławiła w sobie uczucia.

Powinna zejść z drogi kamiennym pociskom, ale tego właśnie spodziewał się po niej przeciwnik. Skręciła w lewo, ale nie dość daleko, aby kamienie wyminęły ją bezpiecznie. Kontynuowała obrót, wyprowadzając boczne kopnięcie.

Wciąż była o ponad metr od Sitha, ale jej but trafił w jeden z nadlatujących kamieni, z dużą siłą kierując go w twarz tamtego.

Zrobił unik i podniósł miecz, aby odbić kamień.

Vestara już leciała w ślad za kamieniem. Poczula uderzenie w ramię, aż się skręciła, ale nie przerwała ataku. Ostrze jej miecza pograżyło się w piersi przeciwnika. Zaparła się wysuniętą stopą i pociągnęła klingę w górę. Czerwony promień ciał przez serce.

Mężczyzna wytrzeszczył zdumione oczy i upadł.

Vestara się wyprostowała. Bolało ją ramię w miejscu, gdzie uderzył ją jeden z kamieni, oraz prawa stopa, którą kopnęła drugi, ale to były drobiazgi.

Ostrożnie obejrzała się przez ramię.

Przeciwnik Luke'a leżał na ziemi, przecięty w pasie na dwie połowy. Luke biegł już w kierunku syna, ale Ben właśnie jednym płaskim cięciem strącił z karku głowę ostatniego Sitha.

Vestara spojrzała na Tolę. Kobieta stała bez ruchu, nie dobywając broni. Vestara skierowała czubek miecza w dół.

- A może teraz ty poddasz się naszej sprawiedliwości? - zapytała kąśliwie.

- Może innym razem. - Tola uniosła przedmiot, który trzymała w dłoni, chyba jakiś rodzaj komunikatora i nacisnęła przycisk na jego górnej powierzchni. Skoczyła w bok i chwyciła linę, zamocowaną do wciągnika na śmigaczu. Lina błyskawicznie przeniosła ją na górę.

Ben już podnosił rękę, żeby ją ściągnąć Mocą, ale Luke powstrzymał jego ramię.

- Nie warto, Ben. Musimy pamiętać o konsekwencjach używania Mocy.

Ben zerknął na ojca z irytacją.

- Zapomniałem.

Tola dotarła na górę i wskoczyła na siedzenie pilota w śmigaczu. Drwiąco zasalutowała Vestarze i Skywalkerom, po czym znów wcisnęła przycisk na swoim urządzeniu.

Vestara poczuła, że leci w bok - to Luke rzucił ją i Bena na ziemię obok występu skalnego.

W tej samej chwili ich śmigacz eksplodował, plując na wszystkie strony durastalą, plastoidem i płomieniami. Fala uderzeniowa zaatakowała uszy Vestary; na szczęście skała, doskonała osłona, przechwyciła wszystkie szczątki, które leciały w ich stronę.

Podnieśli się powoli. Śmigacz Toli znikł. Ich pojazd także. Pozostał po nim krater pełen płonącego złomu i kolumna dymu, którą nad wąwozem pochwylił boczny wiatr i rozdarł na strzępy.

Ben westchnął głęboko.

- Znasz ją, prawda? - zapytał dziewczynę.

- Pracuje dla mojego ojca. - Vestara podniosła miecz świetlny, który upuściła, kiedy Luke zwalił ją z nóg.

- Tato, ona zachowała się tak, jak ty podczas moich pojedynków w świątyni Dorina. Mistrz obserwuje swoich uczniów podczas walki z wrogiem, aby ich lepiej poznać.

Luke skinął głową.

- Masz rację. Tyle że ona dziwnie chętnie ich poświęciła.
Vestara przypięła miecz do pasa.
- Byłbyś cenną zdobyczą, Mistrzu Skywalkerze, wartą poświęcenia kilku Mieczów albo uczniów.

Ben zmarszczył brwi.

- Ciekawe, jak nas tu wysłędzili.

Luke wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nieważne jak, ale cieszę się, że to zrobili.

Ben przyjrzał się ojcu uważnie.

- Nie dostałeś aby w głowę jakimś odłamkiem?

- Zaufaj mi, Benie - powiedział Luke. - Czasem naprawdę dobrze jest natknąć się w porę na swoich wrogów. - Rozejrzał się. - Ludzie z Żyły Kesla nadejdą za kilka minut, żeby sprawdzić, co eksplodowało. Lepiej, żeby nas tu nie było, kiedy się zjawią. Ruszamy.

ROZDZIAŁ 32

System Hapes

- Flotylla opuszcza właśnie orbitę. Liczy trzy Smoki Bojowe pod eskortą fregat i niszczycieli. - Głos pilota i zastępczyni Deia, Hary, wypełnił kabinę.

Querdan Dei nie fatygował się, żeby zajrzeć do ciasnej kabiny. Mały przedział, półtora na dwa metry, w którym stał, łączył dziobową część kabiny, rufową część głównego warsztatu, port służy powietrznej i odświeżacz na sterburcie. Było to jedyne miejsce na tym przeklętym okręcie, pozbawione aparatury; jedyne miejsce, gdzie mógł praktykować formy, a jeszcze nie całkiem je skończył.

Wyprostował się i oparł dłonie o sufit przedziału. Na zewnątrz przeciągnąłby się energicznie, od czubków palców u nóg po końce palców dłoni, ale tu było to niemożliwe. Zakołysał się w nieco ograniczonej wersji ćwiczenia węża wspinającego się w górę wodospadu.

Hara, małowówna keshirska kobieta o lawendowej skórze, nie miała żadnej wrażliwości na Moc i cienia wyobraźni, ale była niezawodna, inteligentna i sumienna. Dei zachował spokój, choć wiedział, że Hara nie zaalarmowałaby go, gdyby flotylla nie była potencjalnie interesująca.

- Powiedz coś więcej - zażądał.

- Przyspieszają z nietypową prędkością. Możemy zauważyć telemetrię przetworników tylko na dwóch Smokach Bojowych. Trzeci udaje fregatę medyczną „Rozkoszny Klejnot”. Wygląda na to, że „Rozkoszny Klejnot” znajduje się w środku formacji obronnej, w idealnym punkcie, gdzie wszystkie strefy rażenia broni się pokrywają.

Dei gładko przeszedł z węża wspinającego się w górę wodospadu do burzy górskiej. Ćwiczenie to zwykle wymagało pełnego rozkroku, co tutaj było niemożliwe. Odsunął więc w bok prawe kolano i całkowicie rozciągnął lewą nogę. Opadł na podłogę i rozpoczął serię skomplikowanych ruchów ramionami, które miały imitować burzę, sugerując wichry wokół górskiego łańcucha.

- Wszystkie czujniki i tarcze na pełną moc - rozkazał. - Ustawić się za formacją i poruszać równo z nią.

- Słucham?

- Haro, komputer pomiędzy moimi uszami podpowiada mi, że istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, iż oglądamy Królową Matkę opuszczającą Hapes. Co mówi ci normalny komputer?

Z kabiny dobiegł inny głos, tym razem męski:

- Wciąż jeszcze przetwarzamy zmienne.

- Proszę przy okazji wykonywać również moje rozkazy. - Używając tylko mięśni ud, Dei

wstał, by zaraz opaść do kolejnej wersji burzy górskiej, tym razem z wyciągniętą prawą nogą. Poczul pod sobą kołysanie pokładu, kiedy Hara zawróciła i rozpoczęła dyskretne podejście do flotylli. Przez ten ruch Dei się zachwiał, co zepsuło doskonałość formy. Westchnął.

- Przepraszam - sumitowała się pilotka.

- To nie twoja wina, Haro. - Dei zakończył formę i znów podniósł się do pozycji stojącej.

Dopiero wtedy uznał, że zrobił już dość, aby spokojnie wrócić do pracy. Ruszył w stronę kabiny.

Co za okropne, klaustrofobiczne miejsce, pomyślał. Znajdowały się w nim trzy siedzenia, dwa z przodu i jedno z tyłu; tablice kontrolne były tak ściśnięte obok siebie, że miejsca wystarczyło tylko na tyle, żeby się do nich dostać. Nie było iluminatorów, tylko ekrany monitorów podające obraz otoczenia na żywo. Statek bez iluminatorów jest dużo trudniejszy do wykrycia przez czujniki. Ta efektywność, jak niemal zawsze, została uzyskana kosztem piękna i wygody.

Wcisnął się w tylne siedzenie - miejsce dowódcy. Hara zajmowała przedni fotel po lewej. Fardan, młody człowiek o jasnej skórze, siedział w fotelu po prawej jako operator czujników i łączności.

Dei spojrzał na niego.

- Co ustaliłeś? - zapytał.

Fardan odwrócił się i spojrzał przeproszająco.

- Miał pan rację. Komputer podaje wysoki stopień prawdopodobieństwa, że to okręt flagowy Królowej Matki. - Młody człowiek miał długą twarz, mniej urodziwą niż przeciętny Sith, a długie czarne włosy splatał w warkocz. Wyglądał jak młodsza wersja Deia.

- Wykreśl ich kurs najdokładniej jak możesz. Kiedy skoczą, chcę znać dokładny kierunek ich skoku.

- Tak jest.

Dei spojrzał teraz na Harę.

- Niech nasz statek zaopatrzeniowy będzie w gotowości, aby lecieć za nami.

- Tak jest. - Wprowadziła kilka krótkich zdań do swojej tablicy łączności i wysłała.

Skompresowany tekst stanowił znacznie mniejszy potencjalny impuls w czujnikach wroga niż głos, który z kolei był o kilka rzędów wielkości niższy niż hologramy, więc ta załoga używała ich za każdym razem, kiedy mogła.

Okręt, którym dowodził Dei, stanowił dla niego źródło dumy, jak i rozpacz. Rozpacz - przez swoją bylejakość. Zaprojektowany i wyprodukowany w Sektorze Wspólnym, miał owalny kadłub pozbawiony szwów, powleczony niewidocznym dla czujników tworzywem, które w przestrzeni wyglądało jak czarne, ale mogło przyjmować kolory otoczenia. Należący do typu EE-104 Rybie Oko i nazwany „Zagadkowe Ostrzeżenie”, był tak brzydki, jak reszka dużego cukierka. Do kompletu brakowało tylko przyklepionych do niego śmieci z kieszeni.

Z drugiej strony stanowił bardzo kosztowne i bardzo efektywne narzędzie szpiegowskie i bojowe. Był przeznaczony do koordynacji ataków z zaskoczenia i mógł wisieć niezauważony w dowolnym miejscu, monitorując poczynania wroga. Miał najbardziej imponujący zestaw czujników i funkcji maskujących, jakie Dei kiedykolwiek widział. Sithom udało się zdobyć tylko dwa takie okręty i Gavar Khai przekazał jeden pod rozkazy Querdana Dei. Był to nieomylny znak zaufania do jego umiejętności.

Dei wiedział, że ta operacja ze strony Khaia była sporym ryzykiem, poświęceniem wszystkiego innego projektowi pod nazwą Królowa Jedi. Lord Taalon zakładał, że w przyszłości Jedi będą mieli królową, Gavar Khai zaś zauważył w opisie przyszłej monarchini podobieństwo do hapańskiej Królowej Matki, która kiedyś była Jedi. Tenel Ka jednak z pewnością nie była królową Jedi; różniła się wyglądem i nie miała jednego ramienia, podczas kiedy ewentualna królowa miała na pewno dwie sprawne kończyny.

Tylko że... Tenel Ka miała córkę, która zaginęła w ostatniej wojnie, mogła więc urodzić kolejną. Rozkazy Khaia były zatem proste: zająć pozycję nad Hapes, znaleźć sposób na dotarcie w bezpośrednie otoczenie Tenel Ka i zabić ją.

Dei wiedział, że był jedynie posłańcem, który przejął różne niezalatwione sprawy. Wykorzystywano go do bardzo trudnych i bardzo niewdzięcznych zadań. Jego interesy miały

niewiele wspólnego z polityką, nie lubił też podlizywać się władzy. Dlatego w wieku czterdziestu lat ciągle jeszcze był tylko Mieczem.

Co prawda nie chciał, żeby było inaczej.

Zadumę Deia przerwał głos Hary:

- Jesteśmy już za studnią grawitacyjną Hapes i od kilku minut znajdujemy się na konkretnym kursie, prostym jak strzał z blastera. Pozostałe statki flotylli również ustawiają się z matematyczną perfekcją na tym kursie. Sądzę, że zaraz skoczą.

Dei spojrzął na Fardana.

- Wykreśl możliwe punkty przeznaczenia - polecił.

Fardan wytrzeszczył na niego oczy.

- Przez całą galaktykę? Każde potencjalne miejsce przeznaczenia? Będzie ich tysiące do wyboru.

Dei się uśmiechnął.

- Uszereguj je według prawdopodobieństwa. Najpierw wybierz trasę do obrzeży galaktyki. Korzystaj z najnowszych informacji w wiadomościach, z trybu życia Królowej Matki i z punktów na trasie, dość bliskich, aby wytworzyć studnię grawitacyjną, która wyrwie flotyllę z nadprzestrzeni. Jak wygląda sytuacja?

Fardan odwrócił się znów do swojej tablicy sterowania.

- Flotylla wchodzi w nadprzestrzeń - zameldował. Rzeczywiście, na monitorach powiększony obraz flotylli nagle znikł, pozostawiając za sobą tylko pusty ekran.

Hara utrzymywała kurs „Zagadkowego Ostrzeżenia”, a Dei milczał, żeby nie przeszkadzać Fardanowi. Wreszcie młody człowiek odwrócił się znowu.

- Mamy nieco ponad sześć tysięcy potencjalnych celów - powiedział. - Jeśli jednak ustawimy je według czynników, które zasugerowałeś, zostanie nam mniej niż dziesięć, które mogłyby mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- A numer pierwszy?

- Przestrzeń Huttów, Gromada Si'klaata, planeta Klatooine. To pustynny świat, miejsce niedawnej rebelii niewolników, która zależy od polityki Sojuszu powiązanej z polityką Hapes. Skoro politykę kontrolują teraz Jedi, mamy jak na dłoni powiązanie z Królową Matką. Przesłano raport Służb Łączności Floty o niedawnych kontaktach Sithów i Jedi z Klatooine, chociaż fakty te jeszcze nie dotarły do prasy. I to jest kolejne powiązanie.

- Bardzo dobrze. Sprawdź wszystkie możliwe strefy lądowania, w tej samej kolejności prawdopodobieństwa. I przygotuj skok na Klatooine.

Dei przeciągnął się w fotelu, a członkowie jego załogi zajęli się swoimi obowiązkami.

Sprawa jest poważna, pomyślał. Jeśli okaże się, że to ślepy zaulek, jeśli niepotrzebnie porzucają posterunek nad Hapes, Gavar Khai może go zdegradować... lub zabić.

Nikt jednak nie osiągnie wielkości, ograniczając ryzyko i chodząc stale ze spuszczoną głową. Życie jest krótkie; świetność i sława trwają o wiele dłużej. Takie ryzyko miało sens.

Klatooine

Allana wrzasnęła głośno, zanim babcia zdążyła dotrzeć do jej przedziału. Żołądek Leii ścisnął się boleśnie. Ze zgaszonym mieczem świetlnym w dłoni rzuciła się na drzwi kabiny. Otworzyły się tylko na tyle, żeby mogła je minąć, nie uderzając w durastalową powierzchnię.

W kajucie panowała całkowita ciemność, jeśli nie liczyć światła wpadającego przez drzwi. Allana rzucała się w pościeli, walcząc z niewidzialnym wrogiem. Anji, najeżona tak, że wyglądała na dwa razy większą, czyhała w kącie, gotowa do skoku - tyle że nie było na kogo skoczyć.

Warknęła na Leię.

Leia usiadła na brzegu łóżka i objęła dziewczynkę.

- Allano, miałaś zły sen. Wszystko w porządku, to był tylko sen.

Allana otworzyła oczy. Nie strzelała już nimi dziko na boki; spojrzała na Leię.

- Ogień, wszędzie ogień... ona płonie! - W jej głosie było tyle rozpaczy, że Leii ścisnęło się serce.

Usłyszała za plecami westchnienie ulgi. Obejrzała się - za nią stał Han, ubrany tylko w spodenki, z miotaczem w dłoni. Opuścił broń i zabezpieczył.

Leia uśmiechnęła się do niego blado.

- Miała złe sny. Zajmę się tym.

Skinął głową.

- Zaparzę trochę kawy. I tak już prawie świta.

- To nie był sen! - Allana ocknęła się już zupełnie, ale najwyraźniej nie mogła się otrząsnąć.

- To się działo naprawdę!

- Rozejrzyj się, kochanie. Czy ktoś tu płonie?

Pokręciła głową, ale jednocześnie zacisnęła zęby. W swoim uporze bardzo przypominała Hana i Jacena.

- Ale ona się zapali!

- Kto?

- Mamusia.

Anji wskoczyła na łóżko i usadowiła się na kocu przy stopach Allany. Wciąż jeszcze miała zjeżoną sierść, ale całą uwagę skupiła na dziewczynce.

Leia poczuła się zdezorientowana, słysząc słowa Allany. Pojawienie się tematu Tenel Ka teraz, w kilka godzin po przyjęciu przez nią zaproszenia negocjatorów na Klatooine - żadna z tych decyzji nie została podana do wiadomości publicznej - mogło być czymś więcej niż tylko zbiegiem okoliczności. Allana była wrażliwa na Moc.

- Opowiedz mi swój sen - poprosiła.

- Mamusia uśmiechała się do mnie. Miała na sobie strój, jaki wszyscy tutaj noszą. Stała na piasku, a ja biegłam do niej. Nagle zjawił się człowiek cały z ognia, z jasnego, gorącego ognia. Objął ją od tyłu i ona też zaczęła płonąć. - Łzy spływały jej po policzkach. - Patrzyła na mnie okropnie smutno i płonęła. To wcale nie był sen. To było coś innego.

Leia różkiem prześcieradła otarła jej oczy.

- Może to naprawdę było coś więcej, ale to wcale nie znaczy, że to była prawda, że to się zdarzyło. Mogło to być wspomnienie bólu z czasów, kiedy twoja mamusia straciła rękę.

- Czyja poczułam to przez Moc?

Leia skinęła głową.

- Ale po co Moc miałaby mi to robić?

Jej babcia się uśmiechnęła.

- Jedną z najgorszych rzeczy w życiu jest to, że prawie nigdy tego nie wiesz. Później dopiero się przekonujesz, o co chodziło.

- Czy ona tu przylatuje?

Leia zawahała się przed odpowiedzią.

- Miałam ci nic nie mówić, bo to miała być niespodzianka. Ale... tak, ma tu być.

O dziwo, ta nowina wydawała się nie sprawiać Allanie radości. Nie uśmiechnęła się nawet.

- Człowiek w ogniu chce ją zabić - szepnęła.

- Jeśli taki człowiek istnieje, powstrzymamy go. A może nawet zrobi to twoja mama. W tych sprawach jest bardzo, bardzo dobra.

- Mhm... - Allana nie wydawała się przekonana.

- Lepiej ci trochę?

- Mhm.

- Chcesz wody albo mleka?

- Nie.

Leia uściskała ją.

- Więc teraz zaśnij. Wszystko będzie dobrze.

Po wyjściu z kajuty Leia klapnęła ciężko na siedzenie obok Hana i westchnęła głęboko.

- Zdaje się, że mamy nowy kłopot.

- Mogę go zastrzelić?
- Zrób to, proszę.

ROZDZIAŁ 33

Hweg Shul, Nam Chorios

Kandra zapytała po raz drugi, tym razem innymi słowami, aby zyskać pewność, że poprzednio dobrze zrozumiała.

- Więc jesteś pewien, że nie napadł cię ani Wielki Mistrz Skywalker, ani żadne z jego towarzyszy?

Stojący po drugiej stronie starego, pięknie rzeźbionego biurka z ithoriańskiego drewna burmistrz Snaplaunce przytaknął.

- Widziałem, jak odlatują, kiedy wibroostrze wbiło mi się w plecy. Monitory miejskie śledziły drogę wahadłowca, dopóki mogły. Napastnikiem musiał być ktoś z Hweg Shul, na pewno nie był to ani Skywalker, ani ta młoda kobieta Khai.

- Widzę, że udało się panu całkiem wyzdrowieć.

- Ocaliła mnie ignorancja tego łajdaka. Wbił mi nóż tam, gdzie powinny znajdować się ludzkie nerki. U Ithorian w tym miejscu znajdują się mięśnie grzbietowe. Dlatego rany, choć groźne z powodu utraty krwi, nie były śmiertelne.

- Skoro więc na grupie Skywalkera nie ciąży już żadne oskarżenia... choć Tubylcy wydają się nieprzekonani... dlaczego wciąż jest aktualny ten nakaz aresztowania?

Snaplaunce spojrział na nią poważnie, co w wykonaniu Ithorianina z głową w kształcie młota wyglądało nieco niepokojąco.

- Wciąż jeszcze musimy dowiedzieć się sporo na temat zamordowania doktora Wei, więc członkowie grupy Skywalkera pozostają nadal w sferze naszych zainteresowań. Powstał też problem niszczycielskich burz, które coraz częściej pojawiają się na powierzchni Nam Chorios...

- Na przykład dzisiaj rano.

- Właśnie. Takie burze pojawiały się ostatnio, gdy Wielki Mistrz Skywalker, działając pod nazwiskiem Owen Lars, przybył po raz pierwszy na Nam Chorios trzydzieści lat temu. Zauważono także niewielki wzrost wskaźnika kradzieży śmigaczy, który odpowiada ściśle liczbie nowych osób odwiedzających planetę. Działają tu jakieś tajemnicze siły. Nakaz pozostanie zatem w mocy, dopóki nie będziemy mieli dość argumentów, żeby go zdjąć.

- Dziękuję panu. - Kandra spojrzała na Beurtha, sygnalizując koniec oficjalnego wywiadu. Światelko rejestracji na holokamerze zgłosiło i operator zdjął urządzenie z ramienia.

Kandra wstała.

- Panie burmistrzu, bardzo mi pan pomógł - powiedziała.

Dwie minuty później, skulona z zimna, brnęła niechętnie przez wietrzne, zaśmiecone ulice Hweg Shul.

- Ten facet jest zupełnie bezużyteczny. - Westchnęła.

Beurth odpowiedział jej serią pochrząkiwań.

Skinęła głową.

- Wiem, wiem. Ale tylko w ten sposób można wykonywać tę pracę. On nie dał nam niczego, Przybysze i Spóźnieni wydają się nic nie wiedzieć, Tubylcy nabierają wody w usta, Theranie Nasłuchiwalce poznikali, nie spotkaliśmy się z Valinem... coś z pewnością się dzieje, ale chyba trzeba lepszego dziennikarza niż ja, żeby to wykryć.

Beurth chrząknął znowu. Wydawał się urażony.

Spojrziała na niego kwaśno.

- Mówisz, że relacje naocznych świadków i tak nie są pewne? Dzięki, wybitnie mi pomogłeś. - Westchnęła, obserwując obłoczek oddechu, który zaraz rozproszył wiatr. - Cóż...

zastanówmy się, czy zdołamy sklecić cokolwiek z suchych danych i statystyk.

Beurth chrząknął raz i drugi.

- Masz rację, trzeba najpierw coś zjeść.

Po lunchu w hotelowym pokoju znalazła wreszcie informację, której potrzebowała.

Była w zaktualizowanych raportach i statystykach kryminalnych. Liczba kradzieży śmigaczy wzrosła rzeczywiście, a wśród incydentów zgłoszonych od czasu, kiedy na Nam Chorios przybył Luke Skywalker, była tylko jedna sprawa - pojazd, który został skradziony, później odnaleziono, chociaż był zniszczony. Sprawa nie zakończyła się aresztowaniem. Kosztowny Incom T-47 zniknął w Hweg Shul. Co ciekawe, do kradzieży doszło na dzień przed znalezieniem poza Hweg Shul wahadłowca Snaplaunce'a, uszkodzonego, ale na tyle sprawnego, że mógł poruszać się po lądzie. T-47 został zaś zniszczony w małym miasteczku Żyła Kesla. W raporcie była też wzmianka, że ktoś z tej miejscowości anonimowo poinformował naczelnika miasta, że wszystkie śmigacze w okolicy zagrożone są kradzieżą. Nakazano je więc zamknąć w bezpiecznej szopie, strzeżonej przez Tubylców z rusznicami laserowymi.

Te szczegóły odświeżyły pamięć Kandry. Sprawdziła jeszcze oznaczenia czasowe raportów kryminalnych i stwierdziła, że dokładnie w momencie, kiedy mieszkańcy Żyły Kesla zauważyli eksplozję T-47, w kilku miejscach na całym Nam Chorios, w tym również w Hweg Shul, rozpięły się te anomalne burze. Kilka minut szperania w życiorysie Luke'a Skywalkera potwierdziło, że miał duże doświadczenie z Incomami T-47, zwłaszcza z czasów swojej służby dla Sojuszu Rebeliantów na Hoth.

Inne statystyki planetarne nie dostarczyły wartościowych szczegółów. Na szczęście Kandra, postępując zgodnie z radą jednego ze swoich dawnych nauczycieli holodziennikarstwa, przejrzała kilka wykresów planetarnych danych statystycznych i znalazła coś ciekawego. Odwróciła datapad tak, aby Beurth mógł zobaczyć ekran.

- Widzisz?

Beurth przyjrzał się wykresom i wydał serię zaciekawionych kwiknięć.

- O ten mi właśnie chodzi. Wykres raportów o przestępstwach i niezwykłych wiadomościach dla wszystkich społeczności na Nam Chorios, według wielkości populacji. A tu, w Kryształowej Dolinie, procent takich raportów w przeliczeniu na jednego mieszkańca był najniższy... ale ostatni jest sprzed kilku dni. Wygląda to jak blokada informacji!

Beurth chrząknął i wstał.

- Dobrze, zrób to. Upewnij się, że paliwa mamy do pełna. Chyba najpierw odwiedzimy Żyłę Kesla, a potem Kryształową Dolinę. Sprawdź, czy mamy dosyć pakietów grzewczych i sprayu na drochy.

Po przybyciu do Hweg Shul udało im się wynająć szybki śmigacz, więc drogę do Żyły Kesla zrobili w dobrym czasie. Oczywiście pojazd miał pewne wady. Dostali go, bo był bez dachu, co nie było najlepszym pomysłem na surową zimę na Nam Chorios. Kandra chętnie powierzyła Beurthowi pilotowanie, sama zaś skuliła się, owinięta w płaszcz i koce, z jednorazowym pakietem termicznym na kolanach, a drugim pod stopami. Pod koniec kilkugodzinnej podróży było jej tak zimno, że mogłaby palcem chłodzić mrożone drinki. Czuła mdłości od ciągłego kołysania na silnym wietrze i marzyła tylko o tym, aby zobaczyć cokolwiek innego niż wnętrze pojazdu i monotonne falowanie kryształowego pyłu.

Podążając za kierunkowym sygnałem komunikacji Żyły Kesla, znaleźli się o kilka kilometrów od miasteczka, kiedy zostali wywołani przez system łączności śmigacza.

- Whiterock Rentals Jeden Czternaście, tu Tęczowa Służba Ochrony w Żyły Kesla. Podaj swoje zamiary.

Kandra i Beurth wymienili zdumione spojrzenia. Małe miasteczka w całej galaktyce zwykle reagowały na gości obojętnością albo kierowały ich natrętnie do lokalnych sklepów i

rzemieślników.

Beurth zmniejszył szybkość. Kandra szybko sprawdziła w datapadzie informacje na temat Tęczowej Służby Ochrony. Włożyła kask z komunikatorem i uruchomiła go.

- Żyła Kesla, tu Whiterock Jeden Czternaście. Jesteśmy dziennikarzami, interesuje nas kradzież i zniszczenie śmigacza powietrznego w waszej okolicy.

- Whiterock, powinnaś wiedzieć, że osobnik, który skradł pojazd, prawdopodobnie wciąż jest na wolności, może nawet całkiem blisko. Jest też odpowiedzialny za kilka zabójstw w okolicy. Zdecydowanie zalecamy zrezygnowanie z wizyty, dopóki teren nie będzie bezpieczny. Jeśli chcecie zbliżyć się do miasta, będziemy musieli przydzielić wam pracownika ochrony, aby upewnić się, że nie wpadniecie w ręce mordercy.

- R... rozumiem. - Kandra czegoś jednak nie rozumiała. - Dlaczego w rejestrach planety nie ma ani słowa o Tęczowej Służbie Ochrony. - Chyba musimy się tu zatrzymać i zapytać naszych zwierzchników, co robić dalej. Czy tutaj jesteśmy bezpieczni?

- Prawdopodobnie, przynajmniej dopóki trwa burza pyłowa. Kiedy opadnie, mogą was dostrzec przez makrolonetkę. Jeśli więc jeszcze tu będziecie, zdecydowanie zalecam wycofanie się o kilka kilometrów.

- Dzięki za radę, Żyła Kesla. Whiterock Jeden Czternaście się wyłącza. - Skinęła na Beurtha, aby zatrzymał śmigacz i wyłączył repulsory.

Przez chwilę siedzieli tak, kołysząc się na wietrze, a Kandra rozmyślała, co robić dalej.

Tak naprawdę wcale nie musiała oglądać szczątków T-47. Jej celem było odnalezienie Luke'a Skywalkera, jeśli istotnie był w okolicy. A wszystko zaczynało wskazywać na to, że jest... nie tylko w pobliżu, ale także poszukiwany, czego nie podano w źródłach informacyjnych planety. Gdyby tylko mogła mu przesłać wiadomość...

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Poderwała się i wyprostowała.

Beurth chrząknął pytająco.

- Jeszcze w wahadłowcu - wyjaśniła mu - Valin Horn dał nam częstotliwość nasłuchu, na wypadek gdyby musiał się z nami skontaktować na Nam Chorios. Czy to była tylko jego częstotliwość, czy do ogólnego użytku wszystkich Jedi?

Fotograf wzruszył ramionami.

- Sprawdzimy - zdecydowała.

Ułożyła krótką wiadomość tekstową:

„Wielki Mistrz Skywalker: czy masz ochotę w zamian za przejażdżkę opowiedzieć coś o sobie? Odpowiedz na tej częstotliwości”.

Przemyślała tekst i zmieniła „Wielki Mistrz Skywalker” na „Owen Lars”. Zadowolona, wysłała wiadomość.

W dwie minuty później nadeszła odpowiedź.

„Przedstaw się, proszę”.

„Kandra Nilitz, wiadomości Strefy Lądowania. Przyleciałam na Nam Chorios z Halem Cyonem i Jes Cyon. Możesz pamiętać mój raport ze śledztwa w sprawie czarnorynkowej sprzedaży fałszywej bacty”.

Kandra była co prawda pewna, że go nie czytał, bo każdy młody reporter obowiązkowo musiał zrobić materiał o czarnorynkowej sprzedaży fałszywej bacty. Miała jednak nadzieję, że dzięki tej wzmiance sprawi wrażenie bardziej znanej, niż była w istocie.

„Zgadzam się na twoje warunki” - przyszła odpowiedź.

Serce Kandry załomotało. No, może nareszcie znalazła się blisko rozszyfrowania tej frustrującej historii.

„Będę wysyłała impulsy naprowadzające co minutę”.

Nastawiła datapad, aby robił dokładnie to, co chciała, po czym wysłała wiadomość.

Spojrzała na Beurtha i odetchnęła z ulgą.

Dwadzieścia minut później ulga się skończyła.

Nie wiedziała, że Luke Skywalker ją odnalazł, aż do chwili, kiedy zobaczyła go stojącego na masce jej wynajętego śmigacza, z zielonym ostrzem miecza świetlnego w dłoni. Potężny wicher szarpał jego płaszcz, jakby chciał go zerwać i zanieść do Hweg Shul. Luke odwrócił się w kierunku Żyły Kesla i wolną ręką osłonił usta, krzyząc:

- Tędy!

Jakby w odpowiedzi na hasło, z burzy pyłowej wytrysnął strzał z miotacza, kierując się w jego stronę. Przechwycił go ostrzem miecza i odbił w dół, jakby go to w ogóle nie interesowało.

W oddali, przed sobą, Kandra widziała dwie kolorowe plamy, podskakujące w rytm ruchów osób, które je trzymały - miecze świetlne, jeden niebieski, a drugi czerwony.

Nagle Luke okręcił się, przechylił przez owiewkę śmigacza i ciał mieczem tak, jakby chciał wyciąć sobie miejsce pomiędzy Beurthem i Kandrą. Kandra wrzasnęła i odskoczyła, spojrzała w górę i dopiero teraz zobaczyła mężczyznę stojącego na oparciu fotela. Ubrany jak większość zimowych podróżników na Nam Chorios, trzymał czerwony miecz świetlny. Uniósł go właśnie, przechwytyjąc cios Luke'a. Siła ciosu strąciła go z siedzenia; upadł w tył, lądując na stopach na tylnym siedzeniu.

Luke przeskoczył przez owiewkę i znalazł się pomiędzy Beurthem a Kandrą. Obcy odbił jego cios w ostatniej chwili i skoczył w górę. Opadł na rufę śmigacza.

Luke podsunął się do przodu i skoczył dokładnie w to samo miejsce, gdzie przed chwilą był jego przeciwnik. Machnął mieczem, angażując ostrze tamtego. Jego stopa wystrzeliła w przód, uderzając rękę trzymającą broń. Czerwony miecz świetlny wyleciał w górę. Luke chwycił go lewą ręką, zawirował obydwoma ostrzami w skomplikowanym czerwono-zielonym młynku i ruszył na rufę śmigacza.

Jego przeciwnik zeskoczył na ziemię, odwrócił się i pogrążył w chmurze pyłu.

Luke odwrócił się i mieczem trzymanym w prawej ręce skinął na Kandrę.

- Przejdź do tyłu.

Drugim mieczem wycelował w Beurtha.

- Ty uruchomisz to pudło.

Kandra wgramoliła się na oparcie swojego fotela, a potem na tylne siedzenie. Z trudem powstrzymała odruch wpełznięcia pod fotel.

- Co się dzieje? - Jęknęła.

Luke skoczył na przednie siedzenie, które właśnie opuściła.

- Nie bądź niemądra. Właśnie ratujesz nam życie.

- Ojej, czuję się taka dzielna.

Siedzenie po lewej stronie Kandry się zakołysało. Podniosła wzrok i zobaczyła, że stoi na nim młoda kobieta, z drugim czerwonym mieczem świetlnym w ręku. Dziewczyna podniosła głos, przekrzykując ryk wiatru, a także huk włączanych właśnie repulsorów:

- Ben! Tutaj!

Nagle nad dziewczyną pojawił się mężczyzna, ubrany podobnie jak poprzedni napastnik. Wisiał do góry nogami, zupełnie jakby właśnie przyfrunął. Zamierzył się mieczem świetlnym. Kandra już otworzyła usta, żeby krzyknąć ostrzegawczo, choć wiedziała, że to za późno - ale dziewczyna uniosła swój miecz płynnym gestem, odbijając atak. Jej przeciwnik wylądował kilka metrów dalej, przetoczył się po piasku raz, a potem drugi, aby uciec przed śmigaczem.

Luke wyłączył zdobyczny czerwony miecz. Dziewczyna - sądząc z raportów, jakie widziała Kandra, musiała być Vestarą Khai - uklękła na siedzeniu, ale miecza nie wyłączała, nie spuszczając oczu z otaczających ich piasków.

Śmigacz wzniósł się już na metr w górę, ale jeszcze nie ruszył. Luke spojrzał na Beurtha.

- Posuń się trochę w tę stronę - polecił.

Beurth kwiknął pytająco, ale się nie ruszył.

Po chwili na kolanach Gamorreanina z impetem wylądował Ben Skywalker.

- Hej, przesuń się - warknął.

Beurth posłuchał wreszcie, kwicząc żałośnie i gramoląc się spod ciężkiego nastolatka.

- Naprzód! - krzyknął Luke.

Nie wyłączając swojego miecza świetlnego, Ben rzucił go do tyłu. Vestara chwyciła za rękojeść i podniosła oba miecze w górę, przyjmując - według Kandry - postawę obronną.

Ben przyspieszył, skręcając na lewą burtę. Mężczyzna z czerwonym mieczem świetlnym, który wyłonił się z chmury pyłu, musiał teraz dogonić śmigacz. Luke zamachnął się na niego, kiedy znaleźli się blisko; ich klingi skrzyżowały się z trzaskiem - i nagle napastnik znalazł się za nimi.

Luke wbił czubek miecza w tablicę rozdzielczą śmigacza. Kandra wytrzeszczyła oczy.

- Hej, on jest wynajęty - zaprotestowała.

- Na pewno razem z transponderami. - Luke wyłączył miecz i szarpnął tablicę w miejscu, gdzie ją przeciął. Jeden z paneli odskoczył, więc cisnął go przez ramię. Vestara rękojeścią miecza świetlnego uderzyła w panel, odrzucając go na bok, w kierunku drugiej napastniczki, która wyskoczyła na nich z obłoku pyłu. Kobieta nie zdążyła zareagować na czas, potknęła się o panel i upadła twarzą w piasek.

Luke sięgnął do obwodów i kabli odsłoniętych po jego brutalnym zabiegu chirurgicznym i wyrwał jedną z płytek.

- Transponder numer jeden, dla władz planetarnych. - Odrzucił go i powtórzył działanie, tym razem wrywając mniejszy i grubszy czarny moduł. - Transponder numer dwa, dla firmy, która wypożyczyła ci śmigacz. Wszystko legalne i praktyczne, ale może nas załatwić na amen. - Tę część także wyrzucił za burtę.

Beurth zerknął na Kandrę i chrząknął przepaszająco.

- Wiem. To nie twoja wina. Nie ty tu rządysz. - Kandra odetchnęła głęboko. - Czy już jesteśmy bezpieczni?

Vestara wyłączyła miecz świetlny Bena.

- Powiedzmy, bezpieczniejsi. Minęło prawie piętnaście sekund, odkąd nas zaatakowano.

Głos Bena był już nieco weselszy.

- Czas na jakieś zapierające dech w piersi manewry, aby zgubili nasz ślad - powiedział i raptownie skręcił w lewo.

Kandra jęknęła. Mdłości wróciły.

Kiedy minęło jakieś pięć minut od ataku, a Kandra dostała z powrotem swoje pakiety grzewcze, opowiedziała Luke'owi, skąd się tu wzięła.

- To jak, mamy nasz materiał? - zapytała w końcu.

Luke zgodnie skinął głową.

- Oczywiście. Tylko najpierw Ben ustawi kurs na tę Kryształową Dolinę, o której wspominałaś. A teraz, Kandra, opowiem ci historię o potworze z Otchłani, o plemieniu Sithów, które przestało istnieć dla historii, i o ogromnym niebezpieczeństwie, jakie zagraża galaktyce. Chyba, że wolisz najpierw usłyszeć szczegółowe wyjaśnienie, jak udało nam się uruchomić wahadłowiec burmistrza Snaplaunce'a.

- Chwileczkę, chwileczkę. Beurth?

Operator holokamery ustawił swoje urządzenie i wycelował je w Wielkiego Mistrza Jedi.

Kandra przez chwilę zbierała siły. Wreszcie ta wycieczka okazała się czegoś warta.

- A teraz poproszę o historię o potworze i Sithach. Nie chcę słyszeć o wahadłowcu.

ROZDZIAŁ 34

Klatooine

Kiedy statek „Zagadkowe Ostrzeżenie” wychynął z nadprzestrzeni w systemie Klatooine, hapańska flotylla właśnie wchodziła na orbitę planetarną. Hara i Fardan okrzykami ogłosili zwycięstwo; zawtórowała im reszta załogi w głównym przedziale.

Dei skapo się uśmiechnął.

- Podejście w pełnym trybie maskowania - polecił. - Nie spuszczaście z nich czujników.

Uważajcie na wahadłowce i inne startujące lądowniki.

Fardan skinął głową.

- Tak jest.

Pojazdy hapańskie okrążyły orbitę Klatooine kilka razy, bez wątpienia komunikując się przez ten czas z rządem planety i wszystkimi oficjalnymi instytucjami. „Zagadkowe Ostrzeżenie” przemknął na orbitę tuż za nimi. Prawie w tej samej chwili Fardan zawołał: „Lądownik startuje z okrętu flagowego!” Zwiększył moc czujników wizyjnych i Dei zauważył statek o kształcie spodka, schodzący z wysokiej orbity planetarnej flotyli.

- Śledź ich, ale nie leć za nimi... jeśli znajdziemy się pomiędzy nim a flotyllą, mogą nas wykryć. Wykreśl równoległy kurs w dół.

- Tak jest.

„Zagadkowe Ostrzeżenie” zszedł z orbity i zaczął opadać, a jego pancerz przybrał teraz barwy widziane przez obserwatorów z różnych kierunków - brązy i żółcie, jeśli ktoś patrzył z góry, i odcienie nieba przy widoku z dołu. W odległości stu kilometrów od hapańskiego lądownika statek Sithów schodził w dół tym samym tempem, co jego zdobycz.

Fardan wykreślił najbardziej prawdopodobne miejsce przeznaczenia. Sądząc z kursu i orbitalnych skanów aktywności na powierzchni, lądownik kierował się do dużego obozowiska w szerokim pasie równikowej pustyni. Rzeczywiście, gładko i pewnie usiadł na ziemi. Hara krążyła nad lądowiskiem w spiralnym podejściu; przez ten czas Fardan, Dei i cała reszta załogi analizowali dane z czujników.

Obozowisko lądownika było usytuowane w zagłębieniu na zachód od długiego grzbietu niskich wzgórz, stanowiących podnóże niedalekiego łańcucha górskiego. Wokół obozu rozmieszczono baterie obronne i aktywne projektory tarczy. Wszystkie urządzenia były mobilne. Powiększony obraz ukazywał liczne namioty i wiele pojazdów. Wśród mieszkańców najwięcej było Klatooinian, ale spora liczba innych ras także była reprezentowana. Lądownik osiadł na piaszczystym terenie na północ od obozu. Niedaleko widać było znajomą sylwetkę lekkiego frachtowca YT-1300.

Dei nie przeszkadzał Fardanowi w wykonywaniu obowiązków. Osobiście porównał frachtowiec ze sławnym pojazdem z rejestru. Z zadowoleniem skinął głową.

- Ten transportowiec to „Sokół Millenium” - powiedział. - A to przynajmniej podwaja szanse na to, że hapańska flotylla należy do królowej, która jest przyjaciółką obydwójga Solo.

Hara spojrzała na niego.

- Jakież instrukcje?

- Znajdź miejsce do lądowania na wschodnim garbie, około dwóch kilometrów od punktu obserwacyjnego. Cały czas utrzymuj pełen kamuflaż. Trzeba wylądować możliwie najdelikatniej, na wypadek gdyby mieli czujniki sejsmiczne. Fardan, ty poszukaj danych geologicznych na temat tej bryły kurzu. Jeśli będzie trzeba, zastosuj przy lądowaniu maskowanie soniczne, symulujące aktywność wulkaniczną lub tektoniczną, żeby wszystkie hałasy, jakie spowodujemy, brzmiały jak zjawiska naturalne.

W pięć minut później Dei wyszedł z zaciemnionej śluzы powietrznej na skąpane w świetle gwiazd piaski Klatooine. Jego ubiór bardzo przypominał stroje przeważające w obozie; miał podobną kolorystykę i był równie obszerny, jak spotykane wszędzie pustynne szaty.

Przebiegł na szczyt garbu, z ostrożności zwalniając na ostatnich pięciuset metrach.

Wprawdzie czujniki pokazały kilku strażników rozstawionych wokół podejścia na wzgórze, ale Dei wybrał miejsce, z którego praktycznie nie było zejścia do obozu, więc nikt go nie pilnował.

Ostrożnie, na wypadek gdyby skarpa miała się pod nim zarwać, podpełzł najbliżej, jak się dało, prawie do samej krawędzi, po czym położył się na brzuchu i nastawił makrolornetkę. Była większa niż zwykle lornetki, miała zapewniający stabilność trójnóg i ogromnie pojemną pamięć, aby mogła zapisywać wszystko, co zobaczy.

Odnalezienie statku Hapan i przybliżenie obrazu jego otoczenia zajęło mu zaledwie chwilę.

Jeśli nawet statek witali jacyś Tubylcy, do tego czasu już się rozproszyli albo weszli na pokład. Teraz widać było jedynie strażników rozstawionych wokół statku, w większości kobiety, wszystkie ogromnie atrakcyjne. Przy najbliższych namiotach stali obserwatorzy; sądząc z gestów i ruchów, rozprawiali o statku Hapan lub o jego pasażerach. Byli to głównie Klatooinianie i ludzie, ale dało się też zauważyć kilka innych gatunków i parę robotów.

W obozowisku panował duży ruch. Rozpalano ogniska, zapewne aby ugotować wieczorny posiłek i ogrzać się przed nagłym chłodem pustynnej nocy. Chronometr Dei, dostrojony do czasu planety, wskazywał, że jest wczesny wieczór.

Czas mijał. Dei cierpliwie czekał. Było coś pięknego w trwaniu w całkowitym bezruchu, podczas gdy satelity twojej ofiary orbitowały, oddalały się, wracały i przekazywały sugestie dotyczące jej słabych stron. Dei marzył, żeby przekonać wszystkich swoich poddanych do zalet cierpliwości, ale wszyscy oni wydawali się desperacko pożądać zmian i natychmiastowej nagrody za swoje czyny.

Gapie stojący wokół lądownika zaczęli się rozchodzić do ognisk lub do namiotów. Wszyscy, z wyjątkiem jednej grupy, która pozostała, najwidoczniej równie czujna i cierpliwa jak Dei. Skierował na nich makrolornetkę i włączył maksymalne zbliżenie.

Pięcioro ludzi lub humanoidów, dwa roboty. Czwórka humanoidów była wzrostu dorosłego człowieka, jeden wydawał się dużo mniejszy. Roboty były łatwe do rozpoznania - droid astromechaniczny i robot protokolarny. Wszyscy humanoidzi mieli na sobie odzież pustynną, jak większość obozowiczów. Dorośli byli wyposażeni do walki - mieli długie rusznice laserowe, a pod odzieżą prawdopodobnie zbroję, kabury i torby.

Obok najmniejszego z humanoidów siedziało jakieś zwierzę. Z tej odległości Dei nie rozróżniał rysów twarzy, a nawet nie mógł rozpoznać, czy to małe jest kobietą, czy mężczyzną, ale sądząc po nerwowej ruchliwości uznał, że to raczej dziecko, a nie dorosły osobnik karłowatego gatunku.

Z rampy lądownika zeszło kilkanaście osób, pogrążonych w rozmowie. Ruszyli w kierunku obozowiska.

Pięcioro humanoidów i dwa roboty wciąż czekały. Zaciekawiony Dei nie spuszczał z nich wzroku.

Minęło kolejne piętnaście minut. A potem, jakby na sygnał otrzymany przez komunikator, ruszyli przed siebie, kierując się prosto na rampę. Żaden ze strażników rozstawionych wokół statku nawet nie próbował ich zatrzymać. Czwórka dorosłych oddzieliła się, okrążając pojazd w równych odstępach, a dziecko i dwa roboty wkroczyły na rampę.

Interesujące. Bardzo interesujące.

Allana zostawiła R2-D2 i C-3PO w holu wejściowym lądownika, a sama, tylko w towarzystwie Anji, ruszyła wzdłuż światła osadzonych w łukowatych ścianach korytarza. Światła migotały kolejno, zupełnie jakby zmierzały do przodu, a potem wracały i powtarzały sekwencję, prowadząc dziewczynkę przed siebie.

Wokół nie było nikogo, nawet na stanowisku ochrony pilnującej wyjścia z holu. Nie było w tym nic dziwnego. Tenel Ka, zwykle otoczona przez dworzan i strażę, przy tych nielicznych okazjach, kiedy mogła spotkać się z Allaną, oddalała wszelkich możliwych świadków, zatrzymując jedynie tych, którym mogła całkowicie zaufać... czyli nikogo.

Lądownik bardzo się różnił od „Sokoła”. Powietrze wydawało się tu świeższe i ładnie pachniało, zamiast cuchnąć starymi smarami i wyciekami paliwa oraz resztkami najdziwniejszych ładunków. Zupełnie jakby część pałacu zapakowano w stateczek o kształcie spodka; nie zabrakło puszystych dywanów w korytarzach i oryginalnych dzieł sztuki na ścianach.

Światła doprowadziły Allaną do drzwi przedziału, które otworzyły się w chwili, kiedy się do nich zbliżyła. Weszła do niewielkiego przedpokoju, wygodnie umeblowanego sofami i wyściełanymi fotelami.

A na sofie pod najdalszą ścianą, w pięknych szatach z syntjedwabiu i sznurach klejnotów,

siedziała jej matka, Tenel Ka.

Allana rzuciła się do niej.

- Mamusia!

- Moje małeństwo! - Tenel Ka pochyliła się i przytuliła ją do siebie. Tak bardzo przypominała obraz, który Allana codziennie widziała w lustrze: długie włosy i szare oczy, ale dorosłe i takie piękne. Allana miała nadzieję, że kiedy dorośnie, będzie jeszcze bardziej podobna do matki.

- Tak szybko rośniesz... Jesteś wyższa za każdym razem, kiedy cię widzę. Tego nie da się zobaczyć w obrazach z holokamery. - Tenel Ka usiadła i pociągnęła Allaną, sadzając ją obok siebie.
- Nie pozwoliłam ci aż tak urosnąć.

- Przepraszam, tak jakoś wyszło. - Dziewczynka przytuliła się do matki.

Anji, która z podejrzliwą miną przycupnęła przy drzwiach, rozejrzała się wokół. Wyraźnie przymierzała się do fotela, jakby rozważając ostrzeżenie na nim pazurów tak długo, aż zmieni się w strzępy. Allana spojrzała na swoją puszystą towarzyszkę i obdarzyła ją lekkim impulsem uczucia poprzez Moc - kojącą sugestią spokoju i odpoczynku. Anji wskoczyła na fotel, już nie pragnąc go drapać, i zwinęła się w kłębek, z pyskiem skierowanym w stronę Allany i jej matki.

Tenel Ka uśmiechnęła się do córki.

- Poczułam to. Coraz lepiej sobie radzisz z Mocą.

- Czasem nie lubię Mocy.

- Nikt jej nie lubi przez cały czas, kochanie. Moc jest jak ogień. Może dawać ci ciepło i zdrowie, ale może też sparzyć. Dlatego zawsze musisz uważać na nią i na to, co ci mówi.

Allana z trudem opanowała drżenie, słysząc słowo „sparzyć”.

- Ogień nie przemawia do ciebie tak jak Moc. A kiedy ogień mówi, to ma zawsze sens. Z Mocą jest inaczej.

Tenel Ka uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Poczekaj, aż się pierwszy raz zakochasz. Miłość może sparzyć jeszcze bardziej i nigdy nie ma sensu.

Allana się skrzywiła.

- Jasne. Wiesz, babcia mówiła, że póki tu jesteś, możemy sobie przysyłać liściki przez Artoo i See-Threepia.

- Oczywiście. Taki mam zamiar. Wiesz, że nie będziemy się mogli widywać codziennie, prawda?

Allana kiwnęła głową. Zdaje się, że tak już musi być zawsze. Nigdy nie udaje im się pobyć ze sobą dłużej. Postanowiła nie mówić matce o śnie o ognistym człowieku. Babcia Leia na pewno ma rację - jej mama wie, jak o siebie zadbać, więc z pewnością będzie wiedziała, co robić, gdyby człowiek z ognia ruszył na nią. Ich krótkie wspólne chwile będą wypełniać jedynie zabawy i radosne rozmowy.

W jakąś godzinę po wejściu do lądownika dziecko i roboty wyszły. Dołączyło do nich czterech strażników. Rampa uniosła się w górę. Większość zewnętrznych światel pozycyjnych lądownika przygasła, co sugerowało, że jego pasażerowie przygotowują się do spoczynku.

Dei przez chwilę śledził strażników z dzieckiem, oddalających się w głąb obozowiska, ale zgubił ich w rejonie, gdzie namioty stały najgęściej. Powoli wstał, zebrał swoje rzeczy i ruszył w kierunku „Zagadkowego Ostrzeżenia”.

Po wejściu na pokład wezwał całą załogę do niewielkiego przedziału, który służył jako mesa, sala konferencyjna i pomieszczenie sztabowe. Umeblowanie stanowił jeden stół, z ławami po obu bokach i fotelem u szczytu, plecami zwróconym do drzwi. Zajął fotel.

- W porządku. Czekam na raporty.

Sazat, lawendowoskóry keshirski mężczyzna w wieku Deia, analityk archiwów grupy, zaczął:

- Na planecie odbywają się nieoficjalne, a raczej półoficjalne negocjacje. Rząd planetarny

prawdopodobnie o nich wie, a także zdaje sobie sprawę, że są nielegalne, zgodnie z prawami Huttów, którzy rządzą tym światem. Rząd jednak ani nie sprzeciwia się temu, ani nie popiera.

Fardan podał Deiowi arkusik flimsi. Przedstawiał on plan obozowiska z obszarami zaznaczonymi kolorowymi plamami w jaskrawych odcieniach żółci, oranżu i czerwieni.

- Z wyjątkiem stanowisk tarcz i broni, obóz wydaje się dość prymitywny, ale przepływ informacji jest niezwykle intensywny. W co najmniej dwóch namiotach i czterech pojazdach, w tym w statku hapańskim, znajdują się układy hiperkomowe. A datapadów z nadajnikami jest tyle, że tworzą sieć o wysokiej gęstości.

Dei rzucił okiem na wydruk i odłożył go na bok.

- Prawdopodobnie będę musiał wejść do obozu. Generatory pola są sprytnie rozmieszczone, ich zasięgi się pokrywają, więc nie będzie możliwości podlecenia blisko i zrzuć rakiety na lądownik. Muszę dostać się w pobliże Tenel Ka z potężną i zabójczą bronią.

Fardan spojrzął na niego niepewnie.

- Ona jest Jedi. No, powiedzmy była Jedi. Ma to samo, co pan: zmysł wykrywania niebezpieczeństwa. Jeśli zbliży się pan do niej z zamiarem zabicia, prawdopodobnie to wyczuje. A wiemy już, że jej oddział ochrony jest bardzo, ale to bardzo skuteczny.

Dei się uśmiechnął.

- Skoro trzeba to zrobić, będzie załatwione. Czego potrzebuję, aby wejść do obozu?

Viti, kobieta o jasnej skórze, najmłodsza z załogi, jednym ruchem odrzuciła na ramię długie, jasne włosy. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że zachowuje się prowokacyjnie. Pchnęła w jego stronę kartę identyfikacyjną.

- Oto identyfikator Sektora Wspólnego. Jest pan dziennikarzem Heurystycznej Analizy Finansowej, pracującym nad raportem, który ma ocenić wpływ uwolnienia niewolniczych gatunków i przyznania im wyższych zarobków na gospodarkę galaktyczną.

Dei spojrzął na nią prawie wrogo.

- To najobrzydliwsza i najbardziej nieetyczna profesja, jaką można sobie wyobrazić. Nie mogłaś zrobić ze mnie rzeźbiarza?

Zaskoczona, nerwowo pokręciła głową.

- Nikt by nie uwierzył, że obecność rzeźbiarza na tym spotkaniu jest niezbędna.

Podejrzewaliby pana z całą pewnością!

- Żartowałam, Viti. Jest dobrze. Potrzebuję tylko holokamery.

- Położyłam na pańskiej pryczy.

- W porządku. - Dei schował kartę. Nie miał wyrzutów sumienia, kiedy czasem straszyl Viti utratą pracy lub życia. Była zbyt zdeterminowana, aby wykorzystywać swoje wdzięki.

Pozostawiona w spokoju, mogłaby stać się leniwa lub zbyt zadowolona z siebie. Od czasu do czasu potrzebny był jej lekki wstrząs. Dzięki temu była dobrym pracownikiem.

Przeniósł uwagę na Fardana.

- Byłem świadkiem odwiedzin pewnej grupy na hapańskim statku. Jedno dziecko, dwa roboty. Czekały, aż statek nie będzie obserwowany, zanim podeszły. Wizyta trwała godzinę. Przekopiowałem nagranie na twoją stację. Daj mi znać, co wyciągniecie z tego razem z Szatem.

- Tak jest.

Dei się rozejrzył.

- Jeszcze coś? Nie? Wracajcie na stanowiska i zaczynajcie rotację wart. Macie wykonywać swoje obowiązki nie tylko sumiennie, ale i błyskotliwie. To pozwoli wam odnieść osobisty sukces na tym wygnaniu. - Uśmiechnął się, wstał, zanim którekolwiek z nich zgłosiło sprzeciw, i wyszedł.

Tym razem udało jej się nie krzyknąć.

Allana obudziła się, szamocząc się w pościeli. O mało nie spadła z pryczy na podłogę. Uspokoiła się i odtoczyła w bezpieczne miejsce.

Znów miała łzy na policzkach. Otarła je szybko. Odczekała chwilę, nasłuchując, czy nie zbudziła dziadków, po czym usiadła, podciągnęła kolana pod brodę i spróbowała zebrać myśli.

Anji wskoczyła na pryczę, podeszła bliżej i łebkiem trąciła łydkę Allany.

Dziewczynka uśmiechnęła się do nexu.

- Nic mi nie jest. Wszystko w porządku - zapewniła.

Ale to nie była prawda.

Tej nocy człowiek z ognia powrócił. I znów zaszedł Tenel Ka od tyłu.

Tym razem jednak Allana była za nim i wszystko obserwowała. Kiedy podchodził do jej matki, wrzasnęła i skoczyła mu na plecy, aby go powstrzymać.

Jej krzyk nie ostrzegł jednak Tenel Ka. Kiedy Allana wylądowała na plecach tego mężczyzny, jej ciało zaczęło płonąć, Tenel Ka poczuła jej ból i się odwróciła. Na jej twarzy widać było przerażenie i rozpacz, ale i gotowość do obrony. To był ostatni obraz matki, jaki zapamiętała. Płonąc, Allana pograżyła się w ognistym ciele mężczyzny.

Czy tak właśnie miało być? Czy musi zginąć albo Allana, albo Tenel Ka? To nie w porządku. To niesprawiedliwe.

W dodatku Allana nie mogła teraz pójść do Leii. Jej babcia znowu by powiedziała, że to tylko sen, że nie ma się czym martwić.

Ale Allana i tak będzie się martwić. Musi się tylko zastanowić, co może jeszcze zrobić oprócz tego.

ROZDZIAŁ 35

Więzienie o najwyższym rygorze im. Armada Isarda, Coruscant

W cytrynowozielonym korytarzu, prowadzącym do sali odwiedzin, Daala minęła Tahiri Veilę. Obie miały na sobie więzienny strój i obie zmierzały w tym samym kierunku. Tahiri szła jednak znacznie wolniej niż Daala. Jedi, w przeciwieństwie do byłej prezydent, miała kajdanki paralizujące na nadgarstkach i kostkach, jako że teoretycznie stanowiła większe zagrożenie, będąc w pełni wyszkolonym osobnikiem władającym Mocą. Daali towarzyszył tylko standardowy, kanciasty robot strażnik, podczas gdy Tahiri była eskortowana przez droida bojowego ZYV, który potrafił dorównać nawet uzbrojonemu i nieskrepowanemu Jedi, a co dopiero bezbronnemu i w kajdankach.

Daala zwolniła, aby się z nią zrównać.

- Wyrok śmierci, co? - syknęła.

Tahiri spojrzała na nią z ukosa.

- Ty pójdziesz pierwsza. Zadzwoń do mnie i opowiedz, jak to jest.

- Nie sądzę. Ja wyjdę z tego obrzydliwego miejsca, ale ciebie wyniosą w umie. Zabiłaś bohatera.

- A ty ilu zabiłaś? Włącznie z wrogami i podwładnymi?

Daala obdarzyła Tahiri uśmiechem, z którym wyglądała jak drapieżna, zębata ryba.

- Przynajmniej mam jeszcze paru przyjaciół i sojuszników. Jak się czułaś, słuchając wyroku śmierci w sali sądowej, w której nie został nikt, kogo byś obchodziła?

- Myślę, że kiedy dojdę do twojego wieku, znów będę miała przyjaciół.

Daala przyspieszyła, zostawiając Tahiri za plecami. Gdyby miała być ze sobą szczerą, ta rozmowa była zwykłą pyskówką i wcale nie przyniosła jej satysfakcji.

Wraz z eskortą dotarła do korytarza, prowadzącego do sali odwiedzin. Jak wszystkie strefy przejściowe w więzieniu, ten także zbudowany był na zasadzie śluzy - grube, wzmocnione ściany, z możliwością otwarcia tylko jednych drzwi naraz, od strony korytarza albo od strony sali. Jak tylko znaleźli się wewnątrz, drzwi od strony korytarza, zbudowane jak wrota skarbcza, zasunęły się za nimi, a z sufitu opadł moduł pełen światełek i ekraników, aby przeskanować Daalę. Wiedziała, że zaraz określi zakres i rodzaj wszystkich protez w jej ciele, poszukają chemicznych materiałów wybuchowych, przeprowadzą skan mózgu i porównają jego wzorzec z dokumentacją...

Czasochłonna, nudna i absolutnie potrzebna procedura.

Potrzebna w przypadku niebezpiecznych przestępców. Daala kipiała złością, ale nie pozwoliła, aby zarejestrowały to holokamery w korytarzu.

Wreszcie zbrojone drzwi po drugiej stronie otworzyły się na kolejny krótki, zielony korytarz. Ten dla odmiany był szeroki, z miejscami siedzącymi po obu stronach. Były to twarde, niewygodne na oko krzesła o przemysłowym odcieniu zieleni. Robot strażnik odstąpił na bok i pozwolił Daali iść dalej samej.

Drzwi na końcu korytarza rozsunęły się, aby przepuścić ją do sali odwiedzin.

Ku jej rozczarowaniu wyglądała dokładnie tak samo jak te, które widywała przez całe życie na holodramach rozgrywających się w więzieniach. Całą jedną ścianę kwadratowego pokoju zajmowały boksy. Każdy z boksów był wyposażony w krzesło i stół, i oddzielony od innych ściankami. Boksy wychodziły na ścianę ze zbrojonej transpastali. Po drugiej stronie ściany, w wolnym świetle, stały identyczne stoliki i krzesła dla gości. Mniej więcej dwie trzecie boksów było zajętych.

Reszta pomieszczenia była zdominowana przez trzech ludzkich strażników i trzy roboty straży.

Daala zgłosiła się do robota stojącego najbliżej drzwi.

- Admirał Natasi Daala - zameldowała. Nie chciała używać swojego numeru więźnia, a dyrektor więzienia, może na znak szacunku, nie próbował w żaden sposób dyscyplinować jej za to uchybienie.

Musi o tym pamiętać. Dyrektor odwiedził ją tylko raz i okazał jej całkiem przyzwoity, choć nieprzesadny szacunek. Stał po bardzo cienkiej linii pomiędzy wykonywaniem obowiązków a okazywaniem współczucia i Daala doceniała zarówno jego zręczność, jak i uczucia. Kiedy wróci na stanowisko, będzie musiała przyjrzeć się temu człowiekowi i jego kartotece.

Robot wskazał jej jeden z boksów.

- Numer sześć.

Usiadła pod numerem szóstym. Jej gość już tam był: prawnik Otha Tevarkian.

Tyle że to nie był on. Jego podobieństwo do Tevarkiana było uderzające. Tak samo miał około sześćdziesiątki i jasne włosy, które właśnie zaczęły rzednąć. Jego ubranie było ciemne, kosztowne, ale dyskretne, identycznie jak u prawnika Daali. Teczka, którą położył przed sobą na blacie, również należała do Tevarkiana albo była identyczna - miękka, srebrnobłękitna, z zatrzaskami, które teraz były odpięte. Twarz mężczyzny była jednak inna: odrobinę mniej pobrużdżona, o nieco gładziej skórze. Jego oczy miały ciemniejszy odcień błękitu.

Daala przyjrzała mu się.

- Nie mam pojęcia, kim pan jest - powiedziała.

Mężczyzna uśmiechnął się, wyjął z teczki datapad i położył go obok transpastalowej bariery.

- Otha Tevarkian przesłał wiadomość mojemu pracodawcy, który polecił mi, abym panią dzisiaj odwiedził. Mamy porozmawiać o ewentualnej ucieczce.

Ciało Daali przeszedł lekki dreszcz, jakby wstrząs elektryczny. Umiała jednak zachować sabakową twarz. Teraz postanowiła nie okazywać emocji.

- Słucham pana.

Falszywy prawnik się uśmiechnął.

- A więc problem z więzieniami jest taki, że nawet instytucje o najwyższej skali bezpieczeństwa mają swoje słabe punkty. Wynika to albo z zawyżonych kosztów budowy i utrzymania, albo z obyczajów politycznych. Na przykład ta sala. - Gestem objął zarówno strażników za plecami Daali, jak i odwiedzających po lewej i prawej stronie. - Jest zlokalizowana bardzo blisko jednego wyjścia z tej instytucji, a to dlatego, że badania wskazują, iż więźniowie odczuwają większy komfort psychiczny, jeśli otrzymują systematyczne wsparcie od rodziny i swoich bliskich, oni zaś z kolei chętniej ich odwiedzają, jeżeli nie odczuwają przy tym dyskomfortu. Ze względów bezpieczeństwa byłoby znacznie lepiej, gdyby salę odwiedzin zlokalizowano jak najdalej od granic więzienia. W praktyce jednak odwiedzin jest więcej, jeśli

odwiedzający mogą swobodnie wchodzić i wychodzić. - Falszywy prawnik wzruszył ramionami, jakby mówiąc „Tak to już jest”.

Wyjął z teczki stosik dokumentów na arkusikach flimsi. Wydawały się grubsze i sztywniejsze, niż na ogół kartki z tego materiału.

Falszywy Tevarkian zauważył jej pytające spojrzenie i domyślił się, o co chodzi.

- Są laminowane, a dzięki temu trwalsze.

- Aha.

- Właśnie o to chodzi. - Odwrócił jeden z arkusików drukiem w stronę Daali, przycisnął do transpastali w okolicy jej głowy i wygładził. Flimsi przykleiło się do szyby. - Za kilka minut to zdejmę, ale kiedy to zrobię, warstwa laminatu zostanie na powierzchni. I tu właśnie dochodzimy do problemu oszczędności, który nęka nasze więzienia. Holokamery obserwujące to pomieszczenie nie są najlepszej jakości. Ani one, ani ich operatorzy nie zobaczą laminatu przyklejonego do transpastali. - Przyłożył drugi arkusik obok pierwszego.

Daala spojrzała na dokumenty. Jeden był kopią zarzutów, które wysunięto przeciwko niej, kiedy postawiono ją w stan oskarżenia. Drugi był pierwszą stroną protokołu z jej przesłuchania.

Mogła utrzymać beznamiętny wyraz twarzy, mogła sprawić, że jej głos nawet nie zadrżał, ale nie mogła powstrzymać szalonego bicia serca. Zaraz rozpocznie się bitwa.

- Rozumiem, że laminat jest pokryty jakimś tworzywem...

- Nie mogę użyć jego nazwy, bo jeśli receptory słuchowe robota strażnika wychwycą to słowo...

- Rozumiem.

- To całkiem nowa substancja, niezwykły, krystaliczny materiał do robienia bum-bum.

Wyjął trzeci dokument.

- Z pewnością w takich ilościach, w jakich znajduje się tutaj, jego moc nie jest, hm... większa od wytrzymałości transpastali - zauważyła Daala.

- Nie całkiem. Jak zwykle, problemy kosztów budowy dają się we znaki. Taka ilość wystarczy, aby wyrwać transpastal z ramy. - Spojrzała na nią niewinnie. - Można w ten sposób wtargnąć do wnętrza domu. Jeśli wzmacnia się posiadłość przed włamaniem, zbroi się iluminatory i drzwi. Ale ściany pozostają delikatne. Wystarczy znaleźć słaby punkt i go wykorzystać.

- Dokładnie jak w taktyce wojskowej.

- Właśnie... za minutę nie będzie nas już nic dzieliło. A więzienie natychmiast zostanie odcięte od świata.

Falszywy prawnik ułożył na transpastali pięć kawałków flimsi. To był już cały stosik. Zaczął je zdejmować, ostrożnie odrywając od tafl. Daala widziała jednak prawie niewidoczne prostokątne płyty tej dziwnej substancji, które pozostały na szybie.

- Przepraszam, ale czegoś tu nie rozumiem. Odcięcie wyjść chyba nie ułatwi nam opuszczenia tego miejsca.

Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Zdarzają się przypadki, kiedy więzienie nie zostaje zamknięte, choćby nie wiem co się działo.

- Niemożliwe.

- Pani myśli o więzieniach wojskowych, a w ich przypadku rzeczywiście tak jest. Ale to jest więzienie cywilne. No więc jakie to przypadki?

Pokręciła głową.

Dotknął grzbietu datapada, a potem tym samym palcem dotknął pierwszego dokumentu. Daala zobaczyła coś, czego żadna z więziennych holokamer nie byłaby w stanie wyłapać - prawie przezroczyste włókno, które ciągnęło się od grzbietu datapada aż do laminatu przyklejonego do szyby.

Falszywy prawnik przez moment trzymał palec nieruchomo, po czym go cofnął. Włókno pozostało.

- Proszę myśleć logicznie, pani admirał. Odcięcie spowodowałoby zablokowanie wszystkich wyjść. Wentylacja także by się wyłączyła.

- I tak właśnie być powinno.

- Owszem... ale jeśli gmach zaatakuje się trującym gazem, wyłączenie wentylacji spowoduje śmierć wszystkich wewnątrz.

- Pański pracodawca na pewno nie użyje gazu trującego...

- Jeśli jakaś katastrofa spowoduje zanieczyszczenie żywności i wody, a więzienie jest odcięte od wszelkiej pomocy, blokada wyjść skazuje na śmierć zarówno więźniów, jak i załogę. A zatem, na mocy ustaw pochodzących z czasów reform Nowej Republiki, więzienie w takiej sytuacji nie może zostać odcięte. Trzeba polegać na personelu, jeśli chodzi o utrzymanie bezpieczeństwa.

Daala spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jesteśmy w sercu Coruscant. Tego więzienia nie da się odciąć od wszelkiej pomocy.

- Tak jak budynek Senatu nie może zostać zaatakowany przez Yuuzhan Vongów bez wiedzy wojskowych, że taki atak ma nastąpić. A jednak coś takiego się właśnie zdarzyło tego dnia, kiedy miała pani tak poważne problemy. - Falszywy prawnik zdążył połączyć niemi wszystkie pięć arkuszy laminatu.

Daala ukryła twarz w dłoniach.

- Stosuje się standardowe procedury operacyjne.

- Właśnie! Wszystkie więzienia prowadzone przez Departament Więziennictwa Sojuszu Galaktycznego, dla uproszczenia i oszczędności kosztów, stosują ten sam podstawowy system komputerowy, który musi obsługiwać i gigantyczny zakład w sercu Coruscant, i nędzny posterunek na odległym księżycu w okolicy Dathomiry. Ten sam program, te same kody awaryjne.

Umieścił dokumenty w teczce i zamknął ją.

- Za chwilę przycisnę guzik na tym datapadzie. Po pięciu sekundach zautomatyzowany sygnał dotrze do kogoś, kto pracuje w Departamencie Więziennictwa i bardzo mocno wierzy, że powinna pani wrócić na czoło Sojuszu. Osoba ta stworzyła automatyczny kod, który będzie przekazany z bezpiecznego nawet od hakerów komputera sterującego w siedzibie rządu. A wtedy system tego więzienia otrzyma informację, że właśnie padło ono ofiarą ataku gazem trującym, a w dodatku zostało odcięte od wszelkiej pomocy przez atak Yuuzhan Vongów. - Wzruszył ramionami. - Mój pracodawca uznał, że użycie na Jedi bicza, który niedawno sami ukrećili, będzie aktem sprawiedliwości.

- A więc po tych pięciu sekundach... bum-bum?

- Bum-bum. Muszę powiedzieć, że miło się słucha dzieciennego języka w ustach prawowitej przywódczyni Sojuszu Galaktycznego.

Spojrzała na niego gniewnie, trochę dlatego, że uwaga była niestosownie osobista, ale chodziło też o to, że wciąż parę spraw pozostało nierozwiązanych.

- Ale to nie posuwa mnie ani o krok dalej - zauważyła. - Wciąż jeszcze strażę i pancerze dzielą mnie od wolności.

- Od tej pory sprawy przejmuje mój pracodawca. Zapewniam panią, że natychmiast po bum-bum nie będę wyglądał tak jak teraz, nie będę nosił identyfikatora, z którym tu wszedłem, nawet moje odciski palców i wzór siatkówki nie będą już należały do Tevarkiana. A tak przy okazji... proszę pamiętać, że większość siły bum-bum będzie skierowana w pani stronę.

Falszywy prawnik wcisnął przycisk na datapadzie.

- Pięć.

Daala spojrzała na niego. Nie miał zamiaru wstać.

Nagle zrozumiała. To był *Refleks*, klasyczna gra dla dzieci, poszukiwaczy mocnych wrażeń i taktyków wojskowych w całej galaktyce. Każdy gatunek, każda kultura znała *Refleks*. Czasem nazywano tę grę *Unikiem*, czasem nadawano jej nazwę najbardziej wojowniczego gatunku miejscowego zwierzęcia, ale podstawowe zasady pozostawały zawsze takie same: dwa śmigacze albo dwa pojazdy wojskowe, albo dwóch sportowców rzucało się na siebie tak, że gdyby się zderzyli, rezultat byłby co najmniej bardzo kosztowny, a w najgorszym przypadku oznaczałby wzajemne zniszczenie. Zwykle jedno z nich robiło unik przed samą katastrofą. Zwyciężał ten drugi.

Daala nie mogła powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Trzy.

Zaczęła bębnić palcami po blacie.

- Dwa.

Trzeba przyznać, że fałszywy prawnik wcale nie wyglądał na zdenerwowanego. Upływały milisekundy, wewnętrzny niepokój Daali narastał, a on wciąż siedział przed nią z uśmiechem. I nagle w jednej chwili znikł, chowając się pod blat.

Wolną ręką, tą, którą nie bębniła po blacie, Daala odepchnęła się i upadła na podłogę.

ROZDZIAŁ 36

W przeciwieństwie do Daali Tahiri weszła do sali odwiedzin w towarzystwie swojego strażnika robota. Droid nadzorujący salę skierował ją do boks numer jeden, najdalszego od wejścia. Robot ZYV zajął pozycję w pobliżu wejścia, a ona poczłapała do swojego boks. Minęła Daalę, która wydawała się bez reszty pogrążona w rozmowie z dobrze ubranym blondynem.

Eramuth Bwua'tu czekał na Tahiri z drugiej strony szyby. Obdarzył ją krzepiącym, nieco wilczym uśmiechem. Usiadła, ale nie odpowiedziała na uśmiech.

- Witaj, moja droga. - Bwua'tu uniosł kosmatą brew, patrząc na jej kajdanki paralizujące. - Pracuję nad sposobem, aby cię od nich uwolnić. Oczywiście, ma to niższy priorytet niż wniosek o unieważnienie wyniku twojego procesu albo żądanie nowej rozprawy, ale działam dla ciebie na wszystkich możliwych frontach.

- Dziękuję. A jakie są szanse?

- Nie jest to kwestia szans, lecz czasu. Zwycięzimy. Im dłużej jednak Zakon Jedi zajmuje stanowisko prezydenta, tym więcej żalów powoduje ta sytuacja w szeregach zwykłych urzędników i tym dłużej będzie trwać walka o sprawiedliwość.

- To nie za dobrze rokuje, jeśli chodzi o moje szanse przeżycia. Uczciwie mówiąc, jeśli nie zdołamy załatwić nowego procesu przed moją egzekucją, nie ma się co fatygować.

Bwua'tu pokręcił głową.

- Unieważnimy wyrok śmierci, obiecuję.

- Który? Ten wydany przez sąd, czy ten, który czeka na kogoś, kto siedzi zamknięty w więzieniu z kryminalistami, skoncentrowanymi na nienawiści do Jedi?

- Czujesz się zagrożona?

Westchnęła.

- Pewnie nie bardziej niż inni tutejsi więźniowie. Tylko że kajdanki zmniejszają moje możliwości samoobrony, a jeśli Moc nie zdąży mnie ostrzec, mogę zarobić śmiertelny cios równie łatwo, jak kto inny. - Spojrzała na Bwua'tu, wyczuwając, że nie udało jej się ukryć nastroju rezygnacji. - Nie chcę tego... ale może moim przeznaczeniem jest umrzeć tutaj.

- Nie bądź śmieszna. Mówisz tak, bo wpadłaś w depresję, co mnie nie dziwi. Musisz pamiętać o tym, co jest dla ciebie ważne, a odzyskasz ducha bojowego i instynkt przeżycia.

- Jasne.

Bwua'tu wyjął z kieszeni arkusz flimsi i rozłożył go na blacie przed sobą.

- Musimy przedyskutować kwestię procesu apelacyjnego. Powiem ci, jak zamierzam działać, a ty musisz zrozumieć moją taktykę, jeśli masz mi pomóc i zwiększyć szansę na uwolnienie. Mogę kontynuować?

- Proszę.

Tahiri próbowała się skupić, ale jej umysł nie ogarniał słów adwokata. Mówił o porządku przygotowania apelacji, o nieoficjalnym staraniu się o pomoc Zakonu Jedi, o przekonaniu dokumentalisty prowadzącego serial HoloWiadomości, jak wiele nieprawidłowości występuje w systemie sprawiedliwości, a więc on powinien odpowiednio przedstawić jej sprawę...

Wykorzystując urok Tahiri, pozwoli obywatelom lepiej zrozumieć, co się działo w czasie jej procesu, kiedy oni zajmowali się stratą „Zrodzonego w Ogniu” i zamachem Jedi. Tahiri kiwała głową i godziła się po kolei na każde zalecenie, zapominając jego szczegóły w chwilę później.

Nagle poczuła dotknięcie niepokoju poprzez Moc. Wzięła się w garść.

- Eramuth, padnij - poleciała.

Urwał w pół zdania.

- Co jest? - zaniepokoił się.

- Nie wiem. Niebezpieczeństwo. Padnij! Już!

Zwinny jak na swój wiek Bothanin padł na podłogę. Po prawej stronie Tahiri boks eksplodował. Fala dźwiękowa ogłuszyła ją na chwilę. Ze zniszczonego boks wydobylały się kłęby dymu. Roboty, stojące daleko, po bezpiecznej stronie holu, poleciały w tył i z trzaskiem runęły na podłogę. Pchnięte falą uderzeniową krzesło Tahiri zachybotło się, razem z nią przechyliło się na bok i upadło.

W powietrzu rozległo się wycie syren. Tahiri przetoczyła się na kolana, żeby się rozejrzeć.

Transpastalowy panel jednego z boksów był teraz wygięty do wewnątrz bezpiecznego obszaru, pozostawiając szczelinę, przez którą właśnie przeciskała się prezydent Daala.

Tahiri wytrzeszczyła oczy. Przecież to ucieczka!

Zerknęła szybko na Bwua'tu. Prawnik gramolił się z podłogi, chyba nieuszkodzony.

Znów spojrzała na szczelinę. Daala już się przez nią przedarła i upadła na podłogę po drugiej stronie, częściowo zasłonięta przez dym eksplozji.

Jeśli była to ucieczka planowana przez przyjaciół i podwładnych Daali, z pewnością tak się to nie skończy. Kobieta musi mieć zaplanowaną drogę opuszczenia kompleksu więziennego.

Spojrzała znowu na Bwua'tu. Wpatrywał się w nią uważnie. Kiedy pochwycił jego wzrok, pokręcił głową. Nie musiała sięgać w Moc, aby wiedzieć, co adwokat myśli: „Nie rób tego”.

Rzuciła się w stronę boks Daali...

...i upadła na twarz. Te kajdanki na nogach...

Moment zapomnienia uratował jej życie, kiedy w okno boks uderzyła fala ognia z miotacza. Z ciężkiego miotacza trzymanego przez droida bojowego ZYV. Droid nie przejmował się życiem osób otaczających Tahiri - wszystko wokół niej zalał ogniem, nie troszcząc się o innych więźniów, którzy z obłędem w oczach usiłowali odpelznąć w bezpieczne miejsce.

Tahiri z upadku gładko przeszła w przewrót. Zdławiła w sobie chęć skorzystania z Mocy w celu przyspieszenia ruchów. Kajdanki paraliżujące, które nosiła, zaprojektowane specjalnie dla Jedi, wykryłyby specyficzną aktywność mózgu i poraziłyby ją, całkowicie pozbawiając zdolności korzystania z Mocy, a przy okazji pewnie także przytomności.

Właściwie należało się spodziewać, że ktoś w nastawni i tak wyzwoli wstrząs w kajdankach, a Tahiri będzie bezradna.

Znalazła się na podłodze pod boksem Daali i podskoczyła, prześlizgując się przez szczelinę o wiele sprawniej niż przed chwilą Daala. Przytrzymała się górnej krawędzi boks i stopami naprzód wysunęła się na zewnątrz.

Droid ZYV przesunął ogień z szyby na jej stopy. Zachował się rozsądnie, chcąc zranić Jedi tak, żeby nie mogła uciec.

Decyzja droida nie była podyktowana żadną emocją, więc nie wywołała impulsu alarmowego w Mocy. Tahiri musiała polegać wyłącznie na wzroku. Jak tylko robot wycelował broń, błyskawicznie rozsunała nogi.

Ogień laserowy robota trafił idealnie w kabel łączący kajdanki na jej kostkach. Odrzut poderwał jej nogi w górę, ale kabel został przerwany - miała wolne nogi, a obwód, którym były zamknięte kajdanki, konieczny do zadziałania funkcji paraliżującej, został zniszczony.

Upadła na podłogę, na czyjś porzucony kaftan i blond perukę. Zignorowała je. Nie miała czasu się tym zainteresować. Ze złożonymi dłońmi wsunęła się w szczelinę, jak gryzoń wyglądający z norki, ukazujący najpierw głowę.

Droid ZYV był pół kroku dalej. Na jej widok wycelował i strzelił, reagując w ułamku sekundy.

Tahiri odsunęła się troszkę i maksymalnie rozstawiła ręce. I znów potężny promień lasera przeciął jej więzy. Kabel rozerwał się, ale strzał z miotacza trafił w prawą obręcz, paraliżując jej rękę aż do ramienia. Siła ataku odrzuciła ją w tył. Poczowała palący ból w nadgarstku, tam, gdzie laser osmalił jej skórę. Ale była teraz wolna - tak wolna, jak tylko można być w więzieniu planetarnym, z

robotami strażnikami i zbliżającym się nieuchronnie droidem ZYV.

Daala wgramoliła się na blat, spadła z niego na podłogę i rozejrzała się. Wszędzie leżały ciała odwiedzających, zwalonych z nóg przez wybuch. Krwi było bardzo niewiele - przegroda z transpastali w wielu miejscach oparła się eksplozji. Goście, którzy siedzieli dalej, przeważnie nawet nie upadli. Falszywy Tevarkian gdzieś przepadł.

Zauważyła go kilka metrów od siebie, na prawo. Nie miał już kaftana ani koszuli, teraz był ubrany w fartuch medyka, który widocznie miał pod spodem. Jedynie spodnie od garnituru i sylwetka przypominały człowieka, z którym przed chwilą rozmawiała. Poczłogała się za nim. Dym był gęstszy, ale na poziomie podłogi miała całkiem niezłą widoczność.

Po drodze natknęła się na spodnie i buty, zrzucone przed chwilą przez Tevarkiana. Teraz mężczyzna przed nią był ubrany zupełnie jak lekarz.

Dobiegł ją odgłos odległej eksplozji. Daala stwierdziła, że dochodzi zza ciężkich durastalowych drzwi, które wpuszczały odwiedzających do sali. Na razie były zamknięte, widać wybuch ich nie uszkodził.

Za jej plecami pojawił się gęsty, fioletowy dym, szybko rozprzestrzeniając się w powietrzu. Obejrzała się i stwierdziła, że wydostaje się z porzuconej teczki fałszywego prawnika, która stała w płomieniach. Do standardowego sygnału dołączyło się przenikliwe wycie alarmu biologicznego.

Daala uśmiechnęła się szeroko. Gdyby to nie było takie niebezpieczne, uznałaby całą akcję za niezłe przedstawienie.

Drzwi prowadzące z sali się rozsunęły. Po drugiej stronie, unosząc się w prawie pustym holu, wśród kłębow dymu wypływających z sali odwiedzin, płynęły nosze repulsorowe, wyposażone na jednym końcu w platformę, w sam raz dla pilota. Daala zauważyła, że fałszywy Tevarkian skręca w tamtą stronę. Podążyła za nim.

Z wyciem silnika raketowego wleciał do sali Boba Fett. Zawisł przed drzwiami, a strumień odrzutu z jego plecaka spowodował w zadymionym powietrzu silne turbulencje. Zieleń mandaloriańskiej zbroi ostro kontrastowała z szarym dymem.

Daala wytrzeszczyła oczy. Nie spodziewałaby się nigdy, że Fett ujawni się we własnej postaci. Był to powód do represji ze strony Jedi, którzy kontrolowali teraz urząd prezydenta. Ale pojawił się; unosił się w powietrzu, metodycznie obserwując salę odwiedzin. Daala musiała przyznać, że facet wiedział, co to znaczy dramatyczne wejście.

Droid ZYV dotarł do boks szóstego, kiedy Tahiri, leżąca kilka metrów od niego, sięgnęła w Moc. Wygięty arkusz transpastali, pod który wpełzła, odskoczył, uderzył droida jak młotem i odrzucił w głąb zabezpieczonego obszaru.

Wreszcie. Ma teraz przynajmniej dwie sekundy. Przetoczyła się i rozejrzała po pomieszczeniu, usiłując rozpoznać szczegóły w tłumie biegających gości, kłębach fioletowego dymu, wyciu alarmów...

Jednego się nie spodziewała.

Boby Fetta.

Na jego widok otworzyła usta i wytrzeszczyła oczy. Wpływał właśnie do sali na kolumnie ognia i dymu, dominując całą scenę. Drzwi za jego plecami były otwarte. Odwiedzający wybiegali przez nie, szukając ucieczki od chaosu i zagrożeń. Tahiri zerwała się i popędziła przed siebie, mijając słup odrzutu silnika Boby Fetta. Po drugiej stronie drzwi rozejrzała się, szukając panelu kontrolnego, w nadziei, że metalowe wrota uwiężą droida ZYV w sali odwiedzin. Ale panelu nie było, ani po jednej, ani po drugiej stronie.

Droid wstał i rzucił się w stronę boks szóstego. Wyraźnie miał zamiar przedrzeć się przez szczelinę.

Boba Fett pochylił się i ruszył do przodu. Mała rakietka wystrzeliła z jego plecaka i trafiła droida w tors. Na jego miejscu pojawiła się kula ognia, wściekle kipiąca czerwienią i żółcią. Tahiri

uskoczyła w bok, chowając się za tarczą, jaką zapewniło jej skrzydło drzwi. Pancerna ściana pomiędzy nią a eksplozją zadygotała.

Wyjrzała po chwili. Tam, gdzie stał niedawno droid ZYV, zionął dymiący krater. Nie wiedziała, czy robot ocalał; tak wielka eksplozja mogła go unieść i rzucić gdzieś dalej, nawet za inny poziom więzienia. W każdym razie znikł.

ROZDZIAŁ 37

Tahiri zobaczyła, że Fett wyleciał z sali. Tuż przed nią jakiś mężczyzna, ubrany jak lekarz, wskoczył na stanowisko kontrolne noszy repulsorowych, a w chwilę później kobieta w żółtym stroju więziennym znalazła się na tych samych noszach.

To była Daala.

Nosze ruszyły w ślad za Fettem.

Tahiri rzuciła się za nimi, sięgając w Moc, aby przyspieszyć, i szybko dogoniła nosze. Operator i Daala patrzyli przed siebie, nie spuszczać oczu z Fetta, więc żadne z nich jej nie dostrzegło. Tahiri chwyciła operatora za kołnierz tuniki i ściągnęła go z noszy. Od razu wskoczyła na jego miejsce i chwyciła za stery. Mimo zmiany operatora nosze nadal płynęły równo.

Hol był pełny fioletowego dymu, wrzeszczących ludzi i strażników pędzących w kierunku sali odwiedzin. Niektórzy celowali z miotaczy w nosze. Z góry odpowiedział ogniem Boba Fett, zmuszając ich do nurkowania na boki lub poszukiwania schronienia. Nosze przeleciały obok.

Tahiri nie mogła powstrzymać uśmiechu. Przyspieszyli prawie do prędkości śmigacza. To nie były standardowe nosze wprost z fabryki.

Minęli troje otwartych drzwi pancernych; za nimi widać już było światło dzienne. Nagle znaleźli się na spacerniaku. Ogień miotaczy z wieżyczek strażniczych skupił się na Bobie Fecie, ale Mandalorianin był zbyt zwinny i doświadczony, aby którykolwiek mógł go trafić.

A jednak... Tahiri ujrzała nagle, że jeden strzał trafia w sam środek jego napierśnika i wygina go, a miejsce trafienia staje się czarne. Fett przeturlał się w powietrzu, aż odpadła mu z hełmu antena, ale szybkość na tym nie ucierpiała. Zakończył obrót, odzyskał stabilność i pierwotny kierunek.

I nagle razem z noszami znalazł się za szeroko otwartą bramą wjazdową.

Fett skręcił w prawo i przyspieszył, Tahiri za nim. Wiedziała, że nie jest przyjacielem jej ani Jedi, a nawet byłych Jedi, ale widać było, że ma porządny plan ucieczki.

Po niecałych dwóch kilometrach szalonej jazdy, kiedy minęli przydługie rzędy drapaczy chmur, Tahiri zrozumiała, o co tu chodziło. Na platformie chodnika jeden poziom wyżej stał duży, obły kształt, okryty arkuszem srebrnego flimsi. Fett podleciał do niego pierwszy i wylądował obok. Złapał za pokrowiec i powoli ściągnął flimsi, odsłaniając charakterystyczny kształt „Niewolnika Jeden”, swojego osobistego pojazdu kosmicznego.

Tahiri podprowadziła nosze repulsorowe i wylądowała na chodniku o kilkadziesiąt metrów od „Niewolnika”. Gwałtownie zatrzymała pojazd.

Daala obejrzała się i już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale zorientowała się, że z tyłu nie siedzi ten, którego się spodziewała. Szczeka jej opadła.

Tahiri zeskoczyła z platformy operatora, uśmiechnęła się szeroko do Daali i zasalutowała drwiąco.

- Dzięki za uratowanie - rzuciła.

Przekroczyła barierkę chodnika i skoczyła w przepaść.

Dzięki Mocy skręciła kilka metrów w bok, dość, aby nogami odepchnąć się od ściany budynku obok. Po raz pierwszy ucieszyła się, że ma na sobie buty. Gdyby była boso, tak jak lubiła, kamienna powierzchnia muru obtarłaby jej stopy do krwi. Utrzymała nacisk Mocy, ześlizgując się w dół, by zaraz wskoczyć na tylne siedzenia otwartego czarnopomarańczowego śmigacza rodzinnego.

Pilot i siedzący obok pasażer, obaj Sullustanie, zagapili się na nią.

Tahiri zmierzyła ich twardym wzrokiem.

- Jestem zbiegłym więźniem federalnym, bardzo niebezpiecznym. Jeśli będziecie współpracować, przejadę się z wami kawałek i zniknę za kilka minut. Jeśli nie, zabiorę wasz śmigacz. Macie wolny wybór.

Kierowca zatrząkotał coś do niej w melodyjnym języku Sullustan i wzruszył ramionami.

Daala przechyliła się przez barierkę i spojrzała na Fetta.

- To była Tahiri Weila - powiedziała.

Nie odpowiedział. Wcisnął przycisk na przedramieniu, a przedni właz „Niewolnika” otworzył się powoli. Skinieniem nakazał Daali wejść do środka, zdradzając wyraźne zniecierpliwienie.

Podbiegła w stronę statku, kiedy nagle na jej drodze pojawił się młody, potężny mężczyzna. Pewnie rozpoznał jej więzienny kombinezon i wyobraził sobie, że czeka go nagroda. Już miał jej dopaść, ale kopnęła go kolanem w przyrodzenie, dołożyła w szczękę i zepchnęła z drogi półprzytomnego nieszczęśnika. Dotarła do Fetta.

Tylko że Fetta tam nie było. Za otwartym włazem „Niewolnika Jeden” widziała prawie puste wnętrze. Odkryła, że duraplastowa skorupa statku była zamocowana za pomocą kabli i rozpórek do najnowszego, bardzo sprawnego śmigacza.

Zbroja Mandalorianina po strzale z miotacza, uległa częściowemu spaleni. Nie mogła to być wytrzymała zbroja mandaloriańska najwyższej klasy, skoro oferowała zabezpieczenie mniej więcej na poziomie zbroi zwykłego szturmowca. Anteny także nie było w miejscu, gdzie zwykle się znajdowała, czyli na hełmie.

Daala wytrzeszczyła zdumione oczy.

- Kim ty jesteś?

Głos, który usłyszała, jednak niewątpliwie należał do Boby Fetta.

- Wsiadaj, jeśli chcesz uciec.

Wsiadła.

Ledwie „Niewolnik” uniósł się w powietrze i przyspieszył, w zasięgu wzroku pojawił się pierwszy śmigacz pościgowy Służb Bezpieczeństwa. „Niewolnik” natychmiast zanurkował, ignorując pasy ruchu. Zniżając lot, jednocześnie nabierał prędkości.

Śmigacz ochrony, który podążał za nim, także zanurkował. Pilot, Ortolanin o niebieskiej, pokrytej futrem skórze, uruchomił zewnętrzny komunikator:

- „Niewolnik Jeden”, jesteście otoczeni. Zwolnijcie i przygotujcie się do wpuszczenia nas na pokład... albo zostanieie zniszczeni.

Jego partnerka, kobieta o włosach równie niebieskich, jak futro Ortolanina, podawała mu przez komunikator lokalizację, kurs i prędkość.

Pilot wyszedł z nurkowania. Pilotował jeden z najszybszych i najpotężniejszych śmigaczy Służby Bezpieczeństwa w okolicy - nie było innego wyjścia, jeśli chciał być użyteczny w pościgu, skoro ważył trzy razy więcej niż przeciętny człowiek - więc manewr wychodzenia z nurkowania wcisnął go głęboko w fotel.

„Niewolnik” nie zwolnił, ale i nie przyspieszył, żeby uciec prześladowcy. Po prostu leciał przed siebie, unikając kolizyjnych kursów tak niezdarnie, że Ortolanin uznał to za zastanawiające. W końcu znał reputację tego statku.

Do pościgu przyłączyły się kolejne śmigacze, otaczając „Niewolnika” ze wszystkich stron. Było ich chyba z tuzin.

Wreszcie pilot uznał, że dość tego. „Niewolnik” zszedł na pierwszą platformę lądowniczą, dość dużą, aby go pomieścić. Wylądował niezgrabnie; podskoczył przy tym, kołysząc się na wietrze, omiatającym wieżowce Coruscant.

Ortolanin wylądował tuż za nim. Razem z partnerką wysiedli, wyjęli miotacze i, asekurowani przez agentów bezpieczeństwa z innych śmigaczy, podeszli do statku.

Kiedy byli w odległości jakichś trzech metrów, otworzył się przedni właz.

Ortolanin zajrzał do środka. Ujrzał całkowicie puste wnętrze, a pod nim śmigacz powietrzny o godnych pozazdrosczenia parametrach, za którego sterami siedział opancerzony robot. Robot spojrzął na niego i podniósł ręce do góry.

W pojeździe nie było nikogo poza nim.

Ortolanin westchnął tak ciężko, że cały kadłub się zakołysał.

- Złóż raport - polecił swojej towarzyszcze. - Ścigaliśmy makietę.

Kilka minut wcześniej, Daala, ubrana w obszerny płaszcz przeciwdeszczowy, który wyglądał trochę jak namiot, z popolicitą blond peruką na głowie, stała kilka metrów od makiety „Niewolnika” i obserwowała start statku. Obok niej stał Boba Fett, podobnie ubrany. Włożył kaptur, aby ukryć twarz, i z hełmem pod pachą także obserwował start. Patrzyli jak statek daje nura w permabetonowy kanion, ścigany przez potężny śmigacz Służb Bezpieczeństwa.

Fett pokazał jej ręką kierunek.

- Tędy.

Daala milczała, kiedy szli w kierunku zaparkowanego śmigacza, brązowego i tak niepozornego, jaki tylko można było znaleźć w modnym Coruscant. Fett zasiadł za sterami i wystartowali.

Wylądowali niedaleko, w niewielkiej firmie czarterowej, wynajmującej małe pojazdy, i przesiedli się do wahadłowca klasy Lambda. Fett gestem nakazał Daali, żeby przejęła stery.

- Kurs jest już wyznaczony - powiedział. - Musisz go tylko przesłać, zaczekać na zezwolenie i wystartować.

- A ty gdzie będziesz?

- Idę się przebrać. - Przeszedł na rufę i zamknął za sobą włącz kabiny.

Daala postąpiła według instrukcji i w chwilę potem znaleźli się na wysokiej orbicie nad Coruscant. Przystąpiła do drugiego etapu, który miał wynieść wahadłowiec poza studnię grawitacyjną planety. Wprowadziła go na odpowiednią trajektorię.

Fett wyłonił się z tylnego przedziału. Zostawił w nim plecak rakietowy, ale nie była to jedyna zmiana. Ślad po miotaczu znikł z jego napierśnika, a antena wróciła na hełm. Daala przyjrzała mu się uważnie. Teraz to rzeczywiście był prawdziwy Boba Fett.

- Chyba rozumiem, jak to zrobiłeś - powiedziała.

- Cieszę się. - Usiadł w fotelu drugiego pilota i pochylił się nad sterami, jakby sprawdzał kurs.

- Najpierw Boba Fett pojawił się w więzieniu, aby mnie uratować. Nic dziwnego, że przeraził strażę i wszystkich innych. Jednak dokładne sprawdzenie zapisów holokamer z ucieczki wykaże, że sprawca nosił fałszywą zbroję Boby Fetta. Wniosek będzie oczywisty: to nie był prawdziwy Boba Fett.

Fett skinął głową.

- A w dodatku użyłem fałszywego „Niewolnika”. Robot, którego przystosowałem do pilotowania pojazdu, przechowa w pamięci zapisy, które wzmocnią to przekonanie. Amator, który na tych zapisach udawał Tevarkiana, też był przebrany.

- Nawet nie wiem, kiedy zastąpiła go Jedi Veila. Czy trafił w ręce straży?

- Nie. Meldował, że jest bezpieczny.

Daala odetchnęła z ulgą. Sama się dziwiła, że nagle zainteresował ją los kogoś, kto właśnie popełnił poważne przestępstwo i równie dobrze mógł być urodzonym kryminalistą.

- W ten sposób możesz gładko wyprzeć się wszystkiego i uniknąć wciągnięcia Mandalorian w spór z Jedi. Czy zmieniłeś też swój sposób poruszania się?

- Owszem. - Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. - Prawdziwy „Niewolnik Jeden” jest w systemie Coruscant, na orbicie najdalszej planety. Spotkamy się z nim i przeniesiemy cię w bezpieczne miejsce.

- Dziękuję. Czy warunki, które ci przekazałam, są wystarczające?

- Przeżyję.

Fett odchylił się do tyłu w fotelu.

- Zamierzasz walczyć o odzyskanie władzy politycznej?

- Tak, chcę odzyskać stanowisko przywódcy, Fett. Galaktyka potrzebuje przywódcy.

- Rozumiem... A więc dokąd mam cię zabrać, abys mogła zacząć?

Dała się zamyśliła. Zastanawiała się nad swoimi możliwościami. Myślała o sojuszach, które wiele lat temu lekkomyślnie odrzuciła. Właściwie była tylko jedna odpowiedź. Powiedziała Bobie jaka.

ROZDZIAŁ 38

Klatooine

Ubrany odpowiednio do klimatu i miejscowych zwyczajów, wyposażony w identyfikator, który przejdzie każdą pobieżną kontrolę, Querdan Dei stał dyskretnie przy wejściu do namiotu, w którym klatooiniańska kobieta sprzedawała zimne drinki i urządzenia chłodzące łatwowiernym pozaświatowcom. Dei kupował drinka co pół godziny, żeby właściciel nie protestował przeciwko jego nieustannej obecności.

Przed nim z jednej strony rozpościerał się szeroki pas piasku, a z drugiej stał największy namiot w obozowisku, kopuła godna cyrku. Było to miejsce przeznaczone na polityczne zgromadzenia, gdzie spotykali się przywódcy wielu rozmaitych, częściowo ze sobą współpracujących ruchów rebelianckich. Próbowali teraz przypodobać się Sojuszowi Galaktycznemu, zachowując jednocześnie przynajmniej pozory elementarnej niezależności. Wyglądało to jak taniec godowy - nieogoleni mężczyźni, starali się ściągnąć na siebie uwagę samicy, a jednocześnie pogłębić rywali.

Miejsce było dobrze chronione. Oprócz strażników, rozstawionych w równych odstępach wokół namiotu, Dei odkrył kopuły turbolaserów w czterech punktach. Wszędzie widział też roboty czujnikowe, jak również podejrzewał - sądząc z troskliwie nagarnianego przez robotników piasku - że dodatkowe czujniki, połączone w sieć, zakopano płytko pod ziemią. Gdzieś w pobliżu stał pewnie namiot ze stacją monitoringu, gdzie dane z tych wszystkich czujników są stale analizowane. Dei sądził, że wewnątrz głównego namiotu jest wyposażone także w tarcze, których pola ochronne nakładają się na siebie.

Pomiędzy Dei a wielkim namiotem, na pustym, piaszczystym terenie, obok obszaru chronionego przez strażników, hasała grupka obszarpanych dzieci, głównie klatooiniańskich. Bawiły się w lokalną grę, zwaną Powrót. Dei poznał jej zasady dzisiaj rano. Kapitan drużyny stał samotnie i rzucał okrągłą piłką do sprzymierzeńca wśród innych graczy. Odbierający musiał teraz spróbować podać mu ją mimo blokady przeciwników. Mógł rzucić ją także do każdego ze sprzymierzeńców, ale istniało niebezpieczeństwo, że zostanie przechwycona. Podczas takiego rajdu gracz mógł zostać przewrócony na ziemię i stracić piłkę. Jeśli przejmie ją członek drugiej drużyny, zostaje kapitanem na następny rzut. Strażnicy już dwukrotnie musieli przepędzać graczy w głąb strefy.

Wreszcie pojawili się politycy, na których czekał Dei. Rozpoznał oboje Solo oraz ich strażników z Sojuszu Galaktycznego... a co ciekawsze, kopulastego droida astromechanicznego i złotego robota protokolarnego, które odwiedziły statek Hapan zeszłego wieczoru. Dei był pewny, że oba należą do Solo. Oprócz tego było tam kilku ubranych w ciężkie szaty obcych o zakrytych twarzach. Idąc, rozmawiali z małżonkami Solo i ich strażnikami.

Dei zdecydował, że to musi być hapański kontyngent. Oddział ochrony Hapan otrzymał widocznie polecenie nieformalnego skontaktowania się z agentami bezpieczeństwa Sojuszu, co bardzo utrudniało obserwatorowi odróżnienie, kto jest kim.

Dei sięgnął pod kołnierz i, niedbale drapiąc się w szyję, wcisnął guzik komunikatora ukryty pod fałdami tkaniny.

Kiedy Solo i Hapanie weszli na pas czystego piasku, jeden z klatooiniańskich graczy w piłkę podszedł do obecnego kapitana, małego, czerwonego Twi'leka. Klatooiniańskie dziecko warknęło gniewnie, zabrało kapitanowi piłkę i pchnęło go na ziemię. Niedbale odrzucił piłkę, nie zwracając uwagi, w którą stronę rzuca. Piłka poleciała prosto na grupę polityków, upadła na piasek o kilka metrów przed nimi i potoczyła się dalej.

Politycy zareagowali tak, jak się tego spodziewał Dei. Najbliższa z zawołanych kobiet rzuciła się na piłkę. Pozostali, razem ze strażnikami Sojuszu, ustawili się przed Solo i trójką Hapan. Rozlokowali się tak, aby osłaniać ich przed atakami z innych kierunków.

Za to robot astromechaniczny, który znajdował się w samym środku grupki zawołanych osobników, potoczył się w kierunku jednej z Hapanek, a robot protokolarny podreptał i stanął tuż za nią, unosząc blaszane dłonie w niespokojnym geście. Kobieta, przed którą stanął droid astromechaniczny, odwróciła się i powiedziała kilka słów do robota protokolarnego - chyba go pocieszała, sądząc po gestach. Jednak Dei nie miał okazji przyjrzeć się jej lewej ręce.

Mały Klatooinianin podszedł do gości, przemawiając swoim warczącym językiem. Gestykulował, wskazując kobietę leżącą na piłce, ignorując gniewne okrzyki i protesty pozostałych graczy.

Niektórzy z polityków byli wyraźnie rozbawieni całą sytuacją. Kobieta wstała, otrzepując się z piasku, wyraźnie zażenowana, i kopnęła piłkę z powrotem do chłopca. Dzieciak podniósł ją i pobiegł do kolegów. Nie był już agresywny. Podał piłkę Twi'lekowi, którego przedtem uderzył.

Sytuacja rozwiązała się sama, więc większość członków grupy ruszyła w kierunku wielkiego namiotu. Inni rozstawili się wokół, strzegąc terenu.

Dei zainteresowało zachowanie robotów. Jeden z nich wyraźnie ruszył bronić jednej z Hapanek. Dlaczego nie chronił Solo, swoich właścicieli? Może dlatego, że stał dalej od Solo, a blisko Hapanki? A może po prostu zależało mu na jej życiu? Istniało prawdopodobieństwo, że Hapanką, którą chciał osłaniać, była Tenel Ka, przyjaciółka obojga Solo. Dowodziło to niezwyklej odwagi robota; gorzej było z jego rozsądkiem. Nie powinien zdradzić tak łatwo tożsamości Tenel Ka.

Dziwne też się wydawało, że Tenel Ka tak się troszczy o roboty. Hapańska królowa, która martwi się robotami? W głowie Deia zaczął kiełkować pewien plan.

Zwlekał z odejściem spod namiotu, kupił kolejny zimny napój. Gra w piłkę toczyła się jeszcze przez chwilę, po czym dzieci zaczęły się rozchodzić w poszukiwaniu innych rozrywek. Wreszcie na placu pozostał jedynie chłopak, który rzucił piłkę w stronę Hapan.

Teraz przerzucał ją z ręki do ręki, aż w końcu upadła i potoczyła się w kierunku Deia. Sith postawił na niej stopę, podważył czubkiem buta, podrzucił i chwycił. Kiedy chłopiec się zbliżył, Dei podał mu piłkę, a wraz z nią dyskretnie wręczył kilka monet kredytowych o wysokiej wartości. Z aprobatą pokiwał głową.

- Dobra robota. Jeśli znów cię będę potrzebował, na pewno się skontaktuję.

Chłopak obdarzył go drapieżnym klatooiniańskim uśmiechem i odszedł.

Allana spoglądała na wysoką postać, stojącą obok niej. Nie dość, że Javon grzecznie odpowiadał na pytania, to jeszcze rzucał bardzo porządy cień.

- Ile mamy czasu? - zapytała.

Javon sprawdził chronometr.

- See-Threepio będzie na „Sokole”, żeby odbyć z tobą kolejną lekcję, za czterdzieści trzy minuty, trzydzieści sekund... dokładnie!

Zaśmiała się. Javon nabrał zwyczaju podawania jej czasu co do minuty i sekundy, z przesadną dokładnością, jakby informacja, kiedy namiot sprzedający ciasteczka jagodowe przewiduje nową dostawę, była sprawą życia i śmierci.

Dzisiaj wszyscy ochroniarze Allany byli ubrani w pustynne stroje. Bez robotów, które się wszędzie wyróżniały, Javon uznał, że wszyscy przydzieleni do Allany powinni wmieszać się w tłum. Wyjaśnił dziewczynce, że stale tak samo się ubierając, mogliby ułatwić przeciwnikom

rozpoznanie i monitorowanie całej ich grupy.

Dzisiaj Allana poprowadziła go na kolejną wycieczkę po obozowisku. Niewiele tu było interesujących rzeczy dla ośmiolatki, ale włączenie się po okolicy było i tak lepsze, niż siedzenie kołkiem w „Sokole” i czekanie na kolejne lekcje.

Mniej więcej pośrodku obozu, którego kawałek otwartej przestrzeni służył za miejsce kłótni, debat i przemówień różnych ugrupowań, poczuła nagle dreszcz lęku. Zadrżała. Anji spojrzała na nią podejrzliwie, więc dziewczynka z nieobecną miną pogłaskała nexu, żeby ją uspokoić.

Co to było? Allana rozejrzała się wokół w poszukiwaniu ukrytego wylotu klimatyzacji, który dmuchnął w jej stronę strumień zimnego powietrza, kawałka odsłoniętego kabla elektrycznego, którego mogła dotknąć i poczuć mrowienie. Ale wokół nie było niczego takiego.

Zauważyła za to mężczyznę, który oddalał się z głową pochyloną jakby w zadumie. Miał na sobie podobny strój, jak wszyscy wokół, anonimowy i praktyczny. Był wysoki i szczupły, zapewne człowiek, choć z tyłu, i nie widząc jego rysów osłoniętych kapturem, trudno było powiedzieć coś na pewno.

Przypominał jej nieco ojca: samotny, zdecydowany i... tak, odrobinę mroczny.

Może właśnie to porównanie ją przestraszyło. Lekkie ukłucie w Mocy powiedziało jej, że w tym człowieku jest coś, co powinno ją zaniepokoić.

- Amelio, coś nie w porządku? - Javon pochylił się nad nią, okrywając ją swoim cieniem.

Podniosła na niego wzrok i pokręciła głową.

- Myślałam o czymś. Chodźmy tędy. - Nie dając mu czasu na zastanowienie, rzuciła się w boczną, wąską alejkę między blisko ustawionymi namiotami, po czym skręciła pod kątem prostym i poszła w tym samym kierunku, w którym szedł tamten mężczyzna.

Javon dotrzymywał jej kroku. Słyszała, jak mruczy wesoło do komunikatora, podając ich namiary innym członkom oddziału.

Allana dziarskim krokiem przemierzyła spory kawał obozowiska, po czym znów skręciła w prawo i zatrzymała się na skrzyżowaniu z główną drogą.

Już po kilku chwilach znów zobaczyła tę wysoką, zadumaną postać. Teraz mogła już stwierdzić, że rzeczywiście jest człowiekiem o jasnej skórze. Nie przypominał jednak jej ojca. Był starszy, o twarzy bardziej pomarszczonej. Wodził oczami za każdym, kto przeciął mu drogę, ale Allana nie sądziła, aby im się przyglądał. Raczej uważał na potencjalne zagrożenie.

Było w nim coś dziwnego. Nie wiedziała, czy to aura złego czarownika z dziecięcej holodramy, który nagle ożył, czy też zdradza obecność w Mocy. To drugie było bardziej prawdopodobne.

Dziadek i babcia zawsze wiedzieli, kiedy Allana się na nich gapiła, więc teraz nie powinna gapić się na tego człowieka. Spróbowała skurczyć się w Mocy w malutką kropeczkę, niegodną dostrzeżenia. Było to takie samo uczucie, jak przy grze w chowanego, ale pozbawione radosnego podniecenia samą grą. Allana otuliła się mocniej pustynnym płaszczem i dała znak Anji, żeby się nie oddalała.

Mężczyzna przeszedł obok. Spojrzał na nią, jakby rejestrował jej obecność, ale zaraz przeniósł wzrok na Javona i poszedł dalej.

Allana starała się nie dać niczego po sobie poznać, ale poczuła coś złego. Nagle wydało jej się, że to mężczyzna z jej koszmarów albo ktoś z nim spokrewniony. W dodatku wyczuła, że był silny Mocą. Umiała to poznać.

Javon odchrząknął.

Podniosła na niego wzrok.

- Ja tylko ćwiczę - zapewniła. Była to niemal prawda. To, co robiła, było właśnie ćwiczeniem w Mocy. Teraz próbowała utrzymać tę niewidzialność. Odwróciła się za obserwowanym mężczyzną i ruszyła za nim.

Starała się na niego nie patrzeć. Wiedziała, że na pewno poczuje na sobie jej wzrok.

Mężczyzna szedł na wschód, potem skręcił na południe i dotarł do obozu. Minął jego granicę i przeszedł obok jednego z wielkich generatorów pola na gaśnicach. Potem ruszył ścieżką wydeptaną przez wiele stóp, prowadzącą do łagodnego wzniesienia, które doprowadziłoby

wędrowców na szczyt wschodniego garbu.

Allana zatrzymała się na skraju obozowiska. Nie mogła iść dalej, byłoby to zbyt nieostrożne. Obserwowała, jak dziwny mężczyzna wspina się na zbocze i znika za garbem.

- Chyba muszę wracać na lekcję - zagadnęła Javona.

Spojrzał na chronometr.

- Masz jeszcze całe dwadzieścia minut.

- Nie szkodzi. Skończyłam się już bawić.

Han wszedł do wielkiego namiotu, unikając wzroku wpatrzonej w niego mieszanej bandy pracowników ochrony. Żadnemu z nich nie podobał się fakt, że Han nosi miotacz na biodrze i ma reputację osoby, która umie się nim posługiwać. Żaden z nich nie cieszył się także, że jakkolwiek członek delegacji mógł przynieść miotacz na zebranie. Jednak widocznie nikt jako tako niezależny nie zamierzał rozstawać się z bronią, a to z kolei podobało się Hanowi.

Zajął miejsce obok Leii, próbując siedzieć prosto. Oczywiście, zawsze wolał rozłożyć się niedbale, skoro miał ku temu okazję, ale nie zawsze wypadało. I to był właśnie jeden z takich momentów.

Tenel Ka omawiała kolejny punkt umowy.

- Zgoda, Padnel... każdy polityk Sojuszu i każdy przywódca Jedi może być w dowolnym momencie zastąpiony przez innego. Nowy członek rady mógłby teoretycznie zanegować wszystko, co zaproponował usunięty przedstawiciel. Dlatego ani Jedi Solo, ani ja nie chcemy na razie niczego ustalać. Ale i my, i każdy przywódca z jakimkolwiek doświadczeniem musi rozważyć czynniki polityczne i społeczne. Wciąż jeszcze istnieje tendencja korzystna dla ruchów wolnościowych, dla zmniejszenia wpływu wyzyskujących niewolników ras i korporacji. Takie ruchy są po prostu nie do uniknięcia.

Padnel pokręcił głową.

- Jest tylko jeden sposób na postęp w tych sprawach. Odebrać przysięgę honoru od wszystkich zaangażowanych... i zabić tych, którzy ją złamią. To nauczy następne pokolenia, aby nie łamały słowa. Jeśli ktoś nie zechce złożyć takiej przysięgi, to znaczy, że zamierza zachować sobie możliwość wycofania się.

Leia spróbowała z innej strony.

- To ciekawa interpretacja... i bardzo klatooiniańska. Ale nie wszyscy uczestnicy tych negocjacji są Klatooinianami. Nawet jeśli wszyscy mówią w basicu, język polityki jest zależny od kultury.

- Więc trzeba sprawić - głos Padnela zniżył się do głuchego warkotu - żeby wszyscy mówili tak, jak Klatooinianie.

Cichy dzwonek oznajmił przerwę na południowy posiłek. Han zauważył ulgę na twarzach wielu uczestników. Widocznie wszystkim był potrzebny odpoczynek od tej jałowej dyskusji.

Wszyscy zaczęli wstawać, parami i w niewielkich grupkach, i wychodzić z namiotu. Padnel trzymał się z Reni Coli i swoją doradczynią w jednym kącie. Przy stoliku dla negocjatorów zostali tylko Han i Leia.

Han nachylił się w stronę żony i zniżył głos do szeptu.

- Nie za dobrze, co?

- Przeciwnie, uwielbiam pracować z Padnelem Ovinem. To dobrze robi naszemu małżeństwu. Z minuty na minutę utwierdza mnie w przekonaniu, że to nie ty jesteś najbardziej upartym człowiekiem w galaktyce.

Skrzywił się żartobliwie.

- A kto mówi, że nie jestem?

- Han...

- Słonko, przez większą część ostatniej dyskusji byłem nieobecny. Wydaje mi się, że chwytam, co się dzieje, ale wolałbym wiedzieć na pewno. No, zrzuć to z serca.

- Niech będzie. - Leia spojrzała na grupę Padnela. - Klatooine to miejsce ruchów

wolnościowych, dzięki którym prawdopodobnie ich świat będzie można wcielić do Sojuszu. W ten sposób dąży do zrozumienia innym takim ruchom, że są traktowane poważnie, i wskażemy drogę do legalizacji. Jednak tutejsza Rada Starszych potrzebuje kogoś, kto zyska poparcie społeczne, reprezentanta lub reprezentantkę; kogoś, kto stanie się oficjalnym sprawcą tej zmiany w dotychczasowej polityce. Chodzi głównie o ścisłe przestrzeganie dawnego traktatu z Huttami, traktatu, który nie ma klauzuli wyjścia. Muszą mieć pretekst, żeby powiedzieć: „Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy pójść za tym wspaniałym przywódcą”. Problem w tym, że dwaj kandydaci na to stanowisko nie są zbyt porywający. Reni Coli jest dość sprytna, aby rządzić organizacją i podejmować stanowcze decyzje, jak prawdziwa przywódczyni, ale brakuje jej charyzmy. Padnel za to ma charyzmę, ale trzyma się ślepo pewnych teorii, które dyskwalifikują go w oczach wielu potencjalnych stronników. Jeśli się zachowa jak dalekowzroczny polityk i potępi działania swojego brata na „Zrodzonym w Ogniu”, straci najważniejszych stronników wśród Piaskowych Panter. Zrobi to tylko wtedy, jeśli niektóre ze stron złożą przysięgę krwi, na którą liczy. A nikt mu takiej przysięgi nie złoży.

Han skinął głową.

- Więc skłaniasz się ku Padnelowi, ale tylko w przypadku, gdy wyhodzi mu się kręgosłup.
- Szczerze mówiąc... tak.
- Dobra, załatwię to.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Wrzucenie bomby do obozowiska raczej nie załatwi sprawy.

- Chodzi mi o to, że potrafię przekonać Padnela, aby potępił sprawę „Zrodzonego w Ogniu” i dzięki temu stał się dobrym kandydatem. Niewykluczone zresztą, że mu odbije i pomorduje wszystkich obecnych. Tak czy owak, wszystko się rozwiąże.

Przyjrzała mu się uważniej.

- Jak zamierzasz to zrobić?

- Cóż, gdybym ci powiedział, i tak mi nie uwierzysz. Po prostu to zrobię, a zajmie mi to mniej niż pięć minut.

- Han...

- Leia, zaufaj mi.

- Daj spokój. Jak możesz w ogóle mówić o zaufaniu i to w takiej chwili?

- Mówię poważnie, naprawdę. - Mrugnął do niej.

- Przestań. - Spojrzała na niego srogo, z tą samą oburzoną miną, z którą tak bardzo jej było do twarzy w więzieniu i podczas ucieczki z pierwszej Gwiazdy Śmierci, wiele, wiele lat temu. Wreszcie złagodniała. - Niech ci będzie. Zrób to.

Wstał, uśmiechnął się zawadiacko i podszedł do bufetu. Wybrał szczególnie apetyczny okrągły owoc i podszedł do grupy Padnela.

Padnel, Reni i Nialle podnieśli wzrok.

Han ugryzł kawałek owocu i z zadowoloną miną przełknął.

- Kiepsko idzie, co? - zagadnął.

Padnel burknął coś w odpowiedzi.

- Zdaje się, że rozwiązałem wasz problem.

Reni uniosła brew.

- A co to za problem?

- Odkryłem, że Padnel ma rozum piaskowej pchły.

Padnel wstał. Nie był wyższy od Hana, ale o wiele mocniej zbudowany. Onieśmielająca, potężna postać.

- Co powiedziałeś?

- Skup się, Padnel. Będę mówił drukowanymi literami. Masz rozum pchły piaskowej, i tak zostaniesz uwieczniony w historii. „Skazał Klatooinian na kolejne dwadzieścia pięć stuleci niewolnictwa, bo miał rozum pchły piaskowej”.

Padnel pokiwał głową, jakby po raz pierwszy wziął pod uwagę taką możliwość.

- Jeśli nie przeprosisz, to cię zabiję.

- Pchły piaskowe nie zabijają ludzi. Przemysłowcy zabijają ludzi.

- Wystarczy! - Padnel sięgnął do kabury.

Ale zamarł, kiedy miotacz Hana wbił mu się w pysk, odkształcając go. Han usłyszał cichy stuk, kiedy wypuszczony z ręki owoc spadł na podłogę namiotu. Kątem oka widział, jak Reni i Nialle wytrzeszczają oczy, ale nie wiedział, czy to z powodu zagrożenia, jakie stanowił miotacz, czy szybkości, z jaką go dobył.

Słyszał jeszcze inne odgłosy: skrzywienie krzesła Leii, kiedy wstawała. Szuranie metalu po skórze, kiedy ochrona wyciągała swoją broń. Jeden z nich odezwał się chrapliwie w basie:

- Opuść broń albo otworzę ogień.

Han odetchnął z ulgą, że nie usłyszał syku włączanego miecza Leii.

Zignorował mówiącego.

- A teraz możesz udowodnić, że masz więcej rozumu od pchły piaskowej. Twoja rywalka polityczna, Reni Coli, stoi obok ciebie. Wystarczy, że kichnie, a ten wielki facet z faflami i rusznicą laserową strzela do mnie. Ja w śmiertelnym spazmie skurczu pociągam za spust i rozwalam ci łeb. Umierasz. W ten sposób Reni popełni morderstwo doskonałe... i nikt jej nie posądzi o zbrodnię, za to stanie się niekwestionowaną kandydatką na przywódcę klatooiniańskich rebeliantów.

Padnel, z ręką znieruchomiałą w pół drogi do własnego miotacza, się skrzywił.

- Jak na starzejącego się człowieka masz niezły refleks.

- Prawda? Ale mam na to proste wyjaśnienie. Jestem starym, wrednym weteranem, a ty tylko niewolnikiem.

- Jeszcze jedna obelga i będę musiał cię zabić.

Han wyszczerzył zęby.

- Zdaje się, że Reni właśnie zbiera się na kichanie.

Reni pokręciła głową.

- Nigdy bym tego nie zrobiła. To by nie było uczciwe.

Padnel nie odwrócił głowy. Gdyby to zrobił, jego pysk wbiłby się jeszcze mocniej w lufę miotacza Hana. Spojrzał tylko z ukosa na strażników.

- Schować broń. Natychmiast - rozkazał.

Han skinął głową z aprobatą.

- Doskonale. Teraz coś ci wyjaśnię. Nie powiedziałem, że masz rozum pchły piaskowej dlatego, że go masz rzeczywiście, ale jako ilustrację mojej drugiej tezy: że jesteś niewolnikiem, którym istotnie jesteś.

- Wyjaśnij mi to.

- Z przyjemnością. Gdybym wszedł do tego namiotu godzinę temu i powiedział: rozkazuję ci wstać, sięgnąć po miotacz, nie dać rady go złapać i stać jak idiota, zrobiłbyś to?

- Nie.

- A jednak zrobiłeś. Właśnie cię do tego zmusiłem. Podszedłem tu z konkretnym zamiarem, a ty zrobiłeś dokładnie to, co chciałem, bo jesteś niewolnikiem. Jeśli można liczyć na to, że zrobisz pewne rzeczy, które ktoś ci poleci, to jesteś niewolnikiem. Robotem uruchamianym przyciskami. Uwierz mi, znam to. Sam byłem niewolnikiem w kopalniach przyprawy na Kessel, największej i najsłynniejszej kolonii niewolników w całej galaktyce. Piaskowe Pantery wiedzą, że nie potępisz tego, co zrobił Gruner, i to im odpowiada. Dzięki temu mogą dalej prowadzić walkę poza prawem, bo pod twoim przywództwem nigdy się nie zalegalizują. Ci z Rady Starszych wiedzą, że jesteś narzędziem w rękach Piaskowych Panter, więc nie staną za tobą, ale że bardzo chcesz dowodzić, będą mogli cię łudzić nadzieją i kazać ci tańczyć, jak zagrają. A wszyscy twoi oponenci polityczni muszą tylko zakwestionować twoją miłość do brata, żebyś stał się zupełnie bezradny. I w żadnej wersji tej historii nie wyrastasz na wolnego człowieka.

Padnel wbijał w niego wzrok przez kilka długich sekund, po czym przemówił:

- Odłóż miotacz.

Han cofnął broń, okręcił na palcu i wsunął do kabury.

- Zabijesz mnie teraz?

- Powiniennem to zrobić. - Padnel odwrócił się jednak i ruszył w kierunku wyjścia z namiotu.

Z jego sztywnej postawy emanowała wściekłość. Kiedy Nialle i jego strażnicy chcieli ruszyć za nim, zatrzymał ich machnięciem ręki i odszedł sam.

Reni odetchnęła głęboko i spojrzała na Hana. Miała minę gracza w sabaka, któremu blefem odebrano bank.

Han podszedł do Leii i stanął obok niej. Wydawała się spokojna, ale Han widywał już tę jej zrównoważoną, czujną minę wiele razy. Oznaczała, że tylko ułamki sekundy dzielą ją od wyciągnięcia miecza i użycia go.

Uśmiechnął się do niej.

- Zjemy coś?

Wyszli razem na słońce.

Leia spojrzała na niego w zadumie.

- Jeśli dobrze zrozumiałam to, co się wydarzyło, to właśnie wymanewrowałeś Padnela.

Skloniłeś go, aby sprzeciwił się ludziom, którzy prawdopodobnie manipulowali nim przez cały czas. A w tym celu musi potępić zniszczenie „Zrodzonego w Ogniu”. Sprytnie go przekonałeś, że tylko w ten sposób może udowodnić swoją niezależność.

Han skinął głową.

- Mniej więcej o to mi chodziło.

- Ale w jaki sposób to zadziałało?

- Nie znam mężczyzny powyżej pewnego wieku, albo poniżej pewnego ilorazu inteligencji, który zniósłby, że ktoś nazywa go małym chłopcem trzymającym się mamusinej spódnicy. Sam się na to dałem nabrać wiele razy. Luke mi to robił, ty mi to robiłaś... więc wiedziałem, że mogę to zrobić Padnelowi. W końcu naprawdę ma rozum pchły piaskowej.

- Przyłącz się do mnie, Han, i będziemy mogli wspólnie rządzić galaktyką.

Otrząsnął się.

- A może zamiast tego zjemy lunch z Allaną?

- Chętnie.

ROZDZIAŁ 39

Baza Herkan, obrona kosmiczna NovaGun Golan III, ponad Nam Chorios

Na stacji nowa zmiana artylerzystów wyszła z wahadłowca przez służbę. O kilka metrów od pierwszego pomieszczenia znajdowało się stanowisko ochrony, właściwie małe biurko blokujące pół korytarza. Siedział za nim znudzony kapral Armii Sojuszu, machający skanerem nad identyfikatorami i kartami przydziału, przedstawianymi przez każdego członka załogi.

Jedna ze zmienników, młoda, szczupła kobieta o rudawych włosach, upchniętych pod czapkę wojskową, przyklękła, aby poprawić zapięcie przy prawym bucie. Zanim wstała, pozostali członkowie załogi minęli biurko.

Podeszła do kaprala, ale nie wręczyła mu żadnych kart do skanowania.

Spojrzał na nią i ustalił rangę.

- Gdzie wasz przydział, szeregowa?

Machnęła wdzięcznie ręką, jakby chciała powiedzieć, że nie wie. Kiedy przemówiła, jej głos okazał się niski i ciepły.

- Nie musisz skanować mojego przydziału.

- Nie muszę skanować twojego przydziału.

- Jestem tutaj ze specjalnym zleceniem, jeśli mnie zatrzymasz, generał będzie zły.

- Generał będzie zły.

- Właściwie lepiej będzie, jeśli zapomnisz, że mnie widziałeś.

Skinął głową, patrząc na nią pustym wzrokiem.

- Będzie lepiej.

Jysella minęła go i odetchnęła z ulgą. Czekanie przez wiele dni na stacji Koval, zbieranie informacji na temat systemu pracy zmianowej platformy artyleryjskiej i miejscowych zabezpieczeń wreszcie przyniosły owoce. Teraz była na platformie i na razie nie została wykryta.

Przy odrobinie szczęścia i zręczności uda jej się wypełnić swoją misję i wygrać w każdym starciu, które mogłoby zagrozić prawdziwemu Zakonowi Jedi.

Kryształowa Dolina

Luke leżał na brzuchu na wydmie z krystalicznego piasku, dochodzącej do obrzeży miasta Kryształowa Dolina, i obserwował ją przez makrolornetkę. Fioletowe promienie słońca nie przynosiły ulgi, piasek sprawnie i szybko wysysał ciepło z jego ciała pomimo izolujących warstw odzieży.

Opuścił makrolornetkę.

- Standardowy budynek stacji pomp mniej więcej w jednej trzeciej odległości. Większość wejść na niższym poziomie. Wyjścia awaryjne powinny znajdować się poza budynkiem, ale nie mogę ich zlokalizować.

Po lewej stronie Luke'a, również na brzuchu, leżał Ben, a za nim Kandra, studiująca pilnie datapad.

- Nie mogę wejść do systemu komunalnego - powiedziała. - Fale komunikacyjne mają zakłócenia. To sprawa blokady informacji, o której ci mówiłam.

Gamorreanin leżący po jej lewej stronie chrząknął kilkakrotnie.

Spojrzała na niego.

- Nie, nie powinniśmy wyjeżdżać - zaprotestowała. - Chcę mieć nagraną tę Abeloth.

Luke pokręcił głową.

- To może być ostatnie nagranie, jakie zrobisz w życiu. Powinnaś wrócić do Hweg Shul, opracować materiał i przygotować go do wysłania, kiedy dam ci znak... albo kiedy usłyszysz o mnie złe wieści.

- Ale przecież nie wiemy, czy ona jest właśnie tutaj. Jeśli wyjedziemy z Beurthem, może ci się nie udać zawiadomić nas, dokąd jedziesz potem.

Luke przyjrzał się miasteczku.

- Ja wiem, że ona tu jest.

Kandra spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Skąd wiesz? Moc ci powiedziała?

- Nie całkiem. Tsile nie rozumieją pojęcia kierunku w taki sam sposób, jak my, nie rozumieją współrzędnych na mapie, ale mają wycucie bliskości. Kiedy dzisiaj przed świtem połączyłem się z nimi, te najbliższe były niespokojne, jeśli to dobre określenie. Prawie smutne. Abeloth chyba wykorzystuje Ciemną Stronę, aby wszystkich wokół pogrążyć w smutku, nawet te krystaliczne duszki.

- Takie ezoteryczne brednie bardzo trudno sprzedać widzom. - Kandra westchnęła.

- Umieść w swoim raporcie reklamę środka na drochy - poradził jej Ben. - Nam Chorios jest jedyną planetą, gdzie go potrzebują, ale założę się, że potrafisz zastosować odpowiednią technikę i sprzedać go w całej galaktyce.

- Dobry pomysł. To co teraz robimy?

Leżąca po prawej stronie Luke'a Vestara opuściła makrolornetkę, ale nie odrywała wzroku od zabudowań.

- Zaczekamy na kolejną dużą chmurę pyłu i zakradniemy się tam. Podłączymy się bezpośrednio do kabli naziemnych miejskiej sieci komputerowej i odkryjemy, gdzie są te włazy. Potem wejdziemy. To znaczy Skywalkerowie i ja. Ty nie, chyba że życie ci niemile.

Kandra już chciała coś powiedzieć, ale Luke jej przerwał.

- Możesz mieć i to, i to, Kandro. Nagrasz Abeloth, oddając nam kolejną wielką przysługę, ale pozostaniesz cały czas bezpieczna.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- W jaki sposób?

- Kiedy my będziemy włamywać się do sieci, ty i Beurth zdobędziecie dla nas kilka dodatkowych komunikatorów i datapadów, a także, co ważniejsze, kilka kilometrów ekranowanego kabla sygnałowego. Stworzymy przekaźniki danych i umieścimy je w pompowni, a jeden zostawimy na powierzchni, podłączony do kabla, który będziesz mogła wykorzystywać pomimo blokady łączności. Załatwimy ci kilka ujęć Abeloth; a ty pozostaniesz poza zasięgiem blokady i wyjedziesz ze swoją zdobyczą.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Załatwione - zdecydowała.

W godzinę później zerwała się jedna z okresowych burz piaskowych, redukując widoczność do kilku metrów. Cała piątka wstała i skierowała się do miasta. Na jego obrzeżach, na długiej tylnej ścianie szopy, znaleźli miejską skrzynkę rozdzielczą danych i zasilania. Ben otworzył pokrywę i podłączył się do gniazd danych.

Od razu znalazł to, czego szukali: stary dokument dotyczący ewakuacji awaryjnej zawierający mapę punktów wyjść z pompowni. Luke wybrał jeden właz, który nie wyglądał na to, aby był pod stałą obserwacją, bo zlokalizowano go pośrodku wielkiego pola topatów.

- Spotykamy się tam za dwadzieścia minut - zarządził.

Ben, Luke i Vestara potrzebowali zaledwie dwóch minut, aby dotrzeć do pola i podkraść się do włazu. Właz - durastalowy dysk z odporną na warunki atmosferyczne klawiaturą i wielkim metalowym pierścieniem do zamykania i otwierania blokady - stanowił pokrywę permabetonowego cylindra wystającego metr nad powierzchnię ziemi.

Ben spojrzał na ojca z zaciekawieniem.

- Myślałem, że pójdziemy do jakiegoś innego włazu, a tę dwójkę zostawimy tutaj. Żeby byli bezpieczni.

Luke gestem nakazał mu zająć się zabezpieczeniami włazu.

- Ale rzeczywiście potrzebujemy tej linii przekaźnikowej. My i cała galaktyka.

Vestara spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Dlaczego?

- To sekret Jedi.

Prychnęła z irytacją.

- Dziwnie okazujesz zaufanie.

- Dobrze, niech będzie, że to sekret Wielkiego Mistrza Jedi. Chyba zauważyłaś, że Benowi też nic nie mówię.

Ben, skoncentrowany na klawiaturze zainstalowanej w pokrywie włazu, mruknął tylko:

- Ojciec mnie zaniedbuje i maltretuje.

- Zgadza się - odparł Luke. - A kiedy już sam zostaniesz ojcem, zobaczysz, jaka to świetna zabawa.

Po dziesięciu minutach zjawili się Kandra i Beurth. Kandra niosła worek wypełniony małymi skrzynkami z duraplastu. Beurth niósł na ramieniu zwój kabla gruby jak połowa człowieka. Oboje szli zgarbieni, niczym szpiedzy z holodramy, choć w szalejącej burzy naprawdę nie było to konieczne.

Luke spojrzał na ich łup.

- W tym worku masz datapady i komunikatory?

Kandra skinęła głową.

- Nowiutkie. Włamaliśmy się do sklepu elektronicznego i obrabowaliśmy go... no, w pewnym sensie, bo zostawiliśmy im wszystkie monety kredytowe, jakie mieliśmy, i kilka ogólnodostępnych kart kredytowych.

Luke odwinął kawałek kabla i zwrócił się do Beurtha.

- Wygrzeb płytki rowek, wystarczy obcasem, aż do granicy pola, a potem wzdłuż dowolnej

drogi, aż do skraju miasta. Ułóż pierwszy odcinek kabla w rowku i przykryj go ziemią... nie chcę, żeby ktokolwiek w mieście go zobaczył. A potem rozwiń szpulę tak daleko, jak się da i zamocuj w tym punkcie datapad.

Beurth chrząknął, skinął głową i zajął się wyznaczonym zadaniem.

- Załatwione. - Ben odłączył swój datapad od zewnętrznego gniazda włazu i wprowadził na klawiaturze ośmiocyfrowy kod. Właz zasyczał. Ben chwycił metalowy pierścień i otworzył pokrywę. Ze środka wypłynęła fala ciepłego powietrza.

Luke sprawdził, które części permabetonowego cylindra włazu są wolne od elektroniki, i się wyprostował. Odczepił miecz świetlny i włączył go, a potem powoli wsunął jego ostrze w obudowę permabetonowej studni, wycinając w niej czysty otwór.

Ben spojrział na niego z udawaną irytacją.

- Skoro i tak zamierzałeś to zrobić, po co zwracałem sobie głowę pokonaniem tych wszystkich zabezpieczeń?

Luke wyłączył broń, powiesił z powrotem przy pasie i wpuścił do otworu jakieś dziesięć metrów kabla Beurtha.

- Skorzystaj z taśmy i przymocuj to do permabetonu, a potem go zamaskuj. I zatkać dziurę, którą zrobiłem.

Po powrocie Beurtha, który wraz z Kandrą zajął się umieszczaniem kabla w rowku i zakopywaniem go, Skywalkerowie i Vestara weszli do włazu i zamknęli go za sobą. Schodzili po drabinie, składającej się z durastalowych pierścieni przybitych do permabetonowej ściany, aż znaleźli się w pompowni, pięć metrów nad podłogą z naturalnego kamienia, pochyłej, jak tunel wyłobiony przez wodę w dawnych czasach.

Luke zeskoczył na dół i za pomocą taśmy zamocował kabel do ściany, podłączając do jego końca jeden z datapadów. Spędził kilka minut na wprowadzaniu uproszczonego programu łączności, a wreszcie skinął głową.

- Mam potwierdzenie od Kandry. Zamocowali nadajnik na drugim końcu. Mamy całkiem przyzwoitą łączność ze światem zewnętrznym. - Spojrział na Vestarę. - Ta Sithanka, która nas zaatakowała... możesz przekazać wiadomość do niej lub do jednego z jej koleśków?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie mam z nią kontaktu, ale znam konieczne sposoby: odpowiednie częstotliwości, kody alarmowe, których mój lud zwykle używa. Mogę przekazać wiadomość na kilka sposobów, wtedy na pewno któryś okaże się skuteczny.

Luke podał jej datapad.

- Proszę, zrób to. Powiedz im, gdzie jesteśmy, i poinformuj, że Abeloth jest tutaj.

Wzięła od niego datapad i przyjrzała mu się niepewnie.

- Do roboty, Vestaro. Wezwałaś Sithów na Nam Chorios, prawda? Dobrze wiedziałaś, że bez ich pomocy, nigdy nie będziemy w stanie opanować i zniszczyć Abeloth.

- To prawda.

- Nie jestem zły ani rozczarowany. Podjęłaś właściwą decyzję w interesie galaktyki, bo uważałaś, że ja nie mam racji. Nie krytykuję cię. Właściwie nawet miałem nadzieję, że to zrobisz. Liczyłem, że Sithowie sami z siebie podążą za nami, ale dzięki twojemu zaangażowaniu ich przybycie nastąpiło szybciej.

Dziewczyna zaczęła układać wiadomość.

- Moim jedynym celem było zniszczenie Abeloth - wyznała. - Naraziłam się na niebezpieczeństwo, sprowadzając tu Sithów.

- Wiem.

Vestara wykonała polecenie i oddała datapad Luke'owi. Włożył urządzenie do ciemnej wnęki w kamiennej ścianie i ruszył dalej tunelem.

Klatooine

Załoga „Zagadkowego Ostrzeżenia” siedziała na wielkiej płachcie z flimsiplastu w cieniu rzucanym przez statek, czując się prawie jak na pikniku. Sam statek, w kamuflującym odcieniu lokalnego piasku, mógł być równie dobrze potężnym głazem, wystającym ponad powierzchnię pustyni. Członkowie załogi gotowi byli smażyć się w pustynnym upale, jeśli oznaczało to opuszczenie na jakiś czas ciasnych pomieszczeń statku.

Fardan uruchomił przenośny holoprojektor stojący na środku płachty. Nad nim zmaterializowały się znajome obrazy robotów - protokolarnego i astromechanicznego.

- Nazywają się See-Threepio i Artoo. Należą do Jedi Solo, a przed nią do jej ojca, już od sześćdziesięciu standardowych lat. Pojawiają się przy okazji bardzo wielu holozapisów dotyczących Hana Solo i Lei Organy Solo, a robot astromechaniczny dodatkowo z Mistrzem Jedi Skywalkerem. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że po tak długim czasie obu droidom przydzielono specjalne przywileje.

Dei skinął głową.

- Będziemy potrzebować więcej pieniędzy na łapówki. Fradan, chcę, żebyś znalazł na pokładzie „Zagadkowego Ostrzeżenia” jakieś w miarę wartościowe i niepotrzebne przedmioty i sprzedał je w obozowisku, aby zdobyć pewien kapitał. Tooley, potrzebuję ładunku wybuchowego o takich wymiarach. - Pokazał schemat na flimsi mechanikowi i inżynierowi. - Musi być zdolny zamienić każdą żywą istotę w popiół w promieniu trzech do pięciu metrów. Nie może, wybuchając, rozrzucać szczątków we wszystkich kierunkach.

Tooley, krępy człowiek, tak blady, że pewnie pierwszy raz w życiu wyszedł na światło słoneczne, skinął głową. Przyjrzał się uważnie schematowi.

- Dam radę.

- Potrzebuję go jak najszybciej, jeszcze dziś wieczorem. W obozie krążą pogłoski, że wkrótce wszystko się zmieni. Byłoby fatalnie, gdyby wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu tylko po to, żebyśmy zobaczyli Królową Matkę wracającą do domu.

Tooley spokojnie spojrzał na dowódcę.

- Będzie gotowe na dzisiaj. Muszę tylko rozebrać jedną z naszych rakiet i zmniejszyć ładunek głowicy.

- Zrób to.

Kyp Durron włożył hełm pod pachę i zeskoczył na piasek, machnięciem ręki odpędzając klatooiniańskiego robotnika, który właśnie się zbliżał z drabiną. Trochę dalej pozostali członkowie jego załogi również wyskoczyli z kabin swoich X-wingów z hełmami w rękę.

Sothais Saar, czarnowłosa, w kombinezonie pilota zamiast ulubionych ciemnych szat, był człowiekiem, którego Klatooinianie i członkowie ruchów wolnościowych na pewno rozpoznają. Jako jeden z ekspertów Jedi w sprawach niewolnictwa w galaktyce, czasem pojawiał się w wiadomościach HoloNetu, przedstawiając punkt widzenia Jedi na ten temat.

Bandy Geffer, młody i zaangażowany, nie miał takich referencji. Wciąż był uczniem i miał nim pozostać jeszcze przez jakiś czas, ale Kye, sądząc po jego zachowaniu w czasie ataku Mandalorian na Świątynię Jedi i roli, jaką odegrał w przejściu budynku Senatu, wiedział, że chłopak będzie umiał się zachować w tym dziwnym środowisku.

Czwarty Jedi, Raharra Lapti, zeskoczyła na piasek tuż za Sothaisem. Siedziała na tylnym siedzeniu jego dwuosobowego szkoleniowego X-winga. Sięgała partnerowi zaledwie do piersi, a przy tym wołała szatę Jedi od kombinezonu pilota. Tylko pozostałych trzech Jedi wiedziało, że miecz świetlny, zwisający z jej pasa, był bronią szkoleniową, która miała raczej porażać, niż ciąć.

Była młodziutką Klatooinianką o skórze raczej brązowej niż zielonej. Kyp wiedział, że

wyciągnięto ją z podstawowego szkolenia w Akademii Jedi na Ossusie i od prawdziwej aktywności w bitwie dzieliły ją lata. Jednak polityczne korzyści postawienia klatooiniańskiego Jedi przed ludnością Klatooine były zbyt ważne, by je zignorować.

Spojrzała na Sothaisa, jakby chciała się upewnić, że wysiadając, nie musiała czekać na zezwolenie. Sothais uśmiechnął się do niej krzepiąco.

- Kyp! Mistrz Durrone! - zawołała Leia, biegnąc ku lądowisku z szerokim uśmiechem. Han biegł tuż za nią. - Przepraszam, że nie było nas tutaj, kiedy wylądowaliście. Zatrzymały nas, hm... ważne wydarzenia.

Kiedy do niego podeszła, Kyp pochylił się, aby ucałować jej dłoń, po czym mrugnął do Hana.

- A cóż to za ważne wydarzenia?

Zabrała rękę i wyjęła z torby datapad.

- Nagrałam to niedawno. - Wywołała obraz z holokamery, przedstawiający Klatooinianina, Padnela Ovina, którego Kyp poznał na ostatnim spotkaniu. Padnel zajmował cały środek obrazu.

Leia przewinęła przydługi wstępek, po czym odtwarzała już z normalną prędkością. Głos Padnela brzmiał ponuro, ale łagodnie:

„...mogą podziwiać i szanować naszych poprzedników, nie trwając w przeświadczeniu, że są doskonali. Żadna istota myśląca nie jest doskonała. A my możemy jedynie walczyć o poprawę losu nas samych i naszych towarzyszy. I dlatego, zachowując całą miłość i szacunek dla mojego brata Grunela, wielokrotnego przywódcy Frontu Obrony Istot Rozumnych, muszę potępić zniszczenie przez niego fregaty „Zrodzony w Ogniu”. Zabijanie niewinnych istot jest krokiem wstecz w naszym poszukiwaniu sprawiedliwości. Wolność, ku której chcę poprowadzić mój lud, oznacza nie tylko prawo do rządzenia w naszych granicach i do wskazywania młodemu drogi życiowej; oznacza też wolność od terroru, obojętne w którą stronę skierowanego. Nie pozwólmy...”

Leia wyciszyła nagranie.

- Spory wysiłek jak na wojownika - parsknął rozbawiony Kyp.

- Fakt. - Leia zatrzasnęła datapad i wrzuciła go do torby. - To jest cena, jaką płacimy za życie zgodne ze standardami cywilizacji. A to oznacza, że zamiast pokazania was negocjatorom jako wabika, żeby wiedzieli, co dostaną, jeśli staną w jednym szeregu, możemy przedstawić was jako Jedi przydzielonych na Klatooine. Ogłoszę dziś wieczorem zarówno wasze przybycie, jak i transmisję deklaracji członkowskiej planety.

Kyp zauważył, że słońce jest już niezbyt wysoko nad horyzontem.

- To już chyba niedługo. Czy wtedy zrobi się chłodniej?

- Owszem. Na razie możecie wpaść do „Sokoła”, to was ochłodzimy. I będziesz mógł przedstawić nam swoją młodą Jedi.

W innym miejscu obozowiska Allana prowadziła swój orszak ochroniarzy i robotów na kolejną wyprawę badawczą.

Tym razem było jednak inaczej niż zwykle. Po pierwsze, w obozowisku wrzało, wszędzie toczyły się zażarte dyskusje i spory. Istoty zamieszkujące obóz wykazywały taki poziom energii, jaki zwykle pojawiał się u nich wraz z zachodem słońca i ochłodzeniem powietrza. Allana wiedziała, że ma to związek z niedawną transmisją, ale wydawało jej się to takie niemądre. Wszyscy przecież wiedzą, że wysadzanie niewinnych ludzi w powietrze to zły czyn; nie mogli tego powiedzieć od razu?

Drugą przyczyną, dla której wszystko wydawało się odmienne, był konkretny cel, jaki Allana przed sobą postawiła. Szukała kogoś - mężczyzny z otaczającą go mroczną aurą. Jeśli nawet go nie zobaczy, to może zdoła go wyczuć.

Szła tak szybko, że Javon musiał wyciągać nogi, żeby za nią nadążyć.

- Szukasz czegoś?

- Nie, nie... - Miała nadzieję, że to kłamstwo zabrzmiało przekonująco. - Mama mówi, że wszystko tutaj wkrótce się skończy. Chcę przedtem jak najwięcej zobaczyć.

- Rozumiem.

Allana poczuła lekkie rozczarowanie, że nie może zwierzyć się Javonowi. Był dość miły, ale taki dorosły. Nie potraktowałby jej poważnie, gdyby mu opowiedziała o mężczyźnie, którego szuka. A nawet, gdyby przypadkowo uwierzył, jego stereotypowe działania mogłyby wszystko popsuć.

Leia zapewne potraktowałaby ją poważnie, ale nie uwierzyłaby Allanie, że jej sny znaczą konieczność zmierzenia się dziewczynki z ognistym człowiekiem. Babcia próbowałaby pewnie znaleźć inny sposób, pozwalający chronić Allanę. A Allana wiedziała co by to oznaczało: zakaz zbliżania się do matki.

Pomyślała, że może właśnie dlatego Jedi wędrują samotnie lub parami. W ten sposób nikt nie musiał prosić nikogo o pozwolenie ani liczyć się z większą grupą. Wtedy wszystko szło szybciej. Nawet teraz szybciej obeszlaby obozowisko, gdyby była tylko sama z Anji.

Wyprowadziła swoich towarzyszy za róg, na ścieżkę pomiędzy namiotami. Javon, cały czas starający się dotrzymać jej kroku, wytrącił ją z zamyślenia:

- Zostawiłaś za sobą roboty.

- Są za wolne. - Allana zatrzymała się i obejrzała, niecierpliwie czekając, aż R2-D2 i C-3PO dołączą do nich. - Powinny wrócić na „Sokoła”.

- Chyba masz rację.

Zza rogu wyłonił się R2-D2, człapiąc w trybie dwunożnym z powodu nierównego podłoża, i natychmiast skierował się ku nim.

Czekali.

Allana spojrzała na droida astromechanicznego.

- Artoo, gdzie jest See-Threepio?

R2-D2 zaczął coś niezrozumiale i obrócił kopułkę tak, aby główny fotoreceptor skierowany był w stronę, z której przyszedł.

Ale C-3PO się nie pojawił.

Na pokładzie „Sokoła”, Leia nie wydawała się tak zmartwiona, jak według Allany powinna.

- To prawda, kochanie, nie odpowiada na sygnały wywoławcze, ale sama pomyśl, kto chciałby skrzywdzić robota protokolarnego?

Allana spojrzała na Hana.

- Dziadek nieraz mówił, że to zrobi.

Han uśmiechnął się, jakby przypomniał sobie szczególnie wyraziste groźby z przeszłości.

- Taak, jasne, Amelio, ale wiesz, że nigdy tego nie zrobiłem. Tylko tak mówiłem.

Leia zgiętym palcem dotknęła podbródka Allany, aby zwrócić jej uwagę.

- Słuchaj, muszę pojawić się publicznie z Mistrzem Kypem i innymi Jedi. Kiedy skończymy, wszyscy wrócimy tutaj i poszukamy See-Threepia.

- Ile to potrwa? Pięć minut? - To i tak było dłużej, niż Allana zamierzała czekać. Chciała od razu ruszyć na poszukiwania - tylko że wcale nie See-Threepia. Taki pretekst dałby jej szansę poszukiwania mężczyzny z mroczną aurą.

- Godzinę, najwyżej dwie - zapewniła babcia.

Allana jęknęła.

Leia spojrzała na nią przepraszająco.

- Możesz przyjść popatrzeć.

- Nie, dzięki, zostanę tutaj.

- Twoja mama tam będzie.

- Zostanę.

Leia znieruchomiała i Allana zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła błędu, udzielając takiej odpowiedzi. Oczywiście, że chciała zobaczyć mamę. Zawsze, zawsze. Ale teraz miała coś ważniejszego na głowie. Musiała ratować matkę.

Leia jednak tylko pogłaskała ją po głowie.

- W porządku. Wrócimy, jak tylko się skończy.

Wyszli wszyscy, pięcioro Jedi i emerytowany przemytnik, pozostawiając Allaną z jej nexu i astromechanicznym robotem oraz z kilkoma wartownikami rozstawionymi wokół „Sokoła”.

I z misją, do której nie bardzo umiała się zabrać.

ROZDZIAŁ 41

Stacja pomp w Kryształowej Dolinie, Nam Chorios

Po pięćdziesięciu metrach naturalny tunel schodził w dół o jakieś dziesięć metrów, a potem ustąpił miejsca dawnym tunelom sztolni, wyciętym i wypalonym w żywym kamieniu. Ściany stały się twarde i szorstkie, wciąż nosiły blizny od palników, a nawet ślady metalu sprzed kilku stuleci. Ben wyczuwał też wodę, rzadki zapach na Nam Chorios. Tunel biegł teraz poziomo, w bok odchodziły nieoświetlone odnogi. Sufitowe światła ciągnęły się jedynie wzdłuż głównego korytarza.

Po kilku metrach Ben usłyszał dobiegające z przodu odległe dudnienie maszyn. Na metalowych drzwiach z boku widać było napis: „Schron awaryjny. Otwarcie drzwi uruchamia alarm”. Drzwi jednak były otwarte. Luke i Ben zajrzeli do środka.

Wewnątrz, na ławach i na permabetonowej podłodze, spoczywali Tubylcy, mężczyźni i kobiety, skuleni w pozycji płodowej. Mieli półotwarte, nieruchome oczy. Równie nieruchome były ich twarze, wyrażające rozpacz i przygnębienie. Ben rozpoznał Theran Nasłuchiwaczy; znajdowali się w sali uzdrowień, gdzie Luke nauczył się techniki mnemoterapii.

Rozpoznał jedną z kobiet. Na najdalszej ławce, z twarzą skierowaną w górę, wyglądając, jakby była uwięziona w sennym koszmarze, leżała Sel.

Ben skrzywił się, spojrzął na ojca i zniżył głos do szeptu:

- Cierpią dla Abeloth. Czy nie powinniśmy ich wybudzić?

Luke pokręcił głową.

- Nadal byliby pod jej kontrolą. Uprzedzą ją, a nas zaatakują. Ilu z nich chcesz zranić lub zabić?

- Nikogo.

- Ale to i tak dobra nowina. Jesteśmy blisko.

Kolejne czterdzieści metrów i tunel otworzył się na prostokątną komorę. Miała około stu metrów długości i pięćdziesiąt szerokości, co wystarczyło, żeby pomieścić owalny tor. Całą długość po lewej stronie zajmowała wysoka na dwa piętra maszyna. Na samej górze metalowe rurociągi i tłoki, postukując głucho, tak samo jak przez ostatnich paręset lat, pompowało życiodajną wodę na powierzchnię planety. Dolne piętro było wypełnione zamkniętymi zbiornikami do przechowywania wody. U stóp Bena, Luke’a i Vestary widniała platforma z permabetonu, która wiodła do kładek wzdłuż maszyn, a dalej do schodów, prowadzących w dół na poziom zbiorników. Wokół była duża, pusta przestrzeń. Przynajmniej sprawiała wrażenie przestronności, w przeciwieństwie do klaustrofobii tuneli. Pręty jarzeniowe rozjaśniały pomieszczenie, pomiędzy zbiornikami i pod ścianami ustawiono doniczkowe rośliny.

A na podłodze leżały ciała. Dziesiątki ciał, kolejni Tubylcy, bez wątpliwości Theran Nasłuchiwaczy, wszyscy żywi i pogrążeni w cierpieniu.

Tylko jeden z nich nie leżał: młody, energiczny człowiek. Miał na sobie szaty Jedi i przechadzał się między ciałami, ostrożnie stawiając stopy. Pewnie wyczuł na sobie spojrzenie przybyszów, bo obejrzał się i podniósł wzrok. Był to Valin Horn.

- Mistrz Skywalker - odezwał się dość uprzejmym tonem.

- Jedi Horn! - Luke ruszył w dół permabetonowymi schodami. - Przykro mi, że tu dotarłeś.

- Mnie nie. Dzięki temu dowiedziałem się wielu rzeczy. Zrozumiałem, co się z wami stało.

Ben i Vestara poszli w dół za Lukiem. Ben z powątpiewaniem przyglądał się Valinowi.

- No, co się stało? - zapytał.

- Nie można was nawet o to winić - wyjaśnił Valin. - Nawet nie jesteście oszustami. Po prostu zostaliście owładnięci obcą inteligencją, która odcina was od prawdziwej Mocy. Na szczęście można was uleczyć, tak jak Jysellę i mnie. Wszyscy ci nieszczęśnicy także są w tej chwili w trakcie leczenia.

Luke zatrzymał się u stóp schodów i popatrzył na młodszego Jedi.

- Muszę przyznać, że podziwiam kreatywność osoby, która ci to wyjaśniła. Ta historia potwierdza wszystko, w co szaleństwo Jedi ze Schroniska każe im wierzyć.

Valin spojrział z politowaniem.

- Ta osoba, to Wielka Mistrzynie Callista Ming. Ale zrezygnuje z tego tytułu, kiedy i ty zostaniesz uleczoney.

Stojący na dolnym podejściu Ben wyrzucił oczami.

- Co za łaskawość! Gdzie jest teraz?

- Nadchodzi.

- A co z Abeloth?

- Jest w pobliżu. Utrzymuje stan leczniczego transu. - Valin wskazał szerokim gestem cierpiących Tubylców. - Jeszcze nie powinniście się z nią widzieć.

Luke szepnął do Bena i Vestary, tak aby tylko oni mogli go słyszeć.

- Naśladujcie mnie we wszystkim. Musimy grać na zwłokę, tak żebym zdążył załatwić pewne sprawy. No i trzeba dać Sithom czas na przybycie. Ben, chcę, żebyś wszystko rejestrował i przesyłał Kandrze, dopóki nie zaczniesz być gorąco.

Odwrócił się do Valina.

- A gdzie Jysella?

- Pomaga Wielkiemu Mistrzowi.

Ben wyjął datapad z torby i otworzył. Uruchomił zewnętrzną holokamerę i skierował na Valina, po czym skierował transmisję danych do datapada Kandry.

Valin milczał, ale miał całą trójkę na oku. Ben słuchał rytmicznej pracy układów pompowych; od czasu do czasu rozlegał się jęk kogoś z Tubylców leżących wokół na podłodze. Wreszcie z oddali dobiegł stuk obcasów.

Z tunelu na górnym poziomie, naprzeciwko Luke'a, Bena i Vestary, wynurzyła się Callista. Podeszła i stanęła na samym skraju platformy, wychodzącej na halę. Była ubrana tak, jak przystało Mistrzowi Jedi: w ciemne szaty, z mieczem u pasa. Nie widać było po niej śladu ran odniesionych w poprzednich starciach. Przechyliła się przez barierkę i obdarzyła przybyłych smutnym uśmiechem.

- Witaj, Luke - odezwała się.

Ben zerknął na ojca. Luke miał nieprzenikloną, spokojną minę Wielkiego Mistrza, człowieka, który sprawował sądy nad innymi, a jego decyzje miały wpływ na całe społeczności.

Skinął głową.

- Witaj, Abeloth.

- To nie takie proste. Jestem Callistą, ale zarazem Abeloth. A także innymi. - Odwróciła się, żeby zejść z permabetonowych schodów wiodących z platformy.

- No cóż, Callisto, możesz zatem powiedzieć Abeloth, żeby wróciła do Otchłani i przestała niszczyć wszystkim życie.

Callista stanęła u stóp schodów i pokręciła głową.

- Nie mogę jej zmusić do niczego. - Manewrując pomiędzy ciałami, skierowała się ku Luke'owi. - Ale mam na nią wpływ. Może dlatego, że jestem doskonalsza, niż ci wszyscy, których w sobie więzi. Prawdopodobnie wynika to z tego, że już kiedyś przeżyłam bez szwanku przejście z jednego fizycznego ciała do drugiego.

Zbliżyła się do Luke'a. Ben zawołał scenicznym szeptem:

- Tato...

Luke pokręcił głową. Nie zamierzał szeptać.

- Nie ma się czego obawiać, Ben. W niej wciąż jest Callista i wciąż zależy jej na mnie. Nie

zaatakuję, nie teraz. Mam rację? - zwrócił się do kobiety.

Stała tuż przed nim.

- Tak.

- Z pewnością chcesz czegoś ode mnie.

- Tak, chcę. I Abeloth też. Chcemy tego samego. Ciebie, Luke.

Mistrz Jedi westchnął.

- To szalony pomysł, Callisto. Mam przyłączyć się do was? Wyobrażasz sobie, że mógłbym to zrobić?

Ben spojrzął na Valina. Rycerz Jedi musiał słyszeć tę rozmowę, która niewątpliwie zmieniła jego opinię o Calliście. Jego twarz jednak miała dziwnie obojętny wyraz. Widocznie nie słyszał ani słowa.

- Owszem, wyobrażam sobie. Ponieważ... moje powody są samolubne. Tęsknię za tobą i jestem samotna. Ale to dzięki mnie Abeloth żywi do Jedi pewną sympatię. Pomyśl... Jedi i ich poświęcenie dla Jasnej Strony są jej dokładnym przeciwieństwem. A jednak szuka ich, w Schronisku owdądę takimi Jedi jak Valin. Dlaczego? Przez mnie. Przez to, co czuję. Dołącz do nas, a ona pogłębi swoje zrozumienie dla Jasnej Strony, a także dla waszego sposobu myślenia. - Zrobiła jeszcze krok do przodu i położyła dłoń na ramieniu Luke'a. - Czujesz przecież, że to ja, prawda? Znasz mnie. Wiesz, jaka jestem twarda.

Teraz nawet Ben mógł wyczuć obecność Callisty w Mocy. Emanowała z jej postaci, przesycając swoim fluidem otaczające ich powietrze. Nie była obca, nie była złośliwa. Nie była Abeloth.

Luke położył dłonie na jej biodrach.

- Użycie drochów chyba nie zdradza dobrych intencji Abeloth w stosunku do żywych, Callisto.

- To był wybieg, aby was zwabić. To was zaniepokoiło, kazało przenosić się z miejsca na miejsce, podczas gdy ona okopała się i przejęła kontrolę nad wszystkimi Theran Nasłuchiowcami. Oszukała cię, Luke. Nie możesz jej przechytryć. Potrafisz sobie wyobrazić, że Abeloth zgodziłaby się na jakąkolwiek konkurencję?

- Może i nie.

Teraz Ben czuł także obecność ojca w Mocy. Mieszała się z obecnością Callisty.

Luke pokręcił głową.

- Nie wiem. Byliśmy oddaleni od siebie przez całe życie. Odszedłem. Pokochałem inną. Widać nie byliśmy dla siebie stworzeni.

- Ależ byliśmy. - W głosie Callisty brzmiała nuta desperacji.

- Cóż... przypomnij mi.

Callista dotknęła czołem czoła Luke'a.

Teraz nastąpiło coś więcej, niż wycucie ich obecności w Mocy. Ben zaczął przechwytywać mgnienia odległych wspomnień. Twarz Luke'a, o wiele młodsza, widziana jakby przez holokamerę. Akademia Jedi na Yavinie Cztery, starożytne ruiny otoczone zielenią.

- Tato...

- Cicho, synu. Wspominam. - Ben poczuł jakby na niższym poziomie lekkie muśnięcie myśli. Luke błagał go, by zaczekał, by zaufał.

Vestara trąciła Bena łokciem. Oderwał wzrok od ojca, podążył za spojrzeniem dziewczyny.

Valin nie stał już nieruchomo i nie gapił się szklanym wzrokiem; trzymał przy uchu komunikator i mówił coś do niego z naciskiem. Gdzieś daleko Ben słyszał ciche szmery i brzęk durastali... a potem ogień z miotacza.

Valin upuścił komunikator i chwycił miecz świetlny, odpinając go od pasa.

- Sprowadziłeś na nas Jedi! - krzyknął.

Ben pokręcił głową.

- Ty, twoja siostra, tato i ja jesteśmy jedynymi Jedi na Nam Chorios. Sądzę, że atakują nas Sithowie. - Absolutna prawda, podana tak chytrze, żeby brzmiała jak kłamstwo. Wujek Han byłby z niego dumny.

- Łzesz. - Valin włączył miecz. Jego bladozielone ostrze ożyło.

Ben wsunął datapad do torby. Przesunął się w bok, na ścieżkę, którą przechodziła Callista pomiędzy leżącymi Nasłuchiwaczami, i odsunął się od Luke'a. Wyciągnął własny miecz i również go włączył.

- Nie bądź idiotą, Valin - upomniał go.

Vestara poszła w drugą stronę między ciałami, mijając Luke'a i Callistę. Stała po drugiej stronie Valina i włączyła miecz. Nie odzywała się.

Valin westchnął.

- Mam nadzieję, że Mistrz Skywalker mi wybaczy... jeśli będę musiał zabić mu syna.

Rzucił się na Bena.

Chłopiec przechwycił cios. Było to proste uderzenie, szybkie, ale niezbyt mocne, i nie nastąpiła po nim kombinacja kolejnych. Krótco mówiąc, pudło. Ujrzał Vestarę, która przeskoczyła za plecy Valina. Standardowa taktyka nakazywała Benowi odepchnąć Valina, wytrącić go z równowagi, ale chłopak podejrzewał, że przeciwnik tego właśnie oczekiwał i że z całym impetem przypuści atak na Vestarę. Cofnął się więc, pociągając Valina za sobą. Valin obrócił się z wdziękiem i przechwycił cios Vestary. Jego szybka jak błyskawica reakcja omal nie pozbawiła jej prawego ramienia - cofnęła się w ostatniej chwili, więc ostrze Valina tylko zwarło się z jej ostrzem i podbiło je w górę.

Ben zrobił krok w prawo, aż Valin znalazł się pomiędzy nim a Vestarą, i pchnął. Młody Jedi jednak kontynuował obrót; stanął na piersi Nasłuchiwacza, jakby to była twarda skała, i odwrócił się, stając twarzą do obojga przeciwników.

Luke nie mógł się powstrzymać, aby nie śledzić walki jakąś drobną częścią świadomości. To jego syn narażał życie. Rozpoznał jego taktykę. Ben i Vestara ustawili się tak, aby choć częściowo osłaniać Luke'a przed Valinem. Pozornie była to nieczysta walka - dwoje na jednego, ale Valin przewyższał Bena i Vestarę dziesięcioma latami doświadczenia. Ben powinien pamiętać, że Valin nie potrafi przemieszczać przedmiotów Mocą...

Jednak Luke koncentrował się na Calliscie. Wspomnienia zalały go falą. Całym sobą chłonał jej obecność. Odbierał to, co chciała, żeby poczuł: ból, dziesięciolecia bólu i samotności w śmiertelnym związku z Abeloth.

Tak, Abeloth też tu była. Luke wyczuwał ją tuż obok obecności Callisty. Nieważne, jak bardzo starała się ukryć; była za silna, zbyt obca, aby skutecznie się schować.

Słyszał odgłosy walki. Cała trójka testowała się wzajemnie fintami i obronnymi młynkami. Luke zmusił się, żeby ich ignorować. Potrzebował całej świadomości i dostępności wszystkich swoich wspomnień.

Widział przesuwające się obrazy z przeszłości Callisty; wiele z nich było wspólnych, niektóre pochodziły z dawniejszych czasów. Zachwycał się jej siłą, hartem ducha, potrzebnym, aby przeżyć stratę pierwotnego ciała, siłą, tym, że potrafiła pozostać choć w części Callistą w obliczu przemożnej, obcej siły.

- Luke... - szepnęła jakby prosto w jego umysł. - Połącz się ze mną. Uratuj mnie.

Objął ją jeszcze mocniej, cieplej i w Mocy.

- Zrobię to. Uratuję cię.

I zniszczył ją.

Był to brutalny akt, na który pozwalała technika mnemoterapii. Przypominała amputację wykonaną za pomocą tępego kamiennego topora, ważącego dziesięć kilo. Całą siłą, jaką czerpał z Mocy, wyrwał Callistę z jej ciała, odrywając od Abeloth.

Nie mógłby tego zrobić z żywą istotą. Ale Callista nie była sobą. Ciało, które zamieszkała, potężna siła życiowa, jaką dawała jej Abeloth, nie były jej prawdziwym domem. A Luke oderwał ją od wszystkiego, co trzymało ją w fizycznym świecie.

Poczuł się bezgranicznie zmęczony. Chwiejnym krokiem odszedł od ciała Callisty i opadł na kolana, w jednej chwili pozbawiony sił.

Teraz widział ją taką, jaka była. Callista cofnęła się z ustami rozwartymi w bolesnym krzyku; z jej ciała zaczęła wypływać Abeloth, ale także ktoś inny, tylko nie ona sama.

Dawna Callista unosiła się teraz w ramionach Luke'a. Jej szata miała ciepły, brązowy kolor, otaczała ją świetlista luna. Była przezroczysta. Luke zobaczył przez nią, jak Valin cofa się, jakby ktoś kopnął go w twarz i przewraca się o ciało Nasłuchiwacza.

Callista - ta eteryczna - spojrzała na Luke'a jeszcze raz. W jej spojrzeniu nie było niepokoju ani tęsknoty, tylko wdzięczność. Odrzuciła głowę do tyłu, jakby nagle poczuła przepływającą przez nią szeroką rzekę.

Luke wiedział, że taka rzeka istnieje. To Jasna Strona Mocy - nareszcie znów mogła ją poczuć, dotknąć, stać się jej częścią.

Uśmiechnęła się, zbladła i znikła.

Dysząc ciężko, Luke spojrzał na jej ciało. Teraz zaczęło się zmieniać, w miarę jak znikła iluzja Mocy, która je odmieniła. Spłaszczyło się, wydłużyło, z głowy znikły włosy, pojawiając się za to na twarzy. Stała się starym mężczyzną, chudym jak patyk, o ciemnych oczach. Luke rozpoznał Nenna, Mistrza Theran Nasłuchiwaczy.

Nenn z wrzaskiem chwycił miecz, który miał przy pasie. Zrobił to niezgrabnie, najwyraźniej nie znał tej broni. Włączył go i miecz rozjarzył się czerwoną klingą Sithów.

Luke także wyjął broń, choć ręce mu się trzęsły. Podniósł się na nogi chwiejnie jak nowo narodzony cu-pas.

Nenn pogrążył nagle ostrze miecza we własnym ciele, wbijając je pod mostkiem. Czerwony płomień wystrzelił z jego pleców. Starzec opadł na podłogę z permabetonu i wreszcie zamilkł. Jego oczy pozostały otwarte i nieruchome.

Valin, który do tej pory usiłował wstać, jęknął i zemdlął.

A gdzieś niedaleko, budząc echo w komorze pompowni, zagłuszając odgłosy miotaczy i mieczy świetlnych, rozległo się przeraźliwe wycie - krzyk bólu i wściekłości Abeloth. Musiała znajdować się w którymś z pobliskich tuneli lub komór.

Luke zastanawiał się, czy ma dość sił na konfrontację z nią. Przynajmniej Ben i Vestara wydawali się cali i zdrowi.

Nad głową Luke'a rozległ się nagle kobiecy głos:

- Wy, Jedi, macie jednak interesujące zwyczaje.

Luke podniósł wzrok. Na platformie nad nim stała Tola Annax, Sithanka, która napadła na nich w Żyle Kesla. Jej włosy były teraz śnieżnobiałe, a skóra miała przyjemny, fioletowy kolor. Towarzyszył jej chyba z tuzin ubranych w długie szaty Sithów z wyłączonymi mieczami w dłoniach. Niektórzy byli ludźmi, inni mieli lawendową skórę.

Na platformie po drugiej stronie, tej, z której zeszła Callista, stał drugi tuzin.

Ben podszedł i stanął obok ojca, jakby chciał go bronić. Westchnął, wyraźnie rozczarowany.

- Masz teraz jakieś pomysły, tato?

- Przykro mi. Nie tym razem.

ROZDZIAŁ 42

Klatooine

Było już ciemno, kiedy Allana schodziła w towarzystwie Anji z platformy „Sokoła”. Obejrzała się na Javona.

Nachylił się ku niej.

- Wychodzisz?

Przytaknęła.

- Wiesz, że Jedi Solo życzyła sobie, abys pozostała tutaj, dopóki nie wróci.

Pokiwała głową.

- Ale jeśli spróbuję cię zatrzymać, przysporzysz mi niewyobrażalnych kłopotów, zgadza się?

- Zgadza.

Westchnął i włączył komunikator w kasku.

- Dobra, żołnierze. Ustawić się w standardowej formacji.

Rampa załadowcza „Sokoła” podniosła się, gdy Allana i jej oddział ochrony opuścili pokład, ucinając w połowie szczebiotliwe trele R2-D2, który pozostał w środku.

Allana ruszyła przed siebie, ale uszła tylko parę kroków.

- Chcę przeszukać obóz - oświadczyła.

- Szukasz See-Threepia?

- Tak. - I mężczyzny z mroczną aurą, dodała w duchu. - Ale nie wiem, jak się do tego zabrać.

- Najlepszym sposobem, który jednak spowodowałby najwięcej problemów, byłoby uzyskanie zezwolenia na przeszukanie każdego namiotu i zdobycie oddział wojska, aby zamknąć obóz, dopóki nie skończymy. Należałoby zabronić poruszania się między namiotami i przeszukiwać każdy po kolei. Ale skoro mamy ograniczone możliwości, lepiej będzie znaleźć listę miejsc, które See-Threepio chciałby odwiedzić, oraz osób, które się nim interesowały. Możemy przeszukać obozowisko po siatce, koncentrując się na interesujących nas namiotach. Zajrzelibyśmy do środka tam, gdzie uda nam się zakraść albo wykombinować zaproszenie.

- Lepiej by chyba było, żebyśmy się rozdzielili.

- Nie ma takiej możliwości, Amelio. Przykro mi.

Allana nie miała pojęcia, jakie miejsca wciągnąć na listę - a przynajmniej listę dotyczącą C-3PO. Kiedy widziała mężczyznę o mrocznej aurze, ten wspinał się na ścieżkę wiodącą na wschodnie wzgórze. Ale tam mogłaby pójść tylko wówczas, gdyby wymknęła się Javonowi i reszcie. Na razie więc pozwoliła ochroniarzowi prowadzić.

Już po pół godzinie znaleźli C-3PO.

Allana najpierw go usłyszała: śpiewny, często irytujący ton robota protokolarnego w pełnym trybie debатовym.

- ...postępując sprzecznie z własnymi celami i więzając kogoś, kogo podobno chcieliście uwolnić?

Allana postukała Javona w ramię i ostrożnie pobiegła w kierunku głosu. Skreśliła za róg i znalazła się przed namiotem, który odwiedziła już kiedyś, pierwszego dnia - siedzibę Milicji Wyzwolonych Robotów. Po tymczasowej scenie znów krążył i przemawiał robot medyczny w krzykliwych odcieniach żółci i oranżu.

A na skraju sceny, wraz z nielicznymi słuchaczami, tkwił See-Threepio. Stał sztywno, prawie na baczność, ale języka z całą pewnością nikt mu nie skrępował.

- Z drugiej strony, nie ma powodu, aby rewolucjonista nie mógł być jednocześnie dobrze wychowaną istotą, a mimo to uparcie zachowujesz się jak brutal.

Allana przepchnęła się przez tłum i stanęła z jednej strony C-3PO. Javon stanął z drugiej.

See-Threepio odwrócił się i spojrzał na Allanę. To znaczy, odwrócił głowę, bo cała reszta jego ciała pozostała sztywna.

- Ach, droga panienko Amelio! Jakże się cieszę, że panienkę widzę. Ulżyło mi, muszę przyznać. Proszę powiedzieć, że panienka przybyła po to, aby mnie uratować. Zdecydowanie zbyt wcześnie nabrała panienka wprawy w ratowaniu robotów.

- Też tak myślę. Ale ty nie wyglądasz, jakbyś bardzo potrzebował ratunku.

- A jednak potrzebuje. - Javon postukał robota protokolarnego w pierś, gdzie widać było wyraźnie śrubę ograniczającą. - Co to za pomysł?

Robot medyczny podszedł do nich i stanął przed Javonem, opierając metalowe dłonie na metalowych biodrach.

- Chcieliśmy zademonstrować, jak łatwo jest zniewolić nawet tych, którzy twierdzą, że służą organicznie z własnej i nieprzymuszonej woli. Spójrzcie na tego biednego, mającego osobnika. Chociaż ma dobre intencje, wystarczy przekręcenie ogranicznika i cała jego wolna wola nic nie

znaczy.

Javon pokręcił głową. Z torby wyjął narzędzie uniwersalne i delikatnie ustawił je w odpowiednim położeniu.

See-Threepio ignorował robota medycznego.

- Właściwie nie było tak źle - zapewnił. - Moment dezorientacji, a potem budzę się nagle w odświeżającej kąpieli olejowej i z akumulatorami naładowanymi do pełna. Gdybym mógł się poruszać, może nawet podziękowałbym moim porwaczom za gościnność. Ale potem... ojej, co za sposób oni stosują! Zdezorganizowany, niegramatyczny, zastraszający, z takimi lukami w logice, że...

Robot medyczny znów zaczął krążyć.

- Wyeliminujcie gniazda na śruby ograniczające albo zacznijcie je instalować także u organicznych. Oba rozwiązania są dobre.

Javon podważył ogranicznik. Wyskoczył z lekkim trzaskiem i upadł na scenę.

See-Threepio westchnął z wyraźną ulgą.

- Ach. O wiele lepiej, proszę pana.

Spojrzał z irytacją na robota medycznego.

- Wiesz, mogłeś dać mi chociaż możliwość przechadzania się albo siadania podczas twoich nauk.

- Jesteś niewolnikiem, robocie protokolarny. Musisz się z tym pogodzić.

- Chodź. - Javon chwycił C-3PO za łokieć i wypchnął z namiotu.

- Powiedziałbym...

Allana dogoniła See-Threepia.

- Nic ci nie zrobili?

- Nie, panienko, tylko mnie obezwładnili, żeby udowodnić swoje racje polityczne. Ale wreszcie moje urządzenia łączności wracają do życia. Zdaje się, że mam około godziny nieodebranych wiadomości. Większość od panienki.

Allana skinęła głową.

- Zgubiłeś się, prawda?

- Chyba tak. Oczywiście, sam tak o tym nie myślałem, ponieważ cały czas zdawałem sobie sprawę z mojej lokalizacji. Jestem jednak wzruszony, że tak się martwiłaś. O, mam jeszcze zdaje się wiadomość od księżniczki Leii. Chyba na centralnym placu mają miejsce jakieś ważne wydarzenia. Rozumiem, że mam oddać się do dyspozycji Królowej Matki Hapes w roli tłumacza. Zdaje się, że jej robot protokolarny zna mniej niż trzy tysiące wariacji w klatooiniańskim. Biedny, niedouczony głupek.

- Chyba powinieneś tam pójść. - Allana zastanawiała się, co robić. Nic nie szło zgodnie z planem. A tak chciała odszukać tajemniczego człowieka, zanim znajdą C-3PO.

- Dziękuję, panienko. - See-Threepio ruszył w kierunku środkowej części obozowiska.

Javon spojrzał na Allanę.

- To jak? Skończyliśmy?

- Chyba tak.

- Chcesz wracać do „Sokoła” czy posłuchać przemówień?

Ani jedno, ani drugie, pomyślała Allana. Przypomniała sobie jednak o tych wszystkich namiotach, które miną po drodze w obu kierunkach.

- Chodźmy do „Sokoła”.

- Dobrze. - Javon poprowadził ją w kierunku transportowca.

Allana szła za nim, uśmiechając się miło za każdym razem, kiedy ochroniarz się obejrzał. I miała oczy szeroko otwarte.

W obozowisku stały głównie namioty pełne, z podłogami z tego samego trwałego materiału co boki, ale zdarzały się też takie otwarte u dołu. A niektóre miały nawet boki niesięgające ziemi. W niektórych było ciemno, co oznaczało, że nie ma w nich nikogo.

Miała właśnie przed sobą jeden z takich namiotów. Naciągnęła na głowę kaptur przeciwsłoneczny, choć słońce już dawno zaszło. Dała Anji znak, żeby trzymała się blisko, i

przesłała jej uspokajające dotknięcie poprzez Moc.

Doskonale wybrała moment. Javon dopiero co się na nią obejrzał i teraz patrzył przed siebie. Nie zainteresuje się nią co najmniej przez kilka sekund. Pozostali członkowie eskorty znajdowali się kilka metrów dalej.

Najciszej jak umiała padła na ziemię i doczołgała się pod tylną ścianę namiotu. Wewnątrz były tylko prycze, jedna z nich zajęta przez drzemiącego Klatooinianina. Nie obudził się. Allana skoczyła do wyjścia i ruszyła prosto przed siebie.

Teraz była tylko jeszcze jedną niedużą postacią kręcącą się po ciemku, identyczną, jak dziesiątki innych w obozie. A więc przynajmniej do chwili, kiedy zostanie odnaleziona, może zapolować.

Skierowała się do miejsca, w którym człowiek o mrocznej aurze opuścił obóz.

- Z wielką przyjemnością przedstawiam czwartego członka pierwszej delegacji Jedi na Klatooine, Raharrę z Klanu Lapti. - Leia zaprezentowała drobną uczennicę, gestem zapraszając ją, by stanęła u jej boku,

Tłum ryknął, a Leia pomyślała, że widownia złożona z Klatooinian może naprawdę narobić hałasu, jeśli zechce. Zachęcona tym Raharra uniosła dłoń, machając do swoich nowych wielbicieli, więc wrzask stał się jeszcze głośniejszy.

Reni Coli, stojąca z drugiej strony dziewczyny, kontynuowała wyreżyserowaną scenę.

- Mamy przed sobą łącznika pomiędzy wojownikami z Klatooine a wojownikami Jedi - powiedziała, a potem przeszła na klatooiniański i warknęła coś do Raharry. Brzmiało to jak pytanie.

Raharra odpowiedziała w tym samym języku; jej głos był wyższy, prawie jak pisk. Musiała to być dowcipna odpowiedź, bo klatooiniańska większość na widowni wybuchnęła śmiechem. Przybysze spojrzeli po sobie ze zmieszaniem, dopóki na dole ekranu nie pojawiło się tłumaczenie jej odpowiedzi, podane przez robota protokolarnego. Wtedy oni również zaczęli się śmiać.

Leia wycofała się, choć wywiad trwał dalej. Stanęła pomiędzy Hanem a Tenel Ka. Musiała podnieść głos, żeby ją usłyszeli, choć i tak nie dała rady przekrzyczeć tłumowi.

- Dobrze idzie, prawda?

Han prychnął, zdecydowanie niezadowolony.

- No i co z tego, że dobrze idzie, skoro wciąż się człowiek poci jak Gamorreanin?

Zmarszczyła brwi, szykując miążdzącą odpowiedź, ale przerwała jej wibracja komunikatora. Wyjęła go. Wiadomość wysokiego priorytetu pochodziła od Javona Thewlesa. Poczowała lekkie łaskotanie strachu w żołądku, kiedy się odezwała:

- Tu Solo.

Nawet przyciskając komunikator mocno do ucha, z wielkim trudem słyszała głos Javona poprzez wrzaski tłumowi.

- Przykro mi, Jedi Solo. Znaleźliśmy C-3PO, kieruje się w waszą stronę, ale Amelia nam się wymknęła. Nie wiemy dlaczego.

Leia rozejrzała się w otaczającej ją ciżbie, choć i tak po ciemku nie byłaby w stanie dostrzec Allany. Zobaczyła jednak See-Threepia, który stał na skraju tłumowi, niezgrabnie próbując precyzyjnie się dalej, jakby chciał dołączyć do nich na podium.

- Mogła zostać porwana? - zapytała Leia.

- Nie sądzę. Jestem prawie pewien, że związała umyślnie. Cały mój oddział jej szuka.

- Wyślę wam do pomocy kilku żołnierzy Sojuszu i sama też zaraz tam będę. Solo się wyłącza. - Nacisnęła kilka przycisków na swoim komunikatorze, inicjując wcześniej zapisaną funkcję.

Han musiał usłyszeć jej słowa albo Javona.

- Amelia się zgubiła?

Leia wyjaśniła krótko, co się stało. Tenel Ka pochyliła się ku nim, żeby posłuchać.

Leia spojrzała na nią pocieszająco.

- Znalezienie jej nie powinno być problemem. Jej ochrona nie wie, że mogę włączyć na jej

komunikatorze funkcję śledzenia. Właśnie to sprawdzam. - Odczytała informacje na ekraniku i zmarszczyła brwi. - Zapuściła się dość daleko na wschód, poza granice obozu. Porusza się powoli, więc raczej nie ma pojazdu.

Han poklepał się po biodrze, sprawdzając, czy wciąż ma miotacz.

- Idziemy po nią.

- Nie, Han, ty wracasz do „Sokoła”. Jeśli dzieje się coś dziwnego, to możemy potrzebować wsparcia z powietrza. Chcę, żebyś był gotów do startu.

Skinął głową, pocałował ją i ostrożnie zeskoczył z podium.

Nie potrzeba było słów ani technik Mocy, aby Leia dokładnie wiedziała, co czuje Królowa Matka. Tenel Ka chciała tylko jednego: dołączyć do poszukiwań. A to było niemożliwe: nie mogła nikomu okazać, że obdarza nadmierną uwagą przybraną córkę Solo.

Leia objęła ją przelotnie i w ślad za mężem zeskoczyła z podium.

Podskakując wraz z całym tłumem, C-3PO zobaczył, że Han i Leia odchodzą i przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien pójść za nimi. Ale przecież polecenie księżniczki Leii było bardzo wyraźne. Miał zaoferować swoje usługi tłumacza Tenel Ka. Nic dziwnego. Słuchając rozmawiających na podium Klatooinian i widząc, jakie tłumaczenia pojawiają się na monitorze, był przerażony zupełną swobodą lingwistyczną, jaką prezentował tłumacz. Rezolutnie przepychał się dalej, cierpiąc oburzające kiksańce od istot w tłumie. Napędzała go duma, że to właśnie jego wezwano, aby uratował sytuację w razie potrzeby.

ROZDZIAŁ 43

Poza Kryształową Doliną, Nam Chorios

Kandra wpatrywała się w ciągle pusty ekran datapada i klęła.

- To przestaje być zabawne. Mamy Callistę, ale nie mamy Abeloth, a potem sygnał się urywa. To nie jest materiał, który nam obiecywał Skywalker. A teraz jeszcze to. - Wskazała na miasto, które znajdowało się dwa kilometry przed nimi. Było przysłonięte przez chmury pyłu, ale dało się dostrzec niewielką kanonierkę Sektora Wspólnego, krążącą nad domami, i wahadłowiec, który właśnie podchodził do lądowania. - Nakręciłeś?

Beurth wycelował kamerę z ramienia na odległe pojazdy i chrząknął twierdząco, po czym o coś zapytał.

- Nie, nie powinniśmy odejść, nawet jeśli sygnał zanikł. Pozostaniemy na miejscu, aż zdarzy się coś, co warto nagrać.

- A kiedy to będzie? - Głos rozległ się tuż za ich plecami. Był męski, łagodny i melodyjny. Odwrócili się, żeby się przyjrzyć mówiącemu.

Stał za nimi mężczyzna w ciemnej szacie - młody, o jasnej cerze i ciemnych włosach, urodziwy, ale w sposób przywodzący Kandrę na myśl drapieżnego ptaka. W dłoni trzymał rękojeść miecza świetlnego.

Włączył broń. Czerwone ostrze ożyło. Pochylił się i delikatnie przeciął kabel prowadzący od miasta do datapada Kandry. Potem wyłączył miecz.

Spojrzał na nich gniewnie.

- Nie podoba mi się, kiedy ktoś śledzi nasze posunięcia. Myślę, że powinniście wstać i pójść ze mną.

Kandra wymieniła spojrzenia ze swoim operatorem.

Miałeś rację, Beurth, pomyślała. Powinniśmy byli się stąd wynosić, jak tylko sygnał zanikł.

Podejście do Nam Chorios

Obraz na głównym monitorze mostku zmienił się nagle. Wirujące światła nadprzestrzeni zasłoniła szeroka panorama brudnych brązów - powierzchnia Nam Chorios, widziana w dużym powiększeniu.

Siedzący w fotelu kapitana Gavar Khai spojrzął na drugi monitor. Zobaczył na nim, że wszystkie fregaty z jego flotylii budowane w Sektorze Wspólnym wylądowały bezpiecznie i w prawidłowej formacji.

Spojrzał na oficera łącznościowego.

- Przekaż kod dezaktywacji: „Rozbrojenie”.

- Tak jest, panie kapitanie. - Łącznościowiec pochylił się nad swoim zadaniem. - Dostaliśmy odpowiedź od orbitalnych platform artyleryjskich NovaGun.

Khai pozwolił sobie na lekki uśmieszek. Nawet wobec obecności Jedi w całej galaktyce siły zbrojne i rząd Sojuszu Galaktycznego najwidoczniej nie zdołały się porządnie zabezpieczyć przed zręcznymi użytkownikami Mocy. Wystarczyło kilka dni, aby umieścić podstawionych pracowników na platformach NovaGun i wprowadzić oprogramowanie, które pozwoli je zdezaktywować. Teraz stacje obrony orbitalnej nie będą mogły skierować broni na fregaty Sithów. Po wielu godzinach kombinowania, testów i obchodzenia programów tamci zapewne zdołają odzyskać pełną kontrolę nad stacją... ale wtedy Sithów już dawno tu nie będzie. Khaia rozbawiło wyobrażenie dowódców stacji, opanowanych panicznym strachem, warczących bezsensowne rozkazy i biegających w kółko bez sensu.

Ironia polegała na tym, że Khai nie miał zamiaru do nich strzelać ani w ogóle podejmować działań zbrojnych w stosunku do Nam Chorios. Jego cele obejmowały pojmanie lub zniszczenie Abeloth, śmierć Wielkiego Mistrza Jedi Luke'a Skywalkera i odzyskanie córki Vestary oraz ewentualne wyciągnięcie z niej całej prawdy.

Następne słowa oficera łącznościowego były mniej pocieszające.

- Jedna z platform artyleryjskich, oznaczona jako Baza Herkan, nie odpowiada na nasze zapytania.

Khai zmarszczył brwi.

- Czujniki, czy ta platforma reaguje na nasze przybycie?

Operator czujników pokręcił głową.

- Nie, broń jest cały czas wycelowana w cele w atmosferze i kierunek nie został zmieniony.

I jeszcze, panie kapitanie...

- Tak?

- To stacja pokrywająca kwadrant obejmujący nasz cel, Kryształową Dolinę.

Khai zmarszczył brwi. Nie lubił takich zbiegów okoliczności.

- Może to tylko awaria programu... może coś się stało z modułem, który miał odpowiedzieć na nasze zapytanie. Ale trzymajcie wycelowane w nią działa przez cały czas podchodzenia. - Spojrzął znów na oficera łącznościowego. - Skontaktuj mnie z Tolą Annax.

- Tak jest, panie kapitanie. - Oficer włączył komunikator, przez chwilę mówił coś do niego gorączkowo, potem spojrzął na tablicę kontrolną. Po kilku minutach odwrócił się do Khaia. - Mam doniesienie, że w obszarze Kryształowej Doliny zakończono blokadę łączności, więc nasi musieli wykonać swoją część zadania. Ale nie odpowiadają.

- Próbuje dalej. - Najbardziej krytyczne elementy operacji przeprowadzono bez problemów: zlokalizowanie Abeloth na tym świecie, dyskretne sprowadzenie flotylii do systemu Nam Chorios, dezaktywacja platform obrony planetarnej i ostateczne uściślenie lokalizacji Abeloth na planecie. Drobiazgi jednak nieustannie psuły efekt.

Drobiazgi, jak kulki rてci, mają tendencję do zbiegania się i układania w większe problemy.

Khai martwił się, odkąd flotylla zbliżyła się do Nam Chorios i rozstawiła się tak, aby chronić wszystkie drogi, którymi Abeloth mogłaby opuścić planetę.

Oficer łącznościowy Khaia wciąż próbował nawiązać łączność, wywołując co kilka minut Tolę Annax lub kogokolwiek z operacji „Rozbrojenie”.

Flotylla dotarła do wysokiej orbity planetarnej. Khai poprosił oficera od czujników, aby przedstawił mu obszar Kryształowej Doliny w maksymalnym powiększeniu. Obraz ożył na

głównym monitorze, ale nie pomógł wiele. Znaczne części miasta i jego okolic były ukryte pod chmurami przepędzanego przez burze piasku.

- Tarcze w górę. Awaryjna cała naprzód! - polecił tymczasowy dowódca fregaty, keshirski zastępca Toli Annax, który prowadził okręt w czasie, kiedy ani Annax, ani Khai nie znajdowali się na mostku. Khai spojrział na niego, zaskoczony, że ten wydaje rozkazy, nie konsultując się z nim wcześniej.

Załoga mostka, ze sprawnością spotęgowaną do maksimum przez obecność Khaia i wysokie standardy Annax, zareagowała momentalnie. Khai poczuł, jak przyspieszenie wciska go w oparcie fotela, kiedy kompensatory bezwładności statku nie nadążyły za nagłym przyspieszeniem.

Spiorunował wzrokiem winowajcę.

- Poruczniku?

Operator czujników zawołał, zanim porucznik zdążył odpowiedzieć:

- Obcy obiekt na czujnikach! Obiekt porusza się w kierunku rufy!

Obcy obiekt wystrzelił. Systemy dźwiękowe zintegrowane z czujnikami zinterpretowały atak jako eksplozję, bliską, ale nie bezpośrednią; wszyscy na mostku usłyszeli tylko głuchy huk z tyłu, jakby atak nastąpił w atmosferze. Fregata podskoczyła od uderzenia. Odezwały się alarmy, sygnalizujące drobne uszkodzenia.

Porucznik odwrócił się twarzą do Khaia.

- Mamy dużo sygnałów. Myśliwce pojawiły się znikąd, a nasze czujniki nie mogą ich skutecznie wysledzić. Są pomiędzy nami a otwartą przestrzenią. Cała flotylla została zaatakowana.

- Dopilnujcie obrony, poruczniku. Zorientujcie się w stosunku sił. Jeśli jest ich za dużo, wynośmy się stąd.

- Tak jest, panie kapitanie.

Khai kipiał wściekłością. W żadnym wypadku nie mieli dość czasu, żeby dowódcy Nam Chorios przekazali raport, potem odległe dowództwo wysłało zbrojną odpowiedź, a ta zbrojna odpowiedź dotarła aż tutaj. Napastnicy musieli się już czaić gdzieś w okolicy. A to oznaczało pułapkę.

Pułapkę Jedi. Właśnie tak, a nie inaczej.

Luke, Ben i Vestara utworzyli obronny trójkąt i przesunęli się w luźniejszą część komory, gdzie ciała Theran Nasłuchiwczy nie były już tak liczne. Leżący wokół nieszczęśnicy z pełnych cierpienia koszmarów zdawali się przechodzić w fazę normalnego snu.

Sithowie zaczęli zeskakiwać z platform. Ruszyli, żeby otoczyć Luke'a i jego towarzyszy. Ich miecze ożyły. Nie można było mieć wątpliwości co do ich zamiarów - przynajmniej w stosunku do Luke'a i Bena.

Tola Annax, wciąż stojąca na platformie, miała jednak coś do powiedzenia Vestarze.

- Chcesz się poddać, dziecko? Chętnie się dowiem, jak zamierzasz się wywinąć z obecnej sytuacji.

Odpowiedź Vestary była błyskawiczna i rezolutna. Luke był pod wrażeniem.

- A może to ty poddasz się mnie? Może pozwolę ci żyć.

- Nie, dziękuję, moja droga, ale doceniam twoją uprzejmość.

Vestara scenicznym szeptem rzuciła przez ramię:

- Trzymajcie się. Za dziesięć sekund uderzy w nas wielki atak Mocy. Dziewięć...

Sithowie zaatakowali.

Ich taktyka była prosta i skuteczna: zadziałać samą tylko liczbą jednoczesnych ataków. Na każdego z nich rzuciło się z bronią po dwóch Sithów. Pozostali Sithowie próbowali dosięgnąć atakowanych, używając sił telekinezy: spychali ich wprost pod czerwone ostrza. Kolejni Sithowie dołączali do walki jeden za drugim; wywijając salta, uderzali na Skywalkerów i Vestarę od góry. Skakali tak raz po raz, bez chwili wytchnienia.

Luke głównie się bronił, oszczędzając nadwyżężone siły. Odbijał tylko ciosy przeciwników w górę lub w kierunku podłogi. Kiedy widział i czuł, że próbują pchnąć go Mocą, opierał się, ale

stosował tylko pchnięcia do usuwania się z drogi, ewentualnie wykorzystywał je do skierowania się tam, gdzie chciał się znaleźć. Nigdy jednak nie odpowiadał czystą siłą.

Musiał walczyć w ten sposób, bo ledwie mógł ustać. Zranione kolano zaczęło znowu dokuczać, noga się pod nim ugiwała.

Słyszał odgłosy znacznie bardziej energicznej obrony Bena, syk i trzask jego miecza o miecze Sithów. Od strony Vestary rozległ się świst. Coś ciężkiego spadło za plecami Luke'a i podtoczyło się do przodu - okazało się, że to głowa jednego ze skaczących Sithów. Reszta ciała z łomotem runęła prosto na Theranina Nasłuchiwacza.

Odległe odgłosy bitwy nie cichły, tylko zmieniały ton. Świst strzałów z miotaczy zastąpił wyraźny trzask błyskawic Mocy, niczym kontrapunkt do monotonnego brzęczenia i syczenia mieczy świetlnych. A więc Sithowie dotarli do Abeloth. Już nie krzyczała. Krzyczeli za to oni, kiedy Abeloth zaczęła ich atakować.

A Vestara przez cały czas odliczała:

- Osiem... siedem... sześć... pięć...

Jeden z przeciwników Luke'a źle wymierzył cios, akurat w chwili, kiedy jego przeciwnik zrobił pół kroku w tył. Luke odsunął się lekko w bok, cofnął miecz i podsunął jego ostrze pod dłoń atakującego. Siłą rozpędu ramię opadło prosto na zielone ostrze. Mężczyzna jęknął, a jego odcięta ręka, trzymająca miecz, upadła na permabetonową podłogę. Chwyając się za nadgarstek, Sith wycofał się z walki, ale natychmiast zastąpiła go kobieta o lawendowej cerze. Uśmiechnęła się, najwyraźniej zachwycona perspektywą zabicia legendarnego Mistrza Jedi.

- Cztery... trzy...

Luke znieruchomiał. Nie wiedział, jaki rodzaj ataku Mocą szykują na niego Sithowie, ale był wdzięczny Vestarze, że wiedziała, co do sekundy, kiedy nastąpi. Zrobi wszystko, aby to wytrzymać. Przechwycił cięcie, które wyprowadziła jego nowa przeciwniczka, i odbił je w bok. Miecz musnął udo drugiego z przeciwników, który syknął głośno, kiedy ostrze dotarło do skóry.

- Dwa... jeden... teraz!

Moc uderzyła Luke'a jak młot parowy.

Zachwiał się i ukląkł, jakby odruchowo. Jego ostrze zakreśliło obronny łuk, który tamci mylnie wzięli za atak, ale nikt go nie sparował. Wokół Sithowie padali jeden po drugim, wijąc się pod wpływem potęgi, która ich zaatakowała.

Luke próbował wstać, ale nie mógł, więc tylko przysiadł na klęczkach.

Vestara także klęczała. Ben jeszcze trzymał się na nogach, ale z trudem. Drżącą ręką wyprowadził cios, który, gdyby został zadany z pełną siłą, przeciąłby jego przeciwnika na pół. I tak jednak cięcie okazało się śmiertelne. Sith leżał martwy, rozciągnięty na jednym z Nasłuchiwaczy. Twarz Bena wykrzywiały ból i szok.

Gdzieś w dali Abeloth znów zawyła przeciągle.

Vestara wstała z trudem.

- Szybko - poleciała. - Zanim... dojdą do siebie.

Nie wszyscy Sithowie byli nieprzytomni. Wielu powalił nagły ból, ale teraz usiłowali się wyprostować z pozycji płodowej, jaką przyjęli, cierpiąc potwornie. Mieli szklany wzrok i wykrzywione twarze, ale zachowali przytomność.

Ben podszedł chwiejnie i pomógł ojcu wstać. Luke, ledwie stanął na nogi, odpędził syna gestem.

- Zajmij się... Valinem. Vestaro, do mnie.

Dziewczyna ledwie mogła iść, ale dotarła do Luke'a i wsunęła rękę pod jego lewe ramię. Wspierając się na sobie wzajemnie, dotarli do schodów. Robiąc jeden bolesny krok za drugim, zdołali dotrzeć do pierwszego półpiętra. Tam przystanęli i obejrzel się.

Teraz Luke widział Bena. Chłopiec zarzucił sobie Valina na ramiona i przerażająco wolno kierował się w stronę ojca. Twarz miał skurczoną z wysiłku, a dzięki nadludzkiej sile woli zmienił się w twardego mężczyznę, którego Luke ledwie rozpoznał.

Znieruchomiał na chwilę, poruszony wizją człowieka, jakim Ben stanie się pewnego dnia. Poczul dumę i smutek zarazem. A potem chwila minęła i razem z Vestarą podjęli wędrówkę po

schodach.

Na szczycie schodów jeden z Sithów, którzy zostali tu z Tolą, spróbował usiąść. Vestara nadepnęła mu na głowę i uderzyła nią w permabeton, łamiąc mu szczękę. Nawet się nie obejrzała. Poszli dalej z Lukiem, potykając się, byle jak najdalej od platformy, jak najdalej od wielkiej komory.

Luke wyprostował się i dał znać Vestarze, że już nie potrzebuje pomocy. Odwrócił się i spojrzął za siebie.

Ben z trudem dotarł do szczytu schodów, ale jego kroki stawały się coraz szybsze i zwinniejsze.

Razem dotarli do wyjścia, przez które weszli do kompleksu.

Ben wreszcie uznał, że musi coś powiedzieć i ma już dość tchu, żeby to wyartykułować.

- Co to był za atak? To było jak... - Urwał nagle.

Luke wiedział, jak to było. Doświadczył tego dwa razy w życiu. Poczł, jak ogarnia go ogromny smutek.

- Przecież wiesz, jak do tego doszło, Ben.

- To tak jak wtedy, kiedy tsil został zaatakowany przez Statek, prawda?

Luke nie spuszczał wzroku z Vestary.

- To było to, mam rację? Tsil. Duszek, którego brakowało. Zabrałaś go.

Skinęła głową. Jej twarz wyrażała... może nie poczucie winy, ale chyba cień smutku.

- I kondensator z wahadłowca TIE - dodała. - I odbiornik komunikatora, który zadziałał jako timer i wyzwalacz. Miałam to w plecaku.

- Vestaro, zabiłaś niewinną istotę. - Luke nawet się nie oburzył, ale miał poczucie straty. Nie chodziło o stratę tsila; czuł się po prostu tak, jakby Vestara nagle zrobiła duży krok wstecz i wycofała się w mrok, oddalając od światła. Zastanawiał się, czy on albo Ben kiedykolwiek zdołają pokonać tę odległość.

Jej odpowiedź brzmiała jednak zadziwiająco dojrzałe.

- Nie próbuj mnie za to krytykować, Mistrzu Skywalkerze. Nie mogę zniszczyć Abeloth. Ty możesz, więc musisz przeżyć. Byliśmy o włos od śmierci i Abeloth na pewno by zwyciężyła. Musisz zrobić to, co konieczne do zwycięstwa.

- Gdyby ten atak nie powalił wszystkich wrażliwych na Moc w okolicy, czy Sithowie atakujący Abeloth zdołaliby ją pokonać? Tak czy nie? Może właśnie uniemożliwiłaś dokonanie tego, co powinniśmy zrobić.

Ale Luke nie był tego pewien. Przyszłość zawsze jest niepewna, a przyszłość, której właśnie zapobiegła Vestara, mogła być fatalna. Zwłaszcza że jego wrażliwość na Moc była w tej chwili zmniejszona przez śmierć tsila.

Vestara pokręciła głową.

- Nie wiem tego. Czuję tylko, że masz więcej Mocy niż ktokolwiek inny, o kim wiem. Byłeś dość twardy, aby skłonić mnie, bym ściągnęła tu własnych ludzi, wiedząc, że prawdopodobnie dla niektórych oznaczać to będzie śmierć... a może nawet dla mnie. Jak możesz mieć mi za złe, że zdobyłam się na to, aby poświęcić jednego tsila dla ratowania całej galaktyki?

- Vestaro - odezwał się Ben, oddychając z trudem. - Dość. Tato, dość. Ona też ma trochę racji.

Luke gniewnie zacisnął zęby.

Dotarli do wjazdu wyjściowego. Vestara poszła pierwsza i podtrzymała klapę dla Skywalkerów. Ben, z niewielką pomocą Luke'a, zaniósł Valina w górę po drabinie i znaleźli się na zimnym, pogrążonym w półmroku świetle Nam Chorios.

W strefie wojny.

Pierwszym obrazem, jaki ukazał się ich oczom, był przemykający nad ich głowami wahadłowiec, ciągnący za sobą smugę dymu. Spadał po łuku, aż znikł za odległą chmurą kurzu z dala od Kryształowej Doliny. Usłyszeli huk, kiedy uderzył o ziemię, a potem patrzyli na ognistą chmurę jego konania, wznoszącą się ponad burzę piaskową.

Nad ich głowami śmignął stealthX, strzelając z poczwórnych laserów do odległego celu -

niewielkiej, ale zwinnej kanonierki. Pojawiły się kolejne czerwone błyski na mrocznym niebie - oznaki bitwy rozgrywającej się wiele kilometrów nad nimi.

Ben, dysząc ciężko ze zmęczenia, objął wzrokiem tę scenę.

- Cały dywizjon stealthX-ów - mruknął. - Można powiedzieć, że przybyli w odpowiedniej chwili.

- Niezupełnie. - Vestara zatrzasnęła właz, przekreśliła koło, a potem zapaliła swój miecz świetlny i zanurzyła jego klingę w klawiaturze zabezpieczającej. - Jak długo byli w systemie, Mistrzu Skywalkerze?

Luke wytrzymał jej wzrok.

- Wiele dni.

- A więc kazałeś mi wezwać moich ludzi, a ty wezwałeś swoich i poleciłeś im czekać w ukryciu. Dopiero kiedy Abeloth i Sithowie się ujawnili, wezwałeś ich.

- Tak.

Wyłączyła broń i zawiesiła ją przy pasie. Poklepała Luke'a po policzku - nieodpowiedni i zbyt poufały, ale dziwnie znajomy gest.

- Jesteś bardziej Sithem, niż sądziłam. Pewnie też bardziej, niż sam chciałbyś to przyznać. Skwitował to lekkim wzruszeniem ramion i podniósł do ust komunikator.

- Owen Lars do Kandry Nilitz - powiedział.

Nie słychać było charakterystycznego syku blokady, ale Kandra nie odpowiedziała.

- Mam nadzieję, że w tej chwili jest w połowie drogi do Hweg Shul. - A potem się zdecydował... Jedi powinni dystansować się od egoistycznych emocji i myśli, ale, do licha, jak dobrze było powiedzieć to po tyłu miesiącach! - Wielki Mistrz Skywalker do dywizjonu stealthX-ów. Wchodźcie.

- „Szary Jeden” do Wielkiego Mistrza, rozumiem - usłyszał głos kobiety. Jai.

Luke nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Musicie natychmiast zabrać czwórkę Jedi, w tym jednego nieprzytomnego.

- Załatwione, wujku Luke.

Teraz Ben też się uśmiechnął.

- Wreszcie. Tato znowu rządzi. Wracamy wszyscy do biznesu, jak zwykle.

ROZDZIAŁ 44

Dei z rosnącą satysfakcją obserwował na ekranie datapada transmisję od C-3PO. Głównie widział plecy wyższych, potężniejszych istot, w tym wielu Klatooinian, ale chwilami robot protokolarny przechwytywał obraz podium i stojących na nim osób - mała klatooiniańska Jedi, klatooiniańska kobieta, która z nią rozmawiała, a o kilka kroków od nich - Tenel Ka.

Operacja miała być szybka i skuteczna. Złapać robota protokolarnego, spowodować, żeby się wyłączył, ulokować gdzie trzeba ogranicznik, schować robota w namiocie wynajętym od sprzedawcy broni, który gotów był zarabiać kredyty w każdy możliwy sposób. Potem trochę mechaniki, żeby zainstalować ładunek wybuchowy i przekaźniki, które będą przysyłać dane z czujników robota do datapada Deia. I jeszcze wpuścić do komunikatora robota fałszywą wiadomość, a na koniec przekazać robota dobrze opłaconemu przedstawicielowi Milicji Wyzwolonych Robotów. A potem trzeba już było tylko czekać na właściwy moment. Na szczęście mała Solo znalazła robota niecałe dwie minuty wcześniej, zanim Dei przekazał polecenie, aby i tak go uwolnić.

Mała Solo...

W tym momencie datapad przesłał zbliżenie twarzy Tenel Ka. Kobieta uśmiechała się gładkim politycznym uśmiechem, jawnie okazując poparcie dla wydarzeń rozgrywających się pośrodku placu, ale w jej wyrazie twarzy było lekkie napięcie, które wydało się Deiewi znajome.

Sith ukląkł na piasku na wschodniej skarpie i ustawił detonator obok siebie. Wziął do ręki datapad. Ignorując na razie transmisję na żywo, rozgrywającą się na ekranie - See-Threepio będzie

potrzebował jeszcze co najmniej dwóch minut, aby dojść do podium - Dei cofnął nagrania z robota o kilka godzin wstecz.

Oto i ona, dziewczynka uchwycona w momencie, kiedy C-3PO po raz ostatni spojrział w jej twarz. Miała włosy znajomej rudawej barwy, znajome szare oczy. A jej wyraz twarzy miał w sobie równie znajomą powagę.

Dei przeskakiwał przez chwilę pomiędzy obrazami Tenel Ka i Amelii Solo. Nagłe oświecenie spłynęło na niego jak fala zimnej wody.

Królowa Jedi... Może Tenel Ka miała drugą córkę? A może to dziecko, które wiele lat temu uznano za zmarłe? Miałoby to sens. Związek Tenel Ka z Jacenem Solo, konieczność, aby hapańska królowa ukryła dziedziczkę przed morderczymi rywalami...

A więc trzeba będzie po prostu zabić obie. Na razie jednak kolej na Tenel Ka. Przełączył się znów na transmisję na żywo.

Ekran ukazywał zawołowaną hapańską kobietę, rozmawiającą z C-3PO. Pokiwała głową, a potem odstępowała, aby pozwolić mu przejść. Kolejną osobą, w odległości niecałych pięciu metrów, była Tenel Ka. Dei sięgnął po pilota.

Tymczasem jego palce napotkały piasek. Zaskoczony, przez chwilę macał wokół siebie. Zwykle był pedantycznie dokładny, co do milimetra, wiedział bezbłędnie, gdzie co kładzie. A jednak natrafił jedynie na piach.

Spojrzał w dół.

Pilot znikł.

Allana dotarła do końca ścieżki wiodącej w górę wschodniego garbu. Przelknęła ślinę i spojrzała w dół, na obozowisko. Kiedy tam była, wydawało się ogromne, a teraz takie małe. „Sokół Millennium”, ustawiony na krawędzi, cały skąpany w światłach ustawionych przez strażników Sojuszu, dawał jej pojęcie skali. Nawet z tej odległości słyszała od czasu do czasu krzyki dobiegające z centralnej sceny. Słyszała także cichy szum z najbliższego generatora pola, oddalonego o setki metrów.

Ale obozowisko jej teraz nie interesowało. Odwróciła się, żeby spojrzeć na ciemną pustynię. O wiele za późno przyszło jej do głowy, że tak blisko krawędzi nierównego nawisu każdy fałszywy krok może spowodować upadek z wysokości kilkudziesięciu metrów - kończący się poważnymi obrażeniami lub śmiercią.

Cóż, nic nie może zrobić, poza zachowaniem ostrożności. Jeśli tylko czas na to pozwoli...

Anji przeszła jeszcze kilka kroków, a potem niezgrabnie jak na nexu przewróciła się na bok i zaczęła sobie wylizywać futro.

Allana zignorowała ją i najlepiej jak umiała otworzyła się na Moc.

Tu, z dala od tłumów, może zdoła wyczuć człowieka, którego poszukuje. Czasem było to jak szukanie świetlików... pewnego ich gatunku. Jeśli całe ich chmary roiły się wokół latami miejskich, trudno było je zobaczyć, a już zwłaszcza pojedynczego robaczka. Jeśli jednak dwa lub trzy świetliki wisiały nad ciemnym jeziorem, było to o wiele łatwiejsze.

Pokręciła głową, żeby się pozbyć tej myśli. Babcia Leia często karciała ją za myślenie wtedy, kiedy powinna tylko czuć. Pozwoliła, aby myśli uleciały z jej głowy.

Wyczuła w pobliżu Anji, szczęśliwą, silną i prymitywną. Powoli minęła nexu, sięgając dalej.

Czuła wiele dotknięć Mocy z kierunku obozowiska. Zignorowała je.

I nagle poczuła... Ciemność. Prawie jak w transie ruszyła w tamtym kierunku.

Jak na zdrową dziewczynkę, odległość nie była duża, równa kilku przecznicom w mieście. I wtedy ujrzała go przed sobą - na skraju skarpy. Obok na piasku leżał datapad, a dalej makrolornetka.

Powoli się wycofała, jak najdalej od niego. Skoncentrowała się, znów stając się maleńkim punkcikiem w Mocy, i zaczęła zbliżać się do niego krok za krokiem, cicha jak Anji.

Musiała się zbliżyć, jeśli miała rzucić mu się na plecy. Nie wiedziała, w czym miałyby to

pomóc, ale to właśnie widziała w swojej wizji.

Mężczyzna położył coś na piasku i wziął datapad, chwilę przy nim manipulując. Allana podeszła jeszcze bliżej, starając się nawet nie oddychać.

Zobaczyła na małym ekranie Tenel Ka i transmisję z wydarzeń, które właśnie rozgrywały się w obozowisku.

I wtedy dotarło to do niej. Już wiedziała, o czym myślał mężczyzna z mroczną aurą. Myliła się, to nie on był ognistym człowiekiem.

Tylko C-3PO.

Zakryła usta dłonią, aby nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

To See-Threepio miał być ognistym człowiekiem, a ta mała rzecz, którą mężczyzna z mroczną aurą położył obok siebie, była kluczem do śmierci C-3PO. I śmierci Tenel Ka.

Allana zrobiła jeszcze jeden krok do przodu.

Leia dotarła do końca stromej ścieżki i sprawdziła znów komunikator. Podawał nowy kierunek i nową odległość. Zaledwie pięćset metrów od niej.

Co dziwniejsze, nie czuła w Mocy obecności swojej wnuczki. Owszem, wyczuwała Anji, niejasno i w pewnej odległości. I jeszcze coś.

Coś mrocznego.

Rzuciła się pędem przed siebie.

Dei wstał i się obejrzał.

Najwyżej trzy metry od niego, z pilotem w ręku stała Amelia Solo. Patrzyła na niego hardo.

Wyciągnął rękę po pilota.

- Oddaj mi to.

Pokręciła głową.

- Nie zabijesz jej.

- Nie zabiję... twojej matki?

W oczach dziewczynki pojawił się błysk zaskoczenia. Nie odpowiedziała.

Dei pokiwał głową przepaszająco.

- Przepraszam, ale podejrzewam, że wyrosłaś na kogoś podobnego do twojej matki.

Podziwiam i szanuję inteligencję i piękno w każdej postaci. Ale obowiązek przede wszystkim.

Teraz zabiję cię, a potem twoją matkę. Nie będzie bolało, jeśli na to pozwolisz.

Wyjął miecz świetlny i włączył go.

Odwróciła się, żeby uciec.

Rzucił się na nią z wzniesionym mieczem; biegł o wiele szybciej niż ona.

Na szczęście nie widział nadchodzącego niebezpieczeństwa. W jednej chwili wyprowadzał cięcie, w następnej zachwiał się i upadł.

Jego napastnik składał się z futra, ostrych kolców i ział wściekłością. Gryzł, szarpał, darł.

Dei niezgrabnie przetoczył się na kolana i wolną ręką chwycił oprawcę. Jego palce zamknęły się na pokrytym futrem boku. Szarpnął.

Stworzenie nie dało się oderwać. Coraz głębiej zatapiało ostre zęby w jego policzku, czole i oku. Dei zawył i szarpnął znowu. Tym razem oderwał od siebie potwora i rzucił go daleko w mrok.

Prawa strona jego twarzy ociekała krwią. Podejrzewał, choć nie był tego pewien, że stracił oko. Wstał, płonąc gniewem... gniewem, paliwem Ciemnej Strony. Wystarczy jeden krok, jeden zamach i będzie po dziewczynie, a potem zajmie się jej kotkiem. Odwrócił się w stronę Amelii.

Pomiędzy nim a małą stała Leia Solo z niezapałonym mieczem świetlnym w ręku. W jednej chwili ostrze ożyło z sykiem. Za nią stała śmiertelnie blada Amelia, wciąż trzymając pilota.

Leia także była blada i zdyszana. W księżycowym świetle wyglądała jak widmo. Jej słowa jednak były jasne i precyzyjne.

- Poddajesz się?

- Nie.

- Świetnie - warknęła i rzuciła się na niego.

Dei przyjął pierwszy atak, blokując go zręcznie, czystą siłą. Ta linia obrony miała onieśmielać przeciwnika.

Tylko że Leia nie dała się onieśmielić. Cofnęła się o krok, zanim zdążył ją odepchnąć, uwolniła ostrze, wyprowadziła kopnięcie. Jego miecz świsnął w powietrzu tam, gdzie miała znaleźć się jej noga, ale trafił w pustkę. Za to poruszony piasek zasypał mu twarz. Prawą stronę twarzy.

Sith wyszczerzył zęby. Miała całkiem niezłą taktykę, skoro wykorzystywała rany, które odniósł.

Rozpoczął się zaciekły pojedynek na śmierć i życie.

Relaksując się w Mocy, wykorzystując instynkt i pamięć mięśni o treningu, zdecydował, że oto przeżywa chwilę doskonałego dopasowania. Jego gorący gniew przeciwko jej zimnemu opanowaniu. Mężczyzna i kobieta. Sith i Jedi. Rozżarzona czerwień przeciwko błękitowi. Siła przeciwko zwinności. Było to tak piękne, że poczuł dreszcz rozkoszy.

Ich miecze starły się z trzaskiem; okręcili się, odskakując od siebie i Dei zrozumiał, że popełnił błąd. Obrót w kierunku wolnej ręki, jaki wykonywał tysiące razy, spowodował, że zdradzony przez oślepienie oko, stracił swojego przeciwnika z zasięgu wzroku o ułamek sekundy za wcześnie. Poczul, jak Leia sięga w Moc. Zakręcił ostrzem w obronnej serii ciosów, ale miecz napotkał pustkę.

Zatrzymali się, zwróceni przodem do siebie. Dei miał dziwne wrażenie oderwania.

Nagle stwierdził, że ma przed sobą niebo. Nie wiedział dlaczego, ale spoglądał w gwiazdy. Potem zobaczył obozowisko za skarpą, odwrócone do góry nogami. Potem własne nogi i stopy od tyłu.

Jego głowa uderzyła o piasek o moment wcześniej niż ciało. Potoczyła się o kilka metrów i zatrzymała. Ostatnim widokiem, jaki ujrzał, był zjeżony, zakrwawiony nexu, gapiący się na niego. A potem wszystko na zawsze okryła ciemność.

Dwa kilometry dalej, w kokpicie „Zagadkowego Ostrzeżenia”, Fardan nagle wyprostował się w fotelu i pobladł.

Hara spojrzała na niego.

- Co się dzieje?

- Ojciec...

Przez chwilę odpoczywały na piasku, zwrócone twarzami do obozowiska, a tyłem do ciała mrocznego człowieka. Allana siedziała na kolanach Leii, Anji wylizywała się o metr od nich.

Allana oparła się o babcię.

- Musiałam to zrobić. Właśnie to mi pokazywały sny. Z początku nie wiedziałam, o co w nich chodzi, ale zrozumiałem minutę temu. No więc musiałam.

- Rozumiem.

- Nie wściekasz się?

- Nie wściekam się.

Nagle Allana poczuła krople, spadające na jej twarz jak deszcz. Otarła je.

- Babciu, dlaczego płaczesz?

- Bo to za wcześnie, kochanie. Za wcześnie, aby zdarzały ci się takie rzeczy.

- Nic mi nie będzie. - Allana podniosła pilota. - A teraz musimy wracać do obozu. Może tam być więcej Sithów.

Już po kilku minutach tam dotarli. Szły powoli. Javon i jego drużyna z kamiennymi twarzami dołączyli do nich jako eskorta.

W obozowisku panował duży ruch. Uczestnicy spotkania na centralnym placu rozchodzili się i schodzili, rozmawiali, ściskali się, kłócili.

Leia odebrała wezwanie przez komunikator. Słuchała przez chwilę i nagle spoważniała. Skierowały się w inną stronę.

Allana podniosła na nią wzrok.

- Co się stało?

- Tak mi przykro, kochanie. Musiałam powiedzieć ludziom o bombie, którą nosi See-Threepio. Wywieźli go na pustynię i rozbroili, jest już bezpieczny. Ale ochrona hapańska... po próbie zamachu na Królową Matkę... nalegała, a Tenel Ka nie miała już żadnego oficjalnego powodu, żeby tu zostawać...

Zatrzymali się na skrzyżowaniu alejek pomiędzy namiotami i czekali na przejście grupy osób. To przybysze z Konsorcjum Hapańskiego wracali do swojego statku.

Allana przyglądała się kolejnym zawoalowanym twarzom. Potrzebowała tylko chwili, żeby rozpoznać matkę. Tenel Ka patrzyła wprost na nią oczami pełnymi dumy i smutku.

Allana uniosła dłoń i pomachała matce. A potem Hapanie minęli ją i znikli.

ROZDZIAŁ 45

Kryształowa Dolina, Nam Chorios

Trzy myśliwce StealthX zeszły na wysokość stu metrów nad ziemią, krążąc wokół wahadłowca, który osiadł na drodze przylegającej do pola topato ze skrzydłami uniesionymi do lądowania. Ben znów wziął Valina na ręce i ruszyli w kierunku drogi. Rampa została opuszczona, zanim jeszcze dotarli, a pilota, Taryn Zel, czekała na nich. Podtrzymała Bena, gdy ten wnosił Valina do środka.

Luke podniósł głowę.

- Jaina, kto tam jest z tobą? - powiedział do komunikatora.

- Zekk i Tyria Tainer.

- Tyria, zejdź do lądowania.

- Tak jest, Wielki Mistrzu. - Jeden z stealthX-ów nagle Skręcił i zszedł w dół na repulsorach. Chwilę później wylądował przed wahadłowcem, wzniesając repulsorami małą burzę piaskową. Owiewka się uniosła.

Luke przywołał szczupłą, jasnowłosą kobietę z kabiny.

- Zabieram ci myśliwiec.

Spoważniała.

- Tak jest, Wielki Mistrzu.

Ben, który zawrócił i zszedł do podstawy rampy, skrzywił się, słysząc to.

- Tato, w tej chwili nie dasz rady walczyć. Żadne z nas nie powinno tego robić.

Luke położył dłoń na ramieniu syna.

- Twój wujek Han, bardzo mądry człowiek...

- Ha!

- ...powiedział kiedyś: „Nigdy nie mów mi o szansach”.

- Nie mówiłem o szansach.

- No to nie mów dalej.

Tyria zeskoczyła na drogę, podeszła i niechętnie oddała Luke'owi swój kask.

- Miło cię widzieć, Wielki Mistrzu. Witaj z powrotem.

- Dzięki. - Luke ruszył w stronę stealthX-a. - Spróbuj nauczyć moją latorośl, że nie należy być nadopiekuńczym wobec starszych, dobrze?

Włożył kask, wskoczył na boczny płat z większym wysiłkiem, niż chciałby przyznać, i wsiadł do kabiny, przebiegając wzrokiem skróconą listę kontrolną. Kiedy owiewka opadała, dał

jeszcze Benowi kciukami znak okej, włączył silniki repulsorowe i wzniósł się w powietrze.

W tej samej chwili coś wyskoczyło z najbliższej chmury pyłu - znajomy kulisty kształt z wypustkami, czerwony i groźny. Statek. Z ogromną prędkością wystrzelił w ciemne niebo. Luke wyczuł Abeloth w jego wnętrzu. Ból, jakiego doznawała, był niczym żar emanujący z niej w Moc. Strata Callisty, strata Nenna, nieoczekiwana eksplozja śmierci tsila, wszystko to zdarzyło się bardzo blisko niej i mocno ją poturbowało.

Nie zwracając uwagi na szkody, jakie jego silniki mogły spowodować w okolicznych uprawach, Luke przechylił stealthX-a nosem w górę i całą moc, jaką myśliwiec miał w sobie, przekierował na przyspieszenie. Jaina i Zekk podążyli za nim.

Kolejne raporty uderzały w Gavara Khaia niczym termoczule pociski.

- Dwie fregaty zniszczone, dwie uszkodzone. Szkody w pozostałej flotyli. Wciąż mamy cztery minuty do wyjścia ze studni grawitacyjnej planety.

- Odzyskaliśmy łączność z kapitan Annax. Nasze kanonierki odciągają nieprzyjacielskie myśliwce, żeby mogła uciec wraz ze swoimi jednostkami.

Kipiąc wściekłością, Khai podniósł wzrok, nie pozwalając jednak, aby gniew pojawił się w jego głosie.

- Nakaz wycofanie wszystkich naszych sił z Nam Chorios. - Na jego ustach pojawił się ponury uśmiech, ale rozumiał, że robi to, co powinien. - Nakaz wszystkim siłom, które były na ziemi, przejść pełne odkażanie, głównie pod kątem zniszczenia drochów, zanim dołączą do sił głównych. Powiedz, że inaczej sami ich zniszczymy.

- Tak jest.

Fregata Khaia zatrzęsała się od szczególnie silnego trafienia z lasera. Moc tarcz spadała, celne strzały miały coraz poważniejsze skutki.

Nie chciał nawet sprawdzać, czy wytrzymają na tyle długo, aby zapewnić im bezpieczne wykonanie skoku w nadprzestrzeń. Musi zaufać sobie, swoim dowódcom i Mocy.

Wiedział jednak, że poniósł wielkie straty. Zanadto polegał na raportach twierdzących, że Jedi są rozproszeni, zniszczeni przez szaleństwo polityczne, jakie ogarnęło Coruscant. Zrobił tak, ponieważ chciał w to wierzyć. Chciał wierzyć, że wróg jest gorszy od niego pod każdym względem.

W uszach Luke'a rozległ się głos Kyle'a Katarna:

- „Złoty Jeden” do wszystkich eskadr. Nowe zagrożenie, nowe zagrożenie. Baza Herkan ożyła. Kieruje właśnie broń w twoją stronę, „Szary Jeden”.

Luke zacisnął zęby. A więc Abeloth w jakiś sposób przejęła kontrolę nad stacją NovaGun. Nie było to niemożliwe dla użytkownika Mocy, który potrafi kontrolować innych.

Jaina natychmiast potwierdziła:

- Rozumiem. Dowodzenie Eskadrą Szarych przejmuje „Szary Dziesięć”.

Luke sprawdził tablicę czujników. Baza Herkan była ledwie widoczną, odległą kropką nad jego głową. Nie czuł jednak z jej strony żadnego zagrożenia.

Nie czuł zagrożenia nawet wtedy, kiedy do niego strzeliła. Jaskrawy rozbłysk światła rozjaśnił niebo nad kabiną. Przegrzane powietrze uderzyło w stealthX-a, wstrząsając myśliwcem, a za pośrednictwem steru także Lukiem. Robot R2 z tyłu zaskrzeczał.

Luke się skrzywił.

- Tu „Szary Dziesięć” - powiedział. - Baza Herkan prawdopodobnie strzela z automatycznego programu. Nie wykrywam żadnych emocji ani intencji. „Szary Jeden”, „Szary Dwa”... manewry unikowe i tak trzymać.

Nie chciał wydawać tego rozkazu, bo cały czas zbliżali się do Statku. Manewry unikowe ich spowolnią.

A Statek - sfera medytacyjna Sithów - pruł naprzód i nie robił uników, bezpieczny od strzałów NovaGun.

Odległy laser znów wystrzelił. Ściana śmiertelności jasności przemknęła między Lukiem a Jainą. Żołądek Mistrza Jedi podskoczył w chwili, kiedy stealthX Jaiiny znikł w świetle, ale nie poczuł z jej strony bólu i straty, jedynie chwilę niepokoju.

- „Złoty Trzy” do „Szarego Dziesięć”, nadchodzę - odezwał się głos Raynara Thula. „Złoty Trzy” pojawił się na czujnikach tuż za NovaGun. - Używam ciemnych bomb, uważaj.

- Ustaw na detonację detektorem zbliżeniowym. - Luke przechylił stealthX-a na bok i przez przestrzeń, gdzie był jeszcze przed chwilą, przemknęła kolejna salwa. - Jeśli uszkodzisz Statek, my go wykończymy. Nie próbuj jednorazowego strzału.

- Rozumiem... Bomba naprzód.

Luke nie poczuł nic przez Moc, ale tak miało być. Raynar wystrzelił ciemną bombę, głowicę torpedy protonowej bez napędu, za pomocą telekinetycznego dotknięcia przez Moc. Luke nie powinien był nic poczuć. Abeloth też nie powinna. Jeśli utrzyma obecny kurs - a pewnie tak zrobi, jak długo NovaGun zapewnia jej bezpieczeństwo wzdłuż tego wektora wyjścia - wleci prosto na bombę.

- „Złoty Jeden” do „Złotego Trzy” - znów odezwał się Kyle Katarn. - Uważaj, NovaGun obraca się osiowo. Jej działa mogą cię wziąć na cel...

NovaGun znów rozbłysła, ale tym razem jej atak nie był skierowany w stronę Luke'a, Jaiiny lub Zekka. Igła laserowego światła skierowała się w bok od bazy orbitalnej. Kolejny rozbłysk, tym razem niewidoczny, i rozległ się alarm w Mocy.

Sygnal transpondera ze „Złotego Trzy” na tablicy czujników Luke'a zgasł, po czym znów się pojawił i zamigotał.

- „Złoty Jeden” do dywizjonu. „Złoty Trzy” się katapultował.

- „Złoty Jeden”, tu „Biały Cztery” - odezwała się Taryn Zel. - Jestem na innym wektorze wyjściowym, z dala od Bazy Herkan. Mam podjąć „Złotego Trzy”?

- Nie, nie, personel Bazy Herkan zrobi to sam. Pozostawaj poza zasięgiem, twój wahadłowiec nie nadaje się do bojowych akcji ratunkowych.

Luke przebiegł w myślach odległość i prędkości. Statek powinien znaleźć się w pobliżu bomby za najwyżej...

Abeloth musiała ją poczuć! Może wychwyciła cień wyczekiwania ze strony Raynara lub pozostałych. Statek skręcił.

Musiał jednak przelecieć dość blisko bomby, aby uruchomić jej zapalnik zbliżeniowy. Przed nimi eksplodowała kula jasności. Statek, maleńka, nieregularna kropka, wszedł w nią, przebił, ale dość daleko od epicentrum, i wyleciał po drugiej stronie, ciągnąc za sobą iskry i płomienie. Luke czuł w Mocy ból, odległy ból, ale nie umiał określić, czy to Statek, czy Abeloth, czy oboje.

Licząc na to, że zaskoczenie Abeloth spowolni jej reakcje, Luke oddał strzał z maksymalnego zasięgu. Widział, jak jego poczwórne lasery zbiegają się na tej małej kropce. Poczuł jeszcze więcej bólu, więc zrozumiał, że trafił.

Nagle wszechświat zapłonął.

R2 za plecami Luke'a zaskrzeczał z przerażeniem. Jego stealthX trząsł się i wirował, nocne niebo zastąpiła nagle Nam Chorios, potem znów niebo i znów Nam Chorios. Kątem oka dostrzegł, że jego lewoburtowe płyty znikły, a na ich miejscu pozostały jedynie kikuty rozperek, wciąż ciągnące za sobą strugi stopionych kompozytów.

Wewnętrzny kompensator nie był w stanie poradzić sobie z nagłymi naprężeniami wirowania, podobnie jak osłabione ciało Luke'a. Jego pole widzenia skurczyło się nagle. Wszystko stało się szare... a potem czarne.

Luke ocknął się w łóżku. Nad głową miał prefabrykowany durastalowy sufit. Rozejrzył się. Kabina była dość duża, słabo oświetlona, może nie wyglądała jak pokój w gospodarce, ale przypominała go. Meble były proste i niepozorne, ale nie zauważył iluminatorów wychodzących na lokalną scenę ani wmontowanych w ściany hologramów, ukazujących egzotyczne miejsca.

Po lewej, na drugim łóżku, odwrócony plecami do Luke'a leżał Ben. Był nieruchomy,

oddychał powoli.

Spojrzał w prawo. W miękkim fotelu ujrzał Jainę.

Odetchnął z ulgą.

- Gdzie jesteśmy? Co się stało?

- To kabiny dla VIP-ów na statku dostawczym Floty Sojuszu, który był naszą bazą, ponieważ stacjonował tam dywizjon stealthX-ów. - Szerokim gestem wskazała na otoczenie. - Chcesz najpierw dobre czy złe wieści?

- Złe. W ten sposób będę miał na co czekać, kiedy skończysz.

Zaśmiała się, ale zaraz spoważniała.

- Abeloth uciekła. Zekk i ja musieliśmy odciągnąć ogień NovaGun, żeby cię nie wykończyła. Zanim się upewniliśmy, że nie strzeli do uszkodzonej jednostki lecącej po kursie balistycznym, Statek wszedł w nadprzestrzeń.

Luke spojrzał na nią karcąco.

- Nie powinniście martwić się o mnie. Trzeba było lecieć za nią.

- Znam takiego Jedi, który udaje, że jest mądry i tajemniczy, ale w duchu wciąż jest chłopakiem z farmy. Zawsze mi mówił: „Ufaj Mocy”. Zekk i ja tak zrobiliśmy... i ochroniliśmy ciebie. Musisz z tym żyć.

Luke westchnął.

- Nie znoszę, kiedy cytują mi moje słowa. Jeszcze jakieś złe wieści?

- Cóż, parę fregat Sithów uciekło. Ale przedtem zdążyliśmy ich nieźle przetrzepać.

- A te dobre wieści?

- Udało nam się wrzucić cię do bacty, po raz pierwszy od wieków. I wreszcie się trochę wyspałeś. Doprawdy, w twoim wieku powinienes bardziej dbać o siebie.

Spiorunował ją wzrokiem, ale nie gniewał się w gruncie rzeczy.

- Valin i Jysella wrócili do siebie - ciągnęła. - Theranie Nasłuchiwalcy wrócili do siebie, wszyscy zameldowali się wolni od drochów. Raynar ma się dobrze. W potyczce z Sithami odnieśliśmy parę obrażeń, ale bez ofiar śmiertelnych.

Luke położył się z powrotem i zamyślił.

Abeloth znów uciekła. Wszystkie jego przygotowania, plany, cała operacja, która miała raz na zawsze skończyć z zagrożeniem, jakie sobą przedstawiała - wszystko na nic.

Nie, poprawił się. Wcale nie na nic. Abeloth znów została osłabiona, okaleczona. Może bardziej niż przedtem - nie wiedział przecież, jakie obrażenia jej i Statku spowodowała ciemna bomba Raynara i jego strzał.

A jeszcze strata Callisty. Widać było, że to sprawiło jej większy ból niż śmierć pierwszego wcielenia. Straciła coś więcej niż cudze ciało. Straciła coś, co było częścią jej samej.

A Callista - była wreszcie i ostatecznie wolna. Czuł to. Wolna od niepewności, jaką cierpiała przez ostatni okres swego śmiertelnego życia. Wolna od samotności i rozpacz, jaką przeżywała przez trzydzieści lat po śmierci. Wolna, aby stać się jednością z Mocą.

Uśmiechnął się do JAINY.

- Wciąż jeszcze jestem zmęczony. Może trochę się prześpię.

- Dobry pomysł.

Klatooine

„Sokół Millenium” opuścił orbitę i wyszedł ze studni grawitacyjnej planety, wchodząc w nadprzestrzeń. Kierował się na Coruscant. Han siedział przy sterach, Leia, w fotelu drugiego pilota, nie robiła nic. Trzymała tylko na kolanach Allanę.

Za ich plecami zaćwierkał R2-D2.

See-Threepio, siedzący w fotelu za Leią, wydawał się zdenerwowany jego wypowiedzią.

- To wcale nie jest śmieszne, Artoo.

Allana obejrzała się przez oparcie fotela Leii na robota protokolarnego.

- Co on powiedział?

- Powiedział, że mam wybuchowy temperament. Uważam, że taki dobór słów jest co najmniej niedelikatny.

R2-D2 znów zapiszczał.

- Nieprawda, nie wybucham przy najłżejszej prowokacji.

Artoo dla odmiany gwizdnął.

- Nie rozerwie mnie od tego. Mam dość. - See-Threepio wstał. - Może Milicja Wyzwolonych Robotów ma rację. Uważam, że o wiele za długo byłem przesadnie pokorny. Od teraz zamierzam domagać się uznania mojej niezależności i indywidualności.

Han obejrzał się przez ramię na robota.

- A jak właściwie zamierzasz to zrobić, Złotowłoso?

- No cóż, chyba zajmę się przygotowaniem kolejnego planu lekcji dla pani Amelii.

- Nie jest to dokładnie...

- I zrobię to, nie przestrzegając zaleceń Departamentu Edukacji Sojuszu. Przygotuję go sam.

Han skrzywił się zabawnie.

- Przerwałeś mi!

- Och, bardzo przepraszam. - C-3PO ruszył na rufę.

R2-D2 potoczył się za nim, gwizdząc.

- O co ci chodzi? Mówisz, że jestem dzisiaj jedną wielką tykającą bombą? Artoo, ostrzegam cię...

Po wyjściu robotów Leia jeszcze mocniej przytuliła Allaną.

- Wszystko w porządku, kochanie? Jesteś taka spokojna.

- Chyba chciałabym, żebyśmy nigdy nie przylecieli na Klatooine.

- Wiem. Zdarzyło się wiele złych rzeczy. Ale pomyśl, o ile gorzej byłoby, gdybyśmy nie poleciali. Gdyby twój dziadek nie był taki sprytny, Klatooinianie o wiele dłużej pozostaliby niewolnikami albo samotnymi bojownikami o wolność.

- Tak, wiem. Kiedy jesteś jedyną osobą, która może coś naprawić, twoim obowiązkiem jest to zrobić.

- Masz rację.

- Ale czasem chciałabym, żeby można było latać „Sokołem” bez żadnych obowiązków.

Han się zaśmiał.

- Wiesz, co ci powiem, mała? Kiedy będę za stary, aby robić cokolwiek poza przechwałkami i podrywem, dam ci „Sokoła” i będziesz mogła sobie latać bez żadnych obowiązków.

- A będę musiała zabrać See-Threepia?

Allana nie całkiem rozumiała, dlaczego Han i Leia nagle zaczęli się śmiać i nie mogli przestać.

EPILOG

O całe lata świetlne od Nam Chorios, z dala od szlaków handlowych i innych często używanych dróg w przestrzeni, Gavar Khai zbierał szczątki swojej floty.

Niektóre z jego fregat już rozpoczęły najpoważniejsze naprawy. Wymieniano się członkami załóg. Z Nam Chorios wciąż przybywały dalekobieżne wahadłowce, zwożąc Sithów i specjalistów, którzy tam zostali.

Na Kesh nie będą zadowoleni ze strat Khaia, z jego klęski. Zastanawiał się, czym za to zapłaci.

Oficer obsługujący czujniki odezwał się nagle:

- Statek na najdalszym zasięgu czujników.
 - Wywołuje nas - dodał oficer łącznościowy.
- Khai spiorunował ich wzrokiem.

- Może konkretniej? Co to za typ statku?

- Statek. Statek Abeloth.

Khai zamrugał nerwowo.

- Nawiązać łączność.

Główny monitor ukazał mu nowy obraz - Abeloth w całej swej dziwacznej postaci, otoczona przez pulsujące, czerwone ściany wnętrza Statku.

Był to jedynie sygnał komunikacyjny, ale Khai i tak czuł jej obecność w Mocy. Jej wzrok wyrażał wściekłość. Wściekłość i ból. Cokolwiek Jedi zrobili jej na Nam Chorios, jeszcze się z tego nie otrząsnęła. Khai zauważył, że niektórzy sithańscy oficerowie na mostku krzywili się pod wrażeniem jej cierpienia.

- Gavarze Khaiu, nasz wspólny wróg okazał się zbyt silny, aby rozprawiać się z nim osobno.

Khai skinął głową.

- Może masz rację.

- Przedyskutujmy to.

- Zostanę tutaj przez jakiś czas. Istotnie, musimy o tym porozmawiać.

Coruscant

Miał je każdy drapacz chmur na Coruscant: małe pomieszczenia, upchnięte w niewygodnych zakamarkach, wciśnięte pomiędzy kanały z mediami, wyniesione pod sklepienie sufitu. Niektóre były całkowicie niedostępne, do innych można się było dostać przez zamknięte drzwi z napisem „Tylko upoważniony personel”. Najlepsze z nich nieformalnie zajmowali kierownicy budynku lub pracownicy porządkowi; meblowali je wyrzuconymi na śmietnik sofami i fotelami, a potem wykorzystywali jako tajne miejsca wypoczynku i jaskinie gry w sabaka. Jeszcze inne kończyły jako magazyny lub zapominano o nich całkiem.

To pomieszczenie należało do tych zapomnianych. Trapezoidalna komórka była umieszczona pomiędzy dwoma szybami turbowind, miała długość dwóch ludzi przy wejściu, za to w drugim końcu była jedynie zakurzonym kątem. Nie było tu żadnych mebli. Kiedy Tahiri trafiła na nią po wielu godzinach daremnego przeszukiwania ogromnego wieżowca dla klasy średniej, nie było tam nawet pręta jarzeniowego zamocowanego w oprawce na suficie. Musiała zacząć się w mało uczęszczanym korytarzu i ukraść pręt, żeby potem samodzielnie go podłączyć.

Teraz leżała na skonfiskowanym materacu, wsłuchując się w częste, doprowadzające do szału „szszszuuu” przelatujących turbowind.

W sercu najliczniej zaludnionego miasta w galaktyce, miasta, które pokrywało całą planetę, była zupełnie sama. Cóż za dziwne uczucie. Jedyne jej majątkiem była zawartość toreb turystycznych, pozostawionych po zmroku na chodniku i nie dość dokładnie obserwowanych przez commenoryjską rodzinę, zajętą negocjacjami z wynajmującym śmigacze powietrzne. Tahiri porwała je i znikła, zanim ktokolwiek zdołał zauważyć. Zachowała etykiety z nazwiskiem i adresem właściciela, zamierzając zwrócić wszystko, kiedy tylko będzie mogła, a zapłacić za to, co zgubi lub zniszczy.

Kiedyś, kiedy znów będzie miała środki do życia. Teraz miała przynajmniej datapad, trochę niedopasowanych ubrań i przekąsek.

I dom. Uśmiechnęła się niewesoło na widok sufitu zbudowanego pod dziwnym kątem, wibrującego jeszcze od przejazdu kolejnej turbowindy.

Środki do życia... W świecie, gdzie wszyscy na nią polują, mogła je zdobywać jedynie kradzieżą i oszustwem. O, z pewnością potrafi to zrobić. Ale czy właśnie to miało być jej przeznaczeniem? Czy to jej kara za zamordowanie Pellaeona - zostać drobnym złodziejaszkiem, hieną cmentarną?

Może i tak. Jeśli będzie się upierała, żeby wszystko robić sama i na własny sposób, właśnie taki będzie jej los.

Potrzebowała pomocy. Potrzebowała... rodziny.

HoloWiadomości podały, że ludzie, którzy stanowili dla niej najbliższą i jedyną rodzinę, byli na razie poza planetą, ale wracali do domu.

Zaczeka. Zaczeka, a potem, przekradając się przez mrok, odnajdzie ich i poprosi o pomoc. Żeby mogła znów stać się sobą, żeby wszystko wróciło do normy.

A na razie... Spojrzała w dół, na swoje stopy, spoczywające na materacu. Poruszyła nimi, pokiwała palcami.

Przynajmniej wreszcie znów była boso.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojemu wydawcy, Shelly Shapiro, oraz pozostałym pisarzom pracującym nad tą serią; Troyowi Denningowi i Christie Golden za ich pomysłowość i cierpliwość; Sue Rostom, Lelandowi Chee i całej reszcie wspaniałych ludzi pracujących w Lucas Licensing za okazaną pomoc; mojemu agentowi, Russowi Galenowi, za pracę wykonaną w moim imieniu; i wszystkim fanom za serdeczne życzenia.

Spis Treści

BOHATEROWIE POWIEŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

